

**ALEX
BARCLAY**

**LATARNIA
MROKU**

Morze jest wzburzone, światło migoce, kochankowie tulą się do siebie, a dzieci tulą się do nas. W chwili, gdy przestaniemy trzymać się razem, gdy stracimy wzajemną wiarę w siebie, morze pochłonie nas, a światło zgaśnie.

James Arthur Baldwin

Prolog

Nowy Jork

Nerwowe dłonie przesunęły się po wąskim pasku, mocując go na szczupłej talii osmiolatki. Donald Riggs wskazał na przyczepione do niego małe pudełko.

- To coś w rodzaju pagera, skarbie, żeby policja mogła cię odnaleźć - wymamrotał leniwie. - Bo masz wrócić do domu. Jeśli twoja mamusia jest grzeczną dziewczynką. Czy twoja mamusia jest grzeczną dziewczynką, Hayley?

Usta małej poruszyły się, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Przygryzła wargę i spojrzała na niego jak uosobienie niewinności. Trzykrotnie kiwnęła głową. Uśmiechnął się i niespiesznie pogładził ją po ciemnych włosach.

Czwarty dzień bez córki był ostatnim, który Elise Gray miała przeżyć w nieznośnym, niemożliwym do opisania bólu. Oddychała głęboko, pełna gniewu, wściekłości i poczucia winy wywołanych tym, że tak naprawdę jej mąż był w większym stopniu odpowiedzialny za to, co się stało, niż ten obcy człowiek, który porwał jej dziecko. Firma Gordona Graya właśnie zadebiutowała na giełdzie, czyniąc go niezmiernie bogatym, a zarazem narażając na nieszczęścia takie jak to, związane z wymuszeniem okupu. Rodzina była ubezpieczona, lecz pieniądze nie interesowały Elise. Rodzina była całym jej życiem, a Hayley - jej światłem.

A teraz siedziała przed własnym apartamentem, za kierownicą bmw należącego do jej męża, czekając, aż ten łajdak zadzwoni na telefon komórkowy, który podrzucił jej wraz z żądaniem okupu. Mimo wszystko myślała o Gordonie.

Firma ubezpieczeniowa zalecała im wprowadzanie zmian w codziennym życiu, ale na miłość boską, cóż Gordon wiedział o zmienianiu czegokolwiek? Przecież każdego ranka parzył kawę, smażył grzanekę i zjadał do tego - zawsze w tej samej kolejności - jogurt jabłkowy, bananowy i brzoskwinowy. Każdego ranka. Głupi człowieku, pomyślała Elise. Głupi człowieku przywiązany do głupich, głupich rytuałów. Nic dziwnego, że ktoś czekał na ciebie przed domem. Mógł być pewien, że się pokażesz, bo robisz to każdego dnia o tej samej porze, by pójść do szkoły po Hayley i przywieźć ją do domu. Nie zbaczając z trasy, nie zatrzymując się na lody, prosto do celu, zawsze na czas.

Uderzyła czołem o kierownicę i w tej samej chwili odezwał się telefon leżący na siedzeniu obok. Sięgając drżącą ręką po słuchawkę, uświadomiła sobie, że z głośnika płynie melodia z *Ulicy Sezamkowej*. Chory bydlak, ustawił w aparacie akurat tę melodię.

- Jedź, suko. - Mężczyzna mówił wolno, z namysłem.
- Dokąd? - spytała.
- Po swoją córeczkę, jeśli będziesz umiała się zachować.

Połączenie zostało przerwane.

Elise uruchomiła silnik, nacisnęła pedał gazu i płynnie włączyła się do śródmiejskiego ruchu. Serce waliło w jej piersi jak młotem, a nadajnik drapał plecy. Dzwoniąc na policję w pierwszej godzinie tej sprawy, być może ustaliła zupełnie nowe jej zakończenie. Nie była tylko pewna, czy będzie to zakończenie szczęśliwe.

Detektyw Joe Lucchesi siedział za kierownicą i obserwował okolice, prawie nie poruszając głową. Miał ciemne, krótko ostrzyżone włosy z odrobiną siwizny na skroniach. Po raz kolejny zadawał sobie pytanie, czy Elise Gray ma dość siły, by pójść na spotkanie z ukrytym nadajnikiem. Nie wiedział, dokąd zwabi ją porywacz i jak zachowa się Elise, gdy stanie twarzą w twarz z człowiekiem, którego do tej pory znała jedynie z rozmów telefonicznych. Machinalnie uniośł dłoń na wysokość twarzy, gdy Danny Markey -jego dwudziestopięcioletni bliski przyjaciel i od pięciu lat partner w robocie - zaczął mówić.

- O, widzisz? Masz właśnie taką szczękę, którą facet może sobie pogłodzić. Gdybym ja zrobił to samo, wyglądał bym jak idiota.

Joe spojrział na niego. Danny w zasadzie nie miał linii zuchwy. Jego mała głowa bez wyraźnej granicy łączyła się z chudą szyją. Wszystko było w nim blade - skóra, piegi, nawet niebieskie oczy. Popatrzył z ukosa na Joego.

- No co? - spytał.

Joe przeniósł spojrzenie z powrotem na wóz Elise Gray, który w tym momencie ruszył. Danny chwycił się deski rozdzielczej. Joe wiedział dlaczego: jego partner spodziewał się, że natychmiast ruszą śladem odjeżdżającego samochodu. Danny miał pewną teorię, jedną z tych, które nazywał „czarno-białymi”. „Są na świecie ludzie, którzy sprawdzają, czy jest papier toaletowy, zanim usiądą na kiblu. Są też tacy, którzy srają od razu, a potem stwierdzają, że są udu-pieni”. Joe wiedział już, do której kategorii należy. „Ty jesteś sprawdzaczem, Lucchesi. Ja jestem sraczem”, mawiał Danny. Czekali więc.

- Wiesz, że Stary Nic odchodzi w przyszłym miesiącu - przypomniał Danny.

Victor Nicotero był przez całe życie gliną w drogówce, a teraz szedł na emeryturę.

- Wybierasz się na imprezę?

Joe pokręcił głową i odetchnął głęboko, walcząc z bólem pulsującym w skroniach. Wiedział, że Danny czeka na odpowiedź, ale milczał. Sięgnął do schowka w drzwiach i wyjął dwa płaskie opakowania tabletek. Wycisnął na rękę jedną udrażniającą górne drogi oddechowe i dwa adviłe, połknął wszystkie trzy i popił błękitnym napojem energe-tyzującym, gorącym od słońca.

- A, zapomniałem - odezwał się Danny. - Twoi teściowie przylatują z Paryża, co? - Roześmiał się. - Sześć godzinna kolacja z ludźmi, których nie rozumiesz - dodał i zaśmiał się raz jeszcze.

Joe nacisnął pedał gazu i ruszyli za Elise Gray. Parkujący trzy stanowiska dalej granatowy crown vic agentów FBI Mallera i Holmesa podążył ich śladem.

Elise Gray krążyła bez celu, przyglądając się chodnikom, jakby Hayley miała najzwyczajniej w świecie wyłonić się z za węgła i wskoczyć do samochodu. Znajoma melodia znowu przerwała ciszę. Elise przycisnęła aparat do ucha.

- Mamusiu, gdzie teraz jesteś? - Spokojny głos mężczyzny mroził serce.

- Na Drugiej Alei, przy Sześćdziesiątej Trzeciej Ulicy.

- Jedź na południe i skręć w lewo, na most przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy.

- W lewo na most przy Pięćdziesiątej Dziewiątej - powtórzyła.

Trzask w słuchawce.

Trzy samochody pomknęły przez most, ku Bulwarowi Północnemu. Wszystko zależało teraz od Donalda Riggsa. Wreszcie zadzwonił po raz ostatni.

- W lewo, na bulwar Francisza Lewisa i znowu w lewo, w Dwudziątą Dziewiątą Aleję. Czekam. Masz być sama. Na rogu Sto Pięćdziesiątej Siódmej i Dwudziestej Dziewiątej.

Joe i Danny wymienili spojrzenia.

- Bowne Park - powiedział Joe.

Wybrał numer dowódcy zespołu uderzeniowego, porucznika Crane'a, oddał telefon Danny'emu i ruchem głowy kazał mu rozmawiać.

- Wygląda na to, że wymiana odbędzie się w Bowne Parku, szefie. Może pan wezwać chłopców ze Sto Dziewiątego?

Danny odłożył telefon na półkę.

Donald Riggs jechał płynnie, wodząc spojrzeniem po jezdni, chodnikach i twarzach ludzi. Lewą dłonią musnął szorstką siatkę blizn na policzku, wtopioną w skórę na tyle, że była ledwie jaśniejszą plamą na tle opalonej cery. Szeroko otwierając oczy, zerknął w lusterko wsteczne. Przeczesał palcami ciemne włosy i teraz dopiero przypomniał sobie o warstwie żelu i lakieru, która nadała jego fryzurze sztywność i utrwaliła w niej ślady grubych zębów grzebienia. Zaczesane do tyłu włosy kończyły się równą linią nad kołnierzem, zachodząc na siebie z prawa i z lewa. Bardzo chciał zrobić wrażenie na pewnej damie. Spryskał

się nawet wodą po goleniu z ciemnoniebieskiej buteleczki i przepłukał usta cynamonowym płynem.

Odwrócił się i zerknął na dziewczynkę leżącą z tyłu na podłodze wozu i przykrytą cuchnącym pledem.

Dochodziła szesnasta trzydzieści. Pięciu detektywów siedziało w biurze porucznika Terry'ego Crane'a w siedzibie Dwudziestego Komisariatu, gdy Stary Nic stanął przy drzwiach i przyklepał dłonią siwe włosy. Może gadają o prezencie na moją emeryturę, pomyślał, mrużąc szare oczy i pochylając się nieco, by usłyszeć stłumione głosy. Postanowił, że ich pozabija, jeśli zdecydują się na zegar ścienny. Zegarek na rękę mógł jakoś przełknąć. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby jego ulubieniec Lucchesi pojął aluzję i rozpuścił wiadomość o jego planach - bo Stary Nic zamierzał się zabrać do pisania pamiętników i potrzebował czegoś, czego jeszcze nigdy nie miał: markowego pióra, najlepiej srebrnego, którym mógłby zapisywać swoje opowieści w grubym, solidnym notesie. Przycisnął kościste ramię do drzwi, nie zważając na czapkę, która zsunęła się nieco z jego wąskiej głowy. Teraz usłyszał wyraźniej głos Crane'a, który wprowadzał detektywów w szczegóły sprawy.

- Dowiedzieliśmy się, że sprawca zbliża się do Bowne Parku w Queensie. Wciąż nie udało się go zidentyfikować. Śledztwo w sąsiedztwie nic nie dało, nic też nie znaleźli śmy na miejscu porwania. Facet wyskoczył z wozu, zwinął dziewczynkę i odjechał z dużą prędkością, nie zostawiwszy żadnych śladów. Nie wiemy nawet, jaki miał samochód. Mamy jedynie zeznania ojca, który usłyszał z holu pisk opon. Przesyłka, którą sprawca podrzucił następnego dnia, też nie zawierała niczego istotnego poza paroma typowymi włóknami taśmy. Żadnych śladów, żadnych odcisków.

Stary Nic otworzył drzwi i wsunął głowę do pokoju.

- Gdzie doszło do tego porwania?

- Cześć, Nic - odrzekł Crane. - W rejonie Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy i Zachodniej Central Park.

Jako że rozmowa nie dotyczyła prezentu, Stary Nic ruszył dalej, ale zatrzymał się po paru krokach i wrócił, tknięty nagłą myślą.

- Jeżeli jedzie teraz w stronę Bowne Parku, to trzeba założyć, że dobrze zna tę okolicę. Możliwe, że jechał w to samo miejsce w dniu porwania i że przez Czterdziestą Drugą Ulicę dotarł do trasy FRD. Pracowałem kiedyś na Siedemnastym, więc wiem, że jeśli wasz pupil spieszył się i przejechał na czerwonym, to aparat na rogu Czterdziestej Drugiej i Drugiej mógł mu zafundować „chwilę z Kodakiem”. Sprawdźcie w drogówce.

- Zapomnijcie o zegarze - rzekł Crane, mrugając do detektywów. - Dobra robota, Nic. Sprawdzimy.

Zadzwoił do centrali policji drogowej i po półgodzinie miał listę osiemnastu podejrzanych, z których trzech było wcześniej notowanych, lecz tylko jeden odpowiadał już za usiłowanie porwania.

Joe czuł, że leki zaczynają działać. Ciepła chmura ulgi rozlała się z wolna po jego szczęce. Otworzył i zamknął usta. Trzeszczało mu w uszach. Sześć lat wcześniej coś niedobrego zaczęło się dziać z jego głową - niewyjaśnione bóle, klucie w uszach i rwanie w zuchwie tak silne, że w niektóre dni nie mógł ani jeść, ani mówić. A obcy ludzie nie odnosili się najlepiej do gliniarza, który sprawiał wrażenie tępego.

Hayley Gray rozmyślała o *Pięknej i Bestii*. Wszyscy sądzili, że potwór był wredny i przerażający, a przecież tak naprawdę był całkiem miły - dał Pięknej zupy i bawił się z nią na śniegu. Może i ten człowiek nie jest tak całkiem zły? Może i on okaże się miły? Samochód zatrzymał się nagle i dziewczynka poczuła chłód, a potem usłyszała krzyk mamy.

- Hayley! Hayley! - A potem: - Gdzie moja córka? Masz tu pieniądze i oddaj mi dziecko, sukinsynu!

W głosie mamy pobrzmiwało autentyczne przerażenie. Hayley jeszcze nigdy nie słyszała ani takiego krzyku, ani takich brzydkich słów. Rozległo się łomotanie w boczną szybę, a potem wóz odjechał, tym razem szybciej, i głos mamy ucichł na dobre. Donald Riggs jednym szarpnięciem otworzył mały plecak i zanurzył prawą rękę w stercie ciasno upakowanych zwitków banknotów.

Danny sięgnął po słuchawkę radiostacji, by przekazać do centrali numery brązowego chevroleta impali, który właśnie oddalał się od Elise Gray.

- Tu Piętnastka, Nowy Jork, w pościgu. - Zaczekał na potwierdzenie z Centrali, po czym podał numer. - Adam, David, Larry Cztery Osiem Pięć Sześć. A.D.L. Cztery Osiem Pięć Sześć. - Nadawał na Miejskim Jeden, kanale łączności dwukierunkowej, który zapewniał mu jednocześnie łączność z Mallerem i Holmesem oraz z chłopakami ze Sto Dziewiątego, którzy czekali w parku. Mówił szybko i wyraźnie. - Facet wziął forszę, ale nawet nie wspomniał o uwolnieniu dziewczynki. Musimy zachować ostrożność. Nie wiemy, gdzie ją przetrzymuje. Wszyscy w gotowości.

Danny spojrział na niego i wygłosił swój nieśmiertelny komentarz:

- A głos został mu przywrócony i nastąpiła wielka radość.

W połowie długości Dwudziestej Dziewiątej Alei Donald Riggs zatrzymał samochód, sięgnął za siebie i uniósł plecy.

- Wstawaj i wynoś się stąd.

Hayley podniosła się z podłogi i usiadła.

- Dziękuję - powiedziała. - Wiedziałam, że pan jest miły.

Otworzyła drzwi, wysiadła i rozejrzawszy się, dostrzegła matkę. Pobieгла ku niej tak szybko, jak pozwalały na to jej małe nogi.

Joe i Danny jechali za Riggsem; agenci Maller i Holmes trzymali się tuż za nimi. Danny czekał na informacje o uciekającym wozie, a Joe jakoś nie mógł się skupić. Przeczuiwał, że dzieje się coś złego - zwykle tak bywało, gdy sprawy toczyły się zbyt gładko. Taki przeraźliwy spokój pojawiał się za każdym razem, gdy mieli do czynienia z kompletnie popieprzonym maniakiem. Lucchesi spojrział na partnera.

- Dlaczego facet oddał dziecko, nawet go nie drasnął? - zastanawiał się głośno, kręcąc głową. - Za łatwo to poszło.

Zahamował ostro, wystawił rękę za okno i dał znak fe-

deralnym w fordzie. Agent Maller kiwnął głową, nie spuszczać z oka uciekającego wozu, i przejął pościg.

Joe odwrócił się i zobaczył w oddali rozkołysaną sylwetkę matki ściskającej córkę w ramionach. Zbyt łatwo. Wysiadł z samochodu, sięgając po telefon wibrujący na półce nad deską rozdzielczą. Otworzył klapkę, przystawił słuchawkę do ucha i usłyszał głos Crane'a.

- Mamy sprawcę.

- Brązowy chevy impala - przypomniał Joe.

- Zgadza się. Rocznik osiemdziesiąty piąty. Właściciel: Riggs Donald, biały, lat trzydzieści cztery, urodzony na zadupiu w Teksasie, siedział za drobne kradzieże, oszustwa i wystawianie czeków bez pokrycia; dał się też złapać na gorącym uczynku podczas usiłowania porwania. - Crane się zawahał. - Uważaj, Lucchesi. W dziewięćdziesiątym siódmym dostał też wyrok w Nevadzie za posiadanie C4. Trafił nam się majster bum-bum.

Joe z bijącym mocno sercem opuścił słuchawkę.

- Służby ratownicze i negocjator są w pogotowiu - dodał w przestrzeń Crane.

Joe zaczął biec. Bardzo chciał, żeby jego serce zniosło rytm, który narzuciły nogi.

Donald Riggs dotarł do skrzyżowania Sto Pięćdziesiątej Czwartej i Dwudziestej Dziewiątej. Kołysząc się w fotelu w przód i w tył, zaciskał chude palce na kierownicy i strzelał oczami na wszystkie strony - wypatrywał wszystkiego, ale niczego nie zauważył. Aż wreszcie coś przykuło jego uwagę. Czarny ford taurus jadący za nim skręcił i zatrzymał się przy krawężniku, a jego miejsce zajął rozpędzony granatowy crown vic. W umyśle Riggsa zapaliło się ostrzegawcze światło zwiększonej czujności. Jechał dalej, oddychając płytko, a po chwili zwolnił i zatrzymał wóz przed skrzyżowaniem. Zauważył nagły ruch: dwaj mężczyźni wysiedli z furgonetki należącej do Con Ed, stojącej przed wejściem do parku. Szybko obeszlili wóz i otworzyli tylne drzwi, wypuszczając kolejnych dwóch. Granatowy ford ponownie pojawił się w lusterku wstecznym, niebezpiecznie zbliżając się do niewłaściwej strony jezdni. Donald Riggs pochylił

się nad fotelem pasażera, porwał plecak i wyskoczywszy z samochodu, rzucił się sprintem w stronę parku. Po kilku sekundach, gdy Maller i Holmes zatrzymali wóz z piskiem opon, czterej inni agenci FBI, w kombinezonach z logo Con Ed na plecach, otaczali już pustego chevroleta.

- Za nim, za nim! - ryknął Maller i sześciu mężczyzn puściło się biegiem ku parkowi.

- Użyłaś mojego pagera! - mówi zdumiona Hayley, wskazując na pasek opinający jej talię i na czarne pudełko z mrugającym, żółtym światełkiem.

Matka wstaje zaskoczona i szuka wzrokiem kogoś, kto wytłumaczy jej, co to znaczy, ale w głębi serca zna odpowiedź. Jej błagalne spojrzenie zatrzymuje się na Joem.

-Ty głupia suko... głupia suko... głupia suko... - Donald Riggs biegnie na oślep przez park, tułac do siebie plecak i koncentrując się na małym, ciemnym przedmiocie, który ściska w dłoni. Zatrzymuje się gwałtownie. Szeroko otwiera znieruchomiałe oczy; jego ciało i umysł wyłączają się. A potem skurcz mięśnia, spóźniony ruch, łączy jego prawy kciuk z czarnym klawiszem detonatora.

Elise Gray zna swój los. Ostatni raz wyciąga ręce ku dziecku i rozpaczliwie przyciska je do piersi.

- Kocham cię, skarbie, kocham cię... Kocham cię, skarbie...

Przerażający, niesamowicie głośny huk przenika je nagle, a ostre światło parzy oczy Joego, który spogląda na nie zmartwiały. Czerwień, róż i biel rozpryskują się groteskowo wokół miejsca, w którym chwilę wcześniej matka i córka nie zdążyły nawet wymienić słów pożegnania. Z nieba sypie się konfetti liści i odłamków kory.

Joe leżał absolutnie nieruchomo, jak sparaliżowany. Nie mógł oddychać. Czuł nowy, pulsujący ból w szczęce. Oczy zaszyły mu mgłą. Z wolna zaczynał czuć ciepło betonu pod policzkiem. Uniósł się z chodnika i wstał. Zbyt wiele emocji oładnęło naraz jego ciałem. Krótkofalówka, którą miał u pasa, ocknęła się z trzaskiem i przemówiła głosem Mallera.

- Zgubiliśmy go. Jest w parku, ucieka w twoją stronę, prawdopodobnie wzdłuż placu zabaw.

Teraz jedno uczucie stłamsiło wszystkie pozostałe: wściekłość.

- Nie wydaje mi się, żeby twoja mamusia była grzeczną dziewczynką, Hayley... Nie wydaje mi się, o nie... - za wodził i mamrotał Riggs, kołysząc się na boki, pochyłony, z wykrzywioną twarzą, rozpaczliwie ściskając coś w wewnętrznej kieszeni kurtki.

W tym momencie pomiędzy drzew wyskoczył Joe. Dziwny widok nie zaskoczył go; glock kalibru dziewięć milimetrów był gotowy do strzału.

- Chcę widzieć twoje ręce.

Nie pamiętał jego nazwiska.

Riggs uniósł głowę i wyszarpnął rękę z kieszeni. Zdażył machnąć nią w prawo i z powrotem, nim Joe wpakował sześć kul w jego pierś. Riggs upadł na plecy, z rozpostartymi ramionami i otwartymi dłońmi, wpatrując się w niebo niewidzącymi oczami. Joe podszedł doń, szukając broni, której, jak się domyślał, nie było.

Coś jednak dostrzegł w otwartej dłoni Riggsa - czerwo-no-złotą odznakę: jastrzębia z rozpostartymi skrzydłami, kierującego dziób ku ziemi. Denat ścisnął ją tak mocno, że metal przebił mu dłoń.

Ely w Nevadzie, więzienie stanowe o zaostrozonym rygorze, dwa dni później

- Zamknij się, pieprzony świrze! Stul wreszcie ten za srany pysk! Dzień w dzień przez dwadzieścia cztery godziny na dobę mam tu przez ciebie pieprzony National Geographic, popaprany skurwysynu! Kogo obchodzą te twoje cholerne ptaki, Rzygusie?! Kogo, do kurwy nędzy?!

Duke Rawlins leżał twarzą w dół na dolnej pryczy piętrowego łóżka, w celi osiem na dziesięć stóp. W jednej chwili naprężyły się wszystkie mięśnie w jego długim i zyłym ciele.

- Nie nazywaj mnie tak.

Grymas złości zmarszczył jego twarz; pełne usta pobladły. Przeciągnął dłonią po głowie, mierzwiąc brudne, jasne włosy, dość długie nad karkiem i krócej przycięte nad zimnymi, błękitnymi oczami.

- Niby jak? - odparł Kane. - Rzygus?

Duke nienawidził terapii grupowej; zdarzało mu się mówić rzeczy, które nikogo nie powinny interesować. Nie mógł uwierzyć, że ten dupek Kane poznał jego szkolne przezwisko.

- Ten jastrząb ma taką rozpiętość skrzydeł, tamten wy rwał królikowi nową dziurę w dupie, tamten jest alfą, a tam ten beta; te wszystkie jastrzębie namieszały ci w mózgu, sukinsynu.

Duke zerwał się z pryczy. W dłoni, którą wysunął spod poduszki, ścisnął wąskie ostrze z pleksiglasu. Machnął nim w stronę Kane'a, który odruchowo cofnął głowę i huknął nią o ścianę. Zamarkował cios jeszcze kilka razy, tnąc powietrze na tyle blisko twarzy Kane'a, by dać mu do zrozumienia, że nie żartuje.

Powstrzymał go głos klawisza.

- Próbujesz załatwić sobie bilet w jedną stronę do Carson City, Rawlins?

Do Carson City zabierano na egzekucję więźniów z cel śmierci w Ely.

Duke odwrócił się gwałtownie. Strażnik otworzył drzwi i wszedł do celi, a następnie włożył chirurgiczną rękawiczkę i spokojnie odebrał broń człowiekowi, o którym wiedział jedno: był zbyt szczywany, by narobić sobie kłopotów tak krótko przed zwolnieniem.

- Pomyślałem, że chciałbyś sobie poczytać, Rawlins - powiedział, unosząc w stronę więźnia wydruk ze strony internetowej „New York Timesa”.

Duke podszedł do niego, zatrzymał się i zobaczył podobną ospowatej gęby Donalda Riggsa. „PORWANIE ZAKOŃCZONE TRAGICZNYM W SKUTKACH WYBUchem”. Matka i córka nie żyją. Porywacz śmiertelnie ranny. Duke pobladł. Siegnął po wydruk, wyrwał go z ręki klawisza i opadł bezwładnie na podłogę, bo nogi odmówiły mu posłuszeństwa. „Nie Donnie...

Tylko nie Donnie, nie Donnie...!", rozbrzmiewał pod jego czaszką nie milknący krzyk. Zanim stracił przytomność, zwymiotował na posadzkę, spodnie i buty strażnika.

Kane zeskoczył z pryczy i kopnął Duke'a w brzuch - bo mógł. Zaśmiał się basowo, z nie ukrywaną satysfakcją.

- Pierdolony Rzygus. Ludzie, ale widok...

- Zajmij się swoimi sprawami, Kane - rzucił na odchodnym klawisz, zamykając za sobą drzwi śmierdzącej celi.

Rozdział pierwszy

Waterford, Irlandia, rok później

„Danaher's" to najstarszy bar na południowym wschodzie kraju, z kamienną posadzką i drewnianym, mrocznym wnętrzem. Drewno odzyskane z nieszczęśliwie zatopionych opodal statków posłużyło jako belkowanie pod niskim stropem, jako półki na pordezwiąte kufle i jako podpora dla splełanych, zielonych sieci rybackich. W szerokim kamiennym palenisku żyje i umiera ogień. Toaleta nazywana tu sraczem, stoi na zewnątrz: dwie kabiny, z czego jedna bez drzwi. „Jak dotąd gównu nam ukradli", lubił mawiać Ed Danaher, gdy ktoś narzekał.

Joe Lucchesi był właśnie poddawany przesłuchaniu przy barze.

- A zdarzyło ci się kiedyś powiedzieć: „Nie ruszaj się, skurwielu"? - spytał Hugh, poprawiając okulary na nosie. Był wysoki i chudy, a mówiąc, zawsze kiwał głową, jakby w wiecznej gotowości do przejścia przez niskie drzwi. Czarne włosy nosił spięte w koński ogon, a luźne kosmyki zaczesywał palcami za uszy.

Jego kumpel Ray przewrócił oczami.

- A: „Wszystko, co powiesz lub zrobisz, może zostać użyte przeciwko tobie przed sądem"? - ciągnął Hugh.

Joe roześmiał się.

- A może znalazłeś łupiny orzeszków w czyichś spodniach?

- To z *Kryminalnych zagadek Las Vegas*, przygłupie -nie wytrzymał Ray. - Nie słuchaj go, Joe. Atak poważnie... zdarzyło ci się podrzucać fałszywe dowody w sprawie?

Tym razem roześmiali się wszyscy. Joe nie przypominał sobie "ani jednego wieczoru w pubie, podczas którego nie wypytywano by go o dawną pracę. Nawet przyjaciele wciąż próbowali wyciskać z niego informacje.

- Chłopaki, musicie częściej wychodzić z domu - powiedział.

- Daj spokój, w tej dziurze nic się nie dzieje - odparł Hugh.

Joe nie uważał Mountcannon za dziurę. Uroczą osadę rybacką od sześciu miesięcy była jego domem. Stało się tak dzięki jego żonie, Annie, która w trosce o przyszłość małżeństwa i o syna Shauna - oraz o zdrowie psychiczne wszystkich członków rodziny - sprowadziła ich właśnie tu. Chciała, by Joe wycofał się po ostatniej sprawie, ale odmówił. Zgodzili się, że weźmie urlop na rok - będzie to tymczasowa emerytura, czas na zastanowienie się, czy warto wrócić do pracy.

Nie wiedział, dokąd zaprowadzi go ten czas przemyśleń. Anna była projektantką wnętrz, wolnym strzelcem realizującym pomysł dla „Vogue Living”: prowadziła dokumentowaną fotograficznie renowację starego domu, kupionego przez wydawcę pisma. Obiektem, który wybrała, była Sho-re's Rock, opuszczona i zdewastowana przez siły przyrody latarnia morska na skraju urwiska opodal Mountcannon, wioski, którą pokochała w wieku lat siedemnastu.

Gdy tu dotarli, Joe zrozumiał, co czuła. Mimo wszystko jednak potrzebował swej nowojorskiej mieszanki. Odwiedzał miejscowy sklepik i kupował „USA Today”, choć tak naprawdę było to raczej „USA sprzed dwóch dni”. Do Dan-ny'ego Markeya mawiał: „Jeśli w domu zdarzy się coś poważnego, zadzwoń po paru dniach, żebym wiedział, o czym gadasz”. W Nowym Jorku Irlandia to niedzielne popołudnia, WFUV 90.7, ballady *Forty Shades of Green* i *The Gal-way Shawl*. Lecz w samotnej latarni morskiej opodal małej wioski prawdziwa Irlandia nie do końca przypominała tę z sentymentalnych ballad... i nie była oazą łatwego życia. Joe mógł napić się świetnego piwa i znaleźć przyjaciela w każdym z trzech miejscowych pubów; gorzej było, gdy chciał wypożyczyć film, zamówić jedzenie z dostawą do domu

albo skorzystać z bankomatu. Dla większości mieszkańców Ed Danaher był bankierem i barmanem, zawsze gotowym napełnić kasę gotówką, którą właśnie komuś pożyczył.

Joe wstał, przesunął po blacie parę banknotów i pożegnał się z dwoma mężczyznami. Dotarł do domu w piętnaście minut, rozkoszując się krzywizną ostatniego zakrętu, po którym z mroku wyłaniała się biała kolumna niedawno odmalowanej latarni morskiej. Otworzył bramkę i stumetrową alejką dotarł do frontowych drzwi.

Skalista działka było nieco pochyła; niektóre zabudowania pamiętały dziewiętnasty wiek, a i o te najnowsze nikt nie dbał od lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Stały tu trzy budynki, z których dwa nadawały się do zamieszkania. Pierwszy składał się z przedsionka, kuchni, salonu i jeszcze jednego pokoju na parterze oraz głównej sypialni, gościnnej sypialni i łazienki na piętrze. Drugi był jakby wielką piwnicą należąca do pierwszego, wktą nieco głębiej w skałę. Miał małe okna i wydawał się mrocz-niejszy. Na piętrze mieściła się sypialnia Shauna, a na dole - piwniczka z winami. Trzecim budynkiem była okrągła wieża latarni, osobna bryła na tyłach głównego domu. Nieco wyżej, na stoku, stała okazała szopa mieszcząca dobrze wyposażony warsztat, z którego Joe uczył się korzystać. Własnoręcznie wykonał „co bardziej prymitywne” meble do domu; w ustach Anny brzmiało to jak komplement, a to w zupełności Joemu wystarczało.

Chciała, by na koniec roku dom był nowoczesny i wygodny, ale jednocześnie pozostał możliwie niezmieniony. W tej części kraju nie było to trudne: nie brakowało cieśli, handlarzy żelastwem i budowlańców, choć dość szybko okazało się, że nie należy traktować terminów tak poważnie jak w Nowym Jorku. Nawet zazwyczaj świetnie działająca pokusa tytułu „Vogue” nie robiła na miejscowych fachowcach wrażenia. Mimo to przy ich udziale po sześciu miesiącach udało się odkryć potencjał drzemiący w wilgotnych, rozpadających się wnętrzach i torturowanych przez naturę murach. Gdy przybysze z Ameryki po raz pierwszy weszli do Shore's Rock, wyglądało tu tak, jakby poprzedni właściciele pod wpływem wielkiej tragedii w pośpiechu

opuścili dom. Śmierdziało morzem, wilgocią i butwiejącym drewnem. Zdaniem Joego i Shauna było beznadziejnie, ale Anna nazwała ten stan tylko „doskonałą dewastacją”.

Teraz wszystkie mury były już odmalowane. W domu zainstalowano ogrzewanie podłogowe, a ściany i podłogi pobielono. Proste, białe meble z drewna, z drobnymi akcentami nowoczesności, nie ubogaciły zbytnio wnętrz. Najpierw oddano do użytku pokój Shauna, ale dopiero wtedy, gdy za oknem zawisł talerz anteny satelitarnej. Anna musiała coś zrobić, by uśmierzyć jego narastający, typowy dla szesnastolatka niepokój. Shaun, którego świat był jeszcze bardzo mały, szok kulturowy odczuł szczególnie dotkliwie. Chłopak nie znosił izolacji, która dla Anny była ucieczką od ciągle tych samych twarzy, wiecznych pokazów prasowych i otwarć galerii - wszystkich tych spraw, które teraz zdawały się należeć do innej epoki. W Mountcannon każdy znał sąsiadów i bez obaw zostawiał otwarty samochód, a żadna z ulic nie uchodziła za niebezpieczną.

Joe wsunął się pod kołdrę obok Anny.

- Przyjąć pozycję - szepnął.

Uśmiechnęła się w półśnie i odwróciła tyłem do niego, a on objął ją ramieniem i przycisnął do siebie jej drobne ciało. Całując tył jej głowy, zasnął przy wtórze szumu fal łamiących się o skały.

- Po irlandzku? - spytał z uśmiechem Joe. Stał przy kuchence w samych dzinsach, celując w Annę końcem unu-rzanej w tłuszczu łopatki.

- Nie, nie! - zaoponowała ze śmiechem. - Nie mam pojęcia, jak oni to wytrzymują: co rano jajka na bekonie, kiełbaski, czarny pudding, biały pudding... - Pokręciła głową i boso podeszła do kredensu. Stała na palcach, żeby sięgnąć do najwyższej półki.

- Taka dieta czyni mężczyzną - stwierdził Joe.

- Czyni tłustym mężczyzną - skorygowała Anna.

- Dla Francuzki każdy jest tłusty.

- Być może każdy Amerykanin.

- To musiało zaboleć - wtrącił Shaun. Wcisnął się na krzesło za stołem i szeroko rozłożył nogi. - Podjeżdżaj,

tato. W taki ranek chętnie pomacham amerykańską flagą. - Chwyć nóż i widelec, układając usta w krzywym uśmiechu ojca. Geny Lucchesich zwyciężyły geny Briau-de'ów. W twarzy Shauna uderzające było to, że dopełnieniem ciemnych włosów i ziemistej cery ojca były bladozielone oczy matki.

- Dziękuję, synu - odparł Joe.

- Swoją drogą, nie zaszkodziłoby, gdybyś włożył koszulę - dodał Shaun.

- Jesteś zazdrosny i tyle. Zawsze smażę topless, żeby potem nie śmierdzieć.

Zrzucił jedzenie na dwa talerze i zaciągnął się dramatycznie jego aromatem.

- Twoja matka nie wie, co traci.

- Wiem - powiedziała Anna, ruchem głowy wskazując na jego brzuch.

Poklepał się po nim.

- Jeden dzień stresów i będzie po nim - odparł lekceważąco.

Skrzywiła się z powątpiewaniem, ale miał rację. Zawsze był w formie.

- Daj spokój, kochanie. Jak mam konkurować z kobietą, która kupuje ubrania w sklepach dla dzieci?

Uśmiechnęła się.

Joe wciągnął przez głowę bluzę z długim rękawem i podszedł do czajnika. Sięgnął po dzbanek do kawy stojący za nim, napełnił go wrzątkiem i potrząsnął, by splukać wszystkie ścianki. Gdy szkło było już gorące, wylał wodę i wsypał do środka cztery łyżki mielonej kenijskiej kawy. Zalał ją wrzątkiem aż po chromowaną obręcz, opłukał parującym strumieniem elastyczną nakładkę, wcisnął ją na krawędź naczynia i przekręcił tak, by zasłonić wylot dzióbka. Po czterech minutach nacisnął lekko nakładkę, obserwując, jak drobiny ziaren powoli opadają na dno dzbanka. Wtedy obrócił nakładkę sitkiem w stronę dzióbka i strumień kawy popłynął do kubka.

Joe nie mógł patrzeć, kiedy ktoś inny parzył kawę.

- Wczorajem dzwonił twój ojciec - odezwała się znieloczekalnie Anna.

Shaun spojrział na nią szeroko otwartymi oczami, ale wiedział, kiedy nie należy się odzywać.

- Akurat - odparł Joe, stawiając kawę na stole.

- Naprawdę. Żeni się.

Joe spojrział na nią z ukosa.

- Pierniczysz.

- Nie wyrażaj się. Mówię poważnie, jak mogłabym zmyślić coś takiego? Chce, żebyś przyjechał.

- Chryste Panie... Z Pam się żeni?

- Jasne, że z Pam. Straszny jesteś czasem.

- Z takim facetem jak mój ojciec nigdy nic nie wiadomo.

- Jest niesamowity - zgodził się Shaun.

- Ano właśnie - ciągnął Joe. - I wie, że trzeba ściągnąć rodzinę, żeby przed nowo poślubioną małżonką uchodzić za normalnego. „Widzisz, kochanie? Dzieci przyjechały na ślub. Są takie urocze. A ja nie jestem świrem z siekierą”.

-Cóż...

- Żadne cóż. Znasz go.

- Mamo - wtrącił Shaun - przepraszam, że nie na temat, ale czy masz może moje zdjęcia z dzieciństwa? To znaczy... czy zabrałaś jakieś do Irlandii?

- Można by pomyśleć, że w zasadzie nie miałam powodu - odrzekła Anna - ale były tak cudne, że wsadziłam kilka do dziennika. Zaczekaj.

Przyniosła z sypialni swój dziennik i wyjęła trzy fotografie z koperty wetkniętej za ostatnie strony.

- Spójrz tylko na siebie - powiedziała, unosząc pierwsze zdjęcie.

Dwuletni Shaun siedział w kąpielii, uśmiechając się pogodnie w aureoli z piany. Na drugim miał już cztery lata; ubrany w panterkę ścisnął w dłoniach plastikowy karabin. Na trzecim zdmuchiwał płomień pięciu świeczek wetkniętych w tort o kształcie chrząszcza.

- Ten tort to był horror - mruknęła. - Twój ojciec sterczał nade mną bez przerwy, pilnując, żeby zgadzały się szczegóły anatomiczne.

- Pierwszorzędny tort - stwierdził Shaun. - Ale wolę to

zdjęcie z bronią. Słodkie, chociaż politycznie niepoprawne. Jak ja. Sekretne życie chrząszczy byłoby przesadą.

- Po co ci to? - spytała Anna.

- Na szkolną stronę internetową - wyjaśnił. - St. Dec-lan's będzie miała całkiem nową witrynę. Mamy świetnego nauczyciela od komputerów, pana Russella. W latach dziewięćdziesiątych pracował w wielkiej firmie software'o-wej, ale wypalił się i wybrał robotę w szkole. Jest niesamowity. Chce, żeby każdy uczeń piątej klasy miał swój kątek na stronie internetowej, a w nim biografię. Wszyscy przynoszą zdjęcia „dawniej” i „dziś”. Od wieśniaka do chojraka.

Anna zaśmiała się.

- A cóż takiego wieśniackiego jest w moim ślicznym, krótko ostrzyżonym żołnierzyku? - spytała, spoglądając na zdjęcie. - Może w twoim wypadku poszło od chojraka do wieśniaka? - dodała, patrząc na jego dzinsy.

- Mamo, nawet nie wiesz, kto jest dziś wsiurem.

- Więc mnie oświeć. Chłopak w wymiętych dzinsach i koszuli zwisającej luźno do kolan?

- Nie, to jest luzak. Wieśniak to raczej goguś. Ktoś jak ojciec.

Trzasnęła go pamiętnikiem, a Joe się roześmiał. Shaun dokończył śniadanie, chwycił torbę szkolną i wybiegł.

- Zobaczymy się wieczorem na imprezie - zawołał i trzasnął za sobą drzwiami.

Anna odwróciła się ku Joemu i pogroziła mu palcem.

- Zadzwoń do ojca.

- Dobrze, zadzwonię „do ojca” - powtórzył, wyolbrzymiając nieco jej śladowo obcą wymowę.

Spojrzała na niego krzywo.

- Jesteś taka egzotyczna, Annabel - powiedział, przeciągając ostatnie „l”.

Posłała mu jeszcze jedno takie samo spojrzenie.

Sam Tallon, niewysoki i pulchny jegomość, stał w pomieszczeniu technicznym na drugim piętrze latarni morskiej i potrząsał głową.

- Mój Boże, ile wspomnień wraca - powiedział. - La-

tarnik siedział za tym biurkiem i wypełniał raporty... Będzie pani musiała kupić skrobaczkę, żeby zedrzyć farbę ze stopni drabinki. - Sam był ekspertem, byłym inżynierem w biurze Komisarza do spraw Irlandzkich Latarni, i doradzał Annie podczas remontu. Miał sześćdziesiąt osiem lat, ale specjalnie dla niej był gotów wspiąć się na górę po wąskich, spiralnie ułożonych schodkach.

- Taa... - mruknął i chwycił szczeble drugiej drabinki. Podciągnął się i podważył żelazną klapę, by wejść do pomieszczenia reflektora. Echo powtórzyło jego śmiech, a gdy wspięła się za nim, gwizdnął z cicha.

- Czekaj panią sporo roboty.

- Tak podejrzewałam - odparła Anna, przyglądając się splekanym, pokrytym rdzą ścianom.

- Trzeba będzie zedrzyć do czysta - ocenił Sam. - Emalia, warstwa na warstwie. Będzie twarda jak kamień.

Pośrodku pomieszczenia znajdował się postument, na którym spoczywała kadź rtęci wspierająca pięcietonowy ciężar zwierciadła. Tylko jego podstawa była widoczna; większość reflektora sięgała galerii piętro wyżej. Sam spojrzął na wskaźnik przy kadzi.

- Poziom rtęci trochę opadł. Możliwe, że łożyska pod zwierciadłem są bardziej obciążone, niż powinny. Ale nie jest to wielki problem, zwłaszcza że reflektor raczej nie będzie działał przez cały czas.

- Będę zadowolona, jeśli w ogóle uda się go zapalić.

- Myślę, że będzie dobrze - odparł Sam. - Przypuszczam tylko, że dostanie pani pozwolenie na zapalenie go o ściśle określonej porze i pod warunkiem, że będziecie kierować wiązkę w głąb łądu.

Anna wstrzymała oddech, gdy Sam badał podstawę zwierciadła i ukryty w niej mechanizm zegarowy.

- Nie do wiary - stwierdził w końcu inżynier. - Chyba wszystko w porządku. Po czterdziestu latach... Trzeba będzie rozruszać balast, ale poza tym... mam wrażenie, że poszczęściło się pani.

- Dzięki Bogu - odetchnęła z ulgą Anna.

- Koszulka żarowa, podobnie jak knot w świecy, pali się tam, we wnętrzu - powiedział Sam, odwracając się ku

zwierciadłu. - Jeśli nie będzie koszulki, nie będzie światła. Jest mała, jedwabna, zmieściłaby się w kieszeni - dodał i zachichotał. - A kiedy już się pali, pryzmaty załamują światło, zwierciadło obraca się i już, mamy piękną wiązkę z latarni morskiej.

Sam wszedł po drabinie do wnętrza zwierciadła, rwąc po drodze liczne pajęczyny.

- Brudne - stwierdził. - Będzie pani musiała się tym zająć, najlepiej po oczyszczeniu ścian. No i kupić nowe koszulki żarowe, rozmiar pięćdziesiąt pięć milimetrów.

Zeszli razem na dół, do wiekowych drzwi.

- Je także należałoby wymienić - zauważył Sam.

- Nowe są już w drodze - odparła Anna.

Inżynier był pod wrażeniem.

- Powiem pani, co zrobię - rzekł. - Wyczyszczę łożyska i sprawdzę ciśnienie w pompach nafty. Mycie zwierciadła i okuc zostawię pani - dodał z uśmiechem.

- W porządku - zgodziła się Anna.

- Wtedy możemy zrobić próbny rozruch mechanizmu; zobaczymy, czy naprawę jeszcze działa.

- Może nie tak od razu - zaproponowała. - Dam panu znać w odpowiednim czasie.

- Nie ma sprawy.

Ostatnie szmery rozmów ucichły i publiczność skupiła uwagę na scenie. Rozległy się dźwięki urokliwej muzyki. Katie Lawson wystąpiła naprzód i zaczęła śpiewać. Shaun uśmiechnął się. Oto jego piękna dziewczyna ucisza i oszłamia publiczność najcudowniejszym głosem, jaki kiedykolwiek słyszał. Zmieniła jego życie. Przyjechał do Irlandii niechętnie, z żalem, rozpaczliwie tęskniąc za baseball, kablówką i wszystkim, co dostępne dwadzieścia cztery godziny na dobę. A potem zjawiała się Katie. Pierwszego dnia w nowej szkole widział tylko ją. Pochylona nad stolikiem biła pięścią w blat, zanosząc się zaraźliwym, melodyjnym śmiechem. Wreszcie wyprostowała się, odgarnęła włosy z twarzy i otarła łzy. Podchodząc bliżej, Shaun czuł, że jego serce wariuje. Wspaniały uśmiech rozświetlał całą jej twarz. Była taka naturalna: lśniąca skóra, świeża cera po-

liczków, błyszczące, brązowe oczy. Kiedy spojrzały na niego - przepadł.

Katie zeszła ze sceny i z pochyloną głową usiadła obok niego, zażenowana burzą oklasków.

- No, no - szepnął Shaun. - Byłaś niesamowita. Za chwyciłaś ich.

Katie zarumieniła się.

- Nieprawda - odszepnęła, kręcąc głową.

- Nie marudź. Rzuciłaś i tyle.

Ali Danaher, najlepsza przyjaciółka Katie, wystąpiła jako następna, z wierszem swojego autorstwa. Shaun uśmiechnął się, zanim jeszcze zaczęła, bo wiedział, że będzie to dzieło ciężkie i mroczne, jak jej strój i cień do powiek. Ali miała suche blond włosy, a kiedy zbyt wysoko podciągała rękawy, widać było na jej przedramionach cienkie ślady żyletki - zrobione wyłącznie dla efektu. Nigdy nie przyznawała się, że pochodzi ze szczęśliwej, dobrze żyjącej rodziny, ponieważ mogłoby to negatywnie wpłynąć na sztukę, którą uprawiała. Z powagą kończyła deklamację:

...Zgniłe wewnątrz
przesącza się i wreszcie przebija powierzchnię z kości słoniowej;
zaśniedziała historia
wychodzi z ukrycia, za późno, by ją schować.

Okrzyki Shauna i Katie zagłuszyły uprzejmy aplauz rodziców. Ed Danaher spojrział na żonę i przewrócił oczami, ale przestał klaskać ostatni.

Gdy występy dobiegły końca, Shaun wziął Katie za rękę i poprowadził w głąb sali.

Joe pocałował Annę na do widzenia i poszedł z Edem do Danaher's. Odwróciła się, wciąż uśmiechnięta, i zobaczyła Peteya Granta, szkolnego dozorcę, który sadził w jej stronę sążnistymi susami. Petey miał ziemistą cerę i ciemnobrązowe włosy, przycięte na tyle krótko, by nie zaczęły się kręcić. Spod jego gęstych brwi spoglądały migdałokształtne, jasnobłękitne oczy, które rzadko nawiązywały bezpośredni kontakt z rozmówcą. Gdy Petey mówił, pochylał się w bok i wyciągał przed siebie wielkie dłonie, poruszając rytmicz-

nie palcami, jakby czekał, aż ktoś rzuci do niego piłkę do koszykówki.

- Dzień dobry, pani Lucchesi. Miło, że pani przyszła. Podobał się pani występ? Bo mnie bardzo. Katie ślicznie śpiewa. I taka ładna z niej dziewczyna. Słyszałem wczoraj, jak ćwiczyła - dodał, rumieniąc się. - Pan Lucchesi też przyszedł? Jeśli nie ma nic przeciwko temu, chętnie wpadłbym jutro do jego warsztatu. Ma jakieś plany na jutro? Bo ja mam wolne. Pomógłbym mu przy tym stole, nad którym pracuje.

Petey lubił ujawniać wszystkie myśli, które przychodziły mu do głowy. Od dzieciństwa miał problemy z nauką, a dzieciaki w szkole zawsze dzieliły się na te, które dawały mu wycisk, oraz te, które zaciekle go broniły. Anna go uwielbiała. Był grzeczny, zawsze entuzjastyczny, wrażliwy i czarująco niewinny, jak na dwudziestopięciolatka. Od pierwszych dni zaprzyjaźnił się też z Joem i podzielał jego zainteresowanie latarniami morskimi. Różnica polegała na tym, że dla Peteya latarnie były ulubionym przedmiotem rozmowy - i jedynym, jeśli tylko ktoś pozwalał mu się zagłębić w temacie. Gdy Joe strugał meble do domu, Petey wpadał do warsztatu, opierał się o stół roboczy i godzinami snuł opowieści o historii irlandzkich latarni morskich.

- W naszym domu zawsze jesteś mile widzianym gościem, Petey - odpowiedziała Anna. - Wpadnij po pracy.

- Bardzo dziękuję, pani Lucchesi. To wspaniale.

Zawahał się, bo jak zwykle nie był pewien, czy to już koniec rozmowy.

Klucze do Seascapes ciążyły Shaunowi w kieszeni. Jego zadaniem było strzyżenie trawników i wykonywanie drobnych napraw w domkach letniskowych. Teraz, we wrześniu, większość domków była pusta. Planował wśliznąć się do jednego z nich tego wieczoru, z Katie. Zapowiedziała matce, że wybiera się do niego; on uprzedził swoją, że będzie u dziewczyny. Martha Lawson była szorstka w obejściu, ale ufała córce.

- Zdaje się, że zaszło jakieś nieporozumienie co do dzisiejszego wieczoru - powiedziała, zbliżając się do pary mło-

dych. - Właśnie rozmawiałam z panią Lucchesi i mówiła, że przychodzisz do nas. Cholera, pomyślał Shaun.

- A ja myślałem, że wieczorem oglądamy *Obcych* - powiedział.

- Nieee - zaprzeczyła gorliwie Katie. - Mieliśmy grać u mnie na playstation. Fujara z ciebie.

- Ja już lecę, mogę was podrzucić - powiedziała Mar-tha.

- Cholera — powiedziała bezgłośnie Katie, odwracając się ku Shaunowi.

Anna została jeszcze dwie godziny, sprząając po występach wraz z innymi „lizuskami”, jak nazywał Joe tę grupę matek. Wyszła dopiero o północy i ruszyła w stronę domu alejką obok kościoła, zatopiona w myślach.

- Proszę, proszę, czy to nie piękna Anna?

Ten głos nie brzmiał dobrze.

Wstrzymała oddech i odwróciła się. Kondycja Johna Millera wprawiła ją w osłupienie. Miał mętne oczy, nabrzmiałą, czerwoną twarz i bardzo niepewnie trzymał się na nogach. Wszystko to była w stanie wytłumaczyć sobie wpływem alkoholu, ale szokiem były inne detale: włosy, siwiejące i brudne, fatalna cera, koszula napięta na brzuchu. Kiwał się na boki, stojąc przed nią.

- Wiem, gówniano wyglądam - powiedział, rozkładając ręce.

- Ależ nie - odrzekła cicho. - Wcale nie.

- Nie pierdoli! Jesteś Francuzką. Pieprzonym ideałem.

Nie wiedziała, jak mu odpowiedzieć.

- Słyszałem, że teraz jesteś Anną Luccheesy. Bardzo ładnie.

- Lu-cale-y - poprawiła, próbując się uśmiechnąć.

- Wyszłaś za glinę, co? Szczęściarz z niego. Prawdziwy szczęściarz. - Miller wyszczerzył zęby. - Mam szansę na ruchanko?

- John, na miłość boską! - syknęła Anna, rozglądając się. - Co ty wygadujesz?

- Że chce mi się ruchać.

- A gdzie twoja żona?
- Nadal w Australii. Wykopała mnie. Ha! Dasz wiarę?
Wróciłem tu i mieszkam z matką. Psychol ze wzgórze. Mam objąć we władanie sad. Czyli zrobić jedyną rzecz, której przysięgałem nie zrobić.

- Przykro mi, John. - Odwróciła się, by odejść.
- Jesteś świetną dziewczyną. Fantastyczną dziewczyną! -
zawołał za nią.

Nie zatrzymała się. Dłonie jej drżały, a policzki płonęły.

Nagle znalazł się tuż za nią, chwycił za ramiona i przycisnął do muru. Jego oddech cuchnął cebulą i alkoholem, a ubranie śmierdziało rybami. Miał lśniąca płamę na brodzie i zaschnięte, białe drobiny w kącikach ust. Odepchnęła go.

- John, idź do domu i wytrzeźwiej.

-Zawsze byłaś twardą suką, Anno... I lubiałaś ostrą jazdę.

Wbiła spojrzenie w jego twarz, ale nie znalazła w niej ani śladu Johna, którego nigdy kochała.

Rozdział drugi

Stinger's Creek, północne rejony środkowego Teksasu, rok 1978

- On cię nie ugryzie, Duke. Nie dzioba powinieneś się bać, tylko szponów. Nacisk mniej więcej ośmiu kilogra mów, to wystarczy, żeby rozerwać twoje cherlawe ramię.

Duke uniósł głowę i spojrział z niepokojem na wujka Bil-la. Wujek Bill uśmiechał się szeroko.

- Solomon nie zrobi ci krzywdy. Dajesz mu jedzenie, a on wie, kto jest przyjacielem. Poza tym gdyby tylko cię drasnął, zastrzeliłbym go na miejscu.

- Ani się waż strzelać do niego, wujku Billu. Ani się waż.

Bill zachichotał i zmierzwił palcami czuprynę Duke'a. Spojrział na mysołowca, zwanego też jastrzębiem Harrisa, który siedział na jego ręce, odwiązał pętające go rzemyki i szerokim gestem pomógł ptakowi wystartować. Obserwowali przez chwilę jego lot i miękkie lądowanie na gałęzi wysokiej topoli.

- A ty, Donnie? Chciałbyś spróbować? Bo zdaje się, że Duke trochę się boi.

Duke zmrużył oczy, a jego usta wykrzywił grymas gniewu. Przemknął tuż obok wuja i skoczył na swego najlepszego przyjaciela, Donniego, powalając go na ziemię.

- Duke Rawlins nigdy się nie boi - syknął.

- Jezu, Duke, daj spokój. Daj spokój. Cały jesteś, Donnie?

- Tak, proszę pana.

Duke wstał, otrząpał dżinsy i wyciągnął rękę po skórza-

na rękawicę. Bill podał mu ją i wyjął kawałek surowego mięsa z sakwy, którą nosił przy boku. Wcisnąwszy karmę między kciuk a palec wskazujący rękawicy, przypomniał chłopakowi procedurę.

- Wyciągnij lewą rękę, o tak, tę w rękawicy, i wyceluj ją w stronę ptaka. Potem zawołaj go i zaczekaj, aż wyląduje.

Solomon poszybował w dół i przysiadł na dłoni Duke'a. Pochwycił mięso dziobem i ciągnął tak długo, aż wyrwał je z palców chłopca.

- Teraz pokaż mu otwartą dłoń, żeby nie myślał, że ukrywasz jeszcze coś do jedzenia.

Duke pokazał ptakowi otwartą, drżącą dłoń.

- Złap za rzemienie na jego nogach i przepleć je sobie między palcami, żeby nie uciekł.

Chłopak wykonał polecenie. Solomon zatrzepotał skrzydłami, ale nie próbował uciec.

- Dobra robota, Duke. Teraz go wypuść, tak, jak ci po kazywałem.

Solomon znowu wzbił się w powietrze. Bill podszedł do żerdzi, do której był uwiązany drugi jastrząb Harris'a.

- Chodź, Sheba, teraz twoja kolej.

Uwolnił drugiego ptaka, który po chwili wylądował na sąsiedniej topoli, rozglądając się ciekawie. Bill obserwował zwierzęta z uwagą.

- Zawsze czuwają, widzą, co się dzieje - powiedział. - Zawsze uważają i czekają.

Solomon skoczył nagle i zanurkował, przemykając nisko nad ziemią, między Dukiem a Donniem. Rozległ się trzepot drugiej pary skrzydeł i Sheba pomknęła za partnerem. Bill pobiegł za jastrzębiami, wołając, by chłopcy podążyli za nim.

- Wypatrzyły coś. Można poznać po tym, w jaki sposób lecą.

Gdy dotarli do łąty nagiej, suchej ziemi, zobaczyli samotnego przepiorą wirginijskiego.

- Ach, więc to on wpadł im w oko - mruknął Bill. - To ich zdobycz.

Solomon nawrócił i obniżył lot. W chwili, gdy miał dosięgnąć ofiarę, przepiór rzucił się do rozpaczliwej ucieczki ku

krzewom rosnącym opodal, wzdłuż linii jądłoszynów. Umykający ptak zatrzymał się gwałtownie i myszołowiec nie zdążył wyhamować - przemknął tuż nad nim i musiał wzbic się nieco, by wylądować na najbliższej gałęzi. Ale Sheba, która nadlatywała prostopadłym kursem, dosięgła przepiorą i przebiła szponami, zanim zdążył poderwać się na nowo do ucieczki. Sekundę później był przy niej Solomon; pochwyił ofiarę za głowę i oba jastrzębie rozpoczęły ucztę.

- Jak Jekyll i Hyde - powiedział Bill. - W jednej chwili siedzą na czubku świata i podziwiają dzieło stworzenia, a w następnej już rozdzierają je na strzępy. I w dodatku pomagają sobie nawzajem. - Pokiwał głową z dumą. - Tak, to zabójcy, bez dwóch zdań.

Wanda Rawlins była niegdyś główną atrakcją lokalu Amazon. Pijani, bezzębni mężczyźni, którzy nigdy nie przekraczali granic stanu, przysięgali, że była lepsza od wszystkich tych suk z Broadwayu i szczęściem napełniało ich to, że postanowiła zostać w takiej głuszy jak Stinger's Creek i tańczyć tylko dla nich. Dziesięć lat później, gdy jej piersi rozpoczęły podróż na południe, mogła już tylko oferować schronienie zbłąkanym duszom, a także robótkę ręczną za dziesięć dolarów, normalny numerek za dwadzieścia oraz obciążanie za dwadzieścia pięć. Za działkę kwasu można było dostać wszystko; za kokainę przyjmowała gości nawet na cały weekend. I właśnie dwie minuty pewnego weekendu wystarczyły jednemu z miejscowych fanów talentu Wandy, by przysporzyć jej ciężaru o imieniu Duke. Chłopiec, zaledwie ośmioletni, sprawiał, że czuła się tak, jakby miała setkę na karku.

Duke nakrył matkę po raz pierwszy, gdy miał cztery lata, i wydawało mu się, że ktoś ją dusi. Szybko zrozumiał, że rzeczywiście ktoś ją dusi, ale ona nie ma nic przeciwko temu. Wielki, goły facet klęczał za nią i wchodził w nią rytmicznie, wspierając się grubym łapskiem o ścianę nad jej głową, a w drugiej ręce trzymając końcówki różowej jedwabnej apaszki owiniętej wokół szyi kobiety. Twarz Wandy była sina, jej oczy mętne, a powieki sprawiały wrażenie ciężkich. Facet spojrzał przelotnie na Duke'a, łypnął pija-

nymi oczami i ponownie skupił się na robieniu tego, za co uczciwie zapłacił. Chłopiec odwrócił się i wyszedł. Parę minut później matka, ubrana jedynie w sprany szlafroczek, zastała go w kuchni. Popatrzyła na niego surowo.

- Czego? - warknęła, podchodząc do kredensu. - Zmywaj się! - dorzuciła po chwili, mijając syna z kubkiem kawy w dłoni.

Duke podskoczył ze strachu, z niewinnością, która znikła na zawsze, gdy z wizytą przybył kolejny klient.

Westley Ames był krępy, wiecznie zakatarzonym typem o kaprawych oczach i przepaszająco zgarbionych plecach. Miał niepozorną i uległą żonę, która urodziła mu trzy wodniste córki. Przez lata toczył wewnętrzną bitwę, zbyt słaby, by poważnie się na zrealizowanie chorych fantazji trawiących jego umysł.

Bez pośpiechu przespacerował się pomiędzy rupieciami na podwórzu Wandy Rawlins, niosąc w kieszeni marynarki starannie złożoną karteczkę, a w niej półgramową porcję koki.

- Się masz, Westley? - odezwała się Wanda, opierając się o ościeżnicę i wolną ręką osłaniając oczy przed słońcem.

Była kiedyś ładną nastolatką, kształtną i opaloną, a słodki uśmiech odrobinę marszczył jej zadarty nosek. Teraz jej ciało było już tylko bladą skórą rozciągniętą na cienkich kościach, a nad ostro zarysowanymi kośćmi policzkowymi jarzyły się puste, niebieskie oczy. Wyginała chude nogi na zewnątrz, raz po raz dotykając wytartych cholewek białych, sięgających kostek butów.

Była to druga wizyta Westleya; tym razem zamierzał zostać na weekend. Nauczona doświadczeniem poprzedniej Wanda obawiała się, że umrze z nudów i nie dotrwa do poniedziałku.

Czteroletni Duke, ubrany od stóp do głów w czerwień i błękit, wyleciał z domu jak strzała.

- No proszę, kogo my tu mamy? - odezwał się Westley, czując nagły przypływ żądy. - To przecież Superman! Jesteś największym przystojniakiem pod słońcem, mój mały - dodał z uśmiechem.

Duke spojrzał na niego, cofnął się i przystanął ukryty

za nogą matki. Westley zobaczył panikę w oczach Wandy Rawlins, a także mocno rozszerzone źrenice. Znowu popatrzył na chłopca.

- Pozwól, że porozmawiam chwilę z twoją mamą.

Wanda Rawlins stała samotnie w kuchni. Słuchając głośno grającego radia, podśpiewywała piosenkę Tony'ego Orlanda i Dawna. Pochyliła się nad blatem kuchennym, na którym rozłożyła arkusik papieru. Wciągając upragnioną ścieżkę białego proszku, starała się nie słyszeć przeraźliwych krzyków dobiegających z sypialni.

Dwa tygodnie później, gdy Duke spacerował po szkolnym podwórku, zobaczył u bramy przygarbioną postać Westleya Ames. Przeróżającą postać na tle jaskrawego słońca. Zaczął trząść się gwałtownie i poczuł skurcz w żołądku. Pochylił się i zwymiotował wprost na swoje trampki.

- Ha! Rzygus, Rzygus! - zawołała Ashley Ames, minęła go w biegu i po chwili skoczyła wprost w ramiona tatusia.

Duke wracał od wujka Billa z uśmiechem na twarzy. Nigdy dotąd nie widział jastrzębi, nie mówiąc o tym, by trzymać je na rękę. Uwielbiał odwiedzać wujka Billa. W jego domu nikomu nie działa się krzywda. Nikomu poza biednym przepiorem. Szast-prast i po nim! Duke znał paru ludzi, którym życzyłby takiego losu. Gdy wyszedł zza rogu ulicy i zobaczył swój dom, ujrzał też jednego z tych ludzi - stał tam i czekał na niego, drżącymi palcami przy-czesując rzadkie, brązowe włosy. Miał nieco ponad trzydzieści lat i chłopięcą twarz o miękkich rysach. Rozglądał się nieustannie, wodząc po podwórzu i okolicy niebieskimi oczami skrytymi za ciemnymi szklami. Wszystko inne trwało w bezruchu. Mężczyzna opierał dłonie na biodrach; był ubrany w lśniące, czarne buty, wąskie spodnie i dopasowaną koszulę. Duke zatrzymał się i spojrzał na niego, przekrzywiając głowę. Poczul dreszcz. Ten gość był skończonym świrem.

Duke nazywał go Bu-buu, bo podczas pierwszych wizyt z trudem powstrzymywał łzy. Teraz zostało już tylko przyzwisko; łzy obeschy już dawno.

Rozdział trzeci

Anna siedziała na kanapie z otwartą książką na kolanach. Czytała o dwóch tysiącach mil irlandzkiej linii brzegowej i osiemdziesięciu dwóch latarniach, które jej strzegły. Wreszcie uniosła głowę i spojrzała na Joego.

- Wiesz, motto komisarzy do spraw irlandzkich latarni brzmi *in salutem omnium*, dla bezpieczeństwa wszystkich. To takie dziwne... patrzę na tę naszą małą latarnię i czuję się bezpieczna. Nie umiem nawet sobie wyobrazić, jak to jest na morzu podczas sztormu, wśród olbrzymich fal, gdy życie ludzkie zależy od tego mrugającego światła.

- Trzeba więc podziwiać latarników.

- Sam opowiadał mi o nich niesamowite historie. Niektórzy grali w pokera z miejscowymi, porozumiewając się między sobą alfabetem Morse'a.

Zadzwoił telefon i Anna pobiegła do kuchni.

- O, cześć Chloe - powiedziała. Słuchała przez minutę, a potem zaczęła spacerować nerwowo, rozciągając długi, żółty kabel.

Joe podążył za nią i zobaczył jej pochmurną minę.

- Nie. Niepotrzebny mi ktoś, kto przyjedzie tu, żeby udawać tradycyjnego. Efektem pracy Grega na Islandii były trzy Bjórk oraz igloo. To nie wystarczy. Wolę tego Ir landczyka, Brendana...

Przewróciła oczami, gdy Chloe wpadła jej w słowo.

- Nie, nie, to ty posłuchaj! Widziałam jego prace, to coś zupełnie innego. Ktoś taki potrafi uniknąć obrzydliwych banałów. Dzwoniłam tu i tam... wszyscy twierdzą, że on jest niesamowity...

Anna znowu urwała.

- Nie powiedziała, że chce irlandzkich modelek! Mogą być Amerykanki albo Francuzki, nie ma sprawy. Ale tu chodzi o wnętrze, Chloe. Modelki nie są najważniejsze.

Odsunęła słuchawkę od ucha i przybliżyła na powrót, gdy Chloe skończyła.

- Dobrze, dobrze. Zadzwoń do niego i poproszę, żeby przesłał ci swoją książkę oraz zdjęcia do artykułu, który widziałam w irlandzkim czasopiśmie. Wtedy podejmiesz świadomą decyzję - zakończyła i odłożyła słuchawkę.

Joe spojrzął na nią z uznaniem. Tysiące mil od biura czuła się na tyle bezpiecznie, by się postawić.

- A co zjemy na lunch? - spytał kpiąco.

- Chloe jest taka głupia - powiedziała Anna, podchodząc do lodówki. - Kanapki z mielonym i sos do pieczenia.

Uścisnął ją mocno, obejmując ramionami od tyłu.

- Uwielbiam cię za to, że masz jaja.

Roześmiała się wbrew sobie.

- Tragedia. Ach, zapomniałabym, dzisiaj przyjadą drzwi - dorzuciła.

- Gdyby Doorsi się nie rozpadli i Jim Morrison nie umarł.

Anna tylko pokręciła głową.

- Daj spokój, przecież lubisz beznadziejne żarty - bronił się Joe.

Spojrzała na niego surowo.

- *Quel curieux caractere.*

Rozpoznał cytaty z francuskiej wersji *Toy Story*: „Ty ciekawski, dziwny człowieczku”.

Po lunchu na kamienistym podjeździe pojawiła się furgonetka Raya. Anna dała mu znak ręką, żeby jechał w stronę latarni. Skręcił w lewo i po trawiastym stoku podprowadził wóz jak najbliżej schodków. Wreszcie wysiadł i wyrzucił ręce nad głowę.

- I co teraz? - krzyknął.

Podbiegła do schodków.

- Będę musiała wezwać wsparcie - odkrzyknęła ze śmiechem.

- Uwielbiam ten gliniarski slang.

- Mogę zajrzeć? - spytała Anna, ruchem głowy wskazując na furgonetkę.

- Jak najbardziej. - Ray otworzył tylne drzwi i uniósł płachtę zielonego brezentu.

- O mój Boże - szepnęła, zasłaniając dłonią usta. - To чудо!

- To drewniane drzwi - sprostował.

- Nie, nie. To чудо. Odwaliłeś niesamowitą robotę.

- Dziękuję. Przez cały czas miałem przypięte do tablicy zdjęcie starych drzwi do latarni.

- Są *magnifique*.

- Mogłyby uchodzić za prawie wspaniałe.

- Przestań! - roześmiała się. - Zawsze się ze mnie nabijasz.

- W szkole nabijałem się z dziewczyn, które wpadły mi w oko - odparł, puszczając do niej oko.

- Znowu flirtujesz z moją żoną? - spytał Joe, podchodząc do nich. - Dobijam do czterdziestki, Ray, i martwią mnie trzydziestoletni czarusie.

Ray był wzrostu Anny, ale tak szeroki, że wyglądał na niższego. Ciemne brwi i wiecznie zmarszczone czoło sprawiały, że mógł uchodzić albo za niezwyklego wrażliwca, albo za idiotę. Nie był ani jednym, ani drugim.

- Piękne drzwi - powiedział Joe, gładząc palcami drewno.

- Przestań, bo mi woda sodowa uderzy do głowy - odparł Ray. - Dobra, co dalej z tym fantem? Gdzie to twoje wsparcie, Anno?

- Pójdę po Hugh.

Anna zniknęła na chwilę, by oderwać Hugh od gazet i herbaty. We czworo wnieśli masywne drzwi do latarni i umieścili na zawiasach. Anna zamknęła je na klucz.

- Rany-jęknięta. - Jestem wzruszona. I bardzo wdzięczna.

Ray uniósł brew.

- Nie aż tak wdzięczna, kolego - zastrzegł Joe, kładąc mu na ramieniu ciężką rękę.

- Szczerze mówiąc - odrzekł Ray - wolę poczekać na te modelki, które będą się na mnie wieszać, pozując do zdjęć. Będę „odrobiną mężczyzny” podczas tej sesji. Może włożę

sweter z wełny z wysp Aran i wcisnę nogawki dżinsów w buty, specjalnie na tę okazję.

- Będę jeszcze potrzebny? - wtrącił Hugh.

- Nie, dzięki za pomoc - odpowiedziała Anna.

- Ja też spadam - rzucił Ray. - Jeśli te drzwi dadzą się wysadzić z zawiasów, będziesz wiedziała dlaczego.

Anna nie zrozumiała. Joe roześmiał się. Odwróciła się i wzięła go za rękę.

- Chodź, pokażę ci koszmar, który nie daje mi spać.

Otworzyła nowe drzwi i poprowadziła go krętymi schodami na górę. W pomieszczeniu technicznym weszli na stromą drabinkę prowadzącą do komory latarni.

- Spójrz na to. - Włożyła koniuszek palca w jedną ze szczelin w ścianie. - Ani drgnie.

- Rozpuszczalnik? - zasugerował Joe.

- Nie ma mowy - odparła. - Minęło wiele lat, a z racji panujących tu temperatur... - Anna złączyła i rozłożyła ręce.

- Powiększyło się? Zmniejszyło?

- Nie, nie, metal..

- Ach, rozszerzał się i kurczył?

- Tak. I dlatego nie wiem, co z tym zrobić.

- Mogę zatrudnić ludzi do skrobania.

Równocześnie potrząsnęli głowami.

- Coś wymyślimy - powiedział Joe. - A czy w ogóle mu sisz to robić? W końcu latarnia i tak nie działa - dodał, spoglądając na stary zbiornik z rtęcią. - Poza tym czy zdjęcia nie będą robione tylko z zewnątrz?

Wiedziała, że Joe mówi pół żartem, pół serio.

- Nawet ci nie odpowiem - odparła.

Nie miał pojęcia, jaki powzięła plan.

Shaun rzucił torbę na podłogę niedużego kontenera, który tego samego dnia ustawiono na betonowym placu obok boiska piłkarskiego.

- I to ma być szatnia? - spytał.

- A widzisz tu gdzieś jakieś szafki? - odpowiedział Robert, rozglądając się po pustym pomieszczeniu. Lubił pod puszczać przyjaciela. - My nazywamy to przebieralnią,

Szczęściarzu. Przebieramy się tu, nawet kiedy wydaje nam się, że nam jąja podmarzają.

Shaun zauważył dość wcześnie, że podpuszczanie jest w Irlandii sportem narodowym i że jeśli ktoś nie jest obiektem tej zabawy, to jest z nim coś nie tak.

- Z drogi - rzucił jeden z chłopaków, przepychając się obok.

Pozostali członkowie drużyny, zmarznięci w szortach i koszulkach, biegli już w stronę oślepiająco jasnych reflektorów. Boisko było nagie, twarde i absurdalnie zimne. Wzdłuż linii bocznej truchtał Richie Bates, ubrany od stóp do głów w czarny dres Nike'a. Miał dwadzieścia pięć lat, metr dziewięćdziesiąt wzrostu i sto kilo wagi, na którą składały się głównie świetnie wyrzeźbione mięśnie. Jego szyja była krótka i gruba, a fryzura spłaszczona jak u Ac-tion Mana. Richie był *garda*, a słowo to jest pojedynczą formą rzeczownika *gardai*, oznaczającego irlandzką policję. Na co dzień pracował na posterunku w Mountcannon; był sierżantem. Teraz, po godzinie gry, wciąż latał wzdłuż boiska, wrzeszcząc:

- Dalej, chłopaki! Ruszać się! Ruszać się!

- Zamarzam -jęknął Robert, biegnąc za piłką.

- Pobiegasz, to się rozgrzejesz! - odrzyknął Richie.

Robert przewrócił oczami. Dopiero co wszedł na boisko; wszyscy dookoła byli rumiani i wydmuchiwali białe obłoczki pary, ale nie on. Błady jak duch, wiedział, że wystarczy odrobina wysiłku, by spurpurowiał na twarzy i zaczął łzawić. Nie był sportowcem. Za bardzo się pocił, za ciężko oddychał, włosy opadały mu na twarz, a jego nogi były ciemne, włochate, grube i powolne. Dostrzegał jednak ironię tej sytuacji: był redaktorem kolumny sportowej w szkolnej gazetce.

Shaun był właśnie przy piłce i pędził w stronę bramki, ale potknął się i twardo wylądował na ziemi.

- Wstawaj, Lucchesi! - odezwał się natychmiast Richie.

Shaun sapnął wściekle, a trener sięgnął po gwizdek. - Do bra, chłopaki, wystarczy. Możecie iść. Dobra robota.

Nikt mu nie odpowiedział.

Chwilę później, w przebieralni, chudy i niski dwuna-

stolatek Billy McMann pochylał się w kącie nad własnym rozporkiem, ale drżące i zdrętwiałe palce nie były w stanie poruszyć suwakami. Dostrzegł spojrzenie Shauna i uśmiechnął się krzywo. Shaun podszedł do niego, pomógł mu zapiąć spodnie i poklepał po głowie.

- Dzięki - mruknął Billy, rumieniąc się.

- Nie ma sprawy - odparł Shaun.

- Jezu Chryste, Billy! Nie umiesz nawet zapiąć sobie portek? - Richie przystanął w drzwiach i zaśmiał się.

Shaun spojrział na niego spođe łba.

- Daj dzieciakowi spokój.

Billy sięgnął nerwowo po torbę.

- Musisz być twardszy - przykazał mu Richie, wskazując na niego palcem.

- Chłopak jest w porządku - odpowiedział Shaun. - Tylko cholernie mu zmarzły palce.

- Uważaj, co mówisz, Lucchesi - warknął Richie. - Bo może się okazać, że niedługo już nikt nie będzie cię nazywał Szczęściarzem - dodał, spoglądając wyzywająco na podopiecznych.

- Nie jesteś na służbie, Richie - zawołał ktoś z głębi kontenera.

- Pilnuj się, Cunningham - odparował Richie. - Nie-wykluczone, że będę czekał przed sklepem, kiedy znowu zajrzysz tam po sześciopak browaru - dorzucił groźnie i wyszedł.

Paru chłopaków jęknęło cicho. Po chwili odezwał się Robert.

- Szczęściarz jesteś, ale fujara.

Drużyna wybuchnęła śmiechem.

- Podrzucić cię? - spytał Robert.

- Nie. Tata po mnie przyjedzie.

Minąwszy szkolne podwórze, Shaun stanął przy bramce. Długo obserwował rodziców odjeżdżających z synami, aż w końcu zatrzymał się przy nim jeep Joego.

- Ale z ciebie numer - odezwał się, zaglądając przez uchylone okno. - Stercę tu chyba od dwudziestu minut.

- Byłem zajęty. Próbuję się spakować.

- Zapomniałeś i tyle.

- Nie zapomniałem. Wsiadaj, Shaun.

- Tato, jaką ty właściwie masz hierarchię spraw do zapamiętania? I gdzie jest w niej moje miejsce, w skali od jednego do dziesięciu?

- Znowu zaczynasz...

- Owszem, bo strasznie mnie to wkurza. Jeśli chodzi o twoją robotę, pamiętasz o wszystkim, a ja...

- Przestań - przerwał mu Joe.

- Jezu, nie bądź taki. To ja sterczałem na mrozie. Jak zwykle.

- Powiedziałem: przestań - powtórzył Joe, zbyt głośno. Nie odezwali się do siebie przez całą drogę.

Stanęli w drzwiach domu, gdy zadzwonił telefon. Odebrał Joe.

- Wracaj, wszystko będzie ci przebaczone - odezwał się Danny Markey.

- Proszę, przestań dzwonić pod ten numer - odparł Joe. - Mówiłem ci już, to koniec.

- Tak, tak, znam tę śpiewkę. Ale nie chodzi o mnie, tylko o ciebie.

Roześmiali się. Shaun spojrzał ponuro, widząc nagłą zmianę w zachowaniu ojca.

- Jest aż tak źle? - spytał Joe, ignorując jego minę.

- Nie masz pojęcia jak - odparł Danny. - Jeżdżę z Aldo-sem Martinezem, zwanym Usypiaczem. Gwarancja mocnego snu albo zwrot pieniędzy. Jakby tego było mało, wczoraj wieczorem poszedłem na randkę z Marią, a tu dzwoni moja żona. Wyobraź sobie, ten żółtodziób z centrali powiedział jej, że skończyłem robotę parę godzin temu. Ja przychodzę do domu i skarżę się, jaki to fatalny miałem wieczór, a ona mnie z kolanka w klejnoty. Przysięgam na Boga, że tak było. A gdzie historyczne: „Jest na służbie, przekażę mu, że ma oddzwonic”?! Daję słowo, urwę gówniarzowi łeb, gdy tylko go spotkam. Przygłup jeden! Clancy wyciął mu numer: przyszedł, udając alfonsa szukającego swojej dziewczyny, Juanity Sophii Marguerity cośtam, a ten pajac rzucił robotę i poszedł sprawdzić, czy nie mamy takiej. Nie zalewam! Tak czy inaczej, wygląda na to, że gdziekolwiek się ruszę, jestem załatwiony.

- Szkoda, że nie mogę ci pomóc - odrzekł Joe.
 - Taa, jasne - przytaknął Danny. - A jak tam te paskudne irlandzkie dupy?
 - Niczego sobie. Przekazać im pozdrowienia od ciebie?
 - Jak najbardziej. Wpadnę kiedyś i zajmę się ich wielkimi rufami.
 - A wiesz, że Shaun radzi sobie całkiem nieźle z irlandzką dziewczuchą?
 - Tak, ale ja widziałem zdjęcia, Katie to wyjątek. Wiesz co, gdyby Shaun kiedyś się nią znudził...
 - Jesteś zbokiem, Danny.
 - To prawda - zgodził się Markey. - Zastanawiałem się właśnie, czy przyjedziesz do domu na swoje urodziny.
 - A ty co, dziewczyna jesteś?
 - To poważna sprawa. Kiedy będę taki stary jak ty, też będę chciał mieć poważne urodziny.
 - Nie wiem jeszcze, co będę robił w urodziny, Danielle, ale mogłabyś wpaść do mnie i przenocować...
 - Gadasz jak ja. Człowiek się stara, a ty...
 - Słuchaj, nie wiem, co będę robił w urodziny, ale będę w Nowym Jorku dziś wieczorem.
 - Co takiego?
 - Giulio żeni się jutro. Nie pytaj o szczegóły. Nie wiem, czy zajrzę do centrum. To tylko parodniowa wycieczka.
 - Zadzwoń do mnie. Przyjadę na lotnisko, skoczmy na drinka czy coś...
 - Jasne. - Joe zobaczył wchodzącą Annę. - Danny, muszę lecieć, spóźnię się na samolot. Słuchaj, jak chcesz, możesz pogadać z moją piękną o planach urodzinowych.
 - Hmm, francuski akcent...
 - Na miłość boską, nikt nie jest bezpieczny. Anna uśmiechnęła się i wzięła słuchawkę.
 - *Bonjournur* - powiedziała.
- Joe usłyszał jeszcze dziki okrzyk radości Danny'ego.

Taksówkarz prowadził czerwonego sedana krętą drogą pośród drzew. Przed godziną, na lotnisku Shannon, zabrał pierwszego klienta tego ranka i od tamtej pory ani na chwilę nie przestał gadać.

- Rudy Giuliani, oto gość, jakiego nam tu potrzeba. Po trafił oczyścić takie miejsce jak Nowy Jork, a nasi politycy nie umieją wyczyścić nawet własnych tyłków. - Kierowca zerknął w lusterko. Nie doczekał się odpowiedzi, więc po chwili podjął przerwany monolog. - Wie pan, kiedyś trafiłem do Harlemu. Byłem jedynym białym w całej dzielnicy, przysięgam na Boga! Tak się składa, że pochodzę z Corku, a tam wszyscy zwracają się do siebie „chłopcze”. Na przykład: „Jak się masz, chłopcze?” albo „Czego się napijesz, chłopcze?” No i powiem panu, że ta jedna noc w Harlemie całkiem mnie naprostowała, bo mój kumpel, wielki Mu rzyn, stwierdził: „Jak nazwiesz tu kogoś chłopcem, od razu sięgnie po spluwę”. Więc zaraz zacząłem mówić do każdego „facet”. „Jak leci, facet?” A teraz wróciłem do domu, mówię „facet” i wszyscy patrzą na mnie jak na wariata.

Taksówkarz obejrzał się przez ramię.

- No tak - odezwał się po dwóch minutach. - Jesteśmy na miejscu. Może być? Zwykle można tu trafić parę niezłych ofert.

- Doskonale - odparł Duke Rawlins.

Siedzibą Brandon Motors była parcela przy krętej, bocznej uliczce, z samotnym parterowym budynkiem z czerwonej cegły. Na trawiastym stoku wokół niego stały rzędy nowych i używanych samochodów; zza ich szyb rzucały się w oczy ceny wypisane fluorescencyjnymi, zielonkawymi i różowymi flamastrami. „Wóz tygodnia” stał na pochyłym podwyższeniu z desek, otoczonym zielonymi i złotymi chorągiewkami. Sprzedawca stał obok. Skinął najpierw w stronę samochodu, a potem przybysza, ale Duke tylko potrząsnął głową.

Z dala od lśniących maszyn stał biały ford fiesta w wersji dostawczej z 1985 roku, zakurzony i tani. Duke obszedł go dookoła, zaglądając przez okna do wnętrza, a potem obiema rękami oparł się o maskę. Po chwili stanął prosto.

- Przyjmuje pan gotówkę? - spytał.

- Tak - odparł sprzedawca.

Duke wręczył mu pieniądze i podpisał dokumenty. Chwilę później siedział już za kierownicą minifurgonetki. Zerwał wiszącą na lusterku wonną sosenkę, wyrzucił ją

przez okno i ruszył. Po dwudziestu minutach zatrzymał się na stacji benzynowej, gdzie prócz paliwa kupił czarny pisak i mapę. Zakreślił na niej miejsce, do którego zmierzał, a następnie palcem prześledził całą trasę. Wreszcie przekręcił kluczyk i ruszył w kierunku Limerick. Na przedmieściu zatrzymał się w Travelodge, gdzie się przespał i wziął prysznic.

Było ciemno, gdy ponownie znalazł się na szosie, tym razem bardziej ruchliwej, prowadzącej do Tipperary. Wkrótce dał się zamknąć między dwiema szesnastokołowymi ciężarówkami. Raz po raz odbijał w prawo, próbując wyprzedzić, ale strumień wozów z przeciwka był niemal nieprzerwany. Zrezygnował w końcu i po chwili dostrzegł drogowskaz na miasto Doon. Ostro szarpnął kierownicą, w ostatniej chwili skręcając w wąską i krętą drogę. W świetle reflektorów zobaczył tablicę z nazwą Dead River. Przejechał po kamiennym moście i w całkowitej ciemności zagłębił się w uliczki niedużego miasta. Przy najbliższej okazji skręcił w prawo, na główną ulicę Doon, przy której zobaczył schludne rzędy domów, sklepów i pubów. Do północy zostało pół godziny; miasteczko sprawiało wrażenie wymarłego. Rawlins pojechał dalej, ale wkrótce zatrzymał wóz przy żelaznej bramie w ogrodzeniu otaczającym pole. Ścisnął mocniej kierownicę i odetchnął głęboko. Po chwili wysiadł i ruszył pieszo z powrotem w stronę miasta. Miał chęć na piwo, ale pojawiła się całkiem inna sposobność.

Droga dojazdowa była długa i kręta, a wzdłuż poboczy rosły jawory. Giulio Lucchesi czekał na syna w marmurowym holu. Był zdrowym, opalonym i zadbanym mężczyzną o siwych, błyszczących, schludnie zaczesanych włosach. Miał na sobie dobrze skrojoną, granatową bluzę, jasno-błękitną koszulę, beżowe spodnie bez jednego zagniecenia oraz zamszowe pantofle.

- Joseph - powiedział z eleganckim, angielskim akcentem.

- Tato. Uścisnęli sobie ręce.

- Pamiętasz Pam?

- Jasne. Cześć - odparł Joe. - Miło cię znowu widzieć.
Nie do wiary, że wreszcie cię zmusił do powiedzenia „tak”.

Pam odpowiedziała uśmiechem.

Joe nie był zdziwiony, że druga żona Giulia Lucchesie-go w niczym nie przypomina pierwszej. Pam była wysoką, szczupłą i potulną nordycką blondynką. Maria Lucchesi była ciemnowłosa i ognista.

Giulio cofnął się o krok.

- Zaprowadzę cię do twojego pokoju.

- Chyba jeszcze pamiętam - odrzekł Joe. Podniósł z podłogi walizkę i ruszył samotnie schodami na piętro, do pokoju, którego nie widział od dwunastu lat.

Otworzył drzwi i przekonał się, że urządzone skromnie, niemalże hotelowy pokój, który nigdy nie witał go zbyt ciepło, nie zmienił się pod tym względem. Od czternastego do siedemnastego roku życia Joe zabierał się z sąsiadami do Rye, by spędzić sierpień z ojcem, a potem, we wrześniu, matka zbiegała po schodkach prowadzących do ich małego mieszkania w Bensonhurst, by powitać go w domu.

Pam poprowadziła go do wielkiego stołu z wiśniowego drewna. Zaraz potem zniknęła w kuchni, po czym wróciła z trzema małym talerzykami ciemnych szparagów w oc-cie.

- Dołóż sobie parmezanu - zaproponował Giulio, przesuwając miseczkę w stronę syna.

- Tak jest dobrze - odparł Joe, unosząc widelec do ust. - Beck też się zjawia? Nie mogłem jej złapać przez komórkę. - Joe nazywał tak swoją starszą siostrę, z zawodu kierownika planów filmowych.

- Rebecca jest na planie - odrzekł Giulio. - Kręcą w szpitalu dla czubków, całkiem słusznie zresztą.

- Jesteśmy jedną wielką porażką - rzucił Joe, spoglądając na Pam.

Odwróciła głowę.

Giulio nie zareagował.

- Jak tam Shaun?

- Świetnie. Przyzwyczajają się i...

- ...I po paru miesiącach znowu go odzwyczajacie, wracając do domu.

Joe spojrział na niego twardo.

- Możliwe, że ma to w genach. Dorastałem na Brooklynie - dodał, zwracając się do Pam - a potem się przeprowadziliśmy, bo tata dostał pracę w Luizjanie. Następnie musiałem wrócić z matką na Brooklyn, gdy się rozwiedli, i dzielić czas między tamtym mieszkaniem a apartamentem w Rye, wkrótce zamienionym przez ojca na dom. Potem pojechałem do Luizjany i studiowałem tam parę lat, a w końcu wróciłem do Nowego Jorku. No i teraz, rzecz jasna, jest jeszcze Irlandia.

- Nieźle - przyznała Pam. - Nawędrowałeś się w życiu. Nie wiedziałam, że byłeś w tym samym college'u co ojciec.

- Przejściowo - odparł Joe, a Giulio chrząknął z cicha.

Po kolacji przeszli do salonu z grubymi dywanami, bogato zdobioną, białą-złotą kanapą i ciężkimi aksamitnymi zasłonami. Najstraszniejszy koszmar Anny, pomyślał Joe.

- Pewnie nie możecie się doczekać ślubu? - spytał.

Giulio i Pam wymienili spojrzenia.

- Już wzięliśmy ślub, Joe - powiedział ojciec. - W Ve-gas. W ostatni weekend.

- W Vegas?

- Wiem, wiem - przyznała Pam. - Brzmi to tandetnie, ale było naprawdę cudownie...

- Jezu, tato, może cię to zdziwi, ale pierwszy raz zaproszono mnie na ślub, na który nie zdążyłem przyjechać, bo państwo młodzi się pospieszyli. To naprawdę wyjątkowa rzecz. Szczególny dzień dla nas wszystkich, co?

- Co się stało, to się nie odstanie. I naprawdę cieszę się, że przyjechałeś z tak daleka - odparł Giulio.

- Fantastycznie - wycedził Joe. - A teraz życzę dobrej nocy.

Odstawił drinka i poszedł do swojego pokoju. Położył się na łóżku i włączył telewizor, a później, gdy usłyszał trzaśnięcie drzwi do sypialni ojca, poszedł do kuchni po kawę. Z kubkiem w dłoni wyszedł do holu; coś ciągnęło go w stronę gabinetu. Spojrzął na półki pełne książek, materialnych dowodów kariery jego ojca: były tam teksty jeszcze z lat

sześćdziesiątych, poświęcone początkowo entomologii ogólnej (wprowadzenia i przewodniki), a potem entomologii rolnej (rozprawy o bąkowcach i komarach).

Joe miał cztery lata, gdy Giulio zaczął studiować w Cornell. Jako dwudziestosiedmiolatek ciągnął trzy etaty i walczył z bankiem, by jakoś sfinansować dyplom z entomologii. Był jedynym ojcem w okolicy, który spędzał weekendy nad podręcznikami. Joe poczuł coś dziwnego - jakby ukłucie dumy. Zapomniał na chwilę, jak samotnie odbijał piłkę o ścianę, by móc uderzyć w nią pałką.

Pozostałe książki dotyczyły specjalności Giulia, a ich tytuły były Joemu dobrze znane: *Pora śmierci*, *Atlas rozkładu i identyfikacji*, *Entomologia i śmierć*, *Entomologia dochodzeniowa: wykorzystanie stawonogów w śledztwie* i wreszcie cztery egzemplarze dzieła *Jak określać czas: przewodnik po entomologii dochodzeniowej*, autorstwa Giulia Lucchesiego. Rzędy prac o owadach i pracy dochodzeniowej. Pod sterą przewróconych książek Joe dostrzegł granatową oprawę i pozółtkłe kartki, na których widok podskoczyło mu serce. Wyjął tę pracę ostrożnie i przetarł okładkę dłonią.

Uniwersytet Stanowy Luizjany, *Entomologia a określanie czasu zgonu: praca badawcza w terenie*. Pod tytułem widniały trzy nazwiska. Od razu rzuciło mu się w oczy jego własne. Rok 1982. Miał wtedy dziewiętnaście lat, był na drugim roku. Dzięki znajomości ojca z Jemem Barroix, profesorem entomologii medycznej na LSU, Joe został zaproszony do udziału w pracach zespołu prowadzącego przełomowe badania.

- Żałujesz? - odezwał się Giulio, stając w drzwiach. Joe podskoczył.

- Nie, tato. Nie.

- Mam wrażenie, że nie doceniasz tego, co miałeś.

- Mam wrażenie, że nie doceniasz tego, co mam. - Ale Jem...

- Wiem. Wiem, jak ważne były te badania. Tylko że za miast ślęczeć cały dzień nad mikroskopem, ganiam dziś i łapię tych sukinsynów, przez których w ogóle możesz zajmować się zwłokami. Są trupy, jest rozkład, są larwy, mu-

chy i cała perspektywa czasowa, którą badasz. Nie będzie morderców, nie będzie trupów.

- Łapałeś sukinsynów.

-Co?

- Powiedziałeś, że łapiesz zabójców, a powinieneś powiedzieć, że łapałeś. Zdawało mi się, że zrezygnowałeś. Kim teraz jesteś, Joseph? Anna wspominała, że stolarzem. Jak biblijnie.

- Masz jakiś problem, do cholery?

- Mogłeś zostać na uczelni i...

- Posłuchaj sam siebie - przerwał mu Joe, kierując palec w jego stronę. Po chwili milczenia odetchnął głęboko. - Wiesz co? Nie będę się tym przejmował. Obaj wiemy, o co chodzi... nie dorastam do twoich oczekiwań. Wiecznie ta sama rozmowa...

Joe rzucił na półkę swoją pracę i wyszedł z gabinetu.

Pam niepotrzebnie się wysilała podczas śniadania. Joe odpowiadał krótko i oschle, przez zaciśnięte zęby, którymi zgrzytał przez całą noc.

- Strasznie mi przykro wyjeżdżać w dniu waszego ślubu - odezwał się wreszcie, wstając od stołu. Wyszedł na korytarz, do bagaży, które tam zostawił. Giulio podążył za nim.

- Nie musisz wyjeżdżać po jednej nocy.

- Przyjechałem na ślub - odparł Joe. - Ślub się odbył, zanim się zjawiłem. Gratuluję. Pam jest uroczą kobietą. A teraz zamierzam spędzić trochę czasu z Dannym i Giną.

- Jak sobie życzysz.

- Jak sobie życzę. Jasne.

Było ciemno, gdy Anna wyszła, żeby zamknąć bramę na końcu alejki. Właśnie miała wrócić do domu, gdy dostrzegła jarzącą się końcówkę papierosa po drugiej stronie drogi. John Miller uniósł rękę, by zaczekała.

- Wczoraj wieczorem wyraźnie przegrałem - powiedział, zbliżając się ze spuszczoną głową. Spojrzał na nią ze smutkiem w oczach. Był wykąpany, czysty i lepiej ubrany, choć jego koszulka bez rękawów i džinsy były mocno wymięte.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem. A potem przypomniała sobie. Pierwszego wieczoru, gdy się poznali, przed dwudziestoma trzema laty, John świętował. W meczu rug-by rozegranym w Paryżu Francja pokonała Irlandię jednym punktem. Początkowo John opłakiwał przegraną, ale z każdym kolejnym drinkiem coraz bardziej cieszył się, że Irlandia była tak bliska sukcesu.

- Whiskey mi nie służy - dodał, opierając się ręką mi o bramę, spoglądając w dół i trącając butem drobiny żużlu.

Pokręciła głową i westchnęła.

- Przepraszam - powiedział, unosząc głowę. - Naprawdę żałuję.

- W porządku - odrzekła i odwróciła się, by odejść.

- Zaczekaj. Proszę cię...

- Co mam powiedzieć? Nie było to miłe spotkanie po latach.

- Szkoda, że wczoraj wpadliśmy na siebie.

- A jak byś się zachował, gdybyśmy się spotkali dzisiaj?

- Byłbym trzeźwy, a ty nadal piękna. - W jego oczach rozbłysły znajome iskry.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Lepiej już pójść - powiedziała, ruchem głowy wskazując na dom.

Zamknęła za sobą drzwi i zajrzała do pokoju Shauna. Odwrócił się na krześle i zawołał:

- Popatrz, mamo. Jestem w sieci.

Pochyliła się nad jego ramieniem i zobaczyła uśmiechniętą twarz chłopca z karabinem.

Poniżej widniała kolumna najważniejszych informacji.

- *Ja cię kocham, a ty śpisz* to twój ulubiony film? - spytała Anna.

- Co?! - Shaun w panice spojrział na ekran.

- Mam cię.

Syn spojrział na nią ze śmiertelną powagą.

- Jesteś beznadziejna.

- Wiem - odparła beztrąsko.

Przeczytała, że jego ulubionym daniem jest „wszystko

jedno co, byle amerykańskie", ulubionym napojem Dr Pep-per, ulubionym sportem baseball, a ulubionym miejscem Floryda.

- Widzę, że stajesz się prawdziwym Irlandczykiem - zauważyła, wskazując na ekran.

- No, ale dziewczynę mam irlandzką - odpowiedział Shaun.
- A to wielka różnica.

Anna przeszła na koniec strony i zobaczyła znaki zapytania w ramce poświęconej planom zawodowym.

- Nie wiesz, co chciałbyś w życiu robić? - spytała.

- Nie wiem. Kiedy patrzę w przyszłość, widzę pustą przestrzeń, wiesz? Jakbym żył na tym urwisku i nie mógł dostrzec niczego poza nim.

- Znowu oglądałeś *Jezioro marzeń*, hmm?

Rozdział czwarty

Stinger's Creek, północne rejony środkowego Teksasu, rok 1979

Płatki rdzy odpadały z karoserii poobijanego, białego pi-kapa, który pędził krętą drogą wylotową ze Stinger's Creek. Było po północy; wyczerpana i zdezorientowana Wanda Raw-lins pólleżała oparta o drzwi pasażera, z nogami rozrzuconymi pod deską rozdzielczą. Była blada, a wilgotne kosmyki blond włosów z ciemnymi odrostami przyklejały się do jej policzków. Duke otworzył oczy i zatrzepotał powiekami. Mdląca woń sosnowego odświeżacza powietrza wypełniła jego nozdrza. Spojrzał na mamę, mimowolnie zaciskając palce na jej ramieniu. Widział błyski światła na jej twarzy i ciemne plamy tuszu do rzęs pod jej oczami. Spoglądała w okno. Próbował coś powiedzieć, ale gardło miał suche i obolałe od krzyku. Jedyнным żywym kolorem na jego twarzy była plama jaskrawej czerwieni na czole. Czuł w głowie powolne pulsowanie, a w całym ciele mrowienie sięgające aż po końce palców. Ostry ból przenikał go od tyłu. Czując, jak szorty okręcają się wokół jego lędźwi, spróbował ułożyć wątłe ciało na boku. Zemdlął z wysiłku.

- Ruszył się! Chyba się ruszył - zawołała Wanda. -
Obudź się, kochanie, obudź się, wróć do mnie.

Zaczęła płakać i mocno przytuliła jego głowę do swego brzucha, zwilżając jego policzki łzami. Nie zareagował.

- Co z nim jest? Co z nim jest?! - wrzasnęła, potrząsając ramionami Duke'a.

Nie czuł niczego.

- Uspokój się, Wanda - odparł kierowca. - Uspokój się,

do kurwy nędzy, albo nie zawiozę go dalej niż do końca tej drogi.

Wanda milczała przez resztę drogi, gwałtownymi ruchami kołysząc Duke'a. Jego gołe nogi zwisały z siedzenia.

Po dziesięciu, minutach wóz skręcił z piskiem opon na parking i się zatrzymał. Wanda otworzyła drzwi i wytoczyła się na zewnątrz, ciągnąc Duke'a ze sobą. Wzięła na ręce jego bezwładne ciało i z wysiłkiem ruszyła w stronę podwójnych drzwi, za którymi widziała jasno oświetlony hol. Duke uniósł powieki na krótką chwilę. Szpital, pomyślał.

- Po jaką cholere wleciesz go przez cały dom, durna suko? - warknął Hector Batista, zamykając za sobą drzwi salonu. Mówił z wyraźnym, obcym akcentem. - Mówiłem ci przecież, od tyłu. Za kogo ty się masz? - Spojrzał na wymiociny na koszulce Duke'a, pokręcił głową i chwycił Wandę za łokieć, by wyprowadzić ją za te same drzwi, którymi weszła. Ruchem głowy nakazał kierowcy, by szedł za nimi.

Jarzeniówka kołysząca się nad metalowym stołem rozpraszała mrok w brudnym pokoju. Wanda położyła Duke'a i znowu zaczęła płakać, tym razem kładąc się na jego nieruchomym ciele. Hector odciągnął ją na bok, uniósł chłopakowi powieki i poświecił.

- Żrenice w normie - powiedział. - Co mu się stało?

Nikt nie odpowiedział.

- Mówiłaś przez telefon, że uderzył się w głowę. Tylko takich obrażeń mam szukać?

- Tak - odparł kierowca.

Hector wykręcił nad zlewem brudną, mokrą szmatę i położył ją na czole rannego. Duke otworzył oczy.

- Pamiętasz, co się stało? - spytał Hector.

Duke spróbował pokręcić głową.

- Wiesz, jaki dzisiaj dzień?

- Piątek - szepnął chłopak.

- Jak się nazywa nasz prezydent?

- On nie... - zaczęła Wanda.

- Jimmy Carter - odpowiedział z dumą Duke.

- Nic mu nie jest - zawyrokował Hector. - Lekki wstrząs.

Budź go parę razy w ciągu nocy; pilnuj, żeby mu się nie po-

gorszyło i niech nie fika za mocno przez najbliższych parę tygodni. Musi wypoczywać.

Duke wolno obrócił głowę, by spojrzeć na matkę. Zza jej pleców wyłonił się kierowca pikapa. Strach rozszerzył oczy chłopaka, a usta otworzyły się do krzyku. Hector szybko położył rękę na jego spękanych wargach. Duke zaczął wic się pod naciskiem dłoni, strzelając oczami na wszystkie strony. Nie mógł oddychać.

- Przeszanieś, to puszcze - powiedział Héctor, pochyla jąc się nisko nad twarzą chłopca. Nie zwolnił uścisku palców, póki Duke się nie uspokoił, a raczej nie opuściły go resztki sił. Héctor łypnął okiem na kierowcę. - *Los niños hacen pegúenos mucho ruido* - powiedział.

- Nie mówię po hiszpańsku - odparł kierowca.

Hector podszedł bliżej i szepnął:

- Mali chłopcy robią dużo hałasu. - Roześmiał się. Duke się skulił, leżąc na boku, i zaczął płakać. Poczul na plecach dotyk ręki kierowcy.

- Koniec bu-buu, Dukey. Koniec.

Chłopak wzdygnął się. Pamiętał tylko, że Bu-buu wszedł do jego pokoju. Nie przypominał sobie natomiast ciężaru mężczyzny, który wpychał się w niego za każdym ruchem mocniej, raz za razem tłukąc jego głową o ścianę, póki nie zemdlał na łóżku.

Wanda Rawlins usłyszała ciche pukanie do siateczko-wych drzwi i uchyliła je ostrożnie. Machnęła ręką, rozzgarniając obłok dymu, który ją otaczał.

- Dzień dobry, pani Rawlins - powiedział Donnie. - Jest Duke?

- Duke miał wczoraj mały wypadek. Odpoczywa.

- Co mu się stało?

- Nic poważnego. Uderzył się w głowę. - Uśmiechnęła się. - Wy, chłopcy... Wiecie, jak wystraszyć matkę na śmierć.

- Mogę do niego pójść? - spytał Donnie.

- Tylko na parę minut - odpowiedziała Wanda, cofając się, by wpuścić go do domu.

Donnie wszedł do kuchni i natychmiast poczul mocny

zapach. Drzwiczki kuchenki były otwarte; leżała na nich forma do ciasta pełna małych, poczerniałych, dymiących jeszcze krążków. Kilka leżało też obok, na podłodze.

- Blacha była gorąca - zaśmiała się Wanda. - No i trochę się spóźniłam...

- Na pewno i tak będą smaczne - stwierdził Donnie. Tym razem Wanda roześmiała się w głos.

- Tak, a ja jestem Julia Child.

Duke leżał na boku, przykryty cienką kołdrą. Był blady, a na jego czole zbierały się krople potu.

- Hej - powiedział Donnie. - Jak się masz?

Duke spróbował odpowiedzieć, ale miał sklejone usta. Otarł je wierzchem dłoni.

- W porządku - odparł. - Gardło mnie boli.

- Jakim cudem? - zdziwił się Donnie. - Zdawało mi się, że walnąłeś się w głowę.

- Po prostu boli - odpowiedział Duke.

- Spadłeś z drzewa?

Duke zawahał się. Otworzył usta i szybko je zamknął.

- Tak. Taki ze mnie idiota.

Wanda podtarła nos kciukiem i dźwignęła się z kuchennego krzesła, wsunawszy stopy w klapki. Uniosła blachę z ciasteczkami i ruszyła w stronę pokoju Duke'a.

- Popatrz tylko, skarbie, co dla ciebie zrobiłam - zaśzczebiotała, szeroko otwierając oczy. - Wszystko, żeby po cieszyć mojego żołnierzyka.

Duke uniósł głowę, by na nią spojrzeć. Zachowywała się jak wariatka.

- Tylko nie całkiem się udały - wyjaśniła, spoglądając na ciasteczka. - Mamusia spieprzyła sprawę - dodała ze śmiechem.

- Rozmawiam z Donniem - powiedział Duke.

- Nawet nie podziękujesz mamie? - spytała, składając usta w ciup.

- Dziękuję, mamó - odparł beznamiętnie.

- Ooo - rozczulila się. Podeszła do łóżka i opuściła rękę, pozwalając, by blacha zawisła swobodnie. Ciastka zsunęły

się na podłogę. Pochyliła się, żeby je zebrać, i dostrzegła coś jeszcze. - Patrz, znalazłam kawałek czekolady! - zawołała, unosząc zwęglony okruch ciastka. Włożyła go do ust syna.

Duke bez słowa wbił głowę w poduszkę.

- Nie! - krzyknął. - Nie chcę.

- Jezu, Duke, nie musisz zaraz się wydierać. Może ty chcesz, Donnie? - spytała i w tej samej chwili okruch rozsypał się w jej palcach na proch. - Ooo... - Umilkła i uniosła rękę. - Cii... - powiedziała, próbując się skupić. - Ciii...

Usłyszeli trzask suchych gałązek. Ktoś zbliżał się do domu, od frontu. Za żaluzjami dzieciennego pokoju mignął cień.

- Donnie, skarbie, zostań tutaj. Mam gościa - powie działa Wanda. Poprawiła włosy, zostawiając między jasny mi pasemkami czarne okruchy ciasta.

Wyszła z pokoju i otworzyła kuchenne drzwi. Na progu stał Westley Ames.

- Cześć, Wanda - powiedział. - Nie przeszkadzam?

-Wiesz co, Westley? Powinieneś być zadzwonić... Ale to nic.

- Mam dla ciebie świetny towar - rzekł, zaciskając dłoń na czymś, co ukrywał w kieszeni kurtki. - Wyglądasz na bardzo zainteresowaną - zachichotał.

- Duke się uderzył, Westley - odpowiedziała. - Teraz odpoczywa.

W oczach Amesa błysnął gniew, a uśmiech znikł w jednej chwili. Znowu zacisnął pięść na małej torebce. Wanda spojrzała mu w oczy.

- Przyjdź jutro, Westley - powiedziała cicho i zamknęła drzwi. Odwróciła się. - Albo jeszcze dziś wieczorem - krzyknęła przez otwarte okno.

Rozdział piąty

- Niespodzianka! - zawołał Joe, wnosząc do kuchni po każde pudło. - Czarodziejski roztwór do usuwania farb. Pomyśl Danny'ego. Przeżre na wylot to gówno na ścianach latarni... Mam nadzieję. - Postawił karton przy tylnych drzwiach.

Anna podbiegła do niego i skoczyła mu w ramiona, obejmując go nogami wokół pasa.

- To jest dobre - powiedział. - Muszę częściej wyjeżdżać.

Potrząsnęła głową.

- Nie, nie, nie. Nigdy więcej - odpowiedziała, zasypując go pocałunkami.

- Tęskniłem za tobą - przyznał. - O wiele za mocno. Anna zeskoczyła na podłogę.

- Jak Giulio zniósł twój szybki wyjazd?

- A co miał zrobić? Wiedział, że spaprał sprawę. Zawsze wie.

- Dziwak z niego.

- Wiem. I mam w sobie trochę jego genów.

- Spokojna głowa, pamiętam o tym.

- Trochę to potrwa - odezwał się Joe po chwili, wskazując na preparat do farb. - Musisz to nałożyć na ścianę, zakleić papierem i odczekać parę dni, zanim będą efekty. Spora robota dla jednej małej babeczki.

- Spróbuję ściągnąć chłopaków do pomocy. Ale nie umiałabym zwalić komuś na głowę całą tę robotę.

- O nie - zgodził się Joe. - To byłaby katastrofa. Rozeźmiał się, gdy spojrzała na niego z wyrzutem.

- Idę do warsztatu - powiedział. - Petey czeka.

- Już?
- Wiem, że czeka. Później się prześpię.

Petey zaczął, gdy tylko Joe stanął w drzwiach.

- Wiedziałeś, w jaki sposób dorabiali sobie niektórzy latarnicy? - spytał, nie czekając na odpowiedź. - Zajmowali się szewstwem, prostytutką i bimbrownictwem. W tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim... - Petey urwał nagle. - Co to jest prostytutka?

- Ho, ho - mruknął Joe, przyglądając mu się bacznie, nie całkiem pewny, czy to nie żart. Nie, to nie był żart. - Hmm... A wiesz, co to jest seks?

Petey zarumienił się.

- Tak - bąknął, spuszcżając wzrok.

- No, więc niektórzy mężczyźni płacą kobietom zwanym prostytutkami za to, że mogą z nimi uprawiać seks. To właśnie jest prostytutka. Podejrzewam, że latarnicy wynajmowali pokoje takim kobietom.

- Aha - mruknął Petey i szybko powrócił do tematu, w którym czuł się bezpieczny. - W okolicy Waterford przemytnicy przybijali do brzegu z alkoholem, świecami i opalem, a latarnicy przechowywali towar do czasu sprzedaży...

- Nawet w takich małych latarniach jak ta? - spytał Joe.

- Tak - odparł Petey. - Potem...

- Petey! - zawołała Anna, machając w jego stronę dzwoniącym telefonem komórkowym. - Zostawiłeś go w domu?

- Wielkie dzięki - odpowiedział. Po krótkiej rozmowie wyłączył aparat. Wyglądał na obolałego. - Moja matka zawozi gdzieś Mae Miller. Potrzebuje towarzystwa w drodze powrotnej... Wiecznie muszę z nią jeździć w jakieś głupie miejsca.

- Powinna dawać mu więcej swobody - stwierdziła Anna, gdy Petey wyszedł. - I nie powinna ciągać go ze sobą jak dzieciaka.

Była piętnasta, gdy Duke zaparkował wóz i ruszył przed siebie główną ulicą Tipperary. Gdy spoglądał na wystawę

sklepu żelaznego, podbiegł do niego mały szary terier, ciągnący za sobą kraciatą smycz. Pies przystanął i spojrzał na niego wyczekująco. Duke pochylił się, żeby go pogłaskać.

- Cześć, mały - powiedział, unosząc teriera i przytula ją do piersi. - Jakiś ty śliczny.

Właścicielka, młoda matka, podbiegła do niego z dzieckiem na biodrze.

- Bardzo dziękuję. Jest niemożliwy - powiedziała. - Wariat.

- I bardzo przyjacielski.

- Prawda? - roześmiała się. - Jeszcze raz dziękuję.

Duke spojrzał za odchodzącymi, a potem odwrócił się i wszedł do sklepu. Wyszedł po kilku minutach, trzymając pod pachą zielono-żółtą torbę. Zagłębił się w miasto i zatrzymał dopiero przed witryną baru szybkiej obsługi. Zobaczył w środku grupkę nastolatków, rozwalonych wygodnie w kubelkowych fotelach przyśrubowanych do podłogi. Spojrzał na szyld. Napis „Amerykańscy bohaterowie” umieszczono między dwiema gwiazdkami, na pasiastym i wyblakłym, biało-niebieskim tle. Gdy Duke wchodził do środka, odezwał się brzęczyk. Kelnerka na moment uniosła głowę i zaraz znowu pochyliła się nad zeszytem. Miała na sobie coś, co przypominało szpitalny uniform; materiał opinał mocno jej plecy i skręcał się na jej grubych udach. Ciemne włosy zebrała w cienkie warkoczyki biegnące tuż przy skórze i związała z tyłu w koński ogon. Duke zauważył, że jeden z chłopaków sięga po jej zeszyt, by zobaczyć, co właśnie napisała. Przeczytał i się roześmiał.

- Przeliteruj słowo „zupa”, Siobhan - zażądał.

- Z-O-P-A - odpowiedziała.

Tym razem roześmiali się wszyscy.

- Z-U-P-A - poprawił chłopak. - Jak „dupa”.

- To dlatego, że się spieszyłam - odparła kelnerka, rumieniąc się. Po chwili wróciła za kontuar.

- Jak „wielka, gruba dupa” - dorzucił szeptem chłopak, na tyle głośno, by wszyscy usłyszeli.

Kelnerka przystanęła, gdy znowu zobaczyła Duke'a.

- Dzień dobry - powiedziała ostrożnie. - Zaraz wracam.
Podała sok jednemu z nastolatków i ponownie wcisnęła się za ladę.

- Czym mogę służyć? - spytała.

- Poproszę wołowe taco i colę - powiedział Duke, uśmiechając się i patrząc jej w oczy. Zmrużył powieki, przyglądając się identyfikatorowi, który nosiła na piersi: Siobhan. - Sa...jo...ban? Tak ci na imię? - spytał.

Zaśmiała się cicho.

- Wymawia się „sziw-on” - odrzekła. - To irlandzkie imię.

Duke znowu się uśmiechnął.

- „Siw-on”? Nielatwo to wypowiedzieć.

Gdy wyszła na chwilę na zaplecze, zaczął przysłuchiwać się niespokojnej rozmowie nastolatków.

- To nie twoja mama - powiedział jeden z chłopaków.

- A właśnie że ona - odparła dziewczyna, chowając głowę pod stolik.

- Nawet jeśli, to i tak nie mogła nas zauważyć. O, w tej chwili macham do niej ręką.

-Przestań, bo cię zobaczy! -jęknęła błagalnie dziewczyna.

- Kurwa mać, ale z ciebie histeryczka! Jaki sens iść na wagary, kiedy od razu zaczynasz wariować ze strachu?

- Poszła sobie?

- Tak, tylko że to w ogóle nie była ona.

- Taki jesteś mądry, bo to ja mam kłopoty - powiedziała dziewczyna, prostując się w fotelu. - Bo to ja - ciągnęła dramatycznie - wylecę ze szkoły, jeśli jeszcze raz nie pojawię się na lekcjach.

- Ja tam nie poszedłem na ważną klasówkę z bioli - odparł chłopak. -I też będę miał przesrane, jeśli nie wymyślę wiarygodnej historyjki. Spuszczą mnie do najgorszej klasy, do tych ćpunów.

- Ja odpuściłam tylko dwie godziny muzy i dwie zajęć dowolnych - uśmiechnęła się druga dziewczyna. - A pana Nolana łatwo urobić - dorzuciła i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Siobhan zjawiła się z porcją frytek i przez chwilę roz-

paczliwie próbowała dołączyć do zajętej rozmową grupy, ale szybko powróciła do Duke'a, po raz kolejny odpędzona rzuconą mimochodem, okrutną uwagą.

- Ludzie to idioci - stwierdził Duke.

Uśmiechnęła się.

- Eee, ci są w porządku - odpowiedziała, zerkając w ich stronę.

- Wiesz, naprawdę ślicznie się uśmiechasz.

Zaczerwieniła się.

- Tak, akurat.

- Poważnie. Pomyślałem, że ci powiem... tak po prostu.

Bez podtekstu.

Poszła obsłużyć nowych klientów, a Duke został przy kontuarze. Rozmawiali za każdym razem, gdy miała wolną chwilę. Tylko on pozostał, gdy dwie godziny później zamykała lokal. Stał obok, gdy spuszczała rolety i blokowała zamki. Gdy skończyła, spojrzała na niego z niecierpliwym wyczekiwaniem.

- Chodź ze mną - powiedział Duke, wyciągając rękę.

Przyjęła ją z uśmiechem.

Anna stała przed latarnią z Rayem, Hugh i Markiem, specem od ogrodów.

- Już mówię, w czym rzecz, chłopaki - powiedziała, roz dając im białe maski. - Na ścianach mamy grubą warstwę farb, a pod nią rdzę. Trzeba dostać się do czystego metalu, zakonserwować go i pomalować na nowo jak należy.

Mark otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

- Zanim się odezwiesz, Mark... nie, nie mogliśmy tak po prostu zeszkrobać farby.

Uśmiechnął się i przeciągnął ręką po zmierzwionych, jasnych włosach.

- Właściwie to nie wiem, po co próbuję - powiedział. -I absolutnie nie mam pojęcia, co tu robię. Trzeba było zostawić mnie na trawniku.

- Doceniam to, że przyszliście - odparła. - Nawet nie wiecie jak bardzo.

- Pomocne męskie dłonie i tak dalej - mruknął Mark.

- Trzeba nakładać preparat packą - ciągnęła Anna -

i oklejać go papierem. Kiedy skończymy, zostawimy ściany na parę dni. Stara farba powinna odejść. Wtedy się przekonamy, jaki jest stan blach i czy trzeba będzie wymienić niektóre panele. To wszystko. Aha, i zakryjcie podłogę gazetami, zanim zaczniecie.

Wiatr hulał nad przystanią w Mountcannon, kołysząc kadłubami łodzi i szarpiąc zwinięte żagle. Betonowa kładka biegnąca dziesięć metrów wyżej była pusta, jeśli nie liczyć samotnej postaci Katie. Dziewczyna chwiała się pod naporem wiatru, wbijając ręce głęboko w kieszenie różowej bluzy z kapturem. Odwróciła się plecami do łodzi i spojrzała na ocean, raz po raz omiatany wiązką światła ze stojącej na dalekim cyplu latarni morskiej.

- Przerazające miejsce - powiedział Shaun, podchodząc do Katie od tyłu. Ruchem głowy wskazał na dwumetrowej szerokości kładkę, na całej długości nie zabezpieczonej choćby prowizoryczną barierką. - Jaki masz tu wybór? Możesz wybić tyłkiem dziurę w pokładzie zardzewiałego kutra i udusić się w stercie gnijących sieci albo - Shaun spojrzał w drugą stronę - rozwalić łeb o skały i utonąć.

- Jak w tej zagadce: gdzie wolałbyś umrzeć, w beczce flegmy czy w beczce strupów.

- Co takiego?

- To jedna z ulubionych zagadek mojego dziadka - wyjaśniła Katie. - Osobiście wolałabym strupy.

- Dobry pomysł, dopóki nie zaczęłyby drapać cię w gardło i przedostawać się do płuc...

- Fuj. - Katie potrząsnęła głową.

Shaun objął ją i mocno przycisnął jej głowę do swojej piersi. Wiedział, co czuje, gdy spojrzała mu w oczy.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że się ze mną umówiłeś - powiedziała.

- Co? A dlaczego nie miałbym się umówić z taką laską?

- Nie jestem żadną laską - odparła, wymierzając mu kuksańca. - Wiesz, o czym mówię. Przyjeżdżasz tu jak gwiazda amerykańskiego futbolu, z garniturem idealnych zębów, a my... Myślałyśmy, że żadna z nas nie ma szans. Więc dziwnie się czuję w tej roli.

- Zwariowałaś. Jesteś taka piękna, umiesz mnie rozśmieszyć, jesteś czarująca...

- A ty miły.

- Nie miły, tylko szczerzy.

Złapał ją za rękę i zmagając się z wiatrem, poprowadził ją z powrotem w stronę schodów. Obeszli przystań, minęli zaparowane okna Danaher's i znaleźli się na krętej dróżce za krótkim rzędem magazynów. Wreszcie zatrzymali się przed tablicą oznaczającą wejście na teren Seascapes - letniego ośrodka wypoczynkowego.

Mieli przed sobą pustą, ślepą uliczkę wysadzaną drzewami. W lewo prowadziła stroma dróżka ku piętnastu czte-ropokojowym domkom letniskowym, zwróconym werandami ku linii drzew. W trzech najbliższych oknach paliły się światła. Szefowa, Betty Shanley, mieszkała w pierwszym, ale Shaun wiedział, że wyjechała i spędzi noc poza miastem. Skręcili z Katie w prawo, ku drzewom, pobiegli skrajem lasu i w dół, po skarpie. Wreszcie Shaun rozejrzał się nerwowo i wsunął klucz do zamka. Po chwili drzwi domku numer piętnaście - ostatniego w rzędzie - otworzyły się i oboje wpadli ze śmiechem do przedsionka.

- Wcześniej włączyłem ogrzewanie - powiedział Shaun.

- Tak, czuję - odparła Katie, marszcząc nos. Powietrze było ciepłe, choć zalaływało stęchlizną.

- Wolałabyś marznąć? - spytał Shaun. -Nie.

- Czujesz się winna? - zagadnął po chwili.

- Troszeczkę.

- Ja też. Z powodu pani Shanley. Jest dla mnie dobra. Tak jak dla mojej mamy, która pracowała u niej kiedyś jako opiekunka do dzieci czy ktoś taki...

- Wiem. Ale jestem też pewna, że nasi rodzice robili to samo, gdy byli w naszym wieku.

- Nie zagłębiajmy się w to - zaproponował Shaun.

- Masz rację. Fúj.

- Jesteś gotowa na niespodziankę?

- Będzie niespodzianka? Super!

- Zajrzyj do lodówki.

Katie pochyliła się i otworzyła małe drzwiczki. Zobaczyła nieduży tort czekoladowy w kształcie serca, butelkę wina oraz białą różę. Uśmiechnęła się do Shauna.

- To najśłodsza rzecz, jakiej kiedykolwiek i od kogokolwiek doświadczyłam - powiedziała. - Jesteś kochany!

- Wiem, że to niezbyt oryginalne, ale co tam...

- Zamknij się. To cudowne i tyle! Kocham cię.

Joe usiadł przy stole z garścią korespondencji, którą odebrał tego ranka. Spojrzał na talerz - miał przed sobą szpinakowe ravioli i brokuły. Obok stała szklanka ze świeżo wyciśniętym sokiem pomarańczowym. Odchylił się, by zerknąć na miskę z deserem. W słodkim kremie z mleka i jajek majaczyło coś brązowego. Duszone suszone śliwki.

- Dlaczego nie ułatwisz sobie zadania? - rzucił. - Mogłabyś po prostu rzucić mi na talerz dwie tabletki na przeczyszczenie.

- Łyknąć pigułkę - odparła Anna. - Oto twoja odpowiedź na wszystko. A to właśnie te farmaceutyczne świństwa tak cię blokują.

Uśmiechnął się, widząc, że nie zrozumiała.

- Moje kiszki są w świetnej formie - mruknął.

Otworzył list z centrali taniej firmy telekomunikacyjnej, rzucił nań okiem i cisnął na bok. Anna nie przestawała mówić.

- Twój oddech śmierdzi. Już ja wiem, co to znaczy - do dała, wskazując na jego brzuch.

Roześmiał się hałaśliwie.

- Łatwo być brutalnie bezpośrednim w obcym języku, prawda? A gdybym tak ja powiedział ci coś wrednego po francusku?

Wzruszyła ramionami.

- Znasz tylko *bonjour*. A ja nie jestem wredna. Muszę o ciebie dbać, bo do niczego jesteś.

Uwielbiał tę jej dziwną składnię.

- Leciałeś samolotem, a przedtem wkurzył cię ojciec. Wiem, że boli cię szczeka i znowu najadłeś się tabletek - ciągnęła.

Zaczął jeść ravioli i po chwili roześmiał się do siebie.

- Wiesz, z takim akcentem prawie wszystko brzmi seksownie - powiedział.

- Jesteś czubek - odrzekła.

- Czubek czego?

- Zaczynasz gadać jak Danny.

Joe z uśmiechem sięgnął po kopertę z wyciągiem bankowym. Otworzył ją, przeczytał i zmarszczył brwi.

- Gdzie zniknęło czterysta euro z mojego rachunku? O, już wiem: jest w sklepie meblowym w Dublinie.

- A, tak. Trochę przekroczyłam budżet na wyposażenie łazienki.

- Co takiego?

- Za dużo wydałam na armaturę.

- Nie o to mi chodzi. Co ty sobie wyobrażasz, do cholery? Znowu to samo! Domyślałam się, że i za to twoje pismo nie zwróci mi pieniędzy?

- Nie. Ale wiesz, jakie to dla mnie ważne.

- Wiem. Ważne, ale nie aż tak, żebym musiał przez to bankrutować! Wiesz, jak wygląda bilans? Wydałem dwa tysiące euro na dom, który nie jest moją własnością. „Zabrakło mi na sypialnię, zabrakło mi na salon...”

- Warto zapłacić. Nigdy nie trafił mi się projekt taki jak ten, coś, co robię sama od początku do końca. To może zmienić bieg mojej kariery.

- A jeśli nie zmieni?

- Co ma znaczyć „a jeśli nie zmieni”? Zawsze liczy się tylko twoja praca, praca, praca...

- Owszem. Bo dzięki niej od osiemnastu lat ty i Shaun możecie czuć się finansowo bezpieczni. Co by się stało, gdybym na przykład odpuścił sobie robotę na parę lat, żeby spróbować czegoś nowego?

- Wspierałabym cię.

- W jaki sposób, na miłość boską? Ty nie żyjesz w realnym świecie. Zwykli ludzie mają domowe budżety. Twoje czasopismo też ma swój budżet. Ja też, do cholery, mam budżet. Ale to niedobrze, prawda? Zbyt normalnie, jak na twój gust?

- To nieprawda.

- To, co robisz, jest samolubne.

- Prędzej czy później coś z tego będzie. Zacznę zarabiać poważne pieniądze. Kupię ci coś ładnego... - Spróbowała uśmiechu, ale Joe zignorował jej wysiłki.

- Mam wszystko, czego potrzebuję, Anno. Nie zawsze szukam lepszego.

Dokończył posiłek w milczeniu.

John Miller opierał się ciężko o bar, zaciskając dłoń na kufłu z pintą guinnessa. Obok czekała szklaneczka czystej whiskey. Ed Danaher stał naprzeciwko, cierpliwie kiwając głową. Zwykle bywał zręczliwy i oschły, lecz mimo to ludzie otwierali się przed nim, bo jeśli dopisało im szczęście, niekiedy raczył ich odrobiną przydatnej prawdy. Ed przyglądał końcówki czarnych wąsów i podciągnął rękawy białej koszuli.

- Naprawdę, John? - powiedział. - To dość przerażająca historia. Co wtedy zrobiłeś?

- Upiłem się - odparł z uśmiechem Miller. - I od tamtej pory nie patrzę wstecz.

Ed roześmiał się razem z nim.

- Poważnie - ciągnął John. - Zatrzymałem się u przyjaciel, jeszcze większego frajera niż ja. Razem upijaliśmy się do nieprzytomności, z rana, w południe i nocą. A potem mój brat, wiesz, Emmett, przyjechał po mnie. Dowiedziałem się, że Sally zdobyła nakaz i nie mogę spotykać się z dziećmi. - W oczach Millera pojawiły się łzy, ale smutek szybko zmienił się w gniew. - Do dzisiaj nie mogę się zobać z własnymi pieprzonymi dziećmi!

Ed wiedział z doświadczenia, że gdy bywalec baru zapali się do swej opowieści, lepiej się nie odzywać.

- Nie martw się - dorzucił John. - Możliwe, że jestem zgorzkniały, ale tak do końca jeszcze mi nie odbiło. - Zakłótył się na krześle, łokciami obejmując oparcie. Odwrócił się miękkim, pijackim ruchem i rozejrzał po sali.

Joe stanął w drzwiach i zaraz podszedł do baru.

- Cześć, Joe - powitał go Ed. - Jak leci? I co u twojej babeczki?

- W porządku. Anna ma trochę kłopotów z latarnią, ale znasz ją przecież...

- Oto facet - przerwał mu John, gestykulując z ożywie niem - który ma wszystko.

Joe spojrzął na niego w milczeniu. John wyciągnął rękę w jego stronę.

- John Miller - powiedział.

- Joe Lucchesi.

- Wiem, kim jesteś, chłopie - odparł Miller. - Mężem Anny. Ojcem Shauna...

- Jesteś z miejscowego wywiadu? - spytał Joe z przelotnym uśmiechem.

- Kto jest miejscowy, ten jest z wywiadu - odparł John.

- Naprawdę? - mruknął ostrożnie Joe, próbując zwrócić na siebie uwagę Eda.

- Drocę się z tobą, chłopie - odpowiedział John.

- Jasne.

- Tylko nie próbuj się ze mnie nabijać - ostrzegł John, lekko naciskając pierś Joego.

- Pozwól, że postawię ci drinka - zaproponował Joe. -Ed, guinness dla mnie i jameson dla pana Millera.

- Zatrzymaj sobie tę zaszraną forszę - wybełkotał John. - I tę pieprzoną żonę, i synalka, i latarnię, i całe to doskonale...

- Ej że, kolego... - wtrącił Joe.

- Słyszałeś go? - wymamrotał John.

Ed postawił kufel przed Lucchesim i spojrzął na Millera.

- Wystarczy, John. Może przejdiesz się do sracza, za czerpniesz świeżego powietrza?

John parsknął z cicha, ale posłusznie wstał i wyszedł.

- Nie przejmuj się nim - powiedział Ed. - Żona go opuściła i dostał zakaz spotykania się z dziećmi. Są teraz na drugim końcu świata, a on fatalnie to znosi.

- Co ty powiesz - mruknął Joe. - Tak czy inaczej, to nie ja zmieniłem mu zamki w drzwiach.

Uśmiechnął się i ruszył w stronę mniejszej salki. Stamtąd obserwował Johna, który wrócił już i stracił równowagę, próbując wspiąć się na wysokie krzesło. Miller miał wyłupiaste, mętne oczy, które chwilami zdawały się spoglądać

w przeciwnych kierunkach, jak u muchy. Joe uśmiechał się do siebie, gdy dołączyli do niego Ray i Hugh.

- Z czego się tak cieszysz? - spytał Hugh.

- Przyglądałem się temu pijaczkowi o owadzych oczach i przypomniałem sobie o pewnym eksperymencie z muszkami owocowymi. Chodziło o badania nad alkoholizmem. Rzecz w tym, że muszki owocowe żywią się sfermentowanymi owocami, ale choć zdarza się, że są na bani albo nawet urywa im się film, nigdy nie popadają w uzależnienie.

- Czy ludzie też mogą się zapisać do udziału w tym eksperymencie? - spytał Hugh. - Pewnie daliby po skrzynce browca na łeb...

Frank Deegan siedział przy drzwiach pubu Danaher's, obserwując swą żonę, Norę. Szorstką, nie znoszącą sprzeciwu, wybitnie inteligentną Norę. Trzymała w dłoni kieliszek brandy, a między kościstymi palcami - wymagowanego papierosa. Właśnie skarżyła się Kitty, swojej przyjaciółce, na artystę, który odłożył słuchawkę, gdy poprosiła go o wystawienie prac w powstającej w wiosce galerii.

- Gnojek jeden - powiedziała i zerknęła na Franka. - Przepraszam za słowo. Próbuje robić z siebie Bóg wie ja kiego nieprzewidywalnego geniusza. A tymczasem jest w miarę utalentowanym, splukanym, tonącym w alkoholu i w dodatku bosym karłem. Oczywiście, co było do przewiedzenia, zadzwonił do mnie później i oznajmił, że to zrobi. Wiem, że wyłącznie dla pieniędzy. Pewnie potrzebuje na sandały i fartuch.

Frank i Kitty wybuchnęli śmiechem. Nora dopiła drinka i potrząsnęła krótkimi, jasnymi włosami, których końcówki muskały jej wydatne kości policzkowe.

- Brandy, sierzancie - powiedziała, wyciągając rękę z pustym kieliszkiem i mrugając porozumiewawczo do męża.

- W domu - odparł. - Zobacz, która godzina. - Dochodziła dwudziesta trzecia trzydziści, a o tej porze w sezonie zimowym irlandzkie puby zamykają swe podwoje.

Nora spojrzała na Kitty.

- Przykra sprawa, jak zawsze.

Frank wstał i wyprostował się, wzrostem nie całkiem dorównując swej smukłej żonie, mierzącej sto siedemdziesiąt centymetrów. Przeczesał palcami gęste, siwe włosy, obciągnął ciemnozielony sweter i rozprostował ramiona. Nora знаła tę procedurę od czterdziestu lat. Frank mrugnął do niej, gdy zauważył, że jest obserwowany.

Ray, Joe i Hugh właśnie wychodzili. Zatrzymali się przy nim na moment.

- Oho - odezwał się Ray, a potem przycisnął do ust wyimaginowany megafon. - Obywatele, oddalście się od kieliszków. Powtarzam: oddalście się od kieliszków. Za trzy i pół sekundy lokal zostanie zamknięty. Oddalście się od kieliszków.

Frank się uśmiechnął.

- Potrzebujesz pomocy w oczyszczeniu lokalu, sierżancie? - spytał Ray. - Mógłbyś skuć paru bywalców. Joe pewnie z chęcią zrewidowałby paru, co?

Frank i Joe się roześmiali.

Obok nich przecisnął się Mick Harrington, zmierzając w stronę wyjścia z wielką papierową torbą pełną butelek.

- Jezu Chryste - jęknął Hugh. - Ojciec Merrin!

Mick spojrział na niego ze zdziwieniem.

- No, wiesz, Egzorcysta. Wpada i robi porządek ze *spiritum* - wyjaśnił Hugh.

Mick roześmiał się, jak zawsze, hałaśliwie i zaraźliwie.

- Mam na przystani ze dwudziestu zalanych Hiszpanów, muszę ich dobrze oliwić - wyjaśnił. - Już drugi raz kursuję do baru. Ich jacht jest w remoncie, a oni wiszą na burtach, wrzeszcząc pijackie piosenki. - Mick obrócił się ku Joemu. - A przy okazji, jeśli Robert jest u Shauna, niech wraca do domu. Ktoś powinien dotrzymać towarzystwa żonie.

- Nie ma ich u nas - odparł Joe.

- W takim razie obaj będziemy mieli przechlapane.

Katie przystanąła i odchyliła głowę, mrużąc oczy. Łzy wciąż płynęły jej po policzkach. Po chwili ruszyła przed siebie, nieco szybciej, najbardziej na świecie pragnąc zna-

leżąc się w domu, we własnym łóżku. Nagle tuż przed nią rozbłysły w mroku tylne światła samochodu, który najwyraźniej zjechał do rowu. Wciąż mrużąc oczy, zwolniła kroku. Była już na tyle blisko, by wiedzieć, że dzieje się coś bardzo złego.

Rozdział szósty

Stinger's Creek, północne rejony środkowego Teksasu, rok 1980

Pani Genzel spojrzała na uczniów piątej klasy. Wszyscy pochylali się nad semestralnymi arkuszami egzaminacyjnymi, zasłaniając ramionami odpowiedzi. Duke Rawlins siedział ze spuszczoną głową, zaciekle bazgrząc ołówkiem. Pani Genzel widziała kartki, które już zapisał, z głębokimi śladami zbyt mocno dociskanego grafitu. Uniósł głowę, jakby czegoś szukał. Ciekawe, co się kryje za tymi jasnymi oczami, pomyślała. Duke przestał pisać, porwał kartki na strzępy i zgniótł w kulki, z których dwie cisnął na podłogę. Pozostałe dzieci spojrzały na niego w milczeniu. Po chwili zaczęły chichotać.

- Ciii - odezwała się pani Genzel. - Wszystko w porządku? - spytała cicho Duke'a.

Nerwowo skinał głową, mocno zaciskając usta. Palcami lewej dłoni bębnił energicznie o blat ławki.

- Chciałbyś zacząć od początku? - spytała.

Wolno pokręcił głową.

- Nie, proszę pani.

Odchylił się do tyłu i zamknął oczy, ciężko oddychając.

Przyjrzała się uważnie jego twarzy.

- Możemy porozmawiać na korytarzu, Duke?

Wstał i ruszył w stronę drzwi.

Pani Genzel patrzyła na niego, lecz ani na moment nie podniósł głowy.

- Mam wrażenie, że nie układa ci się najlepiej - zaczęła.

- Nic mi nie jest - odparł.

- Co się stało w klasie?

- Nic, proszę pani.

Czekała.

- Takie tam... sprawy - dorzucił.

- Jakie sprawy?

- Nie wiem, proszę pani.

- Pytania były za trudne?

- Nie. Tylko że ja... - Duke urwał, spoglądając w bok.

A potem zaskoczył nauczycielkę, unosząc głowę i patrząc jej prosto w oczy. Serce podeszło jej do gardła. Była na tyle blisko, że dostrzegała walkę toczącą się w jego umyśle. Duke widział dobroć i łagodność w jej twarzy, ale ten obraz szybko zniknął, zastąpiony wspomnieniami twarzy ludzi, którym nie mógł ufać i których reakcji nie umiał przewidzieć.

- Nic - powiedział, wycofując się. - Nie wiedziałem, jak napisać.

Pani Genzel nie zdawała sobie sprawy z tego, że wstrzymuje oddech, póki nie wypuściła powietrza z płuc.

- W porządku - odrzekła. - Wracajmy do klasy.

Gabinet był czysty i przytulny, z kremową tapetą w roślinne wzory oraz krzesłem i podłogą z jasnego drewna. Na małej tablicy ściennej wisiały rysunki wykonane przez dzieci. Pani Genzel siedziała za biurkiem. Jej spokojną, przyjazną twarz okalały siwe, po męsku ostrzyżone włosy.

- Pani Rawlins...

- Panno - skorygowała Wanda. - Nie umiem wytrzymać z chłopami...

Zmieniła pozycję na szerokim krześle, jakby chciała schować się w nim głębiej. Zarzuciła przy tym nogę na nogę, odsłaniając czarny strup na kolanie.

- Ach, tak - powiedziała pani Genzel. - Zatem panno Rawlins, poprosiłam panią tu, żeby porozmawiać o Duke'u.

- Ten chłopak mnie wykończy - odparła Wanda, niespiesznie spuszczać powieki i głowę.

- Popłakał się wczoraj. Mówił, że jego pies nie żyje... że ktoś go zabił.

- Sparky - podchwyciła Wanda i zaczęła drapać się z ożywieniem po udach, zostawiając długie ślady ostrych paznokci. - Biedny Sparky.

Pani Genzel obserwowała ją spod ściągniętych brwi.

- Więc to prawda? - spytała.

- Niestety, tak. Wyszedłam w poniedziałek na podwórze i zobaczyłam go, biedaczka. Leżał na ziemi, zimny jak wiedźmi cycek... O, przepraszam!

- Co mu się stało?

Wanda pochyliła się w stronę biurka.

- Pojęcia nie mam.

Wyprostowała się zaraz i znowu zmieniła pozycję. Podparła się łokciami, uniosła nieco i znowu osunęła niżej.

- Wiem, że Sparky był dla Duke'a bardzo ważny - powiedziała pani Genzel. - W trzeciej klasie przyniósł jego zdjęcie na lekcję o najbliższych. Często go rysował. Na pewno jest załamany.

- Ano - zgodziła się Wanda.

- Być może moglibyśmy mu jakoś pomóc? - zasugerowała pani Genzel.

- Poradzi sobie.

- To nie takie proste...

Wanda uznała, że pora wstać. Podała nauczycielce nieruchomą dłoń na pożegnanie.

- Czy z Duke'em jest wszystko w porządku? Wie pani... w domu - spytała pani Genzel.

Wanda ruszyła w kierunku drzwi.

- Jestem samotną matką, ale umiem zaopiekować się dzieckiem.

- Naturalnie. Ja tylko... trochę się niepokoję.

Wanda przystanąła i dała gwałtowny krok naprzód.

- Ciii! - syknęła, po czym przycisnęła sobie do czoła nieistniejące żelazo do wypalania piętna. - Zła. Matka.

Pani Genzel patrzyła na nią w osłupieniu. Śmiech Wandy zakończyło ciche westchnienie.

- Tak czy inaczej... muszę lecieć.

Wyszła z gabinetu i spojrzała na zegarek. Było na tyle późno, że mogła poczekać na Duke'a. Zatrzymała się przy bramie i skuliła ramiona, zapalając papierosa. Gdy już

wszystkie dzieciaki wybiegły ze szkoły, na horyzoncie pojawił się Duke. Zbliżył się, a wtedy matka zmierzwiła jego czuprynę i z humorem szturchnęła w ramię.

- Kawał smoczycy z tej pani Genzel - powiedziała.

- Lubię ją - odparł Duke i ruszył w stronę domu.

Chwyliła go za ramię i obróciła ku sobie.

- Jezu, Duke, przecież ci mówiłam! Szkoda mi tego cholernego psa, rozumiesz? - Wanda rzuciła na ziemię papie rosa i rozdeptała go butem. - Kto mógł wiedzieć, że parę kopów wystarczy, żeby go posłać na tamten świat? I po cholere tak szczekał?

Duke stanął i zeszywniał, wbijając w matkę zimne spojrzenie. Uśmiechnęła się tylko.

Mały kundelek wyłonił się z tumanu pyłu. Gdy kurz opadł, zwierzak znowu zaczął się tarzać i na powrót zniknął z pola widzenia. Duke nie mógł wykrztusić słowa. Patrzył tylko, a Wanda czekała na jego reakcję.

- Skarbie? - Nic. - Skarbie? - Jej głos ciął jak brzytwa. - Skarbie!

- Co? - odpowiedział wreszcie, zbyt głośno.

- Co powiesz?

Duke wyraźnie czuł bicie serca. Pot ściekał mu po plecach. Spojrzał na Bu-buu, który górował nad nim, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, z rękami na biodrach, uśmiechając się i kiwając głową. Po chwili znowu popatrzył na mizerne stworzenie, które tarzało się przed nim po piasku. Wszystko było nie tak...

- Dziękuję panu - powiedział.

- Jak go nazwiesz? - spytała Wanda.

- Skurwiel - odparł Duke.

Uderzyła go w twarz, bardzo mocno.

- Natychmiast powiedz panu, jak nazwiesz tego ślicznego pieska! - wrzasnęła. - To bardzo miły gest w twoją stronę, wiesz, Duke? Więc z łaski swojej okaż trochę szacunku.

- Nic nie szkodzi - odezwał się Bu-buu. - Zastanowi się i powie.

Poklepał chłopaka po głowie i wrócił z Wandą do domu, żeby zaczekać.

Duke nie poszedł za nimi. Podniósł chudego szczeniaka, wziął go pod pachę i pomaszerował w stronę domu wujka Billa. Bill stał na polanie, z wyciągniętą ręką, z której chwilę wcześniej wystartował młodzietki jastrząb.

- To Bounty? - krzyknął z daleka Duke. - Ta najmniejsza?

- Tak - odparł Bill. - Popilnuję jej tylko, aż Hank wróci - wyjaśnił, spoglądając na psa. - To twój? Tak szybko dostałeś nowego?

- Mama przyniosła.

- Ach tak. Tylko uważaj na niego...

- Nie puszczę go, jeśli o to chodzi - odpowiedział Duke.

- To ważne, bo...

Przerwał mu warkot silnika samochodu, który właśnie zatrzymał się przed domem. Bill oddał Duke'owi skózaną rękawicę.

- Nie powinna nic zmalować - powiedział, kiwając głowę w stronę szybującej Bounty. - W torbie mam trochę mięsa. Zaraz wracam, zajmijmy się nią razem.

Duke postawił psiaka na ziemi i przytrzymał go między nogami, by wsunąć dłoń w rękawicę. Po chwili zwolnił uścisk, a szczeniak natychmiast wykorzystał okazję i puścił się biegiem wzdłuż skraju polany, skacząc radośnie od drzewa do drzewa. Skrzydła Bounty, która przysiadła na gałęzi, otworzyły się gwałtownie. Ptak wzbił się w powietrze, rozejrzał i poszybował w dół, wiedziony strachem ku niecodziennej zdobyczy. Pies zawył, gdy szpony jastrzębia wbiły się w jego ciało. Oczy Duke'a zaszyły mgłą. Ledwie docierały do niego ten hałas, trzepot skrzydeł i gwałtowna samotanina. Dopiero w ostatniej chwili odzyskał ostrość widzenia. Potem zapadła cisza.

- Co tu się, u diabła, dzieje? - zawołał Bill, w biegu roztrącając gałęzie drzew. Zatrzymał się dopiero na polanie, gdy zobaczył martwego szczeniaka. - Czy Bounty...?

Duke kiwnął głową, wpatrując się w kałużę krwi wypływającą spod ciała.

- Strasznie mi przykro, że tak się stało - powiedział Bill. - Po tym, co się przydarzyło Sparky'emu i w ogóle... Okropnie żałuję, chłopcze. Cholerne ptaszysko, rzuca się

na psy, bo jeszcze nie wie, na co powinna polować. Pewnie się wystraszyła...

- Nie ma sprawy - odrzekł Duke.

- Powinienem był ci powiedzieć, że młode takie bywają...

- Powiedziałeś, wujku Billu. Powiedziałeś mi w zeszłym tygodniu - wyjaśnił i uspokajająco poklepał wielką dłoń mężczyzny.

Jakiś czas stali w milczeniu, aż wreszcie Bill poszedł do domu i wrócił zaraz z plikiem gazet. Rozrzucił kilka na ziemi, by odsączyć krew. Potem podniósł martwego szczeniaka, ułożył go na pozostałych gazetach i owinał szczelnie. Usłyszał za plecami szloch. Odwrócił się i zobaczył łzy płynące strumieniami po twarzy Duke'a. Chłopak zanosił się płaczem.

Wujek Bill wytarł ręce o nogawki kombinezonu, przyciągnął Duke'a do siebie i przytulił. Chłopak płakał jeszcze długo, z tęsknoty za psem o imieniu Sparky.

Rozdział siódmy

Joe czuł w piersi sygnał alarmowy: serce biło mu szybciej i mocniej. Dotarło do niego, że dzwoni telefon, dopiero gdy Anna sięgnęła za niego, by podnieść słuchawkę.

- Halo? - powiedziała, a potem słuchała przez chwilę z rosnącą konsternacją.

- Nie, Martho. Przyszedł może o pół do dwunastej, ale sam. Chyba że... Sama nie wiem. Zaczekaj, pójdę sprawdzić - dodała, oddając słuchawkę Joemu.

- Cześć - powiedział, a potem pozwolił jej mówić. - Nie mam pojęcia - odezwał się po chwili. - Na pewno jest jakieś...

W tym momencie Anna wróciła do pokoju, kręcąc głową. Za nią, marszcząc czoło, w drzwiach stanął Shaun.

- Co się dzieje? - spytał, spoglądając na rodziców. - No, co?

- Nie ma jej tu, Martho - powiedział Joe. - Kiedy się rozstaliście? - zapytał, spoglądając na syna.

- Pół godziny przed północą, może piętnaście minut - odparł Shaun. Jednocześnie spojrzeli na zegar. Dochodziła czwarta trzydzieści nad ranem.

- O Boże - jęknął Shaun, szeroko otwierając oczy.

- Co możemy dla ciebie zrobić? Zadzwoń do kogoś? - spytał Joe. - W porządku - dodał, usłyszawszy odpowiedź. Odłożył słuchawkę. - Martha obdzwoni jeszcze jej koleżanki ze szkoły.

- Ale Katie nie wybierała się do koleżanek - zaoponował Shaun.

- Będzie dobrze - uspokoił go Joe. - Może spotkała którąś po drodze? Właściwie to dlaczego nie odprowadziłeś jej do domu? - dodał z wahaniem. - Pokłóciliście się?

Shaun uciekł spojrzeniem, widząc troskę w oczach ojca. W zaden sposób nie mógł opowiedzieć mu o tym, co wydarzyło się tego wieczoru. Katie by go zabiła.

- Nie - odparł. Wyglądał tak, jakby miał się rozplakać. - Po prostu chciała sama wrócić do domu.

- Głowa do góry - powiedział Joe. - Znajdzie się.

Frank Deegan od dwóch godzin gapił się w sufit. Wcześniej drzemał na kanapie, ale zadzwonił telefon i wybił go z normalnego rytmu snu. Co gorsza, był to głuchy telefon. Frank obrócił głowę, by zerknąć na śpiącą obok Norę. Podniósł się na łokciu i wygramoliwszy się z łóżka, przysiadł na moment na skraju materaca, zanim wstał. Podciągnął spodnie granatowej pizamy i pomaszzerował do kuchni. Zatrzymał się przy blacie, a jego krótkie palce zawisły nad lśniącym woreczkiem foliowym z mieloną kawą. Nora nie była zwyczajną osobą: w pokoleniu amatorów herbaty ona jedna była uzależniona od kawy. Tylko ona narzekała, odwiedzając sąsiadów, że częstują ją tą samą kawą rozpuszczalną, którą podali jej przed rokiem, wilgotnymi grudkami przywierającą do ścian słoika. W większości domów w Mountcannon szybka rotacja dotyczyła wyłącznie woreczków herbaty ekspresowej.

- Ohyda - mawiała potem do Franka. - Ohyda.

Spojrzał na zegar, poczuł alarmujący sygnał wrzodu i postanowił zapanować nad kofeinowym głodem. Postawił na kuchence mały rondel z mlekiem, wziął gazetę i usiadł przy stole. Sięgnął po okulary do czytania, o bardzo grubych szklach, kupione w aptece wprost ze stojaka. Gdy je wkładał, Nora uwielbiała podśmiewać się z jego wielkich oczu. Przypominał jej coś, ale nie mogła sobie przypomnieć co. Niekiedy spoglądał na nią znad książki czy gazety tylko po to, żeby ją rozśmieszyć.

Zdążył usadowić się wygodnie na krześle, gdy zadzwonił telefon.

- Halo - odezwał się spokojnie, jakby była dziesiąta rano.

- Frank, tu Martha Lawson. Ostatniej nocy Katie nie wróciła do domu.

- Chcesz powiedzieć: wczorajszej nocy? - upewnił się Frank.

- No, nie. Dzisiaj. Miała się zjawić o północy.

- Jest piąta rano, Martho. Dla nastolatki noc jest jeszcze młoda. Zwłaszcza w weekend - powiedział Frank, przeczesując palcami włosy. - Pojechała do miasta na dyskotekę?

- Nie - odparła Martha. - Nie pozwoliłam jej. Była w wiosce, z Shaunem. Z jakiegoś powodu chciała wrócić sama do domu, ale się nie pojawiła... Czekaj, Frank, ktoś puka.

- No i się znalazła - mruknął, przewracając oczami. Martha wróciła po chwili, a jej głos drżał jeszcze mocniej.

- To tylko Lucchesi - wyjaśniła.

- Ach tak. Słuchaj, podjadę do ciebie - zaproponował Frank. - Pewnie wypatrzę Katie gdzieś po drodze.

- Dzięki, Frank. Doceniam to.

Frank odstawił rondel i sięgnął po paczkę kolumbijskiej kawy.

Martha Lawson mieszkała z córką w białym, parterowym domku z dużym ogrodem. Był to typowy budynek z przedmieść, usytuowany przy wiejskiej drodze, dziesięć minut spacerkiem od przystani i trzydzieści od domu Lucchesich. Wystrój tworzyły różne odmiany drewna, dywanów i tkanin. Mahoniowej komodzie towarzyszyła lakierowana sosnowa ława, a nad kwiecistym dywanem wisiały zasłony z azteckimi wzorami. Wszystkie kąty były utrzymane w nienaganej czystości.

Frank usiadł na lewo od Marthy, na brązowej kanapie. Patrzył na jej twarz, całkiem przeciętną, a przecież pełną tych samych szczegółów, które czyniły Katie piękną. Miała zaczerwienione oczy i rzęsy mokre od łez.

- Jestem pewien, że twoja mała ma się doskonale - powiedział Frank. - Naprawdę nie wiem, co jej strzeliło do głowy, ale cokolwiek to jest, z pewnością usłyszymy dobre wytłumaczenie, gdy tylko Katie stanie w tych drzwiach.

- Nie, Frank, naprawdę nie uważam, żeby to był wygłup. Daj spokój, przecież znam Katie. To do niej niepodob-

ne. Bóg jeden wie, co się stało, może leży gdzieś martwa w rowie... Słyszysz się przecież o takich przypadkowych morderstwach.

- Nawet nie myśl o takich sprawach - odpowiedział łagodnie Frank.

- Przepraszam. Tylko że... Ja nigdy... - urwała.

- Już dobrze - szepnął Frank, gładząc jej dłoń.

- Shaun zadzwonił po nią o ósmej. Nie zajrzała nawet do pokoju, żeby się pożegnać, tylko poleciała prosto do niego. - Martha umilkła na chwilę zamyślona. - I ja też jej nie pożegnałam - zaszlochała.

- Nie wiemy, czy coś się jej stało - wtrącił Joe, który stał przy kominku, naprzeciwko kanapy. - A gdybyśmy wstawali, żeby powiedzieć „do widzenia” naszym dzieciom za każdym razem, gdy wychodzą z domu, robilibyśmy przysiady od rana do wieczora.

Martha uśmiechnęła się, wycierając nos różową chusteczką.

- Shaun powiedział, że spacerowali po przystani, a potem Katie postanowiła iść do domu, całkiem sama... więc ją puścił. - Martha spojrzała na Annę i Joego. - Miała wrócić do domu o północy.

- Gdzie właściwie jest Shaun? - spytał Frank, marszcząc brwi.

- Wołał zostać w domu - odparł Joe. - Czuwa przy telefonie, na wypadek gdyby Katie zadzwoniła. Uznał, że to możliwe, bo ma kłopoty z zasięgiem komórki.

Shaun z bijącym sercem wpatrywał się w ścianę swego pokoju. Obszedł cały dom, próbując złapać zasięg komórki, ale wiedział, że to na nic. Z domowego telefonu odsłuchiwał swoją skrzynkę; nie było w niej ani jednej wiadomości. Sprawdził, czy aparat w jego pokoju działa. Działał. Odsłuchiwał wiadomości w domowym telefonie. Nic. Po chwili znowu sięgnął po słuchawkę i sprawdził jeszcze raz. Nadal nic.

Rozległo się pukanie do drzwi i Martha spojrzała po twarzach gości. Wstali niemal jednocześnie, ale pozwoli-

li, by sama otworzyła drzwi. Usłyszeli stłumione głosy dobiegające z holu, a po chwili Richie Bates w dobrze skrojonym granatowym mundurze schylił się, by zmieścić się w drzwiach salonu. Widząc Joego i Annę, skinął głową na powitanie. Był nieco blady, ale przytomny. Miał jeszcze wilgotne włosy po niedawnej kąpieli.

- Się masz, Frank - odezwał się ponuro, znowu kiwając głową.

Martha wyłoniła się zza jego pleców, rozczarowana i wymęczona.

- Napijesz się herbaty, Richie? - spytała.

- Sam przyniosę - odparł.

- Nie. Siadaj.

Podawała mu talerz herbatników i herbatę w filiżance, która ginęła w jego wielkich dłoniach.

- Dzięki.

Po długiej chwili milczenia odezwał się Frank.

- Przepraszam, ale muszę spytać... Czy Katie miała ja kiś problem? - Wyciągnął notatnik.

Formalny ton Franka Deegana, który siedząc na jej kanapie, nagle przypomniał sobie, że jest policjantem, wycisnął z niej łyzy.

- Co masz na myśli? - spytała Martha, płacząc.

- Pokłóciłyście się czy coś takiego?

- Nie, wszystko było w porządku - odparła obronnym tonem.

- Może pożarła się z kimś w szkole?

- Wiedziałabym o tym.

- Wiesz, jak jest z dziewczynami w tym wieku. Może chodziło o zazdrość, może coś innego...

- Nie. Wiem, że w szkole zdarzają się przepychanki, ale ona nigdy nie brała w nich udziału.

Frank milczał, szukając pytań, które nie budziłyby niepotrzebnego niepokoju, a jednocześnie upewniły matkę Katie, że sprawa jest traktowana poważnie.

- Zastanawiam się - odezwała się Martha - czy nie zrobiłam czegoś, co mogło wyprowadzić ją z równowagi.

- Opowiedz mi, co robiła przez cały dzień.

- Rano poszła do szkoły, a po lekcjach wróciła prosto do

domu. Nie miała nic zadane, więc wybrała się na spotkanie z Shaunem. Nawet nie zdjęła szkolnego ubrania. Wróciła na obiad, a potem poszła na górę i wzięła prysznic. Sporo czasu poświęciła na przygotowania. Mocno się umalowała, czego zwykle nie robi. Chyba nawet powiedziałam jej, że powinna trochę tego zmyć. Może to ją rozdrażniło? - Martha spojrzała pytająco na Franka.

- Nie przejmowałbym się tym - odparł.

- Poszłam do kuchni i wtedy, jak sądzę, wzięła bluzę z korytarza. Usłyszałam tylko „Na razie!” i pobiegła do Shauna. Wyjrzałam za nią do holu, ale już jej nie było. Łzy znowu popłynęły po policzkach Marthy. - Nie wiem, po co krytykowałam ten jej makijaż. Wyglądała tak pięknie.

Richie Bates milczał przez cały czas, ale notował każde jej słowo. Tylko kostki jego palców białeły z każdą chwilą i obserwując je, Frank zastanawiał się, czy długopis wreszcie nie trzaśnie.

- Może mnie nienawidziła, a ja nawet o tym nie wiedziałam? - wyrzuciła z siebie wreszcie Martha. Wszystkie oczy zwróciły się na nią.

- Nie - odpowiedziała Anna, zbliżając się do niej. Poklepała Marthę po ramieniu. - Kochała cię. Wszyscy o tym wiedzą. A dziś... po prostu spóźnia się do domu.

Przesłuchanie trwało tak długo, aż Frank uznał, że zebrał już dość informacji. To jednak wcale nie oznaczało, że domyślał się, gdzie szukać Katie Lawson.

Domek na końcu wilgotnej i omszałej dróżki, osiem kilometrów od Mountcannon, niszczał samotnie od piętnastu lat. Deski, którymi zabito na krzyż powybijane okna, skutecznie ochroniły wnętrze przed osobnikami mniej zdeterminowanymi niż Duke Rawlins. Gołymi rękami wyrwał zbutwiałą ramę okienka na tyłach i wkrótce był już w ciemnej, ciasnej kuchni. Odetchnął zatechnym powietrzem i przez chwilę mocował się z zasuwką drzwi, nim wreszcie ustąpiły, wpuszczając do środka świeży powiew.

Obszedł cały dom, świecąc latarką po mahoniowych meblach, wystrzępionych firanach i religijnych obrazkach, krzywo wiszących na kwiecistych i brudnych tapetach. Sy-

pialnie również były ciasne i ciemne; małe okna wpuszczały niewiele światła. Na komodzie leżała płasko zakurzona ramka ze zdjęciem. Przez środek fotografii biegł jaśniejszy pasek, dokładnie w miejscu, w którym padała na nią smuga światła spomiędzy desek zasłaniających okno. Duke podniósł ramkę i wysunął zdjęcie, które spłynęło łukiem na podłogę. Sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął inne: miał przed sobą wujka Billa w spłowiałej kurtce rozmiaru XL i džinsach, stojącego z wyciągniętym ramieniem. Za plecami sokolnika słońce zachodziło pomarańczowo, rozświetlając jego rude włosy i gęstą brodę. Kciuk lewej dłoni założył za skórzany pas, zbyt mocno opinający wydatny brzuch. Uśmiechał się szeroko. Na żerdzi obok niego siedział Solo-mon, z jedną stopą uniesioną w powietrze. Sheba szybowała w dół, sposobiąc się do lądowania na okrytej rękawicą dłoni i do odebrania nagrody.

- Solomon był majestatyczny - powiedział Duke, przy ciskając fotografię do piersi. - Naprawdę był - szepnął, prostując ramiona i spoglądając w mrok. - Ale ty, Sheba, jesteś najpiękniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziałem.

Anna odsunęła na bok talerze, butelki, sztuce i kubki, by pośrodku kuchennego stołu postawić butelkę syropu klonowego. Joe spojrział na gofry, sok, rogale, bekon, parówki, kawę i herbatę.

- Na czyj rachunek to wszystko? - spytał.

Anna roześmiała się i spojrzała na Shauna, czekając na jego reakcję. Nie doczekała się. Na pustym talerzu wciąż kapały łzy.

- Muszę z wami siedzieć? - spytał. - Niedobrze mi.

- Nie, idź już, idź - odparła Anna, unosząc nieco jego podbródek.

Odwrócił głowę i wstał od stołu.

Frank stał w drzwiach, uśmiechając się do Nory. Nigdy go nie zawiodła. Wiedział, że wstanie z łóżka, gdy tylko on wyjdzie z domu. Było coś w niej i w jej granatowej atlasowej koszuli nocnej, co zawsze go ujmowało. Nie usłyszała,

że wrócił. Siedziała w kątku sofy, opierając wyprostowane nogi o ławę. Jedną ręką kartkowała książkę, z której zamierzała się dowiedzieć, jak uporządkować sobie życie, a drugą sięgała po kubek z kawą. Nie trafiła palcami na ucho, ale zdołała go pochwycić, zanim się przewrócił. Podskoczyła, gdy Frank się roześmiał.

- Okropny jesteś - powiedziała z uśmiechem. Odstawiła kubek i zmieniła pozycję, by móc patrzeć na męża. -I co? - spytała, zamykając książkę.

- Wciąż nie ma śladu.

- Naprawdę? Frank skinął głową.

- Jak Martha to znosi?

- Jest bardzo niespokojna, ale też, Bóg mi świadkiem, zupełnie niewinna. Zadałem jej parę pytań i to wystarczyło, żeby ją przerazić, a przecież nawet nie zahaczyłem o te naprawdę poważne.

- Komuś takiemu jak Martha na pewno nie jest łatwo. To kobieta z innej epoki.

- Kto wie, czy Katie nie miała dość tego surowego wychowania i nie zwiłała, żeby dać jej coś do zrozumienia.

- Może. Poza tym Martha nigdy nie pogodziła się ze śmiercią Matta. Może przez to jej wieczne sprzątanie i pielęgnowanie pamiątek Katie czuła się winna, że próbuje mieć własne życie.

- Może.

- Dusił się w tym wszystkim, biedaczka.

- Niewykluczone.

Spojrzeni po sobie. Wiedzieli, że szukają coraz bardziej rozpaczliwych motywów.

- Tak czy inaczej, wkrótce poznamy prawdę - powie działa Nora. - Grzeczne dzieciaki, takie jak Katie, nie wytrzymują zbyt długo z dala od domu. Pewnie wróci przed lunchem.

-Mówię to z poczuciem winy, ale... obdzwoniłem już okoliczne szpitale i posterunki. Nikt jej nie widział.

- Nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

- Hmm...

- A co z Shaunem? - spytała Nora.

- Nie bardzo rozumiem, co się wydarzyło - odparł Frank. - Chłopak nie odprowadził jej do domu, chociaż byli na randce. Zawsze to robił. Wiesz przecież, jak śmiesznie razem wyglądali, kiedy szli, obejmując się wzajemnie.

- Wiem.

- W dodatku nie przyjechał do Marthy z Joem i Anną.

- A co robił?

- Joe mówi, że czekał na telefon.

- Rzeczywiście trochę dziwne - przyznała Nora. - Spodziewałabym się raczej, że będzie szukał towarzystwa. Poza tym gdyby Katie nie dodzwoniła się do niego, po prostu zawiadomiłaby matkę, że jest cała i zdrowa.

- Rozmawiałem z nim chwilę po wizycie u Marthy - powiedział Frank. - Zdaje się, że biedaczysko naprawdę nic nie wie.

Nora przyglądała mu się badawczo od dłuższej chwili.

- Martwisz się.

- Owszem - odparł.

W jego oczach widziała zmęczenie i smutek. Chciała jeszcze o coś zapytać, ale powstrzymał ją, unosząc palec.

- Nie mogę zostać - powiedział. - Muszę pogadać z kołężankami Katie. Rozejrzę się też po porcie i plaży, może coś znajdę. Jeśli do mojego powrotu nic się nie zmieni, będę musiał zadzwonić do Waterford i nadać sprawie oficjalny bieg.

Shaun oddalił się na półtora kilometra od Shore's Rock, wędrując malowniczą ścieżką. Wspiął się na żelazną bramę do sadu Millerów i zeskoczył na ziemię po drugiej stronie. John Miller pracował w dalekim kącie posesji, dosypując suchych liści do ogniska. Był na tyle daleko, że nie mógł dostrzec, że chłopak biegnie wzdłuż muru ku przeciwległemu krańcowi sadu i siada na ziemi za dorodną jabłonią. Shaun zamknął oczy i znieruchomiał. Pozostał w tej pozycji przez dziesięć minut, a ocknął się ze strachem dopiero na dźwięk kroków.

- Cześć - powiedziała Ali.

- Cześć. Co nowego?

Usiadła obok niego i wyjęła pustą puszkę po napoju. Blacha była wgięta u podstawy i przedziurawiona w dziewięciu miejscach. Dziewczyna wysypała z foliowego woreczka odrobinę trawki.

- Jak sądzisz, dokąd pojechała? - spytała, spoglądając na Shauna.

Ułożyła ziele na dziewięciu otworkach, a wylot puszkii przytknęła do ust. Teraz zapaliła trawę i mocno wciągnęła powietrze. Chciała przekazać puszkę Shaunowi, ale odmówił, kręcąc głową.

- Pojęcia nie mam - odparł. - Łaziłem po okolicy przez cały ranek, byłem już wszędzie...

- A ja pojechałam do miasta, żeby szukać jej w sklepach. To było dość głupie, przyznaję.

- To do niej niepodobne...

- Wiem.

- A to jest ostatnie miejsce, o którym pomyślałem.

- Ja też.

Deeganowie spojrzeli po sobie, gdy zadzwonił telefon. Siedząc za kuchennym stołem, przy którym próbował jeść kanapkę, Frank bez pośpiechu sięgnął po słuchawkę.

- Frank? Mówi Martha. Wciąż jej nie ma.

- Rozumiem - odparł z powagą i spojrzął na zegarek. Dochodziła dwunasta. - Myślę, że powinienem już zadzwonić do Waterford.

Posterunek *gardai* w Mountcannon podlegał komendzie okręgowej w Waterford.

Frank usłyszał westchnienie Marthy. Ledwie ją słyszał, gdy odpowiedziała:

- Dobrze. Dziękuję.

- Spodziewam się, że wieczorem odwiedzi cię komisarz*.

Czy ktoś jest przy tobie, Martho?

- Tak, moja siostra Jean.

- W porządku. Będę cię informował.

Frank przerwał połączenie i natychmiast wybrał numer

* W orygu. *detective inspector* (DI) - komisarz z wydziału docho-dzeniowo-śledczego.

komendy w Waterford. Zdziwił się, czując przyspieszony rytm serca. Nigdy nie spodziewał się najgorszego, ani po ludziach, ani po sytuacjach, ale tym razem poczuł strach, który na próżno usiłował odpędzić jako irracjonalny.

Joe pochylił się i spojrzął na cztery steki leżące w piekarniku. Masło ledwie się na nich topiło, a sojowy sos wor-cester nie skwierczał.

- Zmiataj - odezwała się Anna.

- Daj spokój. Kanapeczki ze stekiem... Nigdy nie odma-wiasz.

- Problem polega na tym, że żadne z nas nie będzie jeść. To ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę. - Anna przycisnęła dłoń do policzka i westchnęła, gdy Joe znowu pochylił się nad piekarnikiem.

- Mam nadzieję, że się mylę - powiedział - ale mam wrażenie, że Shaun nie chce nam o czymś powiedzieć.

- O czym? Zresztą Frankowi na pewno by powiedział.

- Nie jestem tego taki pewny. Myślę, że to coś, o czym nie chciałby z nikim rozmawiać. W zasadzie nikt nie wywierał na niego presji, a jednak... Sam nie wiem. Wyglądał mi na przerażonego.

- Może raczej niespokojnego. Może dlatego, że zaskoczyliśmy go, przyjeżdżając tu z Frankiem. Pewnie się nie spodziewał, że Martha tak szybko wezwie policję.

- Może.

Anna wstała.

- Zrobię ci shake'a; możesz wypić przez słomkę. To lepsze niż to twoje wysokoenergetyczne LV8 pełne kofeiny...

- Wymawia się jak *elevate*, podnosić.

- Wszystko jedno. Wiem tylko, że napoje w jaskrawych kolorach nie są zdrowe.

Joe przewrócił oczami, a Anna zaczęła wyjmować z lodówki produkty. Wrzuciła do pojemnika pokrojonego banana, dwie łyżki lodów, dwie łyżeczki masła orzechowego, łyżkę miodu i zaalała to wszystko mlekiem, po czym zmiksowała. Wetknąwszy słomkę w gotowy napój, podała pojemnik Joemu.

Posterunek policji w Mountcannon był mały i schludny. Na kremowych ścianach nad szarymi podłogami wisiały tablice ogłoszeniowe, a na nich plakaty nawołujące kierowców do trzeźwości, a operatorów maszyn do zwracania uwagi na przewody wysokiego napięcia. Nie było tu celi, jedynie gabinet Franka Deegana, kuchnia oraz łazienka. Frank rozparł się w fotelu, odsłaniając pod pachami rozciągnięty ponad miarę materiał błękitnej koszuli. Komisarz Myles O'Connor przebył właśnie dwadzieścia cztery kilometry dzielące Mountcannon od Waterford. Siedział na skraju biurka, z plastikowym patyczkiem w dłoni, wpisując tekst do srebrzystego palmtopa. Był pierwszą znaną Frankowi osobą, która najwyraźniej uważała ten sposób zapisywania danych za wygodny.

Każdy *garda* słyszał o O'Connorze. Miał trzydzieści sześć lat i był najmłodszym DI w kraju, a przy tym pierwszym w Waterford. Frank nie umiał tego zdefiniować, ale wyczuwał w nim coś... niezbyt policyjnego.

- Byłeś na wakacjach? - spytał Frank, zauważywszy ślad błędnej już opalenizny.

- Tak - odparł O'Connor, nie podnosząc głowy. - Jak się nazywa chłopak tej dziewczyny?

- Shaun Lucchesi. A gdzie, jeśli wolno spytać?

- W Portugalii. Mówiłeś, że była tego wieczoru w klubie nocnym?

- Nie - odparł Frank. - Spacerowała z chłopakiem w okolicy przystani.

Zauważył, że oczy O'Connora były mocno przekrwione. Co pewien czas detektyw unosił dłoń, jakby chciał je potrzeć, ale za każdym razem zmieniał zdanie. Frank zastanawiał się, czy to reakcja oczu na pracę z tak małym ekranem. Być może było to zwykłe zmęczenie, choć nie zauważył innych jego oznak.

- Dobra, podrzuć mi resztę szczegółów - odezwał się O'Connor.

Frank referował cierpliwie, a kiedy skończył, detektyw zanotował jeszcze kilka szczegółów.

Ciszę przerwało nagłe wejście Richiego.

- Znasz już DI O'Connora, prawda? - powiedział Frank. -

Od tej pory śledztwo w sprawie zaginięcia Katie prowadzi Waterford. Komisarz Brady jest już w drodze.

Richie uśmiechnął się przelotnie do O'Connora, uściśnął mu rękę i stanął bliżej, nie bez satysfakcji górując nad nim o dobrych piętnaście centymetrów.

Tyle że O'Connor nie wyglądał na zastraszonego.

- Cześć, Richie. Co za miłe spotkanie - powiedział i podtrzymał kontakt wzrokowy tak długo, aż olbrzym odwrócił głowę.

- Dobra, co o tym wszystkim myślisz? - spytał komisarz Brady, gdy tylko wszedł do biura. Był niemal zupełnie łysy; jedyną pamiątką po włosach były gęste wasy oraz wąski, biały wianuszek otaczający jego lśniącą czaszkę.

Frank otworzył usta, żeby odpowiedzieć.

- Moim zdaniem trzeba czekać - uprzedził go O'Con-nor. - Dziewczyna sama się znajdzie. Piątkowy wieczór, młodość...

- Frank - przerwał mu Brady. - Znasz tę dziewczynę i jej rodzinę, prawda?

- Wracała do domu - powiedział Deegan. - Nie wydaje mi się możliwe, żeby tak po prostu...

- Wracała, jak my wszyscy - mruknął Richie.

- Przecież byłeś u Marthy, siedziałeś z nią cały ranek - odrzekł rozdrażniony Frank. - Mam złe przeczucia - dodał, zwracając się do Brady'ego. - Nie mam żadnego powodu wierzyć, że Katie Lawson uciekła z domu. I to prawda, że znam tę rodzinę od lat. Uważam, że nie możemy zignorować sprawy.

O'Connor westchnął.

- Trzeba przyznać, że są pewne przesłanki... nie wzięła pieniędzy ani paszportu...

- I dlatego uważam, że sytuacja jest poważna - uzupełnił Frank, kiwając głową.

- W porządku - rzekł Brady. - Jeżeli dziewczyna nie znajdzie się do jutra rana, skrzyknjemy ekipę poszukiwawczą. Zajmiesz się kontaktami z rodziną, Frank?

- Powiedziałbym, że Richie lepiej się do tego nada. - Frank miał wrażenie, że Richiemu przyda się lekcja zachowania w delikatnych sytuacjach.

Komisarz Brady kiwnął głową na pożegnanie i wyszedł.

- Liczę na was - powiedział jeszcze zatrzymując się w progu. - Nie byłoby dobrze, gdybyśmy zabrali się do pracy za ostro i wystraszyli matkę dziewczyny na śmierć. Do zobaczenia rano.

- No tak - mruknął O'Connor, spoglądając na Franka. - A jednak powinniśmy chyba odwiedzić panią Lawson.

- Nie czuje się lepiej, jeśli będzie musiała jeszcze raz odbyć tę samą rozmowę - zauważył Richie.

Obaj policjanci spojrzeli na niego.

- Cóż - odparł O'Connor. - Niewykluczone, że czeka ją to samo, kiedy znowu zjawi się Brady. Nigdy nie wiadomo, jakie szczegóły umknęły w pierwszym przesłuchaniu.

- Co za dupek - odezwał się Richie, gdy zostali sami.

- Lepiej się do niego przyzwyczaj - poradził mu Frank.

- „Nigdy nie wiadomo, jakie szczegóły umknęły w pierwszym przesłuchaniu”. Ale gównu.

Frank nawet nie próbował odpowiadać. W świecie Ri-chiego wszystko było gównem.

Joe siedział przy stole, zastanawiając się, co też może ukrywać Shaun. Z początku sądził, że chodzi o alkohol lub narkotyki, ale nie miał przekonania do tej hipotezy. Wiedział, że Shaun palił kiedyś w domu trawkę, ale był prawie pewien, że to już przeszłość. W najgorszym razie chłopak pozwalał sobie na piwo czy dwa, gdy gdzieś wychodził, ale tak zachowywali się wszyscy w jego wieku.

A Katie... Ani nie piła, ani nie paliła. Była bardziej niewinna niż dziewczyny, z którymi Shaun spotykał się w Nowym Jorku. Tamte były bardziej drapieżne, a Shaun nie był jedynym obiektem ich zainteresowania. Błysk w oku Katie zdradzał raczej inteligencję, bystrość, a nie skłonność do złego zachowania. Czy Shaun próbował ją chronić? Czyżby zrobiła coś, co kazało jej trzymać się z dala od domu? Czy była to tylko demonstracja? Czy Katie była w ciąży? Joe miał już dość rozważań. Złe przecucia, które go nie opuszczały, stały się niemal tak dokuczliwe jak monotonny ból, który przenikał jego szczękę.

O'Connor siedział w kuchni Marthy Lawson na sztywnym drewnianym krześle, którego oparcie uwierało go w kręgosłup. Grzejnik tuż za jego plecami pracował pełną parą. Detektyw pochylił się do przodu. Zdjął już marynarkę i zawiesił na oparciu. Prowadził przesłuchanie tak samo delikatnie jak Frank Deegan, ale szybciej posuwał się naprzód.

- Czy Katie miała depresję? - spytał. Minęła chwila, zanim doczekał się odpowiedzi.

- Ma szesnaście lat! - obruszyła się Martha. - Jasne, że nie!

Frank i O'Connor wymienili spojrzenia. W ciągu ostatnich pięciu miesięcy czterokrotnie badali sprawy samobójstw nastolatków; w każdym przypadku przyczyną tragedii była depresja.

- Takie problemy zdarzają się i u młodszych dzieci - wtrącił łagodnie Frank. - Być może nawet nie zauważyłaś, że dzieje się coś złego.

- Czy Katie dużo spała? - indagował O'Connor. - Miała zmienne nastroje? Bywała drażliwa?

- A czy nie takie są wszystkie nastolatki? - spytała Martha.

- Nie odniosła pani wrażenia, że córka ma negatywne podejście do świata, poczucie beznadziei? A może martwiła się czymś szczególnym?

- Skąd mogłabym wiedzieć - wyszeptała Martha. - Sądzę, że nie powiedziałyby mi o czymś takim. - Pochyliła głowę i rozplakała się.

Frank przeniósł spojrzenie na rodzinne zdjęcia stojące na kredensie. Największe z nich przedstawiało Katie w białej sukience komunijnej, z dłońmi złożonymi na książeczce do nabożeństwa, z białą atlasową torebką i dumnymi rodzicami w tle. Na innym roześmiana, w różowych spodniach, białej bluzce i wielkich białych adidasach, siedziała z ojcem na ławce.

- Sądziś, że śmierć Matta miała na nią głęboki wpływ? - spytał Frank.

Martha podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Była zdruzgotana. Uwielbiała go. Ale z drugiej strony,

była bardzo młoda, gdy to się stało. Wiem, że wciąż za nim tęskni, ale nie powiedziałabym, że wspomnienia nie dają jej żyć.

Gdy Martha odwróciła się na moment, O'Connor powolnym ruchem sięgnął za siebie i przekręcił zawór grzejnika. Był czerwony na twarzy, a jego oczy sprawiały wrażenie suchych. Mrugał niemal bez przerwy.

- Czy Katie pije? A może uważa pani za prawdopodobne, że miała kontakt z narkotykami? - spytał.

Martha popatrzyła na niego ze zdumieniem, a potem przeniosła spojrzenie na Franka, szukając u niego wsparcia. Zobaczyła w jego oczach niemą prośbę o wyrozumiałość.

- Nie - odpowiedziała zdecydowanie. - Nie pije. Nie wolno jej. W tym domu nawet nie ma alkoholu. A gdzie dziewczyna taka jak Katie miałyby znaleźć narkotyki?

Jej reakcja zasmuciła Franka. Czy Martha naprawdę sądziła, że Katie znajdzie alkohol jedynie w domu? I że trudno nastolatce znaleźć dostawcę narkotyków?

- Szczerze mówiąc, coraz bardziej denerwują mnie te pytania - dodała.

- Proszę się nie martwić - odparł O'Connor. - Standardowa lista pytań pomaga nam dobrze wypełniać obowiązki w sytuacjach takich jak ta. Nie oceniamy ani pani, ani Katie, ani nikogo innego. Nie znam Katie i próbuję czegoś się o niej dowiedzieć, to wszystko. Dzięki temu będziemy mogli szukać jej we właściwych miejscach.

Frank pokiwał głową.

- W porządku - odpowiedziała Martha.

- Czy jest jeszcze coś, co powinniśmy wiedzieć o pani córce? Coś, co pomogłoby nam w śledztwie?

- To cudowna dziewczyna - odrzekła Martha i rozpląkała się.

Joe ocknął się z drzemki na sofie i rozejrzał po pustym salonie. Zerknął na zegarek. Była za pięć czwarta. Pobiegł do kuchni po banana, dwie tabletki energetyzujące Fuel It oraz lśniącą, purpurową butelkę LV8. Obrął owoc, trzymając dłonie na kierownicy, w drodze do wioski, ale rozchylając usta, usłyszał ostrzegawczy trzask. Postanowił

poprzestać na Fuel It i napoju; dość szybko poczuł znajomy przyływ energii. Dotarłszy do szkoły, zaparkował przed placem zabaw, gdzie zebrał się spory tłum. Zobaczył Shau-na stojącego pod ścianą i podbiegł do niego.

- Nareszcie - odezwał się Shaun.
- Przepraszam. Zasnąłem na kanapie.
- Pewnie w ogóle zapomniałeś.
- Wcale nie. Przepraszam, Shaun. Ale mógłbyś przestać się mnie czepiać - dodał, rozcierając szczękę. - Przykro mi, ale za bardzo mnie boli, żebym mógł rozmawiać.
- No jasne - prychnął Shaun.

Joe miał jeszcze coś powiedzieć, gdy rozległy się dwa głośne klaśnięcia i wszyscy zgromadzeni na placu umilkli.

- Zebrałiśmy się tu dla Marthy Lawson - zaczął Frank. - W jej imieniu chcę wam podziękować za wsparcie. Być może widzieliście w telewizji, jak wyglądają takie poszukiwania. Poruszamy się ławą, po wyznaczonym terenie. W szeregu znajdują się między innymi funkcjonariusze *gardai*, oznaczeni numerami dla ułatwienia identyfikacji. Jak większość z was wie, Katie ma metr sześćdziesiąt siedem wzrostu, jest szczupła i ma ciemne włosy sięgające ramion. W tej chwili rozdajemy fotografie. Gdy widziano ją po raz ostatni, miała na sobie szerokie dżinsy marki Mira, różowe adidas, różową bluzę z kapturem i napisem „śliznotka” z przodu oraz biały T-shirt. Być może miała przy sobie jasnoniebieski nylonowy portfelik oraz srebrny telefon komórkowy. Jeżeli ktoś z was natrafi podczas poszukiwań na jeden z tych przedmiotów, powinien zatrzymać się w miejscu. Następnie zawiadomi najbliższego policjanta, a ten krzyknie swój numer, gwizdnie i zawoła: „ślad”. Ktokolwiek będzie się znajdował w pobliżu, również powinien się zatrzymać, bez względu na to, czy coś znalazł, czy nie. Niech nikt się nie rusza, póki nie padnie komenda „na przód”. Proszę, ograniczcie rozmowy do minimum, a jeśli już będziecie musieli się odzywać, to po cichu. Oczywiście nie muszę przypominać, że nie wolno nam zostawiać własnych śladów, dlatego papierki od cukierków, niedopałki i inne śmieci chowajcie sobie do kieszeni, a wyrzucicie je, kiedy skończymy. Dziękuję.

Shaun podszedł do Franka, spoglądając na niego błagalnie. Frank pokręcił głową i położył mu rękę na ramieniu.

- To chyba nie jest dobry pomysł - powiedział. - Może lepiej zaczekaj w domu, na wypadek gdyby miała zadzwonić. Założę się, że jeśli to zrobi, to właśnie do ciebie.

- Mam komórkę - odparł Shaun.

- Niewielki z niej pożytek, bo kiedy wyjdziemy z wioski, stracisz zasięg.

- Idź do domu, synu - poparł go Joe, stając obok Shau-na.

- Nie rozumiem, czego się tak boicie - rzucił chłopak podniesionym głosem. - Niby co mielibyśmy tu znaleźć?

- Zapewne nic - odrzekł Frank.

- Ale byłoby najlepiej, gdybyś wrócił - stwierdził Joe.

Shaun odszedł, a Frank odwrócił się, by porozmawiać z detektywem O'Connorem.

Joe wykorzystał chwilę spokoju, by poszukać w kieszeniach tabletek przeciwbólowych, ale nie znalazł ani jednej. Przez chwilę zastanawiał się, jakie ma opcje. Nie mógł tak po prostu odejść na oczach wszystkich. Poczul nagle, że ktoś chwyta go za ramię. Nie był zupełnie pewny, ale miał wrażenie, że to jedna ze starszych kobiet mieszkających na obrzeżach wioski. Przez chwilę czekał na pytanie, bardziej cierpliwie niż dawniej. Na początku pobytu w Irlandii szokowała go bezpośredniość mieszkańców Mountcannon.

- Jak młody to znosi? - spytała kobieta, ruchem głowy wskazując na Shauna.

Spoglądała na niego raczej oskarżycielsko niż współczująco, ale Joe przypuszczał, że to raczej odruch wykształcony przed laty. Czując przejmujący ból w szczęcie, mógł jedynie skinąć głową, by dać jej znak, że Shaun nieźle się trzyma. Mimo to kobieta czekała na odpowiedź.

- A o tej małej już coś wiadomo? - spytała wreszcie.

Pokręcił głową i mruknął „mmm”; zwykle w takich wypadkach była to jedyna odpowiedź, na jaką mógł się zdobyć.

Kobieta cmoknęła z niesmakiem. Joe znał takie reakcje.

- Modliłam się do świętego Judy - powiedziała starszka, zanim odeszła.

Zmarszczył brwi zirytowany. Święty Juda jest patronem przegranych spraw.

Odwrócił się do Franka, który sięgnął do kieszeni i bez namysłu podał mu tabletki z ibuprofenem. Joe połknął je natychmiast i popił purpurowym, musującym napojem ko-feinowym.

Frank zwrócił się tymczasem do grupy, w której znalazł się i Joe.

- Dobra, zaczniemy w środkowej części wioski, od Seascapes, przez sklepy, aż do portu i z powrotem na górę, ku Shore's Rock.

Mniej więcej czterdzieści osób ustawiło się tyralierą i wolno ruszyło w stronę domków lotniskowych. W ostrym popołudniowym słońcu gęsto posadzone drzewa rzucały na drogę wyraźne, czarne cienie. Joe szedł na końcu szeregu i omal się nie przewrócił o chłopca, który przycupnął za drzewem. Oczy malca rozszerzyły się, gdy spojrzał na mężczyznę.

- Ukrywam się - szepnął głośno. Przyłożył palec do ust i wskazał na rodziców, którzy pakowali bagaże do kombi stojącego przed jednym z domków.

- Aha - odparł Joe. - A nie pomyślałeś, że możesz napędzić strachu mamie i tacie? Jestem pewien, że byliby bardzo smutni, gdyby nie mogli cię znaleźć.

Spojrzał pomiędzy drzewami i dostrzegł światło w jednym z pokoi ostatniego domku; słabo widoczną za dnia poświatę pojedynczej zapalonej żarówki. Na podjeździe nie było samochodu.

- Ale ja nie chcę wracać do domu - powiedział chłopiec.

- Przykra sprawa - odparł Joe. - Pójdę się przywitać z twoimi rodzicami. Idziesz ze mną?

Małec zdecydowanie potrząsnął głową. Joe poinformował idącego obok, że musi coś sprawdzić, i ruszył w stronę rodziców chłopca.

- Proszę nie patrzeć w tamtą stronę, ale państwa syn chowa się między drzewami dokładnie za mną. Przysiągłem, że go nie wydam.

Rodzice spojrzeli po sobie i jak na komendę przewrócili oczami.

- Zatluczemy go chyba.
- Byli tu państwo przez cały weekend? - spytał Joe.
- Tak - odparła kobieta. - Ale dla Owena to oczywiście za krótko.

- A czy widzieli państwo przypadkiem kogoś w ostatnim domku?

- Nie. Na pewno zauważylibyśmy przejeżdżający samochód, tak tu cicho — wyjaśnił mężczyzna.

- Albo przynajmniej światła - dodała jego żona. - Wszystkie wieczory spędziliśmy w domu - dodała, ruchem głowy wskazując na syna.

- Ach tak. Po prostu byłem ciekaw - powiedział Joe. - Szcześnie podróży. I powodzenia w holowaniu chłopaka do samochodu.

Joe dołączył do grupy poszukiwawczej, idącej przez wioskę w stronę Shore's Rock. Od czasu do czasu rozlegał się sygnał gwizdka, wszyscy zatrzymywali się, a jeden z policjantów zabierał to, co znaleziono. Potem milczący szereg znowu ruszał naprzód, aż wreszcie dotarł do ogrodzenia wokół latarni morskiej.

- Robi się ciemno - zauważył Frank. - A w lesie mroczno i za dnia, więc na dzisiaj kończymy. Dziękuję wszystkim za pomoc! - zawołał.

Grupa Richiego skończyła wcześniej; młody *garda* czekał już w biurze, gdy Frank wrócił na posterunek.

- Znaleźliście coś? - spytał.

- Nic - odparł Frank. - Choć oczywiście brak śladów też o czymś świadczy. A wy?

- Też nic. Ale obejrzałem wszystkie śmieci, jakie tylko można znaleźć w okolicy. Nawet papierki od cukierków, które pamiętam z dzieciństwa. Kitty Tynan nadziała na kij zużytego kondoma i pomachała mi nim przed oczami. Dokąd doszliście?

- Do latarni.

- Jutro, albo kiedy zechcesz, mogę skrzyknąć ochotników i przeszukać las.

- Spytaj jeszcze O'Connora, ale moim zdaniem to dobry pomysł. - Frank pokręcił głową. - Biedna Katie pewnie

zjawi się w domu jeszcze dziś wieczorem, śmiejąc się do rozpuku, póki się nie dowie, że szukała jej cała wioska.

Shaun leżał na kanapie przed telewizorem, bezustannie zmieniając kanały pilotem, którego trzymał w wyciągniętej ręce.

- Pracowałeś w ten weekend? - spytał Joe.

- Nie, nie byłem w pracy od czwartku. A bo co?

- A mieliście gości w domkach?

- W trzech, tylko przez weekend.

- W których?

- Dlaczego pytasz?

- Zostawiłeś włączone światło.

- Co takiego? - spytał Shaun z duszą na ramieniu.

- W ostatnim domku. Chyba że ktoś tam mieszka. Z drugiej strony, nie zaglądałbyś tam, gdyby domek był pusty.

- Jest pusty. Ale... nie zostawiłem włączonego światła.

- Ktoś jednak zostawił, bo się pali. Pani Shanley już wróciła?

- Tato, kogo to obchodzi?

- Może byś sprawdził, co się dzieje?

- Mam na głowie inne sprawy.

- Więc ja pójdę.

-Nie trzeba... Sam to zrobię. Ale i tak uważam, że światło jest wyłączone.

- Zabiorę się z tobą.

- Nie musisz. Pójdę sam, dobrze?

- Wolałbym ci towarzyszyć.

- Najpierw wezmę prysznic.

- W porządku. Daj znać, kiedy będziesz gotowy. Shaun

pobiegł do swojego pokoju, sięgnął po telefon

i zadzwonił do Roberta.

- Rob, chcę cię prosić o wielką przysługę.

- Nie ma sprawy.

- Tylko o nic nie pytaj. I nikomu nie mów.

- Dobra. Co jest?

- Czy mógłbyś przyjść do mnie i stanąć pod oknem? Coś ci rzucę.

- Noo... tak. Ale co jest grane? Chodzi o Katie? Wiesz, gdzie ona jest?

- Nie wiem. Chcę tylko, żebyś coś za mnie załatwił. Rzucę ci klucze do Seascapes. Poszedłbyś tam, do piętnastki, wyłączył światło i odniósł mi klucze.

- Jasne, ale po co?

- Pani Shanley wyjechała. Zostawiłem w czwartek zapalone światło, a nie chcę, żeby następni goście musieli płacić za prąd. Wolałbym też, żeby pani Shanley nie miała do mnie pretensji. Sprawa Katie tak mnie rozwaliła, że sam nie mam siły tam iść.

- W porządku.

- Tylko nie pokazuj się mojemu ojcu.

- A co on ma z tym wspólnego?

- Znasz rodziców.

- No tak. To kiedy?

- Teraz.

Ray nacisnął dzwonek. Po długiej chwili otworzyła mu Anna.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale chodzi o latarnię, rdzę i tak dalej. Nie wiem, może chciałabyś rzucić okiem.

- Sekundę - odpowiedziała i cofnęła się po kurtkę.

Chwilę później przebiegła po trawie do schodów, weszła do latarni i wspięła się po drabince do komory zwierciadła. Ściany świeciły nagim metalem, miejscami mocno zardzewiałym.

- Wyglądają zupełnie inaczej - powiedziała Anna. -Bardzo mrocznie.

- Wiem - odrzekł Ray. - Ten preparat naprawdę zadziałał. Zlazły wszystkie warstwy farby, i to bez problemu. Teraz możemy pomalować wnętrze na biało, rozjaśnić je trochę. Najpierw jednak trzeba będzie zdemontować parę paneli. Sama widzisz, ile rdzy. To co, mam je wymienić?

- Byłoby świetnie - odparła Anna. - Wielkie dzięki. Naprawdę doceniam ciężką pracę... Twoją i Hugh. I przepraszam, ale jestem zbyt wyczerpana, żeby okazać większy entuzjazm.

- Dziwne - powiedział Joe. - Mógłbym przysiąc...

Stał w sieni, opierając się o słup, i spoglądał na żarówkę, która -jak sądził -jeszcze niedawno oświetlała dom na końcu ośrodka Seascapes.

- Może to słońce - zasugerował Shaun. - Wiesz, jak to jest.

- Nie chce mi się wierzyć - odparł Joe. - Widziałem zapalone światło. - Podszedł do schodów i pstryknął włącznikiem. - I jesteś absolutnie pewien, że nie zaglądałeś tu od czwartku?

- W piątek miałem wolne, tato. I byłem z Katie... zanim zniknęła. Ostatnią noc spędziłem w domu, martwiąc się o nią. Widziałeś mnie przecież. I w zasadzie tylko o tym mogę myśleć. Na pewno nie o twoich głupich pytaniach, w których nie ma ani krzty sensu. A nawet jeśli paliło się tu światło, to co? - Shaun otworzył drzwi. — Daj spokój, tato, to jakieś bzdury.

Petey niezgrabnymi ruchami prowadził mopa w tę i z powrotem po podłodze stołówki - jak zawsze w poniedziałkowy rano. Frank zaszedł go od tyłu.

- Cześć, Petey. Chciałbym ci zadać kilka pytań, jeśli masz wolną chwilę. Wszystkim zawracam głowę.

Gdy Petey zobaczył w notatniku kartkę ze swoim nazwiskiem i danymi, w jego oczach pojawił się strach.

- Chodzi o Katie Lawson.

Petey zaczerwienił się i spuścił głowę. Zaczął kołysać trzonkiem mopa w tę i z powrotem.

- Słyszałem, że zaginęła - powiedział i pokręcił głową. -To straszne.

- Tak - odparł Frank i umilkł na chwilę. - Co wiesz o Katie?

- Wiem, że chodzi z Shaunem Lucchesim i że uczy się w tej szkole.

- Zgadza się. Po raz ostatni widziano ją w piątek wieczorem. Nie spotkałeś jej może wtedy?

- Nie - odpowiedział Petey, znowu się rumieniąc i wbijając spojrzenie w posadzkę. - Byłem w domu. Nie wychodzę za często.

Te słowa wzbudziły we Franku litość.

- Patrz na mnie - powiedział. - Czy mama była z tobą w domu?

- Nie. Poszła na brydża. Wróciła bardzo późno, z przyjaciółką, panią Miller, która została u nas na noc.

- Co robiłeś, gdy byłeś sam?

- Oglądałem telewizję. Discovery. Był świetny program o tragedii podczas regat Fastnet w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym. Między trzynastym a piętnastym sierpnia szalał sztorm o sile jedenastu...

- Petey, rozmawiamy o Katie. Lubieś ją? - Frank z wysiłkiem utrzymywał kontakt wzrokowy z Peteyem.

- Była miła. Lubiliśmy się. - Petey odwrócił głowę i zamrugał, żeby powstrzymać łzy. Skrzywił się, gdy Frank poklepał go po plecach.

- Już dobrze - mruknął policjant. - Dzięki za pomoc. Jeśli będzie to konieczne, odezwiemy się jeszcze.

Oddaliwszy się za zakręt korytarza, przystanął, by zanotować coś u dołu strony.

Richie stał na scenie sztywno, na szeroko rozstawionych nogach, z rękoma złożonymi na piersi. Spoglądał na niewielką grupkę nastolatków - wszystkich uczniów miejscowej szkoły średniej. Frank wśliznął się do sali bocznymi drzwiami.

- Dzień dobry wszystkim - zaczął Richie. Jeden z gra czy drużyny futbolowej parsknął śmiechem, który szybko zamaskował kaszlem. Richie rzucił w jego stronę gniewne spojrzenie.

Frank zastanawiał się czasem, czy jego współpracownik nie powinien cieszyć się większym mirem wśród młodych, skoro był od nich niewiele starszy. Rozumiał jednak podświadomie, że nigdy tak nie będzie, ponieważ Richie nie umiał znaleźć punktu równowagi między autorytetem a surowością.

- Jestem tu, żeby porozmawiać z wami o Katie Lawson - ciągnął policjant. - Jak wiecie, Katie chodzi do piątej klasy. Zaginęła w ostatni piątek wieczorem i od tamtej pory nie mieliśmy o niej żadnej wiadomości.

- Dziwne - powiedział Joe. - Mógłbym przysiąc...

Stał w sieni, opierając się o słup, i spoglądał na żarówkę, która -jak sądził -jeszcze niedawno oświetlała dom na końcu ośrodka Seascapes.

- Może to słońce - zasugerował Shaun. - Wiesz, jak to jest.

- Nie chce mi się wierzyć - odparł Joe. - Widziałem zapalone światło. - Podszedł do schodów i pstryknął włącznikiem. - I jesteś absolutnie pewien, że nie zaglądałeś tu od czwartku?

- W piątek miałem wolne, tato. I byłem z Katie... zanim zniknęła. Ostatnią noc spędziłem w domu, martwiąc się o nią. Widziałeś mnie przecież. I w zasadzie tylko o tym mogę myśleć. Na pewno nie o twoich głupich pytaniach, w których nie ma ani krzty sensu. A nawet jeśli paliło się tu światło, to co? - Shaun otworzył drzwi. - Daj spokój, tato, to jakieś bzdury.

Petey niezgrabnymi ruchami prowadził mopa w tę i z powrotem po podłodze stołówki -jak zawsze w poniedziałkowy ranek. Frank zaszedł go od tyłu.

- Cześć, Petey. Chciałbym ci zadać kilka pytań, jeśli masz wolną chwilę. Wszystkim zawracam głowę.

Gdy Petey zobaczył w notatniku kartkę ze swoim nazwiskiem i danymi, w jego oczach pojawił się strach.

- Chodzi o Katie Lawson.

Petey zaczerwienił się i spuścił głowę. Zaczął kołysać trzonkiem mopa w tę i z powrotem.

- Słyszałem, że zaginęła - powiedział i pokręcił głową. -To straszne.

- Tak - odparł Frank i umilkł na chwilę. - Co wiesz o Katie?

- Wiem, że chodzi z Shaunem Lucchesim i że uczy się w tej szkole.

- Zgadza się. Po raz ostatni widziano ją w piątek wieczorem. Nie spotkałeś jej może wtedy?

- Nie - odpowiedział Petey, znowu się rumieniąc i wbijając spojrzenie w posadzkę. - Byłem w domu. Nie wychodzę za często.

Te słowa wzbudziły we Franku litość.

- Patrz na mnie - powiedział. - Czy mama była z tobą w domu?

- Nie. Poszła na brydża. Wróciła bardzo późno, z przyjaciółką, panią Miller, która została u nas na noc.

- Co robiłeś, gdy byłeś sam?

- Oglądałem telewizję. Discovery. Był świetny program o tragedii podczas regat Fastnet w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym. Między trzynastym a piętnastym sierpnia szalał sztorm o sile jedenastu...

- Petey, rozmawiamy o Katie. Lubieś ją? - Frank z wysiłkiem utrzymywał kontakt wzrokowy z Peteyem.

- Była miła. Lubiliśmy się. - Petey odwrócił głowę i zamrugał, żeby powstrzymać łzy. Skrzywił się, gdy Frank poklepał go po plecach.

- Już dobrze - mruknął policjant. - Dzięki za pomoc. Jeśli będzie to konieczne, odezwiemy się jeszcze.

Oddaliwszy się za zakręt korytarza, przystanął, by zanotować coś u dołu strony.

Richie stał na scenie sztywno, na szeroko rozstawionych nogach, z rękoma złożonymi na piersi. Spoglądał na niewielką grupkę nastolatków - wszystkich uczniów miejscowej szkoły średniej. Frank wśliznął się do sali bocznymi drzwiami.

- Dzień dobry wszystkim - zaczął Richie. Jeden z gra czy drużyny futbolowej parsknął śmiechem, który szybko zamaskował kaszlem. Richie rzucił w jego stronę gniewne spojrzenie.

Frank zastanawiał się czasem, czy jego współpracownik nie powinien cieszyć się większym mirem wśród młodych, skoro był od nich niewiele starszy. Rozumiał jednak podświadomie, że nigdy tak nie będzie, ponieważ Richie nie umiał znaleźć punktu równowagi między autorytetem a surowością.

- Jestem tu, żeby porozmawiać z wami o Katie Lawson - ciągnął policjant. - Jak wiecie, Katie chodzi do piątej klasy. Zaginęła w ostatni piątek wieczorem i od tamtej pory nie mieliśmy o niej żadnej wiadomości.

Tłumek zafalował niespokojnie. Uczniowie rozglądali się, szukając Shauna, który tego dnia był zwolniony z zajęć.

- Jeżeli ktokolwiek z was wie coś na ten temat, choćby nawet zdawało mu się, że to mało istotny detal, niech zgło si się do mnie lub do Franka - powiedział Richie, ruchem głowy wskazując na starszego funkcjonariusza. Niektó rzy uczniowie powitali Deegana uśmiechem; kilku nawet machnęło mu ręką. Richie pomilczał chwilę, po czym pod jął wątek: - Wraz z kilkoma detektywami z Waterford bę dziemy w najbliższych dniach odwiedzać okoliczne domy, więc jeśli coś się wam przypomni, informujcie. Oczywiście wszystko, czego się dowiemy, pozostanie ścisłą tajemnicą. Dziękuję.

Joe stał przed ladą w Tynan's, kupując „USA Today”, gdy na podłodze obok niego wylądowała sterta gazet. Zaskoczyła go znajoma twarz na pierwszej stronie egzemplarza „Evening Herald”, tuż pod nagłówkiem: „Żadnych śladów w sprawie zaginionej nastolatki”. Przykucnął, rozerwał taśmę i wyjął egzemplarz ze środka paczki. Kitty Tynan nie chciała przyjąć pieniędzy za gazetę.

- Nie marnują czasu, nieprawdaż? - powiedziała. - Mają nawet zdjęcie z poszukiwań. Nie wiedziałam, że tam byli.

- A ja widziałem fotografa - odparł Joe. - I reportera zadającego pytania. Niektórzy z nim rozmawiali.

- Jak zwykle nikt z najbliższej rodziny - stwierdziła Kitty.

- Jak zwykle - zgodził się Joe.

Poszedł na przystań i usiadł na ławce, by przeczytać artykuł o tragicznym zniknięciu uczennicy Katie Lawson oraz o zatroskaniu anonimowych sąsiadów.

Anna stała w kuchni, przy desce, na której siekała cebulę. Odłożyła na chwilę nóż, by popatrzeć na zachód słońca.

Joe wszedł, marszcząc brwi i obejmując żuchwę kciukiem i środkowym palcem. Po chwili zaczął masować obiema dłońmi okolice zatok.

- Znowu? - spytała Anna, odwracając się ku niemu.

Kiwnął głową i otworzył szufladę z lekarstwami.

- Tak być nie może - powiedziała, ruchem głowy wska-
zując na pigułki drażniące górne drogi oddechowe. -
Nikt nie bierze tych leków tak długo.

Joe wzruszył ramionami i łyknął drażniacze, a zaraz potem
dwie tabletki przeciwbólowe i spory haust wody. Stuknął
palcem w zegarek i kiwnął głową w stronę salonu. Po chwili
leżał już na kanapie, czekając, aż leki zaczną działać. W
ostatnim roku bóle przybrały na sile. Joe odwiedził paru
nowojorskich lekarzy, którzy kolejno zdiagnozowali u niego
zapalenie zatok, zapalenie ucha oraz typowe objawy stresu - te
ostatnie niemal bez namysłu, na wieść o tym, jaki zawód
uprawia. Pewien młody doktor zasugerował jogę, na co Joe
zapewne zareagowałby śmiechem, gdyby nie to, że bał się
zwichnięcia szczęki. Dostał więc recepty na środki
przeciwbólowe i był zadowolony. Anna wierciła mu dziurę w
brzuchu, domagając się, by odwiedził specjalistę w Dublinie, ale
jakoś nie mógł się na to zdobyć. Wykorzystywał za to każdą
przerwę w bólach jako argument przeciwko wyprawie do
stolicy.

Po półgodzinie wrócił do kuchni.

- Zapomniałem cię zapytać... O co właściwie chodzi temu
Millerowi?

- Johnowi Millerowi? - spytała Anna, wrzucając cebulę na
rozgrzaną patelnię.

- Tak, temu pijackowi - przytaknął Joe, próbując
roz-ćwiczyć szczękę ruchami w przód i w tył.

- A dlaczego pytasz? - rzuciła przez ramię, podchodząc do
okna.

- Bo poprzedniej nocy wygadywał do mnie jakieś bzdury w
Danaher's.

- Na przykład jakie? - spytała, krojąc czerwoną paprykę.

- Czepiał się mnie, wspominał o tobie. Znasz go czy co?

Anna spojrzała mu w oczy.

- To John - odrzekła cierpliwie. - Mówiłam ci o nim.
Spotykaliśmy się, kiedy byłam tu pierwszy raz.

- Ach tak - mruknął Joe. - I co się z wami stało?

- Ja wyjechałam do Nowego Jorku, a on trafił do Au-

stralii - odparła Anna. - A przy okazji, w nocy znowu zgrzytałeś zębami. Próbowalam cię obudzić, ale odwróciłeś się na drugi bok i dalej zgrzytałeś.

- Długo byłeś z tym Millerem?

- Osiem miesięcy.

- Ooo. Pewnie było ciekawie. Anna w milczeniu kroїła paprykę.

- Czy to ty wpędziłaś go w nałóg? Czyżby moje maleństwo złamało mu serce? - dopytywał się Joe, stając za jej plecami. Objął ją, przycisnął mocno i pocałował w kark.

Anna uśmiechnęła się.

- Chyba nie - odpowiedziała.

- A może jednak? - podpuszczał Joe.

- Mógłbyś przynieść merlot? - spytała.

- Jasne - odparł i ruszył w stronę piwnicy.

Anna odłożyła nóż, zamknęła oczy i odetchnęła głęboko.

Rozdział ósmy

Stinger's Creek, północne rejony środkowego Teksasu, rok 1978

Geoff Riggs leżał na wznak na brudnym dywanie, z prawą ręką pod głową. Szara koszulka zsunęła się na jego pierś, odsłaniając błądy, owłosiony brzuch. Donnie wbiegł do domu jak co dnia, zsunął worek z ramienia i rzucił go na podłogę. Przyklęknął przy ojcu i przyłożył ucho do jego piersi. Następnie uniósł mu powieki i spojrzał w oczy. Właściwie nie wiedział, czego szuka, co będzie naprawdę niebezpiecznym sygnałem. Przewrócił leżącego na bok, wstał i rozejrzał się. Telewizor grał, ale bez dźwięku. Danny odnalazł pilota i zwiększył głośność. Potem cisnął go w kąt, sięgnął po worek i wyszedł z powrotem na werandę. Geoff ocknął się po chwili, że zdrętwiała ręką i sztywnym karkiem. Powoli poruszył głową i przyciągnął ramię do tułowia.

- Hej - odezwał się Donnie, zaglądając do domu.
- Nie słyszałem, kiedy przyszedłeś - wymamrotał Geoff, przewracając się na plecy.
- To dlatego, że za głośno słuchasz telewizji - odparł Donnie, wyłączając odbiornik. - Zrobić ci coś?
- Kanapkę - odparł Geoff. - Z wołowiną.

Duke siedział przy wejściu do nadrzewnego domku, obserwując pajaka wędrującego po belce. Wyciągnął rękę i pozwolił mu wejść na dłoń, a potem przeniósł go na podłogę i obserwował jego ucieczkę w ciemny kąt.

- Jesteś tam? - zawołał z dołu Donnie.

- Właż! — odkrzyknął Duke. - Gdzie byłeś?
- W sklepie. A ty?
- U wujka Billa. Jego kumpel robił zdjęcia jastrzębi. Co masz w tym kartonie?

Donnie przyklęknął i rozejrzał się czujnie.

- Zobacz, co znalazłem na dnie szafy ojca - wyszeptał, zdejmując pokrywkę z pudełka po butach. Karton był pełen małych torebek. - Proch strzelniczy - powiedział.

Duke wybałuszył oczy.

- Spokojna głowa! Wiem, co robię - zapewnił go Donnie.
- A co właściwie chcesz zrobić?
- Spalić to, a co myślałeś?
- Tutaj? Może lepiej wysadzimy coś w powietrze jak trzeba!
- Wysadzimy, ale później. Najpierw chcę popatrzeć.

Donny wszedł na górę i ruchem ręki przykazał Duke'owi się cofnąć. Wysypał odrobinę prochu na drewnianą podłogę i zapalił zapalkę. Odwrócił głowę i zacisnął powieki, zbliżając płomień do prochu. Zapłon był natychmiastowy. Płomień buchnął efektownie, pokrywając czarnym nalotem dłoń, ramiona, policzek i pół szyi Donny'ego. Chłopak spojrzął szeroko otwartymi oczami na wielką dziurę w koszulce, a Duke zaczął się śmiać. Donnie zawtórował mu po chwili, mimo bólu. Żaden z nich nie zauważył, że w kącie zajęły się stare komiksy. Gdy dostrzegli ogień, było już za późno.

- Jasny gwint! - wrzasnął Donnie. - Mój domek!

Rozejrzeli się bezradnie, szukając czegoś, czym mogliby ugasić pożar, ale niczego takiego nie znaleźli. Płomienie z trzaskiem objęły suche belki i deski.

- Spadamy - zarządził Duke. - Zanim drabina się zajmie.

Uciekając przed ogniem, skoczyli na drabinę i zjechali na dół, prawie nie dotykając szczebli. Zatrzymali się pod drzewem, by popatrzeć, jak znika w płomieniach ich nadrzewna siedziba. Jaskrawe światło odbijało się w ich oczach; patrzyli na ogień jak zahipnotyzowani, póki konstrukcja nie zawałiła się, sypiąc w dół iskrami i na wpół zwęglonymi kawałkami drewna.

- O cholera - odezwał się Donnie. - Nie mogę się pokażać ojcu w takim stanie. Poza tym tak się namęczył, budując nam ten domek... Zabije mnie jak nic.

- Nie zabije. To był wypadek - odparł Duke.

Donnie spojrział na niego z ukosa.

- Pójdźmy do mnie. Przynajmniej umyjesz się trochę - zarządził Duke.

Gdy dotarli do domu, Wanda spała na kanapie. W łazience panował totalny bałagan; podłoga była usłana nieświeżą bielizną i brudnymi ręcznikami. Donnie napełnił umywalkę wodą, chwycił mydło i sięgnął po myjkę. Szorując czarny nalot, spojrział w lustro i zobaczył w swoich oczach łzy.

- O kurde, Duke. Kurde, kurde... Duke

poderwał się z brzegu wanny.

- Co jest? No, co?

Spojrział na Donniego i pod warstwą sadzy zobaczył silnie zaczerwienioną skórę pokrytą białymi pęcherzami. Szorstki materiał myjki rozdarł niektóre z nich. Donnie zaczął szorować ramiona i po chwili przekonali się, że i tu pełno pękających bąbli.

- Cholera - jęknął Duke. - Idę po mamę.

- Czekaj - zatrzymał go Donnie. - Musimy ustalić hi storyjkę.

Wanda próbowała rozmawiać z Geoffem Riggsem. Długie włosy związała z tyłu, by zasłaniały ciemną, tłustą plamę. Miała na sobie kamizelkę, ale nie nosiła biustonosza. Kołysała biodrami w krótko podciętych dzinsach.

- Dasz wiarę? - mówiła właśnie.

- Nie dam - wybełkotał Geoff. - Niesamowite.

Trzymał ręce w kieszeniach i kołysał się na piętach, stojąc na najniższym stopniu.

- Niesamowite.

- Lekarz mówi, że to poparzenia pierwszego i drugiego stopnia - wyjaśniła Wanda. - Możliwe, że w niektórych miejscach na twarzy i ramionach zostaną mu blizny.

Donnie wyglądał na przerażonego.

- O, przepraszam, Donnie. Nie powinnam o tym wspominać
- dodała natychmiast. - Ja tam jestem pewna, że będzie dobrze.

- Powiem ci jedno... jeśli znajdę tych gnojów z ogólniaka,
pogadam z nimi za pomocą strzelby.

Donnie zerknął ukradkiem na Duke'a.

- Szwendają się po okolicy i polują na biednych malców
- podchwyciła Wanda.

- Właśnie. - Geoff z trudem skupił wzrok na Donniem.
- Mogli ich tam spalić żywcem - dodał i znowu spojrzął na
Wandę. - Bardzo miło z twojej strony, że przywiozłaś go do
domu.

- Żaden kłopot - odparła Wanda, zbyt energicznie kręcąc
głową.

- Myślisz, że powinniśmy powiedzieć szeryfowi? - spytał,
wolno wspinając się po schodkach na werandę.

- Nie! - wyrwało się Duke'owi. Zawahał się, gdy wszyscy na
niego spojrzeli. - Nasz Pan... eee... to znaczy... grzesznicy...
eee... zapłacą za swoje winy.

Donnie parsknął z cicha.

- Co ty powiesz? - rzekł Geoff. - No, no, wychowasz so
bie pastora - dorzucił i zachichotał.

Wanda zawtórowała mu głośnym, pustym śmiechem.

Rozdział dziewiąty

Kawiarnię przepelniał zapach jajek na bekonie. Detektyw O'Connor siedział naprzeciwko Franka Deegana; na stoliku przed nim leżał otwarty notes elektroniczny. Pojawiła się młoda kelnerka o nerwowym uśmiechu, by przyjąć zamówienie, i zawisła na chwilę nad nimi, nim odeszła.

- Lepiej uważaj - poradził Frank. - Inaczej cała parafia będzie słuchać, co masz do powiedzenia.

- Zawsze tak jest - odparł O'Connor. - Sądysz, że Richie sobie radzi? - spytał, unosząc głowę. - Mam wrażenie, że został rzucony na głęboką wodę. Wczoraj wystawiał mandaty za złe parkowanie, łapał kieszonkowców i legitymował, a dziś... taka sprawa.

- Właściwie to każdy z nas doświadczył czegoś podobnego - zauważył Frank. - Sam nie wiem... Richie ma o sobie wysokie mniemanie. Jest poważny, jak na swój wiek, a przy tym trochę sztywny. Ale ciężko pracuje i myślę, że jeszcze nas pozytywnie zaskoczy.

- W porządku. Jest też... przejęty rolą.

- Chyba wiem dlaczego - odparł Frank. - Nie znam szczegółów tej historii, ale wiem, że jego kumpel z dzieciństwa, Justin Dwyer, utonął, gdy mieli po osiem czy dziewięć lat. Richie był wtedy przy nim. Robił co mógł, żeby go uratować, ale... - Frank potrząsnął głową. - Jeśli ktoś ma zadziałać w sprawie Katie, to właśnie Richie. Myślę, że nawet po tylu latach wciąż jest w nim poczucie winy i że nie będzie chciał przeżyć czegoś takiego po raz drugi.

O'Connor pokiwał głową.

- Zastanawiałem się nad zainteresowaniami Katie i ich ewentualnym związkiem ze sprawą. „Spędzanie czasu

z przyjaciółmi, czytanie, filmy, śpiew, muzyka, gry komputerowe" - odczytał z notatnika.

- Przyjaciele? - zastanawiał się głośno Frank. - Cóż, mamy ich zeznania. Czytanie? Chyba możemy odpuścić sobie ten wątek. Filmy? Mogła pojechać do kina w Waterford, ale nie o takiej porze, o jakiej widziano ją po raz ostatni. Śpiew i muzyka...

Może gdzieś odbywało się przesłuchanie i chciała spróbować swoich sił, a matka by jej nie puściła? Może wymyśliła sobie, że zostanie gwiazdą? Może ktoś jej coś obiecał, karierę... - wszedł mu w słowo O'Connor.

- Nie poszłaby na coś takiego.

- A gdyby namówił ją ktoś, kogo znała?

- Nie wierzę. Niby kto?

- Ktokolwiek. Czyjś brat, kuzyn, przyjaciel...

- Śpiewała na mszy, w grupie folkowej - wyjaśnił cierpliwie Frank. - I na szkolnych koncertach. Nie była żadną Tiną Turner. - Wyciągnął się na krześle i zarzucił ręce za głowę.

Kelnerka powróciła, niosąc dzbanek z herbatą i kubki, które postawiła na stoliku.

- Dzięki - powiedział O'Connor. Niespiesznie zmrużył i otworzył oczy. - A Internet? - spytał. - Może poznała kogoś w sieci i pojechała na spotkanie?

Frank pokręcił głową. Detektyw wzruszył ramionami.

- Miała szesnaście lat, takie dziewczyny łatwo zdobyć pochlebstwami.

- Może, gdyby nie to, że była ładną, inteligentną i szczęśliwą dziewczyną, która spotyka się z atrakcyjnym chłopakiem.

- Niektóre lubią odrobinę tajemniczości...

- Ale nie Katie.

- Myślę na głos i prawdę mówiąc, nie chodzi mi o to, żebyś odpowiadał na każde moje pytanie. Wiem, że dobrze znasz te dzieciaki, ale też wątpię, by informowały cię o wszystkim.

- Nie muszą. I tak znam je na wylot, i to od lat.

- Podrzucam tylko pomysły, to wszystko.

-Możesz porozmawiać osobiście z przyjaciółmi Katie... przede wszystkim z Ali Danaher i Robertem Harringtonem, ale najprawdopodobniej usłyszysz od nich to samo. Nie szukaj na siłę zagadek. Katie była taka, jaką ją znaleźliśmy.

- Cóż, w takim razie zostają narkotyki, ciąża...

Frank znowu potrząsnął głową.

- Niestety, moim zdaniem mamy tu coś znacznie gorszego. Minęły dwa tygodnie...

O'Connor nie odpowiedział. Po chwili sięgnął po palmtopa i przesunął wskaźnikiem po ekranie.

- Więc nadal sądzisz, że samobójstwo...

- Nie jest i nigdy nie było sensowną hipotezą - zapewnił go Frank. - Zdarzały się w mojej karierze zaskakujące samobójstwa, ale daję głowę, że nie o to chodzi w tej sprawie. Katie Lawson nie targnęła się na własne życie. Obawiam się, że ktoś ją skrzywdził.

Shaun wpatrywał się w przestrzeń. Robert siedział przed telewizorem, grając w Spidermana. Anna zajrzała do pokoju.

- Idę do Marthy! - zawołała.

- Cholerne rzucanie siecią - warknął Robert.

Shaun nie musiał patrzeć, by wiedzieć, że jego przyjaciel szarpie sterownikiem na wszystkie strony.

- Przecież wiesz, że to nie pomoże - powiedział.

- Przymknij się - odparł Robert. - Jestem na tym poziomie ósmy raz. Ósmy!

- Daj mi to. - Shaun sięgnął po sterownik. - Musisz zrobić tak.

Płynna sieć wytrysnęła z nadgarstków Spidermana, przenosząc go szybko z budynku na budynek. Wreszcie człowiek-pająk obrócił się w powietrzu, by zgarnąć unoszącą się w powietrzu między drapaczami chmur dodatkową porcję energii.

- Nie pomogłeś mi - stwierdził Robert. - Nie mam pojęcia, co przed chwilą zrobiłeś.

Shaun rzucił mu instrukcję, nie przerywając gry.

Ali Danaher ze zdziwieniem stwierdziła, że czuje strach, prowadząc detektywa O'Connora do salonu. Przysiadła na sofie, a policjant zapadł się w stary fotel stojący obok i zaraz wrócił na skraj siedziska. Z trudem ukryła uśmiech.

- Wiem, że zadano ci już mnóstwo pytań - zaczął O'Connor, szukając wygodnej pozycji na krawędzi fotela - ale chciałbym wyjaśnić jeszcze parę spraw, poukładać je sobie w głowie. Otóż próbuję poznać charakter Katie. Jaka ona jest?

- Uroczą.

- Naprawdę?

- Tak. To jedna z tych rzadko spotykanych lal, które nie zdają sobie sprawy ze swojej piękności. Ma też mózg na swoim miejscu... i dlatego się zastanawiam.

- Nad czym?

- Dlaczego zniknęła.

- Masz jakąś teorię na ten temat?

- Nie. I nie mogę się doczekać wyjaśnienia - odparła Ali, uśmiechając się kwaśno.

- Czy Katie była impulsywna?

- Czasem. Ale nigdy nie działała pochopnie, jeśli o to panu chodzi.

- Nazwałabyś ją ekstrawertyczką?

- Powiedzmy. No, nie była nieśmiała, ale też nie przesadnie bezpośrednia.

- Sądziysz, że podjęłaby rozmowę z nieznanymi ludźmi?

- Ja taka jestem. A ona gada z tym, z kim ja zaczął gadać.

- Tu, w Mountcannon?

- W Mountcannon nie ma nieznanomych. Mówię o naszych wycieczkach do miasta.

- Czy twoim zdaniem Katie jest łatwowierna?

- A czy inteligentni ludzie bywają łatwowierni?

- Korzysta z Internetu?

- Tak, chociaż niezbyt często.

- Jakie strony odwiedza?

- Zwykle te dla piromanów amatorów.

O'Connor czekał cierpliwie.

- Z muzyką, horoskopami, sprawami szkolnymi, rozrywką, repertuarem kin - wylczyła po chwili Ali.
- A bywa na czatach?
- Faj. Czaty są dla świrów. Jasne, że nie.
- Na pewno?
- Cóż, nie spędzam z nią każdej minuty życia, ale bardzo wątpię, żeby odwiedzała takie miejsca. Za wiele czasu spędza z żywymi, prawdziwymi przyjaciółmi - dodała, wskazując na siebie. - Aaa, już wiem, podejrzewa pan, że związała z jednym z tych obleśnych staruchów z netu? - Ali roześmiała się. - O, nie. Nie ona.
- Czy Katie lubi flirtować?
- A widział pan jej chłopaka?
- Mam rozumieć, że jest mu wierna?
- Dla ścisłości, on nie jest w moim typie, ale tak, była. Można założyć, że większość normalnych dziewczyn byłaby absolutnie szczęśliwa z kimś takim jak Szczęściarz.
- Czy łatwo ją kupić komplementami?
- Nie. Nie znosi pochlebstw.
- Czy sprawiała ostatnio wrażenie przygnębionej?
- Nie. Do czego pan zmierza?
- Ja tylko zadaję pytania. Jeszcze kilka, dobrze? -O'Connor zajrzał do notesu. - Tak... Jako córka właściciela lokalu, zapewne masz dostęp do...?
- Brudnych naczyń? - spytała Ali, patrząc mu w oczy.

O'Connor odwzajemnił spojrzenie.

- Miałem na myśli raczej alkohol.
- No chyba - mruknęła, przewracając oczami.
- Proszę cię, to już nie potrwa długo.

-W barze zajmuję się tylko jednym... zmywaniem naczyń. Zbieram je ze stolików i wylewam resztki, podziwiam aromat zwietrzałego piwa, wrzucam je do zmywarki, włączam ją, ścieram blaty, czekam, aż naczynia będą czyste, otwieram zmywarkę, wygrzewając przyszcze nad parą, wyjmuję wszystko i ustawiam na półkach. Ach, właśnie, teraz rozumiem związek między moim zajęciem a zniknięciem Katie: pucuję szklane kufle; może to one są lustrem, przez które Katie weszła do Krainy Czarów?

- Nie jesteś zbyt pomocna, jak na najlepszą przyjaciółkę zaginionej.

- To dlatego, że ona wróci.

- Skąd ta pewność? Czyżbyś o czymś wiedziała?

- Nie chodzi o to, co wiem, tylko o to, kogo znam. Otóż znam Katie i mówię panu, że ona nie jest jedną z tych, co uciekają z domu i nie wracają.

- Hmm... Palisz trawkę, prawda?

- Słucham? - Ali spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Słyszałaś przecież. Prawda?

- Skoro pan o tym mówi, to pewnie już wie.

- Wiem. A Katie paliła?

- Nie. - Dziewczyna parsknęła śmiechem. - Jasne, że nie.

- Na pewno?

- Na pewno. Jest moją najlepszą kumpelką, więc bym wiedziała.

- A czy kiedykolwiek prosiła cię o prochy?

- Na okrągło. Jestem znaną dilerką. Feminaksu.

- Czy mogłabyś, proszę, traktować tę sprawę nieco poważniej?

- Oczywiście. Katie nigdy nie wzięłaby narkotyków.

- Ale akceptowała twoje zamiłowanie do trawki?

- A cóż to za pytanie? Mamy po szesnaście lat. Przyjaźnimy się. Nie musimy wzajemnie akceptować tego, co robimy.

- Nie - przyznał cierpliwie O'Connor. - Chciałem tylko wiedzieć, jakie jest jej zdanie o narkotykach.

- Niech pan posłucha... mówiłam już o tym wszystkim Frankowi. Ta sprawa nie ma nic wspólnego z narkotykami - powiedziała z naciskiem Ali. - Absolutnie nic. Katie ma neutralne podejście do tego tematu, jasne? Nie darzy prochów żadnym uczuciem. Nie grają żadnej roli ani w jej życiu, ani w jej zniknięciu. A ja, owszem, popalam od czasu do czasu, ale nie jestem ćpunem. Katie nie wpadła też w złe towarzystwo. Zapewniam, że nie siedzi teraz w jakimś tajnym magazynie, przeładowując transport koki. Jesteśmy zwyczajnymi dziewczynami z wiochy. Jedna z nas lubi czasem sztachnąć się trawką, ale żadna z nas w życiu

nie miała kontaktu z kimś bardziej niebezpiecznym niż... niż...
Widzi pan? Nie umiem nawet wymienić nazwiska
niebezpiecznego człowieka, z którym miałybyśmy styczność.
Jezu, ależ to świadczy o tym naszym cichym życiu pod
kloszem...

- To bardzo dobry układ.

- Proszę, niech mnie pan nie uświadamia. „Świat to
straszne miejsce i mamy szczęście, że...”

- W rzeczy samej. Macie szczęście. A świat zewnętrzny
naprawdę bywa ponury.

- Ten wewnętrzny jest za to dość nudny. Dzięki Bogu, że
Katie trochę go rozruszała.

- Sądzisz, że zrobiła to, żeby zwrócić na siebie uwagę?

- Na miłość boską -jęknęła Ali, dramatycznie przewracając
oczami. - Założę się, że miał pan dziesięć na dziesięć w teście na
zajęciach z interpretacji dosłownej.

O'Connor spojrzał na nią bez słowa.

Uniosła rękę.

- Zanim się pan odezwie... tak, wiem, że nie miał pan
takich zajęć.

Anna delikatnie odstawiła filizankę na spodek i odwróciła
się w stronę Marthy.

- Pamiętam, że sama kiedyś uciekłam - powiedzia
ła. - Zapakowałam rzeczy w małą torbę, zostawiłam list
do rodziców i pojechałam autobusem do Paryża. Spotka
łam przyjaciółkę, poszłyśmy do McDonalda i wypłakałam
się jej. A ona opowiedziała mi, że matka bije ją i jej bra
ci. Wtedy zrozumiałam, jaka jestem głupia. Rodzice mnie
kochali, miałam cudowny dom. I tak naprawdę chciałam
tylko spróbować, jak to jest, rozwinąć skrzydła. Pragnęłam
posmakować niezależności, ale gdy ją znalazłam, od razu
poczułam, że wolę wrócić do domu.

Martha uśmiechnęła się i ucisnęła jej rękę.

- Jestem pewna, że i tym razem tak to się skończy,
Martho. Dziewczyna próbuje być niezależna. Wie, że ją ko
chasz, że ma dobry dom, ale też ma szesnaście lat i wydaje
jej się, że jest już gotowa. Wkrótce się przekona, że to nie
prawda.

- Dzięki - odpowiedziała Martha. - Mam nadzieję, że tak będzie - dodała, składając i rozkładając chusteczkę. - Wiem, że byłam dla Katie surowa. Tak długo zabraniałam jej spania u koleżanek, późnych powrotów do domu, umawiania się z chłopakami... Oczywiście przestałam, gdy poznała Shauna. Nie powiedziałam jej o tym, ale raz zobaczyłam ich, jak wracali razem ze szkoły, i od razu wiedziałam, że nie mam szans ich rozdzielić.

Anna uśmiechnęła się.

- Rozumiałabym, gdyby uciekła z takiego powodu, gdybym zabroniła jej spotykać się z Shaunem. Ale żeby tak... Nie mam pojęcia, co się dzieje. - Martha umilkła na chwilę. - Jesteś pewna, że on nic nie wie?

- Oczywiście - odparła Anna. - Powiedziałby nam. Jest załamany. Na pewno nie trzymałby tego w sobie.

- Wiem - przyznała Martha. - Przepraszam, ale musiałam...

- Nie szkodzi.

Martha znowu się uśmiechnęła i wyszła do kuchni po herbatę.

Anna usadowiła się wygodniej na kanapie i odetchnęła głęboko. Nie wyczuwała w Katie niczego, co mogłoby skłonić ją do ucieczki. To nie była dziewczyna żadna przygód; życie było dla niej na tyle łaskawe, że nie musiała zniknąć.

Zadzwoił telefon. Martha upuściła tacę z czajniczkiem i gorąca herbata ochlapała jej nogi. Nie bacząc na to, podbiegła do aparatu. Po chwili Anna usłyszała jej powolną odpowiedź.

- Nie. Na pewno dzinsy, Frank. Takie szerokie. Tak, reszta się zgadza. Tak.

Martha odłożyła słuchawkę i przygarbiona wróciła do salonu.

- W tamtą niedzielę ktoś widział przy drodze dziewczynę w różowej bluzie z kapturem, ale w spodniach dresowych. Chcieli się upewnić, czy nie mam wątpliwości co do ubrania Katie. - Martha usiadła. - Rozumiem, że muszą sprawdzać takie detale, ale z drugiej strony... Wiesz, za każdym razem, gdy dzwoni telefon, omal nie dostaję za wału.

Anna spojrzała na mokre zacieki na jej nogach.

- Nic mi nie jest - powiedziała Martha. - Moja matka potrafiła gołymi rękami wyciągać jajka z wrzątku. Czasem wsadzała też ręce do piekarnika, żeby wyjąć kielbaski. Ko biety w mojej rodzinie są odporne.

Nagle zaczęła płakać. Anna podała jej chusteczkę, przysiadła na podłokietniku fotela i łagodnie objęła ją ramieniem.

- Zabawne, jak niewiele wiemy o ludziach - powiedziała Martha, wycierając nos. - Znasz może Johna Millera? Był kiedyś w mojej klasie. Uroczy chłopak, miły, wprost czaru jący. Wszystko by dla ciebie zrobił... Po szkole wyjechałam do Londynu i wróciłam parę lat później. Dowiedziałam się, że wyjechał do Australii. Podobno żona wykopała go z do mu, bo ją bił. Powiedziała mi o tym jego matka. Szeptła w supermarkecie, jakby była u spowiedzi. Znałam Mae Miller całe życie i wiedziałam, jaka jest skryta. Nigdy nie opowiadała o swoich sprawach. A tu nagle zwierza mi się, w dość przypadkowych okolicznościach, z takich spraw... - Martha potrząsnęła głową. - Z ludźmi nigdy nic nie wiadomo. Każdy może nas zaskoczyć.

Anna poczuła wstyd na myśl o tym, że intymny związek połączył ją niegdyś z mężczyzną, którego stać było nawet na brutalność wobec kobiet. Dawno pogrzebany w pamięci obraz pojawił się nagle przed jej oczami: była pod nim, leżała z rękami nad głową, a on przyciskał je do posłania. Obraz wzbudził w niej obrzydzenie, głównie dlatego, że dostrzegła w nim uśmiech na swojej twarzy.

- O mój Boże - powiedziała Ali, zbiegając po schodkach do pokoju Shauna. - Katie jest moją wielką dłużniczką.

- Dlaczego? - spytał Shaun.

- Za to, czego miałam wątpliwą przyjemność doświadczyć. Kojarzysz tego detektywa, który prowadzi śledztwo? Wpadł do mnie na pogawędkę. I nie było źle aż do chwili, kiedy powiedział: „Wiem, że palisz trawkę”. Mało się nie porzygałam.

- Ooo. I co ty na to?

- Mówię mu: dobra, ale nie jestem ćpunką, co z powodu

zrostów pompuje prochy w krocze, gdzieś w budce telefonicznej... Jezu.

Shaun pokręcił głową.

- To jakiś koszmar.

- Zdaje się, że oni podejrzewają Katie o udział w jakichś ciemnych interesach. Dziwaczna teoria. Śmiałybym się z tych głupot, gdybym się tak nie bała. Gliniarz mówił też o zbokach z Internetu. - Ali potrząsnęła głową. - Ar-boretum.

- Co takiego? - zainteresował się Robert.

- Szczekają pod niewłaściwym drzewem. — Ali rzuciła się na kanapę i jęknęła: - Gdzie jesteś, Katie, niegrzeczna dziewczyno?

Joe zapukał cicho do drzwi i zszedł na dół.

- Kto wygrywa? - zapytał.

- Wszyscy oprócz Roba - odparł Shaun.

- Dzień dobry, panie Lucchesi - powiedziała Ali, uśmiechając się szeroko. Uniosła się nieco na łokciach.

- Cześć, Ali. Ładny kolor włosów.

- Czerń granatu.

Joe przysiadł na brzegu łóżka.

- Jak sobie radzicie? - spytał.

- Nie najgorzej - odrzekł Robert. - Chociaż wszystkim nam jest ciężko... - Skrzywił się, spoglądając na Shauna. - Jesteśmy trochę zszokowani. Nie wiemy, co Katie wykombinowała.

Shaun odłożył sterownik i wyszedł z pokoju.

- O Boże - powiedział Robert. - Ja nie chciałem...

- Nie przejmuj się - uspokoił go Joe. - To nie twoja wina. Powiedzcie mi lepiej, co robiliście tamtego wieczoru, gdy Katie...

Pierwsza odezwała się Ali.

- Wstyd się przyznać, ale siedziałam w domu i odrabiałam lekcje. W piątkowy wieczór... - dodała, kręcąc głową.

- Robert?

- Ja... byłem na przystani.

- Ach tak. Z Katie i Shaunem?

- Nie, z Kevinem i Finnem. Byliśmy przy kutrze ratunkowym, a Katie i Shaun na przeciwległym końcu.

- Ach tak. Nie widzieliście, jak odchodzili?
- Kto odchodził? - spytał Shaun, stając w drzwiach z torbą tortilli.
- Ty i Katie. Wtedy, wieczorem - wyjaśnił szybko Robert.
- Ja tylko zastanawiam się na głos - zastrzegł Joe.
- Raczej przesłuchujesz na głos - mruknął Shaun.
- Wstając, Joe wypatrzył coś na dłoni Roberta.
- Gdzieś się tak podrapał?
- Robert zaczerwienił się.
- Grając w piłkę. Oferma ze mnie, wpadłem na słupek. Joe kiwnął głową. Oczy Shauna błyszczały gniewem.
- Tato, próbujemy grać. - Widząc brak reakcji ojca, warknął:
- Nie rozumiesz?
- Rozumiem - odparł Joe i wyszedł.

Duke Rawlins kręcił się po małym sklepie spożywczym, sięgając po produkty, czytając etykiety i odkładając je z powrotem na półkę. Dwie nastolatki obserwowały go zza lady. Po długiej chwili podszedł do nich.

- Miłe panie, co tu się jada?
- Spojrzały po sobie i zachichotały.
- Jak to? - spytała jedna z nich.
- No, wiecie... co byście mi poleciły. Jakie jest wasze ulubione danie?
- Ach tak - odpowiedziały jednocześnie. - Makaron.
- Obie lubicie makaron?
- Tak. Wszyscy lubią. Dam panu dobry - powiedziała drobniejsza. Podeszła do lodówki i wyjęła dwie paczki gotowego penne z pomidorami i czosnkiem. - Proszę! - zawołała, rzucając jedną z nich w stronę Duke'a.
- Nie złapał.
- Przepraszam - zachichotała. Podeszła bliżej i podała mu drugą paczkę.
- Położył je na ladzie.
- Jeszcze dwie butelki coli - poprosił. - i butelkę czerwonego wina.
- Powie pan dziewczynie, że sam ugotował? - spytała jedna z ekspedientek.

Roześmiał się.

- O cholera - wtrącił nagle. - Przecież nie mam ku
chenki.

Dziewczyny wymieniły spojrzenia.

- Dziwne - stwierdziła jedna z nich. - W takim razie
podgrzeję panu w mikrofalówce i owinę w folię aluminiową.

- Dzięki.

- Tylko że tego już pan przed nią nie ukryje - dodała.

Uśmiechnął się do niej.

O'Connor stał w biurze Franka, trzymając ręce w kieszeniach
i gapiąc się przez okno na przystań.

- Ali Danaher - powiedział.

- Aha - mruknął Frank.

- Mówię ci, za moich czasów tak nie było - wyznał de-
tektyw, odwracając się z uśmiechem. Frank zauważył, że jego
oczy po raz pierwszy spoglądały jasno, bez oznak zmęczenia.
O'Connor potrząsnął głową. - Gdybym kiedyś rozmawiał w taki
sposób z dorosłym, miałbym poważne kłopoty.

- Miałeś infekcję oczu? - spytał Frank.

- Słucham? A, chodzi ci o to, że były zaczerwienione? Nie,
to od szkieł kontaktowych. Cwaniara z tej Ali, co? Tak czy
inaczej, wykluczyła wszystkie możliwości: alkohol, narkotyki,
Internet... Wszystko niemożliwe.

- Próbowałem ci to powiedzieć - zauważył Frank. - Nie ma
sensu dopasowywanie nowoczesnych teorii do tak sta-
roświeckiej dziewczyny jak Katie. To tak, jakbym ja miał
zacząć nosić szkła kontaktowe - dodał, unosząc okulary.

Joe bacznie się przyglądał wymiętej mapie turystycznej
przedstawiającej okolice Mountcannon. Zaznaczono na niej
przystań, kościół, bary, dwie restauracje i kawiarnię, a także
malowniczą drogę wiodącą wzdłuż wybrzeża, opodal latarni, i
dwie inne wychodzące z wioski - jedna kończyła się ślepo, a
drugą można było dotrzeć do Waterford. Zazaczył czarnym
ługopisem przystań i dom Katie. Wykluczył drogę widokową,
którą Katie mogła jedynie oddalić się od domu, i skupił się na
dwóch pozostałych - Upper

Road i Church Road, których łuki spotykały się przy prostej Manor Road, tworząc nierówne półkole. Zanotował coś na wąskim, białym marginesie, złożył mapę i wcisnął ją do wewnętrznej kieszeni kurtki. Pojechał samochodem do szkoły, zaparkował i ruszył piechotą w stronę skrzyżowania na skraju wioski. Idąc w lewo, pod górę, dotarłby do domu Katie, tą samą trasą, którą pokonywała codziennie. Droga w prawo doprowadziłaby go w to samo miejsce, ale dłuższą trasą: przez Church Road, Mariner's Strand i Wa-terford Road. Joe pomyślał, że jeśliby Katie skręciła w lewo przy kościele, mogłaby dojść do Upper Road i dalej w lewo, do domu.

Ruszył pierwszą trasą, rozglądając się uważnie. Za zakrętem zobaczył dom Grantów, gdzie mieszkał Petey z matką. Nim doszedł do posesji Katie, zawrócił w stronę skrzyżowania. Teraz podążył w przeciwnym kierunku, z górki, idąc wąską ścieżką na skarpie nad Church Road. Od strony przesmyku Mariner's Strand zabezpieczał ją niski murek. Joe spojrział w dół, na szarą toń wody, niskimi falami wylewającą się na plażę. Po chwili popatrzył w lewo, na drugą stronę ulicy, gdzie znajdował się stary cmentarz i kamienny kościółek. Zatrzymał się. Wiedział już, czego potrzebuje.

O'Connor wyłonił się z ciasnej kuchni posterunku, niosąc dwa kubki z kawą. Postawił jeden na biurku Franka, a z drugim podszedł do okna. Wziął solidny łyk.

- Zastanawiam się, Frank, czy nie jesteś za blisko całej tej dzieciarni.

- Co takiego?

- To jasne - ciągnął detektyw, obracając się - że twoja pomoc jest bardzo cenna, ponieważ znasz okolicę, ludzi i tak dalej. Ale czy nie wydaje ci się, że twoja ocena może być nieco subiektywna?

- Nie - odparł Frank, spokojnie, ale z godnością.

Żelazną bramkę cmentarną zamknięto luźną pętlą brudnej linki holowniczej, którą Joe zdjął bez wysiłku. Drobinę żwiru chrzęściły pod jego butami, gdy szedł alejkami wśród

grobow. Wreszcie zapadła cisza, gdy wspiął się na trawiasty pagórek ze skromną, zadbaną mogiłą.

MATTHEW LAWSON

1952-1997

ukochany mąż Marthy
i oddany ojciec Katie.

Na grobie leżała zwiędła biała róża.

Frank wstał, dając O'Connorowi sygnał, że pora iść. Atmosfera w biurze wydawała mu się naładowana, a nie miał energii, by się zmagać ze stresem. Rozumiał, że to, o czym mówi detektyw, zapewne przyszloby do głowy każdemu, kto znalazłby się w jego położeniu. Dziwiło go tylko, że O'Connor uznał za stosowne wyrazić na głos swoje wątpliwości.

Idąc przez wioskę, Joe czuł coraz mniejszą satysfakcję z odnalezienia tropu Katie i coraz silniejszy lęk. A jeśli róża na grobie nie była prezentem dla ojca? Może była deklaracją? Ojciec dziewczyny nie żył, więc może planowała... Joe pokręcił głową. W swym negatywnym podejściu do świata nie oszczędzał nikogo.

Siedząc w samochodzie, O'Connor patrzył, jak Frank z rękami w kieszeniach przechodzi na drugą stronę ulicy i ze spuszczoną głową kieruje się w stronę Danaher's. Przypuszczał, że tego dnia doskonale dopasował się do tego, czego oczekiwał po najmłodszym DI w kraju stary Frank. Próbował przekonać sam siebie, że powiedział tylko to, co naprawdę musiał powiedzieć.

Joe usiadł na ławie obok Franka i rozłożył na stoliku mapę Mountcannon.

- Słuchaj - zaczął. - Byli tutaj. A to są drogi, którymi można się wydostać z wioski.

Frank zmarszczył brwi.

Richie wrócił z toalety.

- Facet chyba żartuje - rzucił. - Co to ma znaczyć?
- Richie... - odezwał się Frank.
- Próbuję tylko ustalić, dokąd Katie mogła pójść w tamten piątek - wyjaśnił Joe.

- Dlaczego? - spytał Richie.
- Bo wydaje mi się, że wiem.
- Nic nie wiesz - odparł Richie. - Po pierwsze, odwróć sobie tę mapę i spójrz na datę wydania. Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt cztery. To zabytek, nie mapa. Połowa obiektów...

- Wykreśliłem i dorysowałem co trzeba - przerwał mu Joe.

Richie spojrział na mapę i na staranne notatki sporządzone wielkimi literami na marginesie arkusza. Zerknął na Joego z rozbawieniem.

- Tak czy inaczej, nie twoja sprawa - powiedział. - Spokaliśmy się tu z Frankiem prywatnie, więc jeśli możesz...

- Popatrzcie na to chociaż przez chwilę. Jak sądzicie, czy poszła...

- Tylko dlatego wiesz cokolwiek o naszym śledztwie, że przyjaźnisz się z Marthą Lawson. To, o czym ona cię informuje lub nie, nic mnie nie obchodzi. Moją sprawą jest jednak to, że ty najwyraźniej poczułeś się uczestnikiem dochodzenia. Dobra, byłeś kiedyś detektywem w Nowym Jorku. A ja pracowałem kiedyś w barze, wiesz? A jednak jakoś nie nalewam ludziom piwa.

- Richie, zaginęła dziewczyna - odezwał się Joe.

- Zgadza się, dziewczyna twojego syna. Wiem o tym. I dlatego powinieneś być wdzięczny, jeśli śledztwo zostanie przeprowadzone w stuprocentowej zgodności z procedurą.

- Chcę tylko pomóc...

- Wam, aroganckim jankesom, wiecznie się wydaje, że możecie zbawić świat - odparł Richie.

Rozdział dziesiąty

Stinger's Creek, północne rejony środkowego Teksasu, rok 1982

- Czuję, że moje małeństwo skopie dziś komuś tyłek - powiedziała Wanda. - Pierwszy sportowiec w klanie Rawlinsów.

Duke przewrócił oczami.

Wanda wysiadła z pikapa i wygładziła długie, marszczone nogawki dzinsów, sięgające żółtych pantofli na wysokim obcasie. Spojrzała na syna, od pasa w dół ubranego w futbolowy kostium.

- Ślicznie wyglądasz, skarbie - powiedziała.

Wzruszył ramionami i podniósł z podłogi wozu resztę ekwipunku. Włożył naramienniki i bluzę.

- Kuguary. Numer pięćdziesiąt osiem - przeczytała Wanda. Po raz pierwszy widziała futbolowy strój Duke'a. -To na czym ma polegać twoje zadanie? Za co zapłaciłam trzydzieści dolców?

- Mam rzucać piłkę do tyłu między nogami i pilnować, żeby obrona przeciwnika nie wymłóciła naszego rozgrywającego.

- To wspaniale, skarbie. Będę cię podziwiać - dodała, wskazując palcem na jego pierś.

Spojrzenie Duke'a zatrzymało się na rodzinie w odświętnych ubraniach. Ojciec stał za plecami syna, z uśmiechem zaciskając mocne dłonie na jego barkach.

- Skarbie, popatrz tylko, jakie śliczne cheerleaderki! - zawołała Wanda.

W kącie parkingu grupa nastolatków w granatowych szor-

tach i kusych koszulkach z emblematem białego kuguara stała kręgiem, ćwicząc układ taneczny. Obok nich smutna blondynka przeżyła się na jednej nodze, drugą wyginając do tyłu tak, że nieomalże dotykała stopą ramienia. Inne dziewczyny podskakiwały w miejscu i ćwiczyły szpagaty; z ich twarzy ani na chwilę nie znikaly szerokie, statyczne uśmiechy. Duke odwrócił się ku matce, w podobnie dziwaczny sposób wykrzywiając usta. Wanda zmarszczyła brwi.

- Przestań, skarbie - powiedziała, trzepiąc go w ramię.

Dwaj mężczyźni stali w chmurze tytoniowego dymu przy wejściu na stadion, śmiejąc się do rozpuku.

- Albo „Wanda Obciągnij”?

- Może „Wanda Spuść-Na-Twarz”?

- Z moją Glorią to najwyżej „Wanda Potrzyмай”.

Ryknęli jeszcze bardziej hałaśliwym śmiechem, wzajemnie klepiąc się po plecach. Umilkli, gdy Duke wszedł między nich, wbił małe, twarde dłonie w ich brzuchy i ro-zepchnąwszy ich na boki, nie zwalniając kroku, wszedł na stadion.

- Czołem, kolesie - rzucił przez ramię.

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

- Dwunastolatek - powiedział jeden z nich, kręcąc z dez-aprobatą głową.

- Autentyczny skurwysynek.

Duke udał się wprost na stanowisko ważenia, a potem usiadł na ławce z matką i Geoffem Riggsem, by popatrzeć na ostatnie minuty meczu Mikrusów. Po chwili z boiska zbiegł Donnie, zziąjany i rumiany z wysiłku. Mokre od potu włosy zwisały mu w grubych strąkach.

- Szkoda, żeście go dziś nie widzieli - powiedział Geoff.

-Nalatał się za piłką na tych swoich cherławych nóżkach.

-Przeciagnał dłonią po ogolonej głowie, odsłaniając mokre pachy. Z przepoconego bezrękawnika powiało nieznośnym smrodem.

- Gratulacje, Donnie - powiedziała Wanda, odsuwając się mimowolnie. - Bohater Karzełków.

- Donnie gra w Mikrusach - wtrącił Duke. - Ja w Ka rzełkach.

Wanda uśmiechnęła się do Geoffa. -Duke na pewno zaliczy dziś przyłożenie... Prawda, skarbie?

Duke przewrócił oczami.

- Jasne, mamó. Jeśli tylko jakimś cudem zmienię się w rozgrywającego.

Donnie wybuchnął śmiechem.

- Musimy lecieć - rzekł Geoff. - Powodzenia, Duke.

- Dzięki.

Duke chwycił kask i zostawił matkę na trybunach. Pięć rzędów przed nią, w sąsiednim sektorze, rodzice gawędzili wesoło, raz po raz wskazując na swe pociechy rozgrzewające się przy linii bocznej. Wanda skupiła się na własnych stopach, a ściślej na masowaniu różowych wgnieceń, które je szpeciły. Wykrzywiła kostki, by przyjrzeć się świeżym, czerwonym strupom na piętach. Wyciągnęła rękę i wbiła paznokieć w twarde, suche ciało, by oderwać jeden z nich. W tym momencie stanęła przy niej Crystal Buchanan. Miała sztywną blond fryzurę i makijaż stewardesy; niosła termos z kawą i dwa plastikowe kubki. Usiadła obok.

- Cześć, Wanda - powiedziała, uśmiechając się. - Duke dzisiaj gra?

Wanda spojrzała na nią z zaciekawieniem. - Wiem, że jesteś dobrą katoliczką... - zaczęła. Uśmiech Crystal zamarł.

- ...Aleja nie jestem twoją cholerną Marią Magdaleną.

- Chciałam być miłą - odparła Crystal.

- O, nie. Nie kupuję takiego tekstu - oświadczyła Wanda, patrząc prosto przed siebie. - Raczej jak zawsze próbowałam ratować sponiewieranych. Starych, upośledzonych i kurwy. Crystal Buchanan, nasza Pani i Zbawicielka.

Crystal wstała.

- Tobie naprawdę nikt nie pomoże.

- To jasne jak kryształ - odparła Wanda. - Aha, pozdrów ode mnie pana Buchanana.

Wanda nigdy w życiu nie spotkała pana Buchanana, ale nienawistne spojrzenie dobrej kobiety sprawiło jej niemałą

frajdę. Skierowała wzrok z powrotem ku boisku, na którym Dzielni właśnie rozpoczęli mecz. Środkowy rzucił piłkę do rozgrywanego i natychmiast zablokował jednego z obrońców. Rozgrywający ruszył sprintem, ale inny, masywnie zbudowany obrońca powalił go na ziemię i piłka potoczyła się po murawie. Gwizdek sędziego zatrzymał grę. Po chwili mecz wznowiono; w walce o piłkę młodzi zawodnicy raz po raz lądowali na ziemi, ale zaraz podnosili się z gęszczu splątanych ciał.

W połowie meczu Wanda spojrzała na tablicę wyników. Kuguary prowadziły jednym punktem. Wypatrzyła na boisku Duke'a, który na ugiętych nogach pochylał się właśnie nad piłką. Koledzy z drużyny otaczali go z obu stron.

- Na drugi „hut”! - wrzasnął rozgrywający. - Niebieski! Czerwony! Hut! Hut!

Duke cisnął piłkę między nogami. Obrońca w sekundę odepchnął go z drogi i rzucił się na rozgrywanego, odbierając mu piłkę. Wszyscy skoczyli w jego stronę i znowu rozległ się gwizdek. Rozgrywający popatrzył na Duke'a.

- Popisałeś się... pieprzony przygłupie.

Duke nie słuchał go jednak, skupiony na oddalającym się obrońcy. Ruszył za nim, z dużą szybkością, pochylony, mierząc kaskiem w nerki.

- Naprzód, Dukey! - krzyknęła Wanda, ale zaraz zrozumiała swój błąd. Rodzice z sąsiednich ławek spojrzeli na nią krytycznie.

W ciszy, która zapadła na stadionie, obrońca padł na murawę z okrzykiem bólu. Jego matka zerwała się na równe nogi i wbiegła na boisko. Rozległ się donośny gwizd. Żółta chorągiewka zatoczyła krótki łuk i wylądowała u stóp Duke'a.

- Won! - ryknął sędzia. - Wylatujesz z gry. No, jazda - popędził go, wskazując kierunek.

Duke spojrział na niego i oddalił się truchtem. Minał trenera, który pogroził mu palcem.

- Wyskakuj z tego stroju, i to już! Na trybuny. Matka dobiegła właśnie do poszkodowanego, gdy trener Kuguarów stanął przy sędzim.

- Nie chcę nawet tego słuchać - oznajmił arbiter, unosząc dłoń.

- Co ci mam powiedzieć, Mike? - odparł cicho trener.
-Zgadzam się z tobą.

- Dobrze wiedzieć. Chłopak ma nasrane we łbie. Walnął tamtego tylko za to, że...

- Wiem, na miłość boską. Żałuj, że nie widziałeś go na treningu. Zupełnie nie kontaktuje, co znaczy „bezkontakt-towo”.

Obaj spojrzeli w stronę trybun. Wanda zmierzała w stronę wyjścia, popychając przed sobą Duke'a.

- Biedny sukinkot - mruknął trener.

Rozdział jedenasty

- Słyszałam krzyk - powiedziała Mae Miller.

Frank czekał na dalszy ciąg.

- Nie składałaś jeszcze zeznań, Mae? - spytał w końcu.

- Nie. Nie było mnie aż do dziś, więc o niczym nie wiedziałam. Jako członkini Straży Sąsiedzkiej... pamiętasz oczywiście, że twoja żona też należy do komitetu... dosko nale wiem, jak ważna jest czujność. Należy mieć oko na wszelkie podejrzone zdarzenia i meldować o nich bez zwłoki, a w tym wypadku zaraz po powrocie do domu.

Mae Miller miała osiemdziesiąt sześć lat. Jej szczupłe ciało okrywał bordowy kostium z drogiej wełny, ze stójką. Miała też na sobie beżowe rajstopy i czarne pantofelki. Frank nie znał się specjalnie na sztuce makijażu, ale czerwona szminka na ustach sędziwej damy jakoś go nie przekonywała. Większość dzieci z Mountcannon między czwartym a dwunastym rokiem życia zasiadała w ławkach klasy Mae - w ciężkim strachu.

- To był piątkowy wieczór - powiedziała, siadając na krześle przy drzwiach i zsuwając z dłoni zielone skórzaną rękawiczki. - Grałam z panią Grant, matką Peteya, w brydża, w domu przyjaciółki w Annestown. Wiedziałam, że mój syn John wróci późno, więc po powrocie zatrzymałam się jeszcze u Grantów, dla towarzystwa. Mieszkają, jak wiesz, na rogu ulicy, która prowadzi do domu zaginionej, Katie Lawson, córki Marthy Lawson. Jej ojciec, Matthew Lawson, zmarł kilka lat temu... W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym, jeśli dobrze pamiętam. To był dobry człowiek.

Frank słuchał, cierpliwie kiwając głową.

- Tak czy owak, piłam herbatę w swoim pokoju - ciągnęła. - W gościnnym, we frontowej części domu, z widokiem na ulicę.

- Wyjrzałaś, kiedy rozległ się krzyk? — spytał Frank, usiłując zwiększyć tempo rozmowy.

- Owszem - odparła Mae, kiwając głową. - I zobaczyłam dwoje ludzi. Szli drogą od strony wioski, ku domowi.

- Mężczyzn, kobiety?

- Mężczyznę i kobietę... Raczej młodych. Zdecydowanie młodych. On był wyższy - dodała, kiwając głową.

- Rozpoznałaś ich? - indagował Frank.

- Wyglądali znajomo, ale nie dałabym głowy, że dziewczyną była nasza Katie.

- Jak się zachowywali?

- Jakby nie obchodziło ich nic na całym świecie.

- A ten krzyk?

- Był, ale później. Po tym, jak zobaczyłam ich przez okno.

- Mówiłaś, że wyjrzałaś, gdy usłyszałaś krzyk.

- Nie. I tak wyglądałam przez okno. Potem wróciłam do mojej herbatki, usłyszałam krzyk i znowu wyjrzałam, ale już ich nie było. - Mae zawahała się. - Możliwe, że tym młodym mężczyzną był chłopak od Lucchesich. - Umilkła i pochyliła się nieco do przodu. - Pamiętasz jego matkę przed laty?

Frank pokręcił głową.

- Nie było mnie tu wtedy.

- Spódniczki kończyły jej się na krzyżu. W życiu nie widziałam na niej ani skrawka przyzwoitej odzieży. Serce mi pękało na myśl o tym, że zadawała się z moim Johnem. Nie wpuściłabym jej pod swój dach.

Frank pozwolił jej mówić dalej, ale nie dowiedział się niczego nowego. Gdy wstała, żeby wyjść, wyciągnął ku niej rękę, lecz Mae wołała go uściskać. Przytuliła się, mocno naciskając na jego uda. Uprzejmie odwzajemnił uścisk, a potem delikatnie obrócił ją w stronę wyjścia.

- Jezu Chryste - jęknął, gdy zamknął za nią drzwi.

Sam Tallon lubił pracować wczesnym rankiem, gdy inni jeszcze spali. Podszedł do drzwi latarni i pochylił się, by otworzyć zamek, gdy ze zdziwieniem zauważył, że nie są zamknięte. Wspiął się po stopniach na górę, z przerwą na oddech w połowie drogi. Gdy dotarł do komory zwierciadła, zobaczył Annę, zajęętą zbieraniem wilgotnych gazet z podłogi.

- Nie mogłam spać - powiedziała, widząc jego zdumione spojrzenie.

- I dobrze. Moim zdaniem cztery godziny snu w zupełności wystarczają - odparł Sam. - Zaraz zabiorę się do sprawdzania mechanizmu. Niedługo będziemy wiedzieli, czy uda się zapalić tę staruszkę.

Joe wybrał deskę z leżącej obok stołu sterty surowego drewna. Umieścił ją w dwóch zaciskach i przyglądał się jej przez chwilę, nim ściągnął z górnej półki strug. Zaczął heblować jedną z krawędzi, raz po raz zrzucając na podłogę długie, cienkie wióry. Gdy skończył, poluzował zaciski i rzucił deskę z powrotem na stertę. Podskoczył, gdy dostrzegł kątem oka postać stojącą w drzwiach.

- Martha - powiedział. - Aleś mnie przestraszyła... Jak się masz?

- Zastanawiałam się, Joe, czy mógłbyś mi pomóc - odparła.

- Chodzi o Katie. Masz doświadczenie w takich sprawach.

-Tak, ale...

- Jak sądzisz, co się stało? - spytała.

- Naprawdę nie wiem, Martho. Nie znam wszystkich faktów.

- Byłeś obecny przy przesłuchaniach. Mówiłam ci o wszystkim przez tych parę tygodni. Wiesz dokładnie tyle co ja, a więc tyle samo, ile wie policja.

- Niewykluczone, że policja nie ujawnia wszystkich szczegółów - zauważył Joe.

Martha spuściła głowę, a potem spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie wierzysz, że uciekła, prawda?

- Mogła uciec - odparł Joe. - Jeżeli przysłaś tu, wierząc w moje doświadczenie, mogę ci powiedzieć tylko o tym,

czego nauczyłem się przez lata: że należy mieć otwarty umysł. Zwłaszcza gdy chodzi o nastolaitki. Nie wiadomo, co może im strzelić do głowy. Ja sam czasem nie mam pojęcia, co kombinuje Shaun.

- Może mógłbyś coś zrobić? Zaproponować *gardai*, że im pomożesz?

Joe uśmiechnął się krzywo.

- Obawiam się, że nic z tego. Nie tak to wszystko działa... Powiedz lepiej, jaką przyjęli hipotezę. Jak sądzą, co się stało tamtej nocy?

- To bez sensu. Upierają się, że uciekła, ale nie chcą mi powiedzieć, dlaczego niby miałyby to zrobić. Zakładają, że zostawiła Shauna na przystani, przeszła przez wioskę, skręciła w lewo, w stronę domu i... tu zaczyna być mniej jasno. Mam wrażenie, że nic więcej nie wiedzą.

- Cóż, mogę trochę popytać - powiedział Joe. - Sprawdzić, czy to wszystko trzyma się kupy. Tylko że w niczym nie będzie to przypominało mojej dawnej pracy... nie dysponuję żadnymi środkami.

Martha ze smutkiem pokiwała głową.

- Byłoby dobrze, gdybyś informowała mnie o wszystkim, czego się dowiesz od policji.

- Zgoda - odpowiedziała i znowu spojrzała mu w oczy. -A jeśli ona nie żyje?

Joe nie dał się zaskoczyć.

- Pamiętaj, otwarty umysł - powiedział, ściskając lekko jej ramię.

Skinęła głową.

- Myślę, że ona nie żyje.

Martha wybiegła z warsztatu, nie oglądając się za siebie.

Joe nie po raz pierwszy zadał sobie pytanie, dlaczego ludzie opowiadają mu o sprawach, o których nie pisnęliby ani słowem nikomu innemu.

Betty Shanley wyszła z Tynan's i zauważyła Shauna po drugiej stronie ulicy. Machnęła na niego ręką.

- Przepraszam, słodziutki, wiem, że to twoja przerwa na lunch, ale chciałam ci tylko powiedzieć, że w weekend

będziemy mieli gości w jednym domku. Mógłbyś się tym zająć?

- Jasne, pani Shanley - odparł Shaun. - Na piątek?

- Tak. Wystarczy, że pójdziesz po lekcjach, nie przyjadą wcześniej niż o dziesiątej wieczorem. - Pani Shanley uściśliła go lekko. - Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku - powiedziała. - Biedactwo ty moje...

- Dzięki - odparł, odchodząc. - Aha, w którym domku?

- W piętnastce - odpowiedziała.

Coś ścisnęło Shauna za serce.

Joe siedział w pokoju przed włączonym PowerBookiem.

- Cześć - powiedziała Anna, zaglądając do środka.

- Ta sprawa to jakiś cholerny koszmar - odrzekł Joe i zastukał palcami w klawisze.

- Jaka sprawa? - spytała Anna.

Odwrócił głowę.

- Szlag by to... Mówiłem o Katie.

- Sprawa?

- Przepraszam, wiesz, co miałem na myśli. Chodzi o to, że nie jestem w robocie i...

- Nie podoba mi się to, dokąd zmierzasz.

- Posłuchaj, jestem blisko wydarzeń. Znam też ludzi, muszę tylko zdobyć więcej informacji, jeśli...

- Hola - powstrzymała go Anna. - Jesteś na zwolnieniu, detektywie.

- Daj spokój. Komu mogłabyś zaufać bardziej niż mnie?

- Nie wiesz, czym się zajmuje policja. Całkiem możliwe, że siedzą sprawcy na karku i... O Boże -jęknęła. - Słyszałeś? Założyłam, że ktoś jej coś zrobił, że ktoś... - W oczach Anny pojawiły się łzy.

- Kochanie... Chodź do mnie.

- Sama nie wiem, *co* gorsze - chlipała Anna. - To, że ktoś mógł ją porwać, czy to, że już ją... To znaczy...

- Wiem, wiem. I dlatego chcę pomóc.

- Mówisz poważnie - stwierdziła, ocierając łzy.

- Cholernie poważnie. Zniknęła dziewczyna naszego syna. Jest załamany. - Joe spuścił głowę. - Poza tym Mar-tha prosiła mnie o pomoc.

- Ach tak. Więc masz jej błogosławieństwo.

Joe nie odpowiedział.

- Pozwolisz? - spytała, sięgając do trackpadu wbudowanego w komputer. Kliknęła ikonę Fiszki i na ekranie ukazał się zestaw żółtych, zielonych i błękitnych „karteczek”. Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Nieźle.

Na każdej z nich widniała notatka w sprawie zaginięcia Katie, a poniżej krótkie komentarze. Joe odsunął rękę Anny i przewinął obraz w dół strony.

Shaun wstrzymał oddech, gdy zobaczył w lodówce drobne okruchy ciasta. Przylepiły się do jego palców, gdy je przycisnął. Pozostałe zmiótł na rękę i wstał. Stojąc przy zlewie, zastanawiał się przez chwilę, czy nie popełnia błędu, pozbywając się ich w taki sposób. W końcu przechylił dłoń i odkręcił kran. Okruchy zawirowały na wodzie i zniknęły. Obszedł wszystkie pomieszczenia, sprawdzając każdy kąt i całkiem nieświadomie wykonując pracę, która do niego należała. Wreszcie zatrzymał się w głównej sypialni. Z bijącym sercem położył się na łóżku i zakrył twarz poduszką. Usiadł po chwili. Pokój był taki pusty... Otworzył i zamknął drzwi szaf. Poprawił pościel. Rozplakał się.

Zszedł na dół, włączył ogrzewanie i ustawił na stoliku kartę z powitalną wiadomością. Starannie zamknął za sobą drzwi, wrzucił klucze pod matę i pomaszerował w stronę domu.

Joe wbiegł po schodkach na posterunek i spytał Richie-go, czy może porozmawiać z Frankiem.

- Chyba tak - odparł Richie. - Frank! - krzyknął. - Pan Lucchesi do ciebie. - Uśmiechał się szeroko i fałszywie.

- Właściwie obaj moglibyście posłuchać - stwierdził Joe.

Frank pojawił się za kontuarem.

- Chodzi o to, co miałem wam powiedzieć wtedy, w Dannaher's. W piątek, gdy zniknęła Katie, Shaun dał jej białą różę. Znalazłem ją na grobie jej ojca. Dlatego myślę, że Katie skręciła w Church Road i po drodze zatrzyma-

ła się na cmentarzu. Róża jeszcze tam leży. Możecie sprawdzić.

- To świetnie, ale mamy już świadka, którego zeznania są sprzeczne z twoją teorią.

Frank opowiedział pokrótce o spotkaniu z Mae Miller.

- Aha - mruknął zdziwiony Joe. - W takim razie przepraszam... Pewnie to inna róża. Może od Marthy... - Odwrócił się i kiwnął głową na pożegnanie. - Dzięki, że mnie wysłuchaliście.

Anna zajrzała do latarni. Sam już kończył - układał właśnie w czystej żółtej skrzynce swą kolekcję kluczy. Po chwili wytarł ręce zatłuszczoną szmatą i uśmiechnął się.

- Mam dobrą wiadomość - powiedział. - Nie miałem za wiele roboty. Znalazłem tylko parę przecieków nafty i wymieniłem zbiorniki w pompach powietrza.

Anna spodziewała się gorszych nowin.

- To oznacza, że w zasadzie mogłabyś spróbować zapalić latarnię.

Uścisnęła go mocno i poklepała po plecach.

- Wielkie dzięki, Sam.

- Aha, jeszcze jedno - dodał. - Proszę! - zawołał, wyjmując mały, różowo-kremowy jedwabny knot.

- Ooo! Jeszcze raz dziękuję. - Przyjęła prezent i zważyła go w dłoni. - Nie tego się spodziewałam. Jest taki lekki... Wygląda jak coś, co moja babcia umiałaby zrobić na szydelku.

- To, co dobre, nie musi być duże - odparł Sam, mrugając porozumiewawczo.

Joe zamknął za sobą frontowe drzwi i ruszył korytarzem w głąb domu, obsesyjnie rozmyślając o Franku, Richiem i Mae Miller. Czuł się jak uczeń, który podnosi rękę po każdym pytaniu nauczycielki i wciąż udziela błędnych odpowiedzi. Czuł, że musi się cofnąć do punktu wyjścia. Dopiero po chwili zauważył, że podświadomie zwalnia kroku. Wreszcie zatrzymał się, czując dziwnie nieokreśloną nadzieję. Stał przed drzwiami do pokoju Shauna. Jakaś cząstką swego jestestwa wzdragał się przed tym, co zamierzał

zrobić, ale odruch, policyjny autopilot, był silniejszy. Joe otworzył drzwi i zszedł na dół po schodach. Przez chwilę kręcił się po pokoju, w miarę możliwości niczego nie dotykając. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że cokolwiek weźmie do ręki, zostanie po nim ślad, jak po luminolu. Na starannie zasłanym łóżku leżała gazeta filmowa. Jedyńm plakatem na ścianie była podobizna Ala Capone. Ani jednego zdjęcia modelki czy aktorki - Shaun zdjął wszystkie, gdy zaczął chodzić z Katie. Joe nie sądził, by kiedykolwiek powróciły na ściany tego pokoju. Stał przy otwartej szafie i sięgnął po pudła leżące na najwyższej półce. Na każdym widniał czarno-biały znak buta, ale w środku znajdowały się jedynie zdjęcia, bilety z koncertów i małe, plastikowe zabawki. Joe wyjął Magie 8 Bali. Potrząsając nią, nie usłyszał skrzypienia podłogi na parterze.

- Co ty tu robisz, do cholery? - krzyknął Shaun, stając w drzwiach.

Joe odwrócił się wolno.

-Ja...

Shaun zbiegł po schodach i wyrwał mu piłkę z ręki.

- To moje.

-Ja tylko...

- Co takiego? Szpiegowałeś mnie?

- Nie! - zaprzeczył Joe. - Nie, ja...

- Gówno prawda!

- Jak ty się do mnie odzywasz?

Shaun prychnął pogardliwie.

- Nie chodzi o to, jak się odzywam, tylko o to, że naruszasz moją prywatność. Bez nakazu sądowego nie przeszukałbyś nawet meliny ostatniego zbira, a tu... Czego szukałeś?

- Sam nie wiem. Czegoś, co by nam pomogło. Chcę się na coś przydać. Przecież ty też chcesz wiedzieć, co się stało z Katie, nieprawdaż?

- Jasne, że chcę - warknął Shaun. - Ale gdyby odpowiedź kryła się w moim pokoju, pewnie już bym ją znalazł. A przy okazji, co miała znaczyć ta scena z Robertem? Masz nas za durniów? „Gdzieś się tak podrapał”? Myślisz, że nie wiemy, o co ci chodziło? Jesteś chory, tato. Widzisz w lu-

dziach tylko zło. Nawet we własnym synu. Nawet teraz, kiedy rzuciłeś tę idiotyczną robotę. To naprawdę żalodne, wiesz?

Oparcie fotela pod plecami Duke'a było wilgotne. Powieki ciążyły mu niemilosiernie, a głowa kołysała się w przód i w tył. Gdzieś z zewnątrz, od strony drzew, dobiegł krzyk. Duke natychmiast otworzył oczy, podparł się na podłokietnikach i podniósł się z wolna. Otworzył tylne drzwi i wyszedł do ogrodu. Na sąsiednim polu zobaczył dwoje turystów z plecakami, ze śmiechem przeprawiających się przez wysoki jęczmień. Ze złością przeszedł spojrzeniem długi, żółty ślad, który pozostawili po sobie w zbożu. Wyszedł przed dom i ruszył drogą w tę stronę, z której nadeszli turyści. Po chwili stanął przed małym, ręcznie malowanym znakiem wyobrażającym idącego człowieka z kijem. Strzałka wskazywała na oddalających się już wędrowców. Duke pochwycił znak i oderwał go po krótkiej walce. Cisnął deskę w gęste krzaki, odwrócił się i odszedł w stronę furgonetki. Usiadł za kierownicą, ruszył i jechał tak długo, aż zobaczył morze.

Nora Deegan wtuliła się w miękkość głębokiego fotela, w jednej ręce ściskając kubek z kawą, a w drugiej podkładkę.

- Zna się na kawie, to trzeba mu przyznać - powiedziała, delektując się bogatym aromatem.

-Joe?

- Tak. Znowu kolumbijska mieszanka. Mogłabym tak ją wąchać przez całą noc.

- Miło, że przyniósł - zauważył Frank.

- Owszem. To kwestia wspólnego nałogu. Miłośnicy kawy są jak palacze w świecie napojów.

Frank zaśmiał się z cicha.

- Poważnie - ciągnęła. - I stajemy się pariasami. „O mój Boże, nie zasnąłabym przez całą noc, gdybym wypła tyle kawy!” Albo: „Nie przejmujesz się, że to takie szkodliwe?” Albo: „Nie, nie, dla mnie bezkofeinowa”. W bezkofeinowej jest więcej chemicznego świństwa niż...

- Niektórzy z nas nie mają wyboru - odrzekł Frank, robiąc smutną minę.

- Nie mówię o tobie, misiu. Mówię o ludziach, którzy są w świetnej formie, a świadomie eliminują kawę ze swojej diety. Wariactwo.

- Co będziesz oglądać? - spytał, ruchem głowy wskazując na telewizor.

-Już oglądam... - odpowiedziała, zakładając okulary do czytania i unosząc gazetę na wysokość twarzy - *Ostatnie godziny Pompei*. Wieczór historyczny.

- Świetnie. Idę do Danaher's. Muszę omówić z Richiem parę detali w sprawie.

- Będziecie mieli siebie serdecznie dosyć, zanim skończy się to śledztwo - stwierdziła Nora.

- Hmm - mruknął Frank.

Joe siedział przy kuchennym stole. Wciąż nie mógł dojść do siebie. Jakim ojcem się okazał? Przypomniał sobie, jak pewnego dnia, gdy jeszcze pracował w wydziale przestępstw seksualnych, Anna przyjechała z Shaunem na posterunek. Nie widział jej od pięciu dni; spał na kanapie w holu, gdy zadzwonił telefon. Był wyczerpany po kolejnej zmianie, ale uparcie pozostawał w pracy, bo musiał rozwiązać sprawę. Na podłodze obok leżała teczka, a na niej lśniąca, kolorowe zdjęcie latynoskiego czterolatka w błękitnej piżamce w samoloty. Dzieciak śmiał się do obiektywu, przechylony w bok, z rozpostartymi ramionami udając lot. Joe pamiętał nawet jego imię: Luis. Luis Vicario. Chłopiec został zwabiony do sąsiedniego domu przez wynajętą prostytutkę. Właściciel, otyły i zaniedbany kierowca ciężarówki, wmówił jej, że Luis jest jego synem, z którym żona nie pozwala mu się widywać. prostytutka obiecała chłopcu lot prawdziwym samolotem, sprowadziła do domu i odeszła. Trzy godziny później znaleziono jego kruche ciało. Z trudem oddychał. Karetka zabrała go do szpitala, gdzie został intubowany, opatrzone mu liczne rany, naszpikowano igłami i podłączono do aparatury podtrzymującej funkcje organizmu. Joe przez trzy miesiące odwiedzał co tydzień jego rodzinę, zanim chłopiec przegrał walkę o życie. Są-

siad tymczasem uciekł, ale prostytutka usłyszała o całej sprawie w wiadomościach i zgłosiła się na policję. Czekala właśnie w pokoju przesłuchań na Joego, który odebrał telefon i pobiegł na dół, do Anny. Żona popchnęła w jego stronę sześciolatniego Shauna i powiedziała: „To jest twój syn, Shaun”. Joe nie mógł spojrzeć mu w oczy. Przytulił go mocno, cały czas wpatrując się w Annę. Miała łzy w oczach. Po minucie wstał z podłogi, a Anna wzięła Shauna za rękę i wyszła. *Au reuoir*, rzuciła na odchodnym. Wiedział, że to nie „żegnaj”, ale „do zobaczenia”... Wolał, żeby była na niego wściekła, niż tłumaczyć jej wszystko ze szczegółami.

A ten rok w Irlandii zapowiadał się na najlepszy, jaki kiedykolwiek spędzili z Shaunem. Joe nie chciał, by jakiegokolwiek wydarzenia zniszczyły tę perspektywę. Najgorsze jednak było to, że wchodząc tego dnia do pokoju syna, naprawdę spodziewał się najgorszego. Zbliżał się do jego szafy z mocno bijącym sercem. Wziął do ręki Magie 8 Bali tylko dlatego, że musiał się uspokoić dotykiem czegoś miłego, znajomego. Teraz znowu ogarnęło go przerażenie.

I dlaczego, niczym uszkodzona płyta kompaktowa, wciąż wirowała w jego głowie myśl o Mae Miller? Ledwie ją znał, a jednak zastanawiał się, czy jej zeznania są godne zaufania, czy może jest to próba ukrycia prawdy lub chronienia kogoś. Rozmyślając uparcie o jednym nazwisku, wyszedł z domu i pojechał jeepem do Grantów. Dochodziła dwudziesta trzecia trzydzieści; o tej samej porze Katie wracała do domu. Joe wyczuł, że coś jest nie tak, gdy tylko wysiadł z samochodu. Trzy domy stały tuż obok siebie, a jednak nikt prócz Mae nie słyszał krzyku w środku nocy. Frank mógł podpierać tę historyjkę zeznaniami tylu świadków, ilu chciał... A przecież wystarczyły ciche kroki Joego, by za płotem rozległo się szczekanie psa. Chwilę później młody terier przycisnął pysk do prętów bramy. Joe spojrzął w okna na parterze. W dwóch z nich paliły się światła, trzecie było ciemne, ale gdy się zbliżył, dostrzegł poświatę w głębi domu. Doszedł do wniosku, że jeszcze nie jest za późno - pani Grant i jej sąsiedzi jeszcze nie spali.

Nacisnął klawisz dzwonnka w pierwszym domu. Otwo-

rzyła mu kobieta w jasnej bluzce i poliestrowych spodniach. Zarumieniła się, gdy go rozpoznała.

- Dobry wieczór, panie Lucchesi - powiedziała. - Jak się pan miewa?

- Witam - odrzekł Joe. - Całkiem dobrze. Chciałem tylko spytać... Czy była pani w domu w piątek, szóstego, późnym wieczorem... wtedy, gdy zniknęła Katie.

- Biedactwo - odpowiedziała kobieta, kiwając głową. - Byłam. Mój syn obchodził urodziny. Przez pół nocy sprzątałam po imprezie.

- Czyli do północy?

- Dobry Boże, nie! Do drugiej, a może dłużej.

- Słyszała pani coś podejrzanego?

- Absolutnie nic.

- A czy używała pani odkurzacza?

- Używałabym, gdyby się włącznik nie zepsuł. Musiałam na kolanach zbierać resztki popcornu z dywanu. Czyżby *gardai* zaprosili pana do współpracy w śledztwie? - spytała z błyskiem w oku.

- Nie, nie - odparł Joe. - To nie tak. Pytam z ciekawości. Więc nie zauważyła pani tej nocy niczego szczególnego?

- Nie. Nie miałam czasu się przeżegnać, nie mówiąc o gapieniu się w okno.

- W porządku. Dzięki.

Joe odwiedził jeszcze oba sąsiednie domy, zanim wrócił do wozu i pojechał do Danaher's.

Las wokół Shore's Rock był oazą spokoju, a ciszę zakłócały jedynie odgłosy kroków Micka Harringtona oraz ciężki oddech jego psa Juno. Znajdowali się ponad półtora kilometra od domu Lucchesich, na ścieżce pośród gęstych krzaków. Mick wędrował nią od czasu do czasu przez ostatnich trzydzieści lat - wiodła na jego ulubioną skalną półkę nad urwiskiem, skąd roztaczał się piękny widok na morze. Zmęczony Juno, który biegł wolno o kilka kroków przed nim, zaskomlał nagle i zaczął szczekać. Mick zbliżył się szybko, ujął w dłonie jego głowę, przykucnął i spojrzał mu w oczy.

- Co się dzieje, piesku? Dlaczego szczekasz jak wściekły?

Mick spojrział na miejsce, w które wpatrywał się Juno, i zamarł. Wstał i na drżących nogach cofnął się o kilka kroków. Nie patrząc w dół, wymacał koniec smyczy i zapiął karabińczyk na obroży psa.

A potem rzucił się biegiem z powrotem przez las, ciągnąc za sobą zmęczonego psa, aż wreszcie stracił cierpliwość, wziął go na ręce i niepewnym krokiem zaniósł do samochodu.

Frank spokojnie kończył pintę piwa, gdy Joe wszedł do baru i przysiadł na ławie obok. Richie miał właśnie wstać i zaprotestować, gdy drzwi Danaher's otworzyły się z hukiem. Mick Harrington rozejrzył się po ciemnym wnętrzu i zatrzymał spojrzenie na Franku Deeganie. Frank wstał i podszedł do niego.

- Jezu Chryste -jęknął cicho Mick, z trudem powstrzymując łzy. - Poszedłem na spacer... do lasu. Widziałem... Sądziłem, że... Nie byłem pewien, co to jest. - Mick wstrzymał oddech. - Myślę, że... znalazłem Katie.

Rozdział dwunasty

Stinger's Creek, północne rejony środkowego Teksasu, rok 1983

Duke kopnął siateczkowe drzwi i zbiegł po schodkach, żeby zajrzeć przez okno do środka. Dostrzegł blask telewizora na gładkiej, łysej głowie.

- Panie Riggs? - zawołał. - Panie Riggs!

Geoff Riggs powoli odwrócił głowę i machnął Duke'owi ręką, żeby wszedł do środka. Ociężale podniósł się z fotela, poczłapał w stronę drzwi i otworzył je na oścież. Był to jeden z jego radosnych dni picia.

- Dzień dobry, panie Riggs. Jest Donnie? - spytał Duke.

- Zdawało mi się, że miał być z tobą, nad strumieniem.

- A, właśnie - odparł wolno Duke. - Mieliliśmy się tam spotkać. Przepraszam, że pana fatygowałem.

- Nie ma sprawy. Muszę się ruszać, synu - rzekł Riggs, machając pilotem.

Duke wszedł ścieżką między drzewa i zawołał. Nikt mu nie odpowiedział. Szukał tak długo, aż znalazł Donniego pod drzewem na brzegu strumienia. Leżał z kolanami pod brodą, a jego chude stopy sterczały z wąskich, granatowych dżinsów. Spał.

- He, stary - powiedział Duke. Pochylił się nisko i deli katnie pociągnął kumpla za nogę.

Donnie ocknął się, niespiesznie przewrócił na plecy i starł z policzka drobiny ziemi.

- Nie dotarłeś wczoraj do domu? - spytał Duke.

- Dotarłem - odparł Donnie. - Tylko że tata znowu za-

mknął drzwi. Siedział szczęśliwy z sześciopakiem u stóp i żadne walenie w drzwi nie zmusiło go do ruchu. Raz nawet się obejrzał i mówi: „No, idź już, idź”, jakbym był jakimś psem. - Chłopak zaśmiał się i pokręcił głową.

- Ale przynajmniej nie mieszkasz w moim domu - zauważył Duke.

- Twoja mama jest w porządku - stwierdził Donnie.

- Moja mama nie jest w porządku - odparł zdecydowanie Duke. Usiadł obok przyjaciela, oparł się plecami o drzewo i rozprostował książeczkę wyjętą z kieszeni.

- O, nie - odezwał się Donnie, wstając. - Żadnego czytania. Zróbmy coś lepiej.

- Zamknij się, to coś innego. Superksiążka. Wujek Bill mi dał - odrzekł Duke.

Uniósł ją wyżej, nie patrząc na Donniego, i przekartkował szybko, szukając czegoś.

- Posłuchaj tylko - powiedział i zaczął czytać, wolno i nierytmicznie. - „W mitologii jastrzębia jest uważany za zwierzę obdarzone szczególną mocą i wielką wiedzą, przypisuje się mu cechy takie jak duma, szlachetność, odwaga, mądrość”... Tego nie umiem przeczytać... „oraz szczerść. Ten, kto zobaczy z rana jastrzębia, będzie miał szczerście”.

- To twój wujek Bill musi być najszczęśliwszym człowiekiem na świecie - rzucił kpiąco Donnie.

Duke czytał dalej.

- „Jeśli usłyszysz krzyk jastrzębia, to znak, że powinieneś być czujny, że powinieneś się...” - Duke urwał i dokończył po chwili poważnym głosem - „strzec.” Strach się bać, co?

- Strach - przyznał Donnie. - Ale i tak chciałbym coś porobić.

Ściągnął koszulkę i wystawił twarz ku gorącemu słońcu. Duke zadarł głowę i spojrział na niego. Donnie wyprężył grzbiet i poklepał się po wydętym brzuchu, a potem rozebrał się do reszty.

- Kto ostatni, ten trup! - zawołał i popędził w stronę mętnej wody. Duke patrzył na jego nagie, brązowe ciało, czując zimne ciarki na plecach. Nie podobało mu się to, co czuł. Został pod drzewem.

Woda, która zamknęła się nad Donniem, wyglądała na ciepłą. Chłopak wynurzył się i pomachał rękami, a potem znowu zanurkował, by wyłonić się z toni tuż pod liną zwisającą z ich ulubionego drzewa. Chwytał ją i wspinał się wysoko. Zakotył się mocno i skoczył do wody. Kiedy miał dość pływania, wybiegł na brzeg i drząc, stanął w cieniu.

- Trzeba było iść ze mną - powiedział. - Było super. Co robimy po lekcjach?

- Nie wiem - odparł Duke i spojrzął w górę. - Jezu, może byś się wreszcie ubrał?

Wanda Rawlins pędziła pikapem przez Stinger's Creek, trzymając między udami zimną puszkę gazowanego napoju. Paliła jak mężczyzna, trzymając papierosa kciukiem i palcem wskazującym, i głęboko się zaciągała. Zahamowała ostro, widząc samotną postać na poboczu. Wrzuciła wsteczny i podjechała do niej zygzakiem.

- Hej, Dukey! - zawołała. - Podwieźć cię do domu?

Wzruszył ramionami.

- Ejże. Spójrz na mnie. Co się stało?

-Nic.

- Nic - powtórzyła drwiąco. - Czyli co?

- Eee, miałem się spotkać z Donniem, to wszystko. Nic się nie stało.

- Wskakuj - powiedziała. - Zabiorę cię, gdzie zechcesz.

- Wyrzuć mnie koło sklepu.

- To niedaleko.

- Dalej pójde pieszo.

- Dobra, włącz wreszcie.

Prowadząc wóz, pochylała się w stronę syna i kierowała twarz ku niemu, gdy miała coś do powiedzenia. Duke patrzył na wprost i na wszelki wypadek trzymał dłoń na kierownicy.

Donnie zamieszał koktajl mleczny słomką w białe i zielone pasy.

- Zabawny jesteś - powiedziała Linda Willard, szturchając go w ramię.

- Ty też - odparł Donnie.

Linda sięgnęła po frytkę, drugą ręką zakładając za ucho kosmyk lśniących, rudych włosów.

- Jaką muzykę lubisz? - spytała.

- Bo ja wiem... Nie mam magnetofonu ani nic, nawet radia. A tata przez cały dzień ogląda telewizję. - Donnie wzruszył ramionami.

- Więc co robisz? No, poza wałęsaniem się z Dukiem Rzygusem.

- On nie cierpi, kiedy tak go nazywają - zauważył Donnie. - Zresztą to była wina Ashley Ames. A ja lubię Duke'a. Dobrze się rozumiemy.

Duke przez chwilę patrzył przez szybę na ich uśmiechnięte twarze, a potem zmarszczył brwi i ruszył w stronę domu.

Dwie godziny później Linda Willard na swym czerwonym rowerze wyjechała z miasta. Duke Rawlins stał przy drodze i machał do niej ręką.

- Linda! - zawołał. - Podjedź tu na chwilę.

- Dobra - odparła Linda. Zatrzymała rower, szorując nogą po ziemi.

- Hamulce mi wysiadły - wyjaśniła z uśmiechem.

- Donnie powiedział mi o tobie wszystko - odezwał się Duke.

- Naprawdę? - Zarumieniła się.

- O, tak - ciągnął Duke. - A wiesz, co dokładnie usłyszałem?

- Co? - spytała Linda, z zaciekawieniem pochylając się nad kierownicą.

- Powiedział, że byliście wczoraj nad strumieniem i że...

Duke zbliżył usta do jej ucha i dokończył szeptem.

Linda spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. To było obrzydliwe. To się nie mieściło w głowie. Wiedziała tylko jedno: że nie chce więcej widzieć Donniego Riggsa.

Rozdział trzynasty

- To ona - powiedział Frank.

Richie z pochyloną głową oparł się ręką o drzewo; z jego ust zwisała nitka śliny. Splunął w bok i znieruchomiał, czekając, aż miną nudności. Nie minęły. Schylił się mocniej i zwymiotował po raz trzeci. Otarł dłonią łzy. Stał półtora metra od spuchniętych zwłok Katie Lawson, obnażonych od pasa w dół. Tylko jej twarz i nogi były dobrze widoczne -skórę czarno-zielonej barwy pokrywały wielkie pęcherze. Korpus dziewczyny był przysypany ziemią i liśćmi, spod których wystawał niegdyś różowy, a obecnie brudnobrazo-wy kaptur bluzy. Prócz ubrania jedynie długie, ciemne, rozrzucone wachlarzem włosy umożliwiały identyfikację ofiary, choć i one zaczynały już odchodzić od skóry. Twarz była bardzo zniekształcona; ciało wyraźnie odstawało od kości.

- Możliwe, że to zwierzęta, larwy... Bóg jeden wie, jakie obrażenia znajdziemy pod spodem - powiedział Frank. -Wiesz, pomyślałbym, że po prostu poszła na spacer, przewróciła się i uderzyła w głowę, gdyby nie to... - dodał, wskazując na dzinsy i majtki zwinięte w kłębek i porzucone u jej stóp. Wystawał spod nich czubek różowego adidasa.

- Straszna powinność - powiedział doktor Cabot, miejscowy lekarz, cofając się ostrożnie. Przyciskał do ust i nosa kraciastą, niebiesko-białą chustkę. Wykonał swoje zadanie - osobliwe zadanie stwierdzenia zgonu rozkładających się zwłok.

Frank się przeżegnał.

- W takich chwilach trzeba wierzyć w istnienie duszy - powiedział urywanym głosem. - Bo ciało w takim stanie... Cóż, to już nie jest nasza mała Katie.

Joe siedział w Danaher's przy Micku Harringtonie, który drżącą ręką unosił do ust drugą szklanekę whiskey. Patrzył na unoszącą się i opadającą gwałtownie pierś mężczyzny. Ed nie odezwał się ani słowem, gdy przyniósł trunek. Joe miał ochotę uciec. Nie chciał czekać, aż Mick otrząśnie się z szoku. O dziwo, czuł potrzebę odwiedzenia najważniejszego miejsca zbrodni w całym jego życiu. Miejsca, którego nie wolno mu było oglądać. Siedział jednak w milczeniu; miał aż za wiele czasu, by rozmyślać nad możliwymi scenariuszami ostatnich chwili życia Katie. Przez moment wyobrażał ją sobie jako anioła, leżącego na plecach w białej szacie, z łagodnym uśmiechem na spokojnej twarzy. Zaraz potem jego umysł wypełniły najpotworniejsze sceny, jakie kiedykolwiek widział. Myślał o martwym ciele wiszącym na gałęzi pośrodku ciemnego lasu. Myślał o zmasakrowanej twarzy i szeroko otwartych, mętnych oczach. Potem zobaczył zwłoki Katie w plastikowym worku, potem pogrzebane, potem w dziwacznych pozach... Rozejrzał się po sali i zapragnął nagle być kimkolwiek innym, byle nie sobą - człowiekiem, który na zawsze stracił zdolność postrzegania świata dobrym.

Frank wystawił dłoń i poczuł na niej pierwsze krople mżawki.

- Musimy szybko przykryć zwłoki - powiedział. - Masz coś odpowiedniego?

- Tylko dwie kurtki przeciwdeszczowe w samochodzie - odparł Richie.

- Biegnij.

Frank sięgnął ręką za głowę, odpiął zamek w kołnierzu ciemnozielonej kurtki i rozwinął sztywny kaptur. Zarzucił go na głowę i mocno zawiązał pod brodą sznurki. Była to ostatnia rzecz, którą uczynił, zanim znieruchomiał - stanął jak wrośnięty w ziemię, spoglądając prosto przed siebie. Każdy ruch mógł zatrzeć ślady. Frank czuł, że raz już zawiódł Katie Lawson, i powziął mocne postanowienie, że nie powtórzy tego błędu.

Gdy Richie wyjmował kurtki z bagażnika wozu, oświetliły go od tyłu reflektory szybko jadącego samochodu. Odwrócił się, a pojazd z chrzęstem żwiru zatrzymał się nieopodal. Z kabiny wysiedli detektyw O'Connor, z czarnym notesem w dłoni, oraz komisarz Brody. O'Connor ruchem dłoni nakazał Richiemu skierować ostre światło latarki w inną stronę.

- To na pewno ona? - upewnił się Brady.

- Tak - odparł Richie. - Zaczyna padać, musimy ją przykryć.

- Przywieźliśmy namiot - powiedział O'Connor. - Weź go, a jedną z tych kurtek zarzuć na siebie.

Richie pobiegł do samochodu detektywa, wyjął namiot z bagażnika i zawrócił w stronę drzew. Dwaj policjanci ruszyli za nim, oświetlając sobie drogę latarką. Po chwili dotarli na miejsce zbrodni, skinieniem głów powitali Franka i spojrzeli na zwłoki, zanim zabrali się do rozbijania namiotu.

- Trzeba będzie zadzwonić do biura technicznego - powiedział Brady.

Biuro Techniczne Policji przy Phoenix Park w Dublinie nigdy nie rozpoczynało pracy wcześniej niż o dziewiątej rano, bez względu na to, jak ohydna zbrodnia wydarzyłaby się nocą. Należało więc założyć, że nikt nie odsłucha wiadomości o zwłokach znalezionych w rejonie Waterford wcześniej niż za osiem i pół godziny. Dopiero wtedy zostanie powołany zespół roboczy, a Biuro Techniczne wezwie głównego patologa, który w tym momencie zapewne już dowie się wszystkiego z gazet, i wyśle na miejsce zbrodni.

Brady spojrzął na Franka.

- Zabezpieczmy ślady.

- Richie, zostaniesz tutaj - rozkazał O'Connor. - Frank, ja i komisarz Brady porozmawiamy z Martha Lawson, zanim ktokolwiek inny zdąży ją zawiadomić.

Frank bez słowa spojrzął mu w oczy, ukryte za okularami bez oprawek.

- Masz — powiedział O'Connor, wręczając Richiemu czarny notes i pióro, które wyjął z kieszeni niebieskiej, ocieplanej kurtki. - Zapisuj dane każdej osoby, która się

tu zjawi, poczynając od nas. Oczywiście niczego nie ruszaj, uważaj, jak chodzisz i gdzie stajesz. Najlepiej nie oddychaj. Nie muszę chyba przypominać, że nie możemy sobie pozwolić na najmniejszy błąd.

Richie pokiwał głową, ale w jego oczach widać było panikę. O'Connor zawahał się, ale nic już nie powiedział.

Mick Harrington dotarł do domu, rzucił się w ramiona żony i zapłakał tak, jak jeszcze nigdy w życiu. Robert stał na półpiętrze, w milczeniu obserwując tę scenę. Sądził, że coś się stało dziadkowi, póki rodzice nie odwrócili głów i nie spojrzeli smutno w jego stronę.

Joe Lucchesi wśliznął się cicho do domu na Shore's Rock i wolno pokręcił głową, widząc pytające spojrzenie nadchodzącej Anny. Objął ją i przytulił mocno. Po chwili wzięli się za ręce i razem zeszli po schodach do sypialni Shauna.

Martha Lawson była przeraźliwie, póki jej gardło nie wyschło do cna. Rzuciła się na podłogę w holu, zasłaniając uszy dłońmi i bez końca powtarzając jedno słowo: „Nie!” Frank, O'Connor i Brady nie zdążyli się nawet odezwać. Obeszli ją ostrożnie, zamknęli drzwi i stanęli w korytarzu. Frank był głęboko wstrząśnięty jej reakcją. Pochylił się i otoczył Marthę ramieniem, pół tuląc ją, pół ciągnąc w górę i dalej, ku kanapie stojącej w salonie.

- Niech ktoś przyniesie herbaty - powiedział.

O'Connor spojrział na Brady'ego i ruszył w stronę kuchni.

- Nie chcę herbaty! - wykrzyknęła Martha i zaraz zakryła dłońią usta. - O Boże, przepraszam - jęknęła. - Tak mi przykro... Gdzie ona jest? Gdzie ją znaleźliście?

- W lesie - odparł cicho Brady. - Niedaleko Shore's Rock.

- Jak to? Przecież już tam szukaliście.

- Zgadza się - przyznał O'Connor. - Ale być może nie aż tak głęboko w lesie. To dosyć trudno dostępne miejsce.

- Widocznie nie aż tak bardzo - wykrzyknęła Martha - skoro Katie tam doszła... - Umilkła na chwilę, a potem

zapytała: - Mój Boże, co ona tam robiła? I co jej się stało? Upadła? Może...

- Jeszcze nie wiemy - wtrącił delikatnie Brady. - Główny patolog...

- ..., „Doktor Lara McClatchie przeprowadzi autopsję jeszcze dziś” - dokończyła Martha. - Dobrze znam tę formułkę - zaszlochała. - Słyszałam ją tyle razy w wiadomościach. Myślałam sobie; święta Mario i Józefie, biedna rodzina... A teraz, proszę! To ja jestem tą biedną rodziną. Biedną rodziną... - Martha zerwała się niespodziewanie i wybiegła na korytarz, ścigając po drodze z wieszaka jedną z kurtek Katie. Otworzyła z trzaskiem frontowe drzwi i wybiegła w noc.

- Muszę do niej iść! - zawołała rozpaczliwie.

Policjanci ze zdumieniem odprowadzili ją wzrokiem. Najszybciej ocknął się O'Connor i wybiegł za nią, ale niepotrzebnie. Martha kłęczała w ogrodzie, z twarzą w trawie, tuląc do siebie kurtkę Katie. Drobne krople deszczu opadały łagodnie na jej nocną koszulę.

Od dziewiątej rano następnego dnia wokół terenu zamkniętego przez policję zaczęli się pojawiać mieszkańcy wioski. Zostawiali samochody przy blokadzie i zapuszczali się w las, możliwie najbliżej ekipy pracującej na wzgórzu. O'Connor wyznaczył jednego z młodych i poważnych policjantów z Waterford do specyficznego zadania: miał spacerować wzdłuż kordonu, przyjmując kwiaty, pluszowe misie i inne przedmioty, które przybywający ludzie chcieli złożyć w pobliżu miejsca zbrodni. Gdy kolekcja przybrała pokaźne rozmiary, kamerzyści i fotografowie zbliżyli się do niej, polując na możliwie najlepsze ujęcia.

Richie stał plecami do drzwi posterunku, energicznie rozcierając twarz. Czuwał przy zwłokach przez większą część nocy, zanim zmienił go *garda* z Waterford. Odwrócił się, gdy usłyszał za plecami kroki. W drzwiach stała wysoka - zaskakująco wysoka - brunetka. Miała dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Richie instynktownie spojrzał na jej stopy. Nie miała butów na wysokim obcasie; zobaczył

adidasy koloru khaki, z czarnymi paskami. Teraz dopiero popatrzył na twarz kobiety: była atrakcyjna, tryskała zdrowiem. Miała ciemną cerę, grube brwi, pełne usta i ani śladu makijażu. Włosy wiązała wysoko w koński ogon.

- Zamknięte - rzucił Richie. - Chyba że to nagły wypadek...

Zmarszczyła brwi.

- Hmm... Mam wrażenie, że ta sprawa już nie jest na głym wypadkiem - powiedziała z zachodniobrytyjskim akcentem. - Przyjechałam w związku z podejrzeniem...

Frank od dłuższej chwili próbował wydostać się zza kontuaru, ale szło mu to dość wolno.

- Najmocniej przepraszam - przerwał jej, ruchem głowy wskazując na Richiego. - Dzień dobry, doktor McClatchie. Frank Deegan, jestem sierżantem na tym posterunku. - Uściśnął dłoń kobiety i spojrzał na kolegę. - Główny patolog. *Garda* Richie Bates - przedstawił ich nawzajem.

Richie poczerwieniał. -Ja...

- Widział mnie pan tylko w telewizji. Widocznie w naturze wyglądam całkiem inaczej - przerwała mu z uśmiechem.

- No... właśnie.

- Nie ma sprawy.

- Cieszymy się z pani przybycia, jeśli można tak to ująć - powiedział Frank. - Pozwoli pani, że zawiozę ją na miejsce.

- Proszę mi mówić po imieniu. Lara.

Frank wyprowadził ją na parking. Minęli jej starego czarnego citroena i wsiedli do forda focusa. Po drodze sierżant wyjaśnił szczegóły sprawy. Od czasu, gdy oddalił się od miejsca zbrodni, w pobliżu blokady pojawiły się dwie nowe furgonetki stacji telewizyjnych, a wokół nich kręcili się reporterzy i kamerzyści. Frank minął je i zaparkował obok wozu Biura Technicznego. Gdy tylko wysiedli z samochodu, uderzył ich fetor wymiocin.

- Zawsze znajdzie się ktoś ze słabszym żołądkiem - powiedziała Lara.

Podszedł do niej jeden z techników dochodzeniowych.

- Jeśli chodzi o ścisłość, to był Alan - oznajmił, mając na myśli jednego z kolegów z zespołu. - Tylko że to nie miało nic wspólnego ze zwłokami. Po prostu zabalował ostatniej nocy.

Lara z trudem stłumiła śmiech i spojrzała w stronę furgonetki.

- Mogę zabrać swoje rzeczy?

- Jasne.

Na czarne spodnie i kurtkę narzuciła standardowy, biały kombinezon rozmiaru XL, odpowiedni do jej wzrostu, ale zdecydowanie za szeroki - pomieściłby nawet najgrubszych policjantów. Założyła też ochraniacze na buty oraz rękawiczki. Na koniec zarzuciła na głowę kaptur, by gałęzie nie szarpały jej za włosy.

- Nie masz żadnej torby? - spytał Frank.

- Nie - odparła. - Tylko mały woreczek foliowy, na wypadek gdybym miała coś zabrać. Tak naprawdę wykonuję swoją robotę w kostnicy - dodała po chwili.

Dotarli do niebiesko-białej taśmy okalającej miejsce, w którym leżały zwłoki. Policjant stojący na straży zanotował nazwiska obojga i porę przybycia.

- Kim są ci wszyscy ludzie? - spytała Lara, rozglądając się.

- Tamci są z posterunku w Waterford - odparł *garda*, niedbale wskazując ręką - a tamten to mój kuzyn, pracuje w gazecie.

Lara spojrzała na niego bez słowa.

Frank poprowadził ją do ciała Katie ścieżką wyznaczoną przez policyjną taśmę, a potem wrócił pospiesznie, by porozmawiać z funkcjonariuszem pilnującym wstępu. Inny policjant, stojący blisko zwłok, wskazywał palcem na odcisk stopy w miękkiej ziemi.

- Świeży - zauważył ktoś. - Policyjny but. To pewnie trop tego młodego z Mountcannon, który przyszedł tu razem z sierżantem. Nie ma się czym przejmować. Mówili, że kiedy tu dotarli, nie było żadnych śladów.

- Cześć, Alan - powiedziała Lara, stając przy jednym z techników. - Jak tam noc?

- Nic nie mów - odparł.

- Przerazające - stwierdziła, rozglądając się.
- To, co się stało, czy może kutafony... wybacz słownictwo... które zdeptują nam miejsce zbrodni?

- Jedno i drugie.

Alan skinął głową w bok.

- Tamten gość jest dziennikarzem, ma przy sobie mały aparat. Pamiętaj, żeby się nie uśmiechać.

Lara błysnęła w jego stronę brązowymi oczami.

- Oto mój uśmiech specjalnie na miejsce zbrodni. Tylko dla wtajemniczonych. Odpowiednik twojej kontrolowanej wściekłości. Nikt, oglądając wiadomości, nie spojrzy na ciebie i nie powie: „Podejrzany”. Nikt, patrząc na mnie, nie pomyśli: „Głupia kobieta bierze się do męskiej roboty”.

Frank przyglądał się z daleka, jak Lara kuca obok ciała Katie, wstaje i niespiesznie obchodzi je dookoła. Wszyscy śledzili z uwagą każdy jej ruch, jakby lada chwila miała się odwrócić i oznajmić: „Uwaga, panie i panowie, zabójca nazywa się tak i tak, a znajdziecie go...”

Fakt, którego i tak byli absolutnie pewni - że dokonano zabójstwa - nie był szokiem, tylko jeszcze jedną przygnębiającą prawdą, którą należało zaakceptować. Frank miał świadomość, że większość z zebranych funkcjonariuszy w życiu nie widziała trupa. Sam badał jedynie sprawy samobójstw; ostatnią z ofiar, które miał okazję zobaczyć, był piętnastoletni chłopiec. Znalazł jego ciało, wiszące w stodole, kilka sekund po tym, jak odkryła je matka.

Jakaś częścią swego jestestwa pragnął, by cały świat przestał się kręcić, ale jeszcze silniejsza była w nim chęć powstrzymania tego, co rozgrywało się na jego oczach. Nie mógł znieść naruszania prywatności Katie. Z drugiej jednak strony wiedział, że prawdziwe naruszenie dokonało się przed tygodniami. To, co działo się teraz, miało przynajmniej sens, musiało się wydarzyć, a co najważniejsze, działo się dla dobra ofiary.

Gdy doktor McClatchie zbliżyła się do ciała, pozostali się cofnęli. Teraz dwaj technicy dochodzeniowi podeszli i przykucnęli obok niej, a po chwili dołączył do nich fotograf. Usunęli gałęzie i liście przykrywające tułów Katie, wstrzymując pracę co kilka chwil, by sfotografować i sfil-

mować kolejne warstwy. Po dwóch godzinach ciało zostało odsłonięte - wtedy dopiero wstali sztywno i odeszli.

Frank patrzył, jak ich koledzy zawiązują worki wokół głowy, dłoni i stóp ofiary, a następnie wkładają całe ciało do długiego plastikowego worka i zabierają je na noszach.

- Jakież sugestie co do przyczyny zgonu? - spytał O'Con-nor, podchodząc do doktor McClatchie,

- Odpowiem po dokonaniu autopsji. - Lara rozejrzała się dokoła. - Czy ktoś mógłby mnie podrzucić do mojego samochodu?

Duke stał oparty o furgonetkę. W sąsiednim wozie, przy otwartym oknie, siedział mężczyzna słuchający jazgotliwej transmisji z meczu.

- Din, chodź już, kurwa, później sprawdzisz wynik! - krzyknął jego kumpel.

Duke odprowadził ich wzrokiem do wejścia do lasu Dromlin; szli pospiesznie, niosąc łuki przy boku. Przystanęli obok stolika ogrodowego, przy którym siedziała otyła kobieta w pomarańczowej kurtce, pilnująca sterty papierów. Powitała ich uśmiechem i podała długopisy. Gdy skończyli wypełniać formularze, skinęli głowami, a ona wskazała im kierunek. Duke odczekał jeszcze chwilę. Kolejni mężczyźni zatrzymywali się przy stoliku i powtarzali rytuał. Inni od razu kierowali się do wejścia.

- Cześć - powiedział, stając przed kobietą w pomarańczowej kurtce. - Din już wszedł z moim łukiem. Powiesz mi w skrócie, jak wygląda sytuacja?

- Dwa razy czternaście, duży cel trzy de. Na razie jest was dwudziestu paru. Jesteś kumplem Dina?

- Ze Stanów - odparł Duke z uśmiechem.

- Din jest świetny w GAA - stwierdziła kobieta.

- No jasne - odrzekł Duke.

Nie miał pojęcia, o czym mówiła. Wypełnił formularz i zagłębił się w las. Zobaczył wśród drzew grupki strzelców przygotowujących łuki. W oddali mężczyzna w kurtce z impregnowanego materiału rozstawiał tabliczki z symbolem niebezpieczeństwa.

- Powinny tu stać od paru godzin - zauważył jeden

z łuczników. - Nawet nie zamknęli terenu! Wpuszczają każdego, a nam każą czekać, zanim spacerowicze łaskawie oddalą się od celu. To potrwa wieki!

- Mnie się nie spieszy - odparł inny, regulując naciąg łuku bloczkowego. - Idę się odlać.

Zostawił broń obok sprzętu przyjaciela, zbyt przejętego akcją rozstawiania znaków, by mógł zauważyć, że Duke szybko i cicho sięga najpierw po kołczan ze strzałami, a potem po chłodne i gładkie drewno łuku. Kilkanaście sekund później Amerykanin wyłonił się z lasu, zaledwie kilka metrów od swego wozu. Rzucił sprzęt na tylne siedzenie i odjechał, przez krótką chwilę pędząc po niewłaściwej stronie jezdni.

Sala autopsyjna w szpitalu rejonowym w Waterford była mniej więcej takich rozmiarów jak sala lekcyjna w szkole. Na jednej ze ścian wisiały rzędem stalowe zlewy. Frank i detektyw O'Connor stali przy nich niepewnie, trzymając w rękach maseczki. Lara zerknęła na nich ukradkiem; wyglądali jak bohaterowie westernu, czekający na ruch przeciwnika. Miała na sobie błękitny strój chirurgiczny, długą papierową koszulę sięgającą kostek oraz zielony foliowy fartuch. Nie nosiła maski. Włożyła lateksowe rękawiczki, natarła je zapachowym kremem do rąk i naciągnęła drugą parę rękawiczek. Dwaj policjanci przypatrywali się jej w skupieniu.

- Odór mi nie przeszkadza - powiedziała. - Nie chcę tylko, żeby mi został na rękach, kiedy pójde na lunch. Dla tego wkładam dwie pary rękawiczek.

Odwróciła się i podeszła do zwłok Katie, spoczywających na jednym z dwóch stołów z nierdzewnej stali, obok tacy z instrumentami chirurgicznymi. Policjanci ruszyli za nią, ale w pewnej odległości. O'Connor o ułamek sekundy wcześniej niż Frank przycisnął do twarzy maskę. Nagle ciszę zakłócił głęboki głos Johnny'ego Casha. Lara dorzuciła do zmieniarke płyt kompaktowych jeszcze cztery krążki - dwie kompilacje przebojów bluegrassu, Hanka Wil-liamsa i Johnny'ego Casha.

- Mam różne fazy - wyjaśniła zaskoczonym funkciona-

riuszom. - Ale nigdy nie przypuszczałam, że zainteresuje mnie country.

Nie odzywając się więcej, przystąpiła do pracy, wraz z technikiem, fotografem, balistyką i specjalistą od odcisków palców.

- Hmm, co my tu mamy? - mruknęła po chwili, unosząc do góry mały, ciemny obiekt, który wyjęła z rany na głowie Katie.

Balystyk rozchylił brzegi foliowego woreczka. Lara wrzuciła przedmiot do środka i znowu pochyliła się nad ciałem.

- Jest tego więcej - powiedziała, wyjmując drugi i trzeci fragment.

O'Connor przysunął się nieco bliżej.

- Jak sądzisz, co to jest?

- Nie mam pojęcia - odparła. - I pewnie nie będę miała, póki nie wystąpię z raportem przed sądem. - Uniosła głowę i spojrzała na policjantów. - To wy dostajecie komplet danych z laboratorium. Mnie nikt nie informuje.

Gdy obeszła O'Connora dookoła, cofnął się i ponownie stanął przy Franku. Wytrwali tak, przestępując z nogi na nogę, całe cztery godziny, nim wreszcie Lara ściągnęła rękawiczki i poprowadziła ich do umywalki; chwilę wcześniej policjant pilnujący sali uchylił drzwi, by wpuścić komisarza Brady'ego. Oficer zmarszczył nos, wyczuwając woń rozkładającego się ciała. Zakrył usta dłonią i zbliżył się do podwładnych. Rozglądał się przez moment, jakby szukał źródła muzyki.

- Facet w czerni, we własnej osobie - zauważył.

Lara z uśmiechem skinęła głową.

- Posłuchajcie - powiedziała. Skupili się wokół niej i zaraz cofnęli nieznacznie, gdy spojrzała na nich z góry. - Widziałam na głowie ofiary ślady kilku uderzeń tę pym, najprawdopodobniej ciężkim narzędziem. Są też oznaki duszenia... uszkodzenie krtani, pęknięcie jabłka Adama. W ranie na głowie znalazłam larwy. Kiedy muchy zlatują się do zwłok, wybierają najbardziej „soczyste” miejsce do złożenia jaj. Z reguły są to naturalne otwory ciała... oczy, nos, uszy, usta, penis, pochwa, odbył. Jeśli jednak znajdą świeżą ranę, kierują się do niej. To nam wyjaśnia,

skąd się wzięły larwy na głowie ofiary. Zauważyłam je też na ramionach i dłoniach, co sugeruje obecność urazów powstałych podczas obrony.

- Zatem jaka była przyczyna śmierci? - spytał Brady.

- Powiedziałabym, że dziewczynę najpierw uduszono, a następnie uderzono w głowę. Duszenie nie wywołuje natychmiastowej śmierci. Być może leżała już na ziemi, charcząc w agonii, i to właśnie zaalarmowało napastnika, który chwycił to, co miał pod ręką, by dokończyć dzieła. Poszarpane brzoża rany na głowie wskazują, że mógł użyć kamienia.

- A przybliżony czas zgonu?

- Trudno powiedzieć. Biorąc pod uwagę stan zwłok, powiedziałabym, że śmierć nastąpiła mniej więcej wtedy, gdy dziewczyna zniknęła.

O'Connor zmarszczył brwi.

- Obawiam się, że bardziej precyzyjnej odpowiedzi nie będzie - dodała Lara. - Byłoby mi łatwiej, gdyby odnaleziono ciało kilka dni po zabójstwie. Kiedy mijają tygodnie, sprawa bardzo się komplikuje.

- Zatem teoretycznie sprawca mógł przetrzymywać gdzieś ofiarę i zabić ją później?

- Jeśli pyta pan o to, czy zwłoki były transportowane, odpowiem, że nic na to nie wskazuje. Być może jednak ślady znalezione na miejscu dowiodą, że było inaczej.

- Czy doszło do napaści seksualnej? - spytał Brady.

- Powiedziałabym, że i tu mamy jedynie poszlaki wynikające z tego, że sprawca zdjął z ofiary dzinsy i bieliznę. Sugestia napaści seksualnej jest oczywista, ale nie wypowiem się na ten temat z całą pewnością.

- Dlaczego? - spytał ostrożnie Frank.

- Chodzi o to, że w procesie rozkładu rejon sromu staje się bardzo opuchnięty... - trzej mężczyźni jak na komendę przerwali kontakt wzrokowy z Lara - ...i dochodzi do pęknięć tkanki, właśnie takich jak w tym wypadku. W takiej sytuacji trudno cokolwiek ustalić. Cała nadzieja w wynikach wymazu z pochwy i odbytu. Ale jeśli napastnik użył prezerwatywy, nie mamy na niego absolutnie nic.

- A co z miejscem zbrodni? Dlaczego zwłoki były do połowy przykryte?

- Ja pracuję tylko na tym, co znajdę w ciele. O całą resztę pytajcie specja od profili psychologicznych - odparła z uśmiechem Lara.

- Nie chciałbym więcej usłyszeć czegoś takiego - powiedział Joe, gładząc policzek Anny leżącej na kanapie.

Wiedziała, o czym mówił: o zduszonym krzyku, który wydobył się z krtani Shauna. Czuwali przy synu całą noc, zanim zasnął. Od tamtej pory nie zjawił się na gorze. Joe głąskał Annę tak długo, aż jej powieki stały się ciężkie, a oddech powolny i rytmiczny. Wreszcie ucałował jej ciepłe czoło i delikatnie ułożył jej głowę na poduszce. Z szuflady komody stojącej w holu, przy drzwiach, wyjął latarkę, a potem wymknął się cicho i ruszył w stronę lasu.

Oran Butler siedział na sofie, trzymając wyciągnięte nogi na ławie. Z talerza, który trzymał pod brodą, jadł zapiekaną fasolę. W drzwiach kuchni stanął Richie.

- Butler, jesteś, kurwa, obrzydliwy - powiedział. - Zobacz, jaki burdel. Mógłbyś na przykład nie...

Oran uciszył go gestem.

- Jestem wykończony. Nie zaczynaj.

Razem uczestniczyli w policyjnym szkoleniu, a teraz dzielili mieszkanie przy Waterford Road, dziesięć minut samochodem od wioski. Oran był jednym z sześciu funkcjonariuszy służących w jednostce do zwalczania handlu narkotykami, oddelegowanych do pracy poza Waterford.

- Co tam w robocie? - spytał Richie.

- Jak zwykle. Próbuujemy przyskrzynić tych samych ludzi co zawsze. W piątek szykuje się coś większego... nalot na magazyn dywanów Healy'ego, na terenie Carroll Industrial Estate. Zaskoczymy sukinsynów. O'Connor ślini się na samą myśl, to może być jego wielki dzień.

Butler pochylił się, otworzył puszkę piwa i uniósł ją w toaście. Spojrzał na szklanekę Richiego.

- Zastrana woda mineralna. Żałosne.

- Przymknij się, palancie.

- Jakiś ty oryginalny i spostrzegawczy - odparł ironicznie Oran. - Możesz też nazwać mnie piegusem.

Pociągnął łyk i z uśmiechem pomachał puszką w stronę kolegi.

Joe mógł podjechać wyżej i pójść prosto do miejsca, w którym znaleziono ciało, ale nie chciał niczego przeoczyć. Latarka dawała nikłe, mgliste światło, ledwie wystarczające do odnalezienia drogi pośród drzew. Unosząc wysoko nogi, by przedrzeć się przez gąszcz wrzosców, pomyślał o tym, że ktokolwiek przyniósł Katie w to miejsce, żywą czy martwą, zdobył się na niemały wysiłek. Po piętnastu minutach poszukiwań znalazł niebiesko-biały strzęp folii owinięty wokół drzewa; kolejny fragment policyjnej taśmy dostrzegł dwadzieścia metrów dalej, pod drzewem. Rozejrzał się uważnie, kierując snop słabego światła na ziemię. Wreszcie dostrzegł miejsce, w którym zapewne znaleziono zwłoki. Ruszył w jego stronę, ale nim dotarł do celu, cofnął się o krok i skierował latarkę w bok, ku ziemi. Wyjął z wewnętrznej kieszeni długopis i rozgarnął nim suche liście. Znieruchomiał, przyglądając się czemuś z uwagą, a potem ujął to w dwa palce i przybliżył do źródła światła. Miał przed sobą brązowawy, papierowy w dotyku walec długości pięciu milimetrów, zwężający się na jednym końcu, a ułamany na drugim. Wiedział, co to jest, ale nie był pewny, co oznacza to znalezisko.

Rozdział czternasty

Stinger's Creek, północne rejony środkowego Teksasu, rok 1984

- Co z oczu, to z serca! - zaśmiał się wujek Bill, gdy już nacieszył się widokiem Duke'a, który stał na ganku za domem i wypatrywał go bezskutecznie. Chłopak spojrział w stronę źródła głosu. - Tu jestem! - zawołał Bill, machając ręką.

- Zażyłeś mnie - przyznał z uśmiechem Duke. - Nowe ubranie maskujące?

- Tak jest. Stare tak mi wyblakło, że było prawie białe. Przecież nie będę paradował przed jeleniami jak idiota, w bieli. Kupiłem też nowiutkie siedzisko Bakera - dodał, klepiąc lekką konstrukcję przyczepioną do pnia. - Wszchemocny wujek Bill na wysokościach - zaśmiał się. - Nie będą wiedziały, co je zabiło.

- Chcesz polować?

- Ano tak. Za parę tygodni jadę do Uvalde na otwarcie sezonu na jelenie. - Bill zeskoczył na ziemię i poklepał Duke'a po plecach. - Muszę wszystko wypróbować, zanim ruszę... Co tam u mamy?

Duke wiedział, że wujek Bill nie przepada za jego matką.

- W porządku. Tylko... w porządku.

- No, to dobrze - mruknął Bill, pochylając się nad łukiem.

- Myślisz, że mógłbyś nauczyć mnie strzelać? Bill uniósł głowę.

- Mówisz poważnie, synu?

- Bardzo - odparł Duke. - Jestem wystarczająco duży?
- Jeśli tylko potrafisz słuchać, utrzymać łuk w ręku i pamiętać o bezpieczeństwie.

Duke zasalutował.

- W porządku. W takim razie zaczniemy od tego, jak się trzyma łuk. Ten tutaj to łuk bloczkowy. Prawdziwa piękność. Większa moc, mniejszy wysiłek. Musimy tylko ustalić, którą ręką będziesz go trzymał, a którą...

- Piszę prawą - wtrącił Duke, unosząc dłonie.

- To nic nie znaczy. Liczą się oczy - dodał Bill, wskazując na nie palcami. - Chodzi o to, które z nich jest dominujące.

Duke pokręcił głową.

- Dobra. Zrobimy tak - powiedział Bill. - Wybierz sobie jakiś obiekt w oddali.

- Może być ten kubek na śmieci?

- Doskonale. Teraz wyciągnij ręce w jego stronę i przyknij lewe oko. OK? A teraz prawe. Zaczynaj zbliżać ręce do twarzy... Przyłóż oko do tego trójkątnego prześwitu między dłońmi.... Które przyłożyłeś, Duke?

- Prawe - odparł chłopak.

- W takim razie masz dominujące prawe oko, tak samo jak wujek Bill.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że łuk będziesz trzymał w lewej ręce, a cięciwę naciągał prawą - wyjaśnił Bill, po czym położył dłoń na ramieniu Duke'a i obrócił go ku linii drzew. - Teraz stań prosto, na lekko rozstawionych nogach. Wygodnie ci?

- Tak jest.

- No to masz - rzekł Bill, wręczając Duke'owi łuk. Zaśmiał się, gdy chłopak zachwiał się pod ciężarem broni.

- Ciężki, co? - spytał.

Duke tylko się uśmiechnął.

- Przydałby ci się trochę lżejszy... Nieważne. Teraz musisz trafić nacięciem na końcu drzewca w to miejsce cięciwy - wyjaśnił Bill, odbierając mu łuk i zakładając strzałę. - Chyba będzie lepiej, jeśli dalej już tylko popatrzysz - dodał.

- W porządku - mruknął zawiedziony Duke.

- No co? - obruszył się wujek Bill. - Myślałeś, że zwa-
riowałem? Że dam ci pohasać ze śmiertelnością bronią? -
Uśmiechnął się. - Przyłóż palec wskazujący do cięciwy po
nad strzałą, a dwa sąsiednie poniżej, ale nie dotykaj drzew
ca. Rozluźnij ramię i spróbuj odciągnąć trochę do tyłu.

Bill uniósł nieco łuk, ściskając łączysko kciukiem i palcem
wskazującym. Ruchem głowy wskazał Duke'owi układ dłoni.

- Teraz prostujesz tę rękę, w której trzymasz broń, i unosisz
rękę trzymającą cięciwę... łokieć wysoko. Zaczynasz ciągnąć,
aż dłoń dotknie szczęki, utrzymując resztę ciała w bezruchu.
Teraz ustawiasz tę małą igielkę, twój celownik, dokładnie na
środku celu. Mierzę w to żelastwo koło drzewa. Wszystko musi
być w jednej linii: cięciwa, łączysko i celownik. Wszystko w
pionie. Kapujesz?

- Tak - odparł Duke, zirytowany gadaniną. - Strzelaj
wreszcie! - zawołał, przestępując z nogi na nogę.

- Wstrzymaj konie - szepnął Bill przez zaciśnięte zęby,
prawie nie ruszając szczęką. - Teraz puszczasz - dodał.

Strzała pomknęła na wprost, wbiła się w cel i zawibrowała
delikatnie.

- Super - powiedział Duke.

Bill objął chłopaka ramieniem i przytulił.

- Chcesz spróbować?

- O, tak! - zawołał rozpromieniony Duke.

- Zawsze musisz pamiętać o celu - pouczył go wujek. - Bądź
spokojny i skoncentrowany. Przez cały czas myśl o celu,
obserwuj go. Nigdy nie spuszcza go z oka.

Łuk znowu zakołysał Dukiem, ale szersze rozstawienie nóg
pomogło opanować sytuację. Bill stanął za chłopakiem i z
uśmiechem przyglądał się mozolnej próbie uniesienia broni na
wysokość ramienia.

- Mój strzał będzie szybszy, wujku, bo nie utrzymam
łuku tak długo jak ty.

Bill roześmiał się głośno i rubasznie, a potem, z niemalym
zdumieniem przekonał się, że Duke wiernie powtórzył
wszystkie kroki. Strzała nie doleciała jednak do celu, ale tylko
dlatego, że w ostatniej chwili chłopak pochylił się pod ciężarem
broni.

- Cholera - warknął Duke, wściekle tupiąc nogą. - Cholera.
 - Nie wymagaj od siebie zbyt wiele, synu. Przeszkodziła ci jedynie masa łuku. Kiedy będziesz miał swój, poradzisz sobie doskonale.
 - Kiedy będę miał swój? - powtórzył Duke.
 - Jasne. Dostaniesz ode mnie łuk, ale musisz mi obiecać, że będziesz ciężko pracował w szkole i nie będziesz wagarował; nie chcę cię widzieć w strumieniu, kiedy powinieneś być na lekcjach.
- Duke uśmiechnął się szeroko.
- Mam cię - mruknął Bill. - A teraz zmiataj. Mam coś do zrobienia.

Rozdział piętnasty

Anna leżała samotnie na kanapie. Była sztywna i nieświadomie zaciskała usta, gdy się ocknęła i gwałtownie otworzyła oczy. Wreszcie zdołała unieść rękę i dotknąć koszulki między piersiami: wyczuła plamę potu. Serce jej biło niespokojnie. Przez głowę przemykały niewyraźne, fragmentaryczne obrazy, aż wreszcie na nowo dostrzegła przerażającą wizję. Uderzenia serca stały się jeszcze szybsze. Wiedziała, co to jest: katapleksja. Miewała takie ataki pod wpływem stresu, zwykle w środku nocy; nie patrzyła wtedy na zegar w obawie, że czas przetrzyma ją w tym stanie aż do rana. Zastanawiała się w takich chwilach, czy powinna powiedzieć Joemu o atakach paranoi, coraz silniejszych po każdej nocy zakłóconej sennym paralizem. Nigdy jednak nie chciała go budzić. Czekala, gapiąc się w sufit, aż jej oddech wróci do normy. Dopiero wtedy przewracała się na bok, obejmowała Joego ramieniem i przytulała się mocno, całując jego barki i plecy. Zamykała oczy, pragnąc pokonać strach snem. Tym razem jednak - przez sprawę Katie, Shauna i wszystko inne - czuła, że traci równowagę na dobre. Nie mogła tak żyć. Odkąd się dowiedziała, że Katie została zamordowana, jej umysł dokonywał coraz bardziej karkołomnych ewolucji, a paranoiczne rojenia stały się przerażająco realne.

Weszła do sypialni. Joe leżał na łóżku, zarzuciwszy ramiona za głowę.

- Muszę ci o czymś powiedzieć - zaczęła. - Nie chcę ryzykować, bo może ma to coś wspólnego... a może nie.

- Coś wspólnego? Z czym? - spytał Joe.

- Chodzi o Johna Millera.

Joe zmarszczył brwi.

- Byłam z nim nie tylko przez tych osiem miesięcy w college'u - powiedziała.

- Nie obchodzi mnie, jak długo byliście razem.

- Nie chodzi o to, jak długo, tylko kiedy.

- Nie rozumiem.

- Byłam z nim znowu, kiedy tu wróciłam...

Joe zaczynał pojmować, o czym mowa.

- Wtedy, kiedy już byliśmy zaręczeni? - zapytał, siadając na posłaniu.

- Tak - odpowiedziała Anna ze łzami w oczach. - Tak. Przez dwa tygodnie pobytu. Sama nie wiem dlaczego.

- Dlaczego?

- Nie wiem - powtórzyła. - Był tutaj a...

- A ja byłem tysiące mil stąd, więc miałaś mnie gdzieś - dokończył Joe podniesionym głosem.

- Nie, to nie tak. Ja tylko... Co mam powiedzieć? To było tak dawno...

- Więc dlaczego mówisz mi o tym teraz?

Joe sam dobrze wiedział dlaczego. Traumatyczne przeżycia zawsze wywołują głęboką reakcję; zachęcają do wyznań, oczyszczenia duszy. Mroczne sekrety wypływają w mrocznych chwilach.

- Nie wiem - odrzekła Anna. - Może... Nie wiem.

- Nie wierzę własnym uszom - powiedział Joe, potrząsając głową. - Czy ostatnio chciał czegoś od ciebie?

- Dziwnie się zachowywał. Przycisnął mnie do ściany i domagał się seksu... A potem gadał do ciebie, gdy spotkaliście się w barze.

- Domagał się od ciebie seksu?! - Joe z wściekłością zerwał się na równe nogi.

-Tak.

- No i co mu odpowiedziałaś?

- Nie! A czego się spodziewałeś?

- Sam nie wiem. Może „tak”?

- Tamto wydarzyło się dawno, dawno temu - powtórzyła, tym razem nieco głośniejsze.

- O, jak wspaniale... więc to nie ma znaczenia, tak?

„Słuchaj, spałem z kimś, ale to było pięć lat temu, więc udawajmy, że wszystko jest jak dawniej”.

- Naprawdę? - spytała Anna z przestraszeniem w oczach.

- Och, na miłość boską, jasne, że nie! Chcę tylko ci wyjaśnić, że nie jest ważne, kiedy byłaś niewierna. Ważne, że byłaś, że mnie okłamałaś i że jestem frajerem, który mimo wszystko ożenił się z tobą, nie znając prawdy. Uważasz, że to było fair? I że to świetna podstawa do...

- Żałujesz, że się pobraliśmy? - zapytała Anna.

- Ani się waż odwracać kota ogonem. Dobrze znasz odpowiedź. Ale ja nie zamierzam odpuścić. Byłem ci wierny przez dwadzieścia lat, Anno. Wiedz, że niewielu gliniarzy może z czystym sumieniem powiedzieć coś takiego swojej żonie. Panienci z ulicy błyskają do nas cyckami, egzotyczne tancerki robią wszystko za prochy, a o babkach sikających w majty na sam widok munduru nawet nie wspomnę!

- I bardzo dobrze! - wykrzyknęła Anna, podrywając się z łóżka. - Dobrze zrobiłeś! Wielkie dzięki, że nie spałeś z żadną zdzirą!

- Teraz myślę, że jednak spałem - odpowiedział.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Ty draniu.

Chwyił ją za ramię, gdy go mijala, ale wyszarpnęła je z uścisku i wyszła.

Detektyw O'Connor stał pod ścianą, mając przed sobą Franka Deegana i trzydziestu funkcjonariuszy z Water-ford, pracujących nad sprawą morderstwa.

- Posłuchajcie, chłopaki. Oto, co już wiemy na temat Katie Lawson: czas zgonu jest w przybliżeniu zgodny z czasem zaginięcia, ale nie można wykluczyć, że dziewczyna była gdzieś przetrzymywana przez kilka dni... rozkład ciała, jak zapewne wszyscy wiecie, bardzo utrudnia ocenę. Powinniśmy też wziąć pod uwagę możliwość, że Katie zginęła w zupełnie innym miejscu, a jej ciało z jakiegoś ważnego powodu podrzucono do lasu. Bezpośrednią przyczyną śmierci było uderzenie tępym narzędziem, zapewne kamieniem, w głowę, poprzedzone duszeniem. Nie możemy wykluczyć napastowania seksualnego, ale też nie możemy stwierdzić,

że nastąpiło, choć oczywiście obrażenie dolnej połowy ciała jest dość jasną sugestią. Niewiele udało się znaleźć na miejscu zbrodni, a w każdym razie nie było tam znaczących dowodów. Laboratorium pracuje już nad próbkami pobranymi z ciała, w tym także nad fragmentami obcego ciała wyjętymi z rany na głowie. Rezultaty badań przekażę wam, gdy tylko je dostanę. Tymczasem zaś kontynuujemy obróbkę zeznań, szukamy pojazdów, które widziano w okolicy, i nowych świadków. Pomogą nam w tym media. Będziemy się też przyglądać chłopakowi Katie, Shaunowi Lucchesiemu. Wiemy, że jego ojciec, Joe Lucchesi, detektyw z Nowego Jorku, na którego posesji znaleziono zwłoki, odwiedził ostatniej nocy miejsce zbrodni i być może usunął dowody, które... nie możemy tego wykluczyć... przeoczono podczas wstępnego badania terenu.

Z głośników płynęła smętna melodia Gainsbourga. Joe wałnął pięścią w wyłącznik radia, nacisnął pedał gazu i w ciszy odjechał spod domu, właściwie nie zastanawiając się nad tym, dokąd się wybiera. Czuł strach i wściekłość zarazem, a wszystko z powodu sprawy, na którą nie miał już żadnego wpływu. Wiedział też, że gniew absolutnie nic nie zmieni. Anna go zdradziła. Nieznośne myśli i obrazy szturmowały jego umysł. Pamiętał, jak w duchu uśmiechał się z wyższością, gdy rozpadały się inne małżeństwa. Nigdy nie wątpił, że może wrócić do domu, do swej pięknej żony; wierzył w odmiennosc tego związku. Teraz przestali różnić się od innych małżonków, karmionych złudzeniami, zdradzanych, rozwścieczonych, winnych, emocjonalnie okaleczonych. Ściskając mocniej kierownicę, jechał coraz szybciej i szybciej, aż poczuł, że powinien się zatrzymać. Stał na końcu alejki prowadzącej do sadu Millerów. Rozparł się w fotelu z zagłówkiem i przymknął oczy. Otworzył je szybko, gdy usłyszał głośny kaszel. Zobaczył po drugiej stronie drogi Johna Millera, który palił papierosa, raz po raz postukując nim o pudełko. Spróbował wyobrazić sobie, jaki był przed osiemnastu laty, gdy Anna powróciła tu z pierścionkiem zaręczynowym na palcu i zaryzykowała te dwa tygodnie... Była młoda, miała ledwie dwadzieścia

jeden lat, lecz Joe był przekonany, że wiedziała, co czyni, odpowiadając mu „tak”. Gdy wyjeżdżała do Irlandii, sam zawiózł ją na lotnisko, a potem płakał w męskiej toalecie, gdy odleciała. Odleciała do Johna Millera. Kochanek Anny z wprawą zapalił kolejnego papierosa. Joe wciąż mierzył wzrokiem jego postać, wysoką i barczystą postać rugby amatora, której z biegiem lat przybyło dobrych dwadzieścia kilogramów. Patrzył i widział, że ma przed sobą żalostnego człowieka w szarych, obwisłych portkach, wymiętej koszuli i tandetnych butach. Tym większy odczuwał ból.

Katie nie miałyby żadnych szans w starciu z kimś takim, nawet jeśli był bez formy. Wystarczyłyby masa ciała. John Miller był człowiekiem zgorzkniałym. Nie mógł mieć Anny, więc być może zadowolił się kimś, kto był jej bliski - młodą dziewczyną, która choćby wiekiem mogła mu przypominać kochankę sprzed lat. Musiał jedynie przejechać półtora kilometra i obserwować uważnie ruch na drodze do Shore's Rock. Katie nie miała powodu, żeby mu nie ufać. Pewnie wzbudziłby w niej współczucie.

Joe zaczekał, aż Miller się odwróci, po czym uruchomił silnik i odjechał.

Anna wybiegła z domu na ścieżkę, gdy usłyszała sygnał klaksonu. Ray wygramolił się z szoferki i podszedł do tylnych drzwi furgonetki.

- Cześć, Ray - powiedziała. - Dobra robota.

- Nie ma sprawy - odparł. - Właśnie przywiozłem wszystkie trzy stalowe panele. Mogę je wpasować tam, gdzie wycięliśmy zardzewiałe resztki.

- Fantastycznie. Mógłbyś zanieść je sam do latarni?

- Jasne. Mam też zbiorniki na naftę, nie wiem tylko, czy Sam pozwoli już je zainstalować. - Ray spuścił głowę. - A u ciebie wszystko w porządku? Wyglądasz...

- W porządku - przerwała mu. - Tylko że dziś wieczorem....

- Wiem. To straszne. I tak trudno w to uwierzyć... -Ray uderzył dłonią w burtę wozu. - Mam nadzieję, że to nie potrwa długo. Zobaczymy się w domu pogrzebowym.

- To dziwne - powiedziała w zamyśleniu. - Mam wraże-

nie, że kiedy umiera dziecko, ludzie starają się wykorzystać każdą okazję do pożegnania. Uczestniczą we wszystkim... modlą się w domu pogrzebowym, biorą udział we mszy, potem w samym pogrzebie... To chyba dobrze.

Obok nich zatrzymał się jeep. Joe wyskoczył na ścieżkę i minął ich szybkim krokiem, rzucając w stronę Raya niewyraźne „cześć”. Poszedł prosto do salonu, sięgnął po telefon, otworzył książkę telefoniczną i odszukał numer Trinity College.

- Katedra zoologii, w czym mogę pomóc?

- Dzień dobry. Czy mógłbym porozmawiać z entomologiem?

- Czyli z Nealem Columbem? Niestety, w tej chwili prowadzi zajęcia.

- A mogę poprosić, żeby do mnie oddzwonił?

Zakończywszy rozmowę, spojrzął na zegarek i zajął do Shauna, a potem wziął prysznic i zmienił ubranie. Anna zaszła go od tyłu, gdy stał w łazience, opierając stopę na klapie sedesu i polerując czarny, skórzany but rogiem bielutkiego ręcznika.

- Na miłość boską! - zawołała. - Pod umywalką leżą szmaty.

Uniósł głowę i spojrzął na nią. Zobaczył łzy.

- Nie wiem, jak on sobie z tym poradzi - powiedziała.

- Z naszą pomocą - odparł sztywno.

- Przepraszam cię.

- Ciii.

Frank stał z O'Connorem przy drzwiach domu pogrzebowego. Detektyw nosił te same okulary bez oprawek, które miał na sobie, gdy odnaleziono Katie. Frank zauważył jednak, że po raz pierwszy spojrzenie O'Connora nie jest mętne.

- Co z twoimi szklami kontaktowymi? - spytał.

- Pozbyłem się ich - odparł O'Connor. - Wiesz, że dziewięćdziesiąt procent spraw, którymi zajmują się nasi ludzie, to naruszenia porządku publicznego popełnione pod wpływem alkoholu? Nie sposób nad tym zapanować. Marnujemy czas, a opinia publiczna reaguje wściekłością. Lu-

dzie wydzwanają do rozgłośni radiowych i narzekają, że wszyscy dookoła piją, ale nikomu nie przyszło do głowy, żeby na przykład przywołać do porządku własne dzieci, zabronić im imprezowania. Nikt nie przyjmuje do wiadomości, że jego potomstwo jest częścią tego problemu. W głowie się to nie mieści... Zeszłej nocy Paul Woods odstawił do domu smarkulę, która była zbyt pijana, żeby wysiąść z samochodu, nie mówiąc już o dotarciu do drzwi. Musiał zawołać matkę, a ona mu nie wierzyła, póki nie zobaczyła piętnastoletniej córeczki zalanej w trupa i ubranej w mi-niówkę nie zakrywającą nawet tyłka. Nie poznała jej. Nikt też nie chce zauważyć, jakim problemem są narkotyki. Moi ludzie go nie rozwiążą, bo są zbyt zajęci zmywaniem rzygo-win z tylnych siedzeń swoich policyjnych wozów. A miasto i okolica są pod wpływem świetnie zorganizowanego gangu handlarzy.

- Naprawdę - rzucił obojętnie Frank.

- Na przykład w zeszłym miesiącu - ciągnął O'Connor - byliśmy bliscy przełomu w sprawie tego gangu. Weszliśmy w okolice, obserwując zwłaszcza pewną dyskotekę w sobotnie wieczory. W końcu pojawiła się tam furgonetka i podeszli do niej dwaj gówniarze. Nasi ludzie zaraz się zbliżyli, ale na ich widok kierowca ruszył z piskiem opon i tyle go widzieli. Oczywiście niedoszli klienci nie przyznali się do niczego, a cała historia rozeszła się po mieście już następnego dnia. Rodzice zaczęli wydzwaniać na posterunek, jakby ten handlarz pokazał się po raz pierwszy. Jedna z gazet zrobiła z tego nawet artykuł na pierwszą stronę. Jak widzisz, naciski są potężne... Nie mogę teraz dołożyć ludziom psychopaty, który grasuje po okolicy, mordując dziewczęta.

- Robimy wszystko, co się da - odparł Frank. - Zbieramy zeznania, wkrótce będziemy ponownie analizować stare... - Urwał, widząc nadchodzącego Richiego.

- Słyszałem, że nie pospałeś dziś za wiele - powiedział z uśmiechem O'Connor.

Oran lubił chwalić się w pracy trunkowymi przygodami.

- Owszem - mruknął Richie, uśmiechając się przelotnie. - Ale przynajmniej nie mam dowodu w postaci kaca.

- Porządny z ciebie chłop - powiedział O'Connor, spo
glądając na Franka.

Joe patrzył, jak Shaun zbliża się do bocznych drzwi domu pogrzebowego. Był o kilkanaście centymetrów wyższy od większości kolegów i w nowym, czarnym garniturze wyglądał przy nich dziwnie dojrzałe. Wszyscy rozpaczliwie próbowali zapanować nad przygnębieniem; szok nie pozwalał im wykrztusić słowa.

Spojrzenie Joego zatrzymało się na funkcjonariuszach stojących przy bramie. Zastanawiał się nad dynamiką tego układu. Detektyw z Waterford prowadził raczej jednostronną konwersację z Frankiem, który raz na parę minut potakiwał ruchem głowy. Richie stał obok i wyglądał przy starszych policjantach na zakłopotanego i niepewnego. O'Connor i Deegan podświadomie odsuwali się od niego; było to zjawisko na tyle widoczne, że Richie mógł się czuć obco. Frank wyglądał na zadowolonego, że nie musi zajmować się Richiem, choć może niekoniecznie podobało mu się ciągle odchyłanie głowy, które dawało mu nieco swobody w rozmowie z detektywem. Jedyne O'Connor obserwował wszystkich wchodzących i wychodzących z domu pogrzebowego.

- Co o tym myślisz? - spytała Anna, kładąc rękę na ramieniu Joego. Odsunął się i pokręcił głową. - Mówiłam, że moglibyśmy zaprosić trochę dzieciaków na weekend, po móc im jakoś...

Joe skrzywił się z dezaprobatą. Od rana nie patrzył jej w oczy. Irlandczycy mawiają, że „coś ich przebija”, gdy mają na myśli nieprzyjemne, bolesne odczucia. W tej chwili każde słowo i każdy czyn Anny „przebijały” Joego. Pozwalał jej być blisko tylko przez wzgląd na Shauna... i może trochę na użytek sąsiadów; w duchu musiał się do tego przyznać. Być może też na złość Johnowi Millerowi. Wciąż miał przed oczami obraz jego i Anny. Zastanawiał się, czy powinien przejmować się tym, co zaszło prawie dwadzieścia lat wcześniej. W głębi serca jednak wiedział, że powinien -a to dlatego, że kochał Annę. Poczł dreszcz. Człł też jej spojrzenie na sobie. Bolała go głowa, a rwanie w szczękach

nabrało mechanicznego, rytmicznego charakteru. Stał nie-
ruchomo, spoglądając w przestrzeń.

Martha Lawson siedziała przed trumną swego jedyne-
go dziecka, gdy w sali domu pogrzebowego rozległ się jęklivy
śpiew.

- Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławio-naś
Ty między...

Stare kobiety przesuwwały w palcach paciorki różańców,
modląc się ufnie. Zdezorientowani uczniowie, stojący grupkami
w szarych, szkolnych mundurkach, powtarzali te fragmenty,
które pamiętali, i o dziwo znajdowali w tym rytuale pocieszenie.
Niektórzy zastanawiali się jednak, czy to naprawdę działa. Raz
po raz zerkali na dębową trumnę; jej zamknięte wieko sprzyjało
rozmyślaniom o nieuchronnym końcu. Od dziecka oswajali się z
widokiem otwartej trumny, ze ściskaniem dłoni i całowaniem
zimnych, marmurowych czół swoich dziadków i dalszych
krewnych... Ale nie ze śmiercią szesnastolatki.

Martha Lawson oparła się niezgrabnie o swoją siostrę, Jean.
Życie odpłynęło z jej twarzy; miała ciemne, puste oczy. Była
żarliwą katoliczką, brała poważnie każde słowo różańcowej
modlitwy, ponieważ wierzyła - w Boga, w modlitwę, w dobro
człowieka. Żaden zabójca nie mógł pozbawić jej tej wiary. Nie
mogła tylko zrozumieć. Nie pojmowała, dlaczego siedzi tu po
raz drugi w ciągu ostatnich ośmiu lat w roli pierwszej
opłakującej. Najpierw rak zabrał jej męża, a teraz morderca -
córkę. Wpatrywała się w drewnianą ścianę trumny, nie mogąc
pogodzić się z brutalnością, której doświadczyło jej dziecko. Jej
maleństwo, jej piękna dziewczynka... pod dębowym wiekiem.
Gdy modlitwy dobiegły końca, wszyscy wyszli na ulicę.
Karawan już czekał, by przewieźć trumnę do pobliskiego
kościola.

Ojciec Flynn, sędziwy proboszcz, pospiesznie odprawił
nabożeństwo. Jego słowa, wypowiedane zbyt często, były
puste, pobrzmiwało w nich znużenie. Nie nauczył się jeszcze,
że z każdym pogrzebem smutek przychodzi na nowo. Ludzie
poruszali się niespokojnie w ławkach. Martha rozmyślała już o
tym, co będzie nazajutrz, gdy z Rzymu przy-

leci jej kuzyn Michael, by odprawić prawdziwą mszę. On zawsze umiał znaleźć właściwe słowa.

Godzinę po krótkim nabożeństwie strumień żałobników wciąż przepływał obok Marthy.

- Współczuję - mruzczał każdy, ściskając jej rękę i przesuwając się wzdłuż ławki.

Wysokie drewniane paliki płonęły rzędem na trawie przed latarnią morską. Brendan, fotografik zatrudniony przez redakcję „Vogue”, stał przy nich ze światłomierzem. Shaun wymamrotał coś i ruszył w stronę domu. Joe spojrzął na Annę.

- Nic nie mogłam zrobić - powiedziała. - Wynajęli go wiele tygodni temu.

- Wiem o tym - odparł.

- Przyjdę wieczorem.

Następnego ranka na niebie pojawiło się słońce, ale chłód pozostał. Żałobnicy mieli przynajmniej o czym mówić. Zmierzali w kierunku małego, kamiennego kościółka na skraju wioski. Zajęli miejsca w ławkach i ustawili się w bocznych nawach. Zabrzmiał dźwięk dzwonka i zebrani wstali. Ojciec Michael pojawił się przy ołtarzu z dwoma ministrantami u boku. Stuknął palcem w mikrofon.

- Usiądźcie, proszę. - Skierował wzrok ku sklepieniu i przemówił łagodnie. - Gdy Katie miała trzy lata, nauczyłam ją dwóch słów z listy „Reader's Digest”. Pierwszym była „empatia”, a drugim „zachęta”. Następnego dnia za pytałem, które słowo oznacza, że rozumiemy, co czuje inna osoba. Spojrzała na mnie i zmarszczyła brwi. Nie mogła sobie przypomnieć. Nie odpowiedziałam jej. Czekałem cierpliwie, nie sugerując niczego. Wreszcie wyciągnęła do mnie rączkę, trzepnęła w ramię i powiedziała: „Zachęć mnie, Michael!” Dziś, w obliczu tej strasznej tragedii, empatia naturalnie każe nam współczuć rodzinie i przyjaciołom Katie Lawson. Ważniejsze jednak jest to, abyśmy zachęcali. Możemy zachęcać ludzi, by znajdowali oparcie w wierze i wspierali się nawzajem, żeby byli silni przez pamięć o Katie. Ona by tego chciała. Wiem, że pieśni wy-

brane dziś przez jej chłopaka, Shauna, i przez jej szkolnych przyjaciół, są pieśniami pozytywnymi, pieśniami nadziei, wsparcia i, jak mówiłem, zachęty. - Ksiądz kiwnął głową w stronę małej grupki młodzieży na galerii i ku zapłakanej zastępczyni Katie, której drżący głos ledwie sobie poradził z pierwszym solo.

- Wiele przyczyn jednoczy nas dzisiaj w miłości do Katie, we wsparciu dla Marthy i całej rodziny Lawsonów, a także dla Shauna. Jednoczą nas wiara i nadzieja, ale także brak zrozumienia dla tego, co się wydarzyło. Jak to się stało, że szesnastoletnia, tak pełna życia dziewczyna, która mogła tyle dać światu i w istocie tak wiele dobra czy niła dla nas wszystkich, została nam odebrana tak nagle? Jakąż nienawiść musi nosić w sercu ten, kto dopuścił się aktu tak brutalnego i okrutnego?

Ojciec Michael umilkł na chwilę.

Jedynym dźwiękiem, który zakłócał ciszę, było skrobanie długopisów dziennikarzy po kartkach notesów.

- Być może nigdy się nie dowiemy - odezwał się wreszcie. Kilka osób instynktownie spojrzało w stronę Franka Deegana i Richiego Batesa. - Wiemy jednak na pewno, że nie wolno nam pozwolić, by naszymi sercami zaważnęła nienawiść. Ona bowiem może sprawić, że będziemy cierpieć. Nasze serca powinny być miłością, naczyniami pełnymi dobra, tak jak serce Katie.

Joe, jako najwyższy spośród sześciu niosących trumnę, musiał się nieco przygarbić, gdy unieśli w górę zaskakująco lekkie brzemię. Tłum, prowadzony przez Marthę, podążał za nimi, gdy ruszyli w stronę cmentarza. Ludzie wypełnili szczerlnie wąskie ścieżki między mogiłami, nie odrywając wzroku od świeżo wykopanego dołu szerokości sześćdziesięciu centymetrów, głębokiego na dwa metry, obok którego spoczęła trumna.

Shaun znalazł się tuż nad grobem. Nie umiał połączyć w myśli osoby, którą kochał, z tym, co się tu działo. Wreszcie uderzyła go nagła świadomość, że jej ciało naprawdę spoczywa w tej trumnie. Katie leżała ledwie parę centymetrów od niego, ale była martwa i zamknięta w dębowym pudle. Zastanawiał się, jak wygląda: czy wypełnia to cia-

sne wewnątrz, czy wydaje się mała i zagubiona wśród atlasowych falban. Nie umiał zapanować nad gwałtownym szlochem.

Nawet ci, którzy trzymali się twardo przez całą mszę, teraz ulegli brutalnej rzeczywistości trumny znikającej w grobie na zawsze oraz widokowi drżącej ręki chłopaka, który rzucił białą różę na polerowane dębowe wieko.

Po pogrzebie większość żałobników udała się do domu Marthy Lawson. Sąsiedzi od wczesnego ranka przygotowywali stypę. Idąc korytarzem, Anna dostrzegła Johna Millera, który wymknął się z kolejki stojącej przed drzwiami toalety i zniknął za drzwiami prowadzącymi na ogród za domem. Była zniesmaczona tym, co zamierzał zrobić, ale też nikt inny nie zauważył jego manewru. Gdy wyłonił się zza szopy, już na niego czekała.

- Co się z tobą dzieje, John? - warknęła. - I co zrobiłeś ze swoim życiem?

- Jezu, ja tylko musiałem się odlać - odparł, uśmiechając się w przestrzeń.

Miał rozpięty rozporek. Ze złością wskazała nań ruchem głowy. Miller mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Potrzebujesz pomocy - stwierdziła.

Wyglądał tak, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale po namyśle odwrócił się i odszedł krętą ścieżką do domu.

Richie i Frank przystanęli w kącie holu, z filiżankami herbaty i kanapkami w rękach.

- Przepraszam, że przeszkadzam - zagadnął ich Joe -ale...

- Na tym etapie śledztwa nie jesteśmy zainteresowani -przerwał mu Frank, nie podnosząc głowy.

Joe spojrział na niego ze zdumieniem.

-Ależ...

- Nie, dlaczego, niech mówi, pośmiejemy się - wtrącił Richie. - No, jak brzmi twoja najnowsza teoria?

Stojąc przed nimi z mapką w dłoni, Joe poczuł się dość żałośnie. Wiedział jednak, że racja jest po jego stronie.

- Patrz, przyniósł mapkę - rzucił drwiąco Richie.

- Rzućcie okiem i miejmy to już za sobą - poprosił Joe.
Kiedy przedstawił swoją teorię na temat Mae Miller, odezwał się Richie:
.— Skąd wiesz, że inni sąsiedzi nic nie słyszeli?
- Pytałem ich - odparł Joe, doskonale wiedząc, do czego zmierza policjant.
- Trzymaj się od tego z daleka! - rzucił Richie, na moment podnosząc głos. - A może Katie poszła na cmentarz, potem wróciła zwykłą trasą obok domu Mae Miller i wreszcie skończyła w ziemi twojego pieprzonego ogródka?
Frank skrzywił się z niesmakiem.
- Ten lasek jest dostępny dla wszystkich, sukinsynu - syknął Joe. - A to, co wygadujesz na temat jej trasy, zwyyczajnie nie trzyma się kupy. Zresztą dobrze o tym wiesz, uparty zdrańcu.
Richie sapał z wściekłości.
- Cokolwiek się stało - wtrącił spokojnie Frank - Katie pojawiła się obok domu Grantów, a Mae Miller słyszała krzyk.
Joe pokręcił głową i odszedł. Frank zwrócił się do Richiego.
- Wyluzuj trochę.
- Co znaczy: wyluzuj?
- Jesteś chorobliwie agresywny w obronie. Nie tego potrzeba w naszej robocie. W przyszłym roku odchodzę i nie chcę, żebyś siał w wiosce ferment w tych ostatnich miesiącach.
- Nie chcę być niegrzeczny, ale właśnie, to prawda: ty odchodzisz, a ja zostaję. Praca jest całym moim życiem i nie chcę, żeby nierozwiązane sprawy hamowały moją karierę. A ci Lucchesi to przybłędy, nie nasi. Ten gość albo jego syn... zresztą może nawet obaj wydają mi się kurew-sko podejrzani.
- A mnie się wydaje, Richie, że jesteś na pogrzebie. Pamiętaj o tym i weź się w garść. - Frank upił łyk herbaty. - Nawet jeśli Joe Lucchesi jest, jak mówisz, podejrzany, to nie zwalnia to nas z właściwego wykonania naszej roboty. Powiem ci jedno: wolałbym mieć na sumieniu nierozwiązaną sprawę niż skazanie niewinnego człowieka. Zresztą

śledztwo prowadzi Waterford, nie my. Twoja kariera nie będzie zależeć od tego, czy... -Ale...

- Słuchaj mnie. Bo na razie nie słuchasz. Na dłuższą metę liczy się to, jak traktujesz siebie i innych ludzi. Nie możesz ich zastraszać, rozpychać się łokciami. Pamiętaj, że już choćby z racji zawodu, który wykonujesz, ludzie będą traktować cię nieufnie... nie ma w nich tyle szacunku, ile dawniej, gdy zaczynałem. Kiedy skończyłem się w Temple-more, jeden z detektywów powiedział mi: „Jeśli będziesz szedł ulicą i wtykał mandat za złe parkowanie za każdą wycieraczkę, całe miasto uzna cię za sukinsyna. Jeśli będziesz szedł ulicą i nie dasz mandatu nikomu, całe miasto uzna cię za sukinsyna”.

- Więc tak czy inaczej, jesteśmy sukinsynami - podsumował Richie. - Koniec, kropka.

- Otóż nie. Wszystko zależy od nas. Możemy pokazać ludziom, że nie jesteśmy.

- Pytanie tylko, czy powinno nam zależeć.

- Mnie zależało i jestem z tego dumny - odparł Frank.

Anna stanęła w drzwiach pokoju Shauna. Leżał na łóżku, w zbyt obszernych dżinsach i baseballowej bluzie. Nogi zwisały mu poza krawędź materaca. Spał, a na jego policzku widać było gorący rumieniec. Wyciągał rękę na poduszce w tej samej pozycji, którą widywała co noc od czasu, gdy był małym dzieckiem. Wciąż jest dzieckiem, pomyślała i po jej policzkach spłynęły łzy. Shaun wolno otworzył oczy i przewrócił się na plecy. Anna dobrze to widziała w jego twarzy: to przerażające przebudzenie, przejście ze świata, który jest piękny, do świata, w którym wszystko jest nie takie, jak być powinno. Skrzywił się i usiadł, opierając plecy o wezłowie łóżka. Podciągnął kolana do piersi i rozplakał się. Anna podeszła do niego ze ściśniętym sercem. Usiadła na łóżku i objęła go. Nie próbował powstrzymywać łez. Sprawiały jej ból, ale kołysała nim łagodnie, w milczeniu. Nie wiedziała, co powiedzieć. Niebo nie jest miejscem dla pięknej szesnastolatki; z tego, co się wydarzyło, nie wynikała żadna radosna, duchowa lekcja.

- Kocham cię - szepnęła, tuląc twarz do jego wilgotnych włosów. - Oboje cię kochamy, skarbie.

Uspokoił się po chwili.

- Nie rozumiem - powiedział. - Po prostu nie rozumiem. Dlaczego... Dlaczego ktoś mógł...? Przecież jest taka do skoła, jest...

Shaun rozplakał się znowu. Anna tuliła go w ramionach przez dwie godziny, głaszcząc po włosach, aż wreszcie ponownie odpłynął w sen. Ułożyła jego głowę na poduszce.

Poszła do swojego pokoju i wybuchnęła płaczem, zdejmując koszulę moką od łez syna.

Dochodziła północ i Danaher's był pełen ludzi, którzy zawitali tu zaraz po pogrzebie lub po stypie u Marthy.

- Powodzenia - rzucił Ray, gdy Joe wstał z barowego stołka i ruszył w stronę wychodka na podwórzu.

Dopiero gdy stanął na nogi, Lucchesi poczuł, jak silnie podziałał na niego alkohol wypity na pusty żołądek. Poza lekko skwaśniałym koktajlem mlecznym, który zaserwował sobie z samego rana, pożywił się tego dnia jedynie sześcioma tabletkami, dwoma LV8 i trzema pintami piwa.

Kabina z drzwiami była zajęta, wszedł więc do sąsiedniej. Rozpiął rozpiorek i kołysząc się lekko na piętach, zaczął chwilę na rozluźnienie ciała.

- Zdaje się, że zająłem tę przytulniejszą - odezwał się głos zza ściany.

- Zdaje się - zgodził się Joe, czekając na dalszy ciąg.

- Wiesz, zawsze możesz...

Joe sprężył się, jak zawsze w rozmowie z obcym, by roześmiać się uprzejmie, bez względu na jakość puenty.

- ...zaczekać chwilę i przysiąść tutaj, jeśli chcesz skrócić batona. Ogrzewam ci deskę.

Joe zmusił się do uprzejmego śmiechu. Nie mógł jednak zmusić się do załatwienia potrzeby, z którą tu przyszedł.

Zapadła cisza, a po chwili rozległo się skrobanie w drewniane drzwi kabiny.

- Nie za dobrze ci idzie, co? - padło pytanie.

Głos wydawał się teraz bliższy, jakby jego źródło znaj-

dowało się wyżej, a także bardziej stłumiony, jakby nieznajomy przyciskał policzek do cienkiej ścianki. Joe zamarł. A potem usłyszał skrzyp otwierających się drzwi i szorowanie drewnianego narożnika po betonowej wylewce.

- Miłego poranka - odezwał się głos po raz ostatni.

Siedzący w barze Ray usłyszał trzask włączanych głośników, a potem potężny głos właściciela.

- Proszę właściciela samochodu o numerach 92W 16573 o wyjście na parking i zabranie z drogi tego cholernego pudła! - zagrmiał Ed.

- Jezu, nie musisz zaraz połykać mikrofonu! - zawołał Ray.

- Zamknij się, ciołku - odparł Ed do mikrofonu.

Ray wstał i wyjął z kieszeni kluczyki.

- A, to twój wóz! - zaśmiał się Danaher, gdy chłopak ruszył w stronę drzwi.

- Ładna fryzura - powitał Ray mężczyznę, który stał obok jego samochodu. Jasne włosy były krótkie i zjeżone na szczycie głowy, a z tyłu nieco dłuższe.

- Twój wóz, chłopie? - spytał blondyn. - Jeśli tak, to go zabieraj.

- A co, pali się? - mruknął Ray, wsiadając do samochodu. - A może twój fryzjer jest w niebezpieczeństwie, co?

- Zabieraj ten pieprzony wóz - warknął mężczyzna, prze-stępując z nogi na nogę. Stał ze spuszczoną głową, z rękami wbitymi głęboko w kieszenie.

Ray wrzucił wsteczny i ruszył, otwierając drogę stojącej obok małej furgonetce. Wysiadł po chwili i nucąc wczesny przebój zespołu Bon Jovi, ruszył w stronę baru. Nagle czyjaś ręka złapała go od tyłu za ramię i obróciła gwałtownie. Stanęli naprzeciwko siebie, nie ruszając się. Ray dał krok naprzód, ale został odepchnięty z wielką siłą. Niezdarnie złapał ręką za kurtkę nieznajomego, by odzyskać równowagę, ale było już za późno. Mężczyzna wskoczył do furgonetki i odjechał szybko. Siedząc na ziemi, Ray ze zdziwieniem odprowadził go wzrokiem. Zanim wstał, coś przykuło jego uwagę: błysk złota na czarnym asfalcie.

Joe wrócił do baru i poprosił o czwartą pintę.

- Co z tobą? - spytał, gdy zobaczył Raya.

- Cholerny czubek na parkingu... Amerykanin, rzecz jasna. Dziwny jakiś. Z przodu wystrzyżony, z tyłu długie kłaki, kraciasta koszula, przyciasne dżinsy, wielkie buciory. Przystojny, ale zdrowo szurnięty. Szarpał się ze mną, bo nabijałem się z jego fryzury...

- Nabijałeś się z fryzury? Nie! Tylko nie to! Pomocy! -zawołał Hugh, unosząc ręce w udawanym przerażeniu.

- Myślałem, że jestem dowcipny - stwierdził Ray. - Tak czy owak, patrzcie, co zgubił. Jakaś pedalską broszkę.

Rzucił na bar mały metalowy przedmiot. Joe spojrzął i poczuł się tak, jakby płuca miały mu eksplodować. Nie mógł wykrztusić ani słowa. Wszystko rozgrywało się teraz jak w zwolnionym tempie. Przez moment nie rozumiał, co się dzieje. Spojrzął ponownie. Wciąż nie wiedział, jak to możliwe. W ciągu paru sekund stworzył i odrzucił kilka teorii; żadna nie wydawała się prawdopodobna. Wreszcie pochwycił odznakę i wybiegł z baru, wiedząc, że jest za późno. Zatrzymał się tuż za drzwiami, pod nagą żarówką na werandzie, i uniósł metalowy drobiazg do światła. Znajomy kształt, złoto i rdzawa czerwień, skrzydła, pióra, jastrząb w locie... i ostry dziób z ledwie zauważalnymi drobinami zielonej farby zeskrobanej z drzwi wychodka.

Joe dobiegł do domu i zatrzymał się przed drzwiami, żeby uspokoić oddech, nim wsunął klucz do zamka. W środku panowała cisza. Zaszedł do kuchni i zobaczył Shauna, który siedząc przy stole, zapuchniętymi oczami wpatrywał się w lodówkę. Żółty magnes w kształcie taksówki podtrzymywał zdjęcie, na którym Katie przyciskała blady policzek do jego opalonej twarzy. Oboje pochylili głowy w bok, a Shaun wyglądał tak, jakby próbował ją pocałować. Joe zbliżył się i łagodnie położył dłoń na ramieniu syna. Shaun wypuścił powietrze, które na chwilę zatrzymał w płucach, a potem wstał i wyszedł.

Joe zamknął się w pokoju, usiadł przy biurku i sięgnąwszy po telefon, zaczął wybierać numer Danny'ego, ale się rozmyślił. Odłożył słuchawkę, włączył komputer i wszedł

na stronę Google. Wpisał trzy słowa: jastrząb, odznaka, lot. Wśród uzyskanych odpowiedzi królowali bracia Wright, Kitty Hawk, Czarne Jastrzębie i odznaki pilotów. Spróbował znów, tym razem bardziej dosłownie: złoto, czerwona, odznaka, jastrząb. Zobaczył adresy stron poświęconych jastrzębiom, wilgom złotym i odznakom z bawołem. Teraz wybrał bardziej ogólny zakres pojęć: Teksas, jastrząb, odznaka. Większość trafień miała związek z portalem wrestling.com, z kolekcjonowaniem odznaczeń oraz z teksańskim stowarzyszeniem obserwatorów jastrzębi. Nie zamierzał wchodzić głębiej niż na stronę główną każdego ze znalezionych serwisów. Wybrał adres „larrykochaprzyro-de.com”, dzieło niejakiego Larry'ego, naturalnie miłośnika przyrody. „Larrywrocdoorzeczywistosci.com”, pomyślał Joe. Na ekranie otworzyły się powoli dwie fotografie. Na pierwszej zobaczył czterech mężczyzn lekko po pięćdziesiątce, w ubraniach maskujących, z aparatami fotograficznymi i lornetkami na szyjach. Przeczytał tekst umieszczony pod zdjęciem: „Ja, Dick, Bobby i Jimmy w hrabstwie Nueces, w Teksasie, gdzie wypatrzyliśmy pierwszego w tym sezonie orła przedniego (tak, to nie pomyłka!)”

No i pięknie, pomyślał Joe. Przewinął stronę niżej, do drugiej fotografii, ukazującej tych samych mężczyzn, tyle że od pasa w górę.

„Ja, Dick, Bobby i Jimmy - odznaczeni (ha, ha!). A mówiąc poważnie, kupiliśmy te odznaki - limitowana edycja! - na straganie, po marnych 10 dolarów za sztukę!”

Serce Joego zabiło mocniej, gdy pochylił się nad ekranem, by przyjrzeć się bliżej znajomym kształtom. Popatrzył też na twarze mężczyzn. Sprawdził datę aktualizacji strony. Teraz musieli dobiegać siedemdziesiątki.

- Co tu robisz o tej porze? - spytała Anna, zachodząc go od tyłu.

- Wywiad - odparł Joe, wystawiając rękę, by nie podchodziła bliżej.

- Ach, tak - szepnęła. - To był fatalny dzień - dodała cicho. - Pójdziemy do łóżka?

- Przykro mi, ale nie.

Delikatnie zamknęła za sobą drzwi, a Joe pomyślał prze-

lotnie o Johnie Millerze. Zaraz potem przypomniał sobie stare dzieje. Miał siedem lat, gdy usłyszał podniesiony głos matki, dobiegający spod podłogi jego dzieciennego pokoju.

- Jak sądzisz, co robię przez cały dzień, hę?

- Może mi powiesz! - wykrzyknął ojciec.

- Może mi powiesz - powtórzyła drwiąco Maria. - Wychowuję nasze dzieci. Gotuję dla nich i dla ciebie. Sprzątam dla nich i dla ciebie. Właśnie to robię codziennie, całymi dniami. A co ty robisz, Giulio?

- Buduję przyszłość naszych dzieci.

- Jaką przyszłość? - Głos Marii stał się piskliwy. - Wydaje ci się, że to przyszłość? Rodzice, którzy nie widują się przez cały tydzień? Nie chcę, żeby mój syn był takim mężczyzną jak ty.

Potem wszystko ucichło. Po pewnym czasie rozległ się cichy dźwięk kroków matki na schodach i na korytarzu prowadzącym do jego pokoju. Maria otworzyła drzwi, pochyliła się nad nim i przytuliła go mocno. Czuł jej łyzy na włosach.

Znowu spojrzął na ekran. Prócz Larry'ego i jego kumpli, miłośników przyrody, co najmniej dwaj inni ludzie kupili przed niemal dwudziestu laty takie same odznaki. Donald Riggs musiał wówczas być zaledwie chłopcem. Dlaczego w chwili śmierci ścisnął w dłoni tę odznakę? Kto porzucił identyczną na parkingu przed barem? Joe ponownie sięgnął po słuchawkę i tym razem wystukał cały numer.

- Dwie sprawy, Danny - powiedział. - Wyciągnij akta Donalda Riggsa.

Cisza.

- Facet z Bowne Parku, eksplozja...

- Wiem, o kogo pytasz - przerwał mu Danny. - Zastanawiam się tylko dlaczego.

- Potrzebuję nazwisk jego wszystkich znanych współników, jeszcze z Teksasu - odparł Joe. - Jeśli miał takich.

- Jasne - mruknął Danny. - Da się zrobić. Ale z tego, co pamiętam, facet nie miał większych problemów zanim... no, wiesz.

- Zrób mi przyjemność - poprosił Joe. - A po drugie, zajrzyj do worka z dowodami i poszukaj złotej odznaki z jastrzębiem.

- Fakt, że silisz się na całkiem naturalny ton, wiele mi mówi o tobie - zakpił Danny. - Co tam się dzieje, Joe?

- Powiem ci, kiedy sam będę wiedział. A teraz... Trzymaj się.

Joe odłożył słuchawkę i przez chwilę siedział w ciemności, nim poszedł na piętro, do gościnnego pokoju. Był już przy drzwiach, gdy Anna z nadzieją wyjrzała na korytarz. Zatrzymał się. Była taka piękna, taka seksowna we wszystkim, co robiła - nawet teraz, gdy odgarniała ręką ciemne, splątane włosy. Poczł ucisk w żołądku na myśl o tym, że dotykał jej inny mężczyzna. Dostrzegła to w jego oczach i zaraz zgasła w niej nadzieja. Joe wszedł do obcego pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Rozdział szesnasty

Corpus Christi, Teksas, rok 1985

Nad wejściem do parku Hazel Bazemore łopotał na wietrze między dwiema drewnianymi tyczkami czerwony transparent z napisem „Dzika przyroda wita”.

- Jak tytuł pornola - rzucił półgłosem Duke.
- No - przytaknął Donnie.
- O czym tam szepczecie, chłopaki? - spytał wujek Bill.
- O niczym - odpowiedział Duke i rozejrzał się. - Ładnie tu.
- Spodoba wam się jeszcze bardziej - zapewnił go Bill, kładąc banknoty na kontuarze. - Zobaczycie bodaj wszystko, co Teksas ma do zaoferowania, jeśli chodzi o dziką przyrodę.

Dzieciaki biegały po parku, śmiejąc się, pokrzykując i ciągnąc rodziców w różne strony. Wielki, kosmaty prę-gowiec i puchata sowa machały im na powitanie, rozdając zielone baloniki. Stragany ugiwały się pod ciężarem książek, zabawek i folderów poświęconych przyrodzie stanu Teksas. Przez tłum przeciskał się fotograf w kremowej kamizelce.

- Komu zdjęcie? Komu zdjęcie?

Czterej mężczyźni w niby-wojskowych ubraniach, obwieszeni aparatami fotograficznymi, chlebakami i lornetkami, wyglądali jak korespondenci wojenni.

- Może nam - odezwał się jeden z nich. - Wspólne, jeśli można. To wyjątkowy dzień, wypatrzyliśmy dziś kilkaset różnych ptaków.

Fotograf cofnął się nieco, żeby ująć ich w obiekty-

wie. Jedno pstryknięcie migawki uwieczniło niezwykłą chwilę.

- Chcecie zdjęcie, chłopaki? - spytał wujek Bill.
- Nie. - Donnie przeciągnął dłoń po przyszczatej szczęce.
- Nie - zawtórował Duke.
- No to znajdziemy inny sposób na upamiętnienie tego wielkiego dnia.
- Patrzcie - odezwał się Donnie, wskazując na nieduży stragan.
- Zostawiam was samych - oznajmił Bill. - Macie tu parę dolarów.

Starsza kobieta stała za kontuarem, tasując obręcze z czarnej gumy, jakby to były karty. Za nią, w trzech schod-kowo ułożonych rzędach, stały na odwróconych kubeczkach drobne nagrody. Kobieta spojrzała na dwóch chłopców.

- Wystarczy zarzucić pierścień i nagroda jest wasza.
- Wiemy - odparł Duke.
- Dolar za pięć pierścieni.

Duke podał jej dwa dolary. Przebiegł wzrokiem po rzędach trofeów i wypatrył srebrny zegarek elektroniczny z czerwono błyskającym wyświetlaczem. Wskazał na niego palcem.

- Będzie mój - powiedział do Donniego. Kobieta zachi chotała. Spojrzał na nią bykiem, unosząc prawą rękę. - To jak puszczenie kaczek - zwrócił się do Donniego. - Łatwi zna.

Skoncentrował się na zegarku, strzelił nadgarstkiem i pierścień, przeleciawszy nad celem, odbił się od stopnia. Duke zmienił nieco pozycję i oparł biodro o kontuar. Rzucił pierścienie jeden po drugim, aż wyczerpał cały zapas -bez rezultatu. Był wściekły.

- To jakiś przekręt - warknął.
- Uważaj, co mówisz, chłopcze - odpowiedziała stara kobieta.

Uniósł kolano, żeby wdrapać się na kontuar i przejść na drugą stronę, ale powstrzymała go, kładąc dłoń na jego piersi. Natychmiast odtrącił jej rękę.

- Nie dotykaj mnie, pieprzona suko - wycedził i odszedł. Donnie podążył jego śladem.

- Chłopcy, dochodzi trzecia - powiedział Bill.

Położył dłonie na ich ramionach i wskazał na niskie podium z drewnianym stolikiem, na którym chudy jegomość w beżowym ubraniu ustawiał trójkątny znak.

- Super - skwitował Duke i razem z Donniem dołączyli do tłumu, który zbierał się przed podwyższeniem.

Mężczyzna puknął palcem w cienki mikrofon i zaczął mówić.

- Dzień dobry wszystkim. Jestem Len i chciałbym wam dziś opowiedzieć o mysołowcu, zwanym w naszych stronach jastrzębiem Harrisa; o jednym z najpopularniejszych ptaków sokolniczych Ameryki Północnej.

Bill spojrział na Duke'a i kiwnął głową.

- Zaczniemy od początku - ciągnął Len. - Jego oficjalna, łacińska nazwa to *Parabuteo unicinctus*. Należy do rodziny *Accipitidae*, czyli jastrzębiowatych. W stanie dzikim występuje od Arizony, przez Meksyk, aż po Chile i Argentynę. Jest to mysołow średniej wielkości, którego masa waha się w okolicy jednego kilograma. Samica jest większa i silniejsza od samca. A teraz przejdźmy do naprawdę ciekawych rzeczy. „Skrzydlate wilki”. - Len potoczył spojrzeniem po tłumie. - Czy ktoś wie, o czym mówię?

Duke wiedział. Wpatrywał się w mówcę błyszczącymi oczami.

- Otóż mówię o tym - kontynuował Len - że jastrzębie Harrisa polują zespołowo, jak wilki albo lwy. Wśród ptaków drapieżnych jest to cecha nadzwyczaj rzadka. Dwa, trzy, a czasem nawet więcej jastrzębi pracuje wspólnie, by dopaść ofiarę. Atakują z wojskową precyzją. Żadnej do wolności. Dokładnie wiedzą, co robią. Najpierw starannie przeszukują teren z powietrza, szukając zdobyczy. Następnie wykorzystują przewagę liczebną na wiele sposobów. Na przykład jeden z ptaków może wypłoszyć zdobycz... powiedzmy królika, mniejszego gryzonia czy jaszczurkę... a następnie sprytnie ścigać ją na zmianę z partnerem tak długo, aż wyczerpana i osłabiona stanie się łatwym celem.

Ofiara nie ma żadnych szans. Szpony jastrzębia Harrisa chwytają jej ciało, przebijają i niemal natychmiast zadają śmierć. Nie zwalniają uścisku, póki nie przestanie się poruszać. Pamiętajcie, że to wyspecjalizowany łowca. Potrafi wypatrzeć mysz z odległości półtora kilometra. Ma trzecią powiekę, która zasłania oko podczas lotu z dużą prędkością, chroniąc je przed urazami, a także, gdy myśliwy dopadnie już swoją ofiarę, przed jej gwałtownymi ruchami. Szpony mysołowca są niezwykle silne. Gdybyście mieli stworzyć najlepszego komandosa świata, to jaki by on był? Byłby skoncentrowany. Inteligentny. Precyzyjny. Jastrząb Harrisa jest właśnie taki. Tylko że wasz komandos najlepiej czułby się pod osłoną ciemności, ptak ten zaś poluje za dnia. W nocy widzi nie lepiej niż my.

Duke wpatrywał się jak zahipnotyzowany w chudego, przygarbionego mężczyznę, śledząc jego oszczędne gesty, którymi podkreślał najważniejsze punkty opowieści.

- Tak, jastrząb Harrisa to zabójca imponujący skutecznością. Ale też trudno znaleźć ptaka o równie wspaniałym i wytwornym locie. - Len uśmiechnął się. - Jednakże - do rzucił, przeciągając to słowo i poważniejąc nagle - z bólem słucham opowieści sokołników, dla których liczy się wyłączone nie liczba zdobyczy, które „zaliczyły” ich mysołowce. - Duke przestał słuchać; wpatrywał się w przestrzeń gdzieś ponad głową mówiącego. - Nie o to chodzi w sokołnictwie - grzmiał Len. - Dla jastrzębia Harrisa i każdego innego ptaka dra pieznego zabijanie jest tylko środkiem do przetrwania.

Wujek Bill został do końca prelekcji, ale Duke nie wytrzymał. Odciągnął Donniego na bok.

- Niesamowite, co? - wysapał.

- Jasne - odrzekł Donnie.

- Dobrze są, nie? Że tak razem polują.

- Prawdziwa drużyna.

- My też możemy tacy być.

- Przecież jesteśmy, Duke. Nie?

- Ale wyobrażasz sobie, co moglibyśmy robić?

- Niby co? Tępić szkodniki? - Donnie roześmiał się.

- Nie. Moglibyśmy mieć wszystko, czego zapagniemy.

Pracować razem i mieć wszystko.

- A czego ty właściwie chcesz?
- Nie wiem. Może... nie, nie wiem. A ty?
- Na przykład tamtej dziewczyny - zarechotał Donnie.
- Popatrz tylko - dodał, wskazując na nastolatkę w krótkiej niebieskiej spódniczce i obcisłej koszulce.
- No, wiesz, jeśli naprawdę tego byś chciał i z jakiegoś powodu nie mógłbyś tego mieć... Moglibyśmy się postarać. Pomagalibyśmy sobie nawzajem. Powiedzmy, że chciałbym czegoś innego, na przykład...
- Na przykład czego?
- Nie wiem. Zastanowię się. Ale cokolwiek to będzie, moglibyśmy zrobić to razem.
- Tak jak wtedy, kiedy ja przekładam zalanego ojca na plecy, a ty wyjmujesz mu portfel?
- Mniej więcej. Nigdy nie musiałbyś robić tego sam. Pamiętaj, kiedy pierwszy raz zobaczyliśmy te ptaki? Jak się rzuciły na przepiorą? Do końca życia tego nie zapomnę.
- Robią to, żeby przetrwać, prawda?
- Przetrwanie to małe gówno. Ja już przetrwałem. Teraz trzeba wyjść na świat i zapolować.

Wujek Bill wpatrywał się w leżącą przed nim plastikową tacę. Spoczywały na niej w trzech rzędach odznaki podzielone na cztery kupki. Wybrał jedną z nich. Duke i Donnie pochylili się, by spojrzeć na nie z bliska.

- To Harris? - upewnił się Bill, mrużąc oczy w pełnym słońcu.

- Jasne - odparł starszy sprzedawca. - Rzadkość, więc kosztuje. Niewielu producentów obchodzi konkretne odmiany ptaków. Zostało mi tylko parę sztuk. To robota miejscowego rzemieślnika.

- Po ile?

- Dziesięć dolarów.

- Obawiam się, że zostały mi tylko dwie dychy - powiedział Bill, wyjmując portfel i mrugając do chłopaków. Położył banknoty na stoliku. - Więc wezmę tylko dwie.

Sprzedawca wyciągnął rękę, żeby podać towar.

- Nie, nie - powstrzymał go Bill i wskazał palcem. - Tę rdzawo-złotą.

Duke i Donnie siedzieli po turecku w ciemności nad strumieniem. Latarki leżały obok, na ziemi. Donnie wyciągnął rękę; na dłoni błysnęła odznaka.

- Zaciśnij pięść. - Duke sięgnął do ręki przyjaciela i ścisnął ją tak mocno, aż metal przebił ciało, a Donnie krzyknął z bólu. - Teraz zrób mi to samo - rzekł, ściskając w dłoni własną odznakę.

Donnie ścisnął jego pięść tak długo, aż Duke skinął głową. Otworzyli pięści i zobaczyli na skórze identyczne, potrójne skaleczenia w miejscach, gdzie przebiły ją skrzydła i dzioby jastrzębi. Schowali odznaki i uścisnęli naznaczone krwią prawe dłonie.

- Wierny do końca - powiedział Duke.

- Wierny do końca - powtórzył Donnie.

Rozdział siedemnasty

Stojąc w drzwiach, Joe obserwował Annę. Była w salonie; stała przed opartym o kanapę wielkim prostokątem owiniętym wieloma warstwami brązowego papieru. Położyła kolano na poduszce i zaczęła rozrywać opakowanie, wolno odsłaniając akrylowy obraz w grubej ramie - biały, z zielonkawo-niebieskim pasem po prawej stronie, o nierównomiernych kształtach i grubej fakturze. Kiedy skończyła, cofnęła się o kilka kroków i uśmiechnęła. Podskoczyła, gdy Joe stanął tuż za nią. Podszedł bliżej i zdjął strzęp papieru zakrywający narożnik.

- Z Hobson Gallery - powiedział. Sięgnął po fakturę, zanim Anna zdążyła ją zabrać, i uniósł papier na wysokość oczu. Przeczytał i pokręcił głową.

- Powiedz, że nie przyślą mi za to rachunku na trzysta siedemdziesiąt pięć euro.

Spojrzała mu w oczy.

- Przyślą.

- Na miłość boską!

- Zamówiłam go wiele tygodni temu, zanim cokolwiek się stało. Brendan wróci tu specjalnie po to, żeby go sfotografować. Potrzebuję jednego dużego...

- Potrzebuję, potrzebuję - przedrzeźniał ją Joe.

- Nie jesteś szczególnie twórczy - oznajmiła ze złością. - Nic z tego nie rozumiesz - dodała, wskazując na obraz, meble i idealnie białą podłogę.

- Rozumiem, co robisz. Kocham to nawet - zapewnił ją spokojnie. - I uwielbiam to, że jesteś taka uparta. Tylko nie upieraj się przy tym, żeby nas zrujnować - dodał na odchodnym.

- A swoją drogą, obraz jest świetny - rzucił przez ramię.

Wychodząc zza węgła, Shaun dostrzegł grupę chłopaków i zaraz się cofnął, bo usłyszał swoje imię. Rozmawiali we trzech.

- W Stanach pełno takich świrów.

- Wiem. Mamy szczęście, że nie przylaź tu ze spluwą pod płaszczem i nie rozwalil nas wszystkich.

- Och, dorośnijcie wreszcie, do kurwy nędzy. Tamci byli skończonymi frajerami.

- A co ty wiesz? Może w środku jest zdrowopieprnięty. Tacy zawsze są cisi i spokojni.

- Ale on nawet nie jest cichy! Jest normalny.

- Właśnie. Przecież mówię, że świrują ci, których nigdy byś o to nie podejrzewał.

- No, to byłbyś na końcu listy.

- Ha, ha.

- Bojówki, ogolony łeb, zna dialogi *Fuli Metal Jacket*, *Good Morning Vietnam* i *Helikoptera w ogniu* na pamięć. Dwadzieścia pięć razy oglądał *Pluton*. - Chłopak wydał dźwięk imitujący sygnał alarmowy.

- Jakoś nikt nie próbuje mnie zamknąć u czubków.

- Shauna też nie, przygłupie. A swoją drogą to obciach. Jego ojciec łązi i wypytuje ludzi jak jakaś Jessica Fletcher.

- Jessica Fletcher...

- Tak czy owak, ludzie są coraz bardziej wkurzeni. Ri-chie dostaje szajby, inni wygadują bzdury na ojca Szczęściarza, nikt nie chce gadać z Richiem, a gadania między sobą mają już dość... A może tak naprawdę powinien poszukać bliżej własnego domu. Mówię o Lucchesim.

- Nie ma mowy, żeby Szczęściarz miał z tym coś wspólnego.

- Zobaczymy.

- Bredzisz jak moja matka.

- Zobaczymy.

- Zamknij się wreszcie.

- A swoją drogą... „Szczęściarz”... Nie wyobrażam sobie bardziej ironicznej ksywki.

Shaun odwrócił się i poszedł do domu.

- Przykro mi, że muszę to robić jeszcze raz - powiedział Frank, próbując uśmiechnąć się do Marthy - ale nigdy nie wiadomo, czy nie pojawi się nowy ważny szczegół.

- To nie fair - odpowiedziała Martha. - Ona była taka skryta...

Otworzyła drzwi do pokoju Katie. Był szary, deszczowy poranek i w środku panował półmrok. Oboje spojrzeli w górę; ich uwagę przykuły fosforyzujące gwiazdy na suficie. Martha włączyła światło i osobliwy blask zniknął. Przysiadła na łóżku, przyciskając chusteczkę do nosa. Pomyślała, że nic więcej nie robiła przez ostatnich kilka tygodni: siedziała, rozcierając nos aż do bólu.

- Przepraszam cię, Frank - powiedziała, wstając energicznie. - Nie mogę myśleć.

Cicho zamknęła za sobą drzwi.

Frank rozejrzał się. To był pokój małej dziewczynki, który za wszelką cenę miał udawać pokój nastolatki. Tapeta była różowa, dziewczęca, ale brakowało kawałka, który posłużył jako notatnik. Wyblakła narzuta była kwiecista, za to lampka przy łóżku prosta i nowoczesna. Szafa, niegdyś brązowa, została oszlifowana papierem ściernym i pomalowana na białe, z różowymi dodatkami na obwodzie. W zasięgu wzroku nie było ani jednego misia i ani jednej lalki. Frank podszedł do lustra. Wzdłuż górnej krawędzi rozpięta była wstążka; wisiały na niej fotografie umocowane spinaczami. Na żadnej nie dostrzegł twarzy Katie. Była tam Ali i kilka innych dziewczyn z wioski, był Shaun oraz mała dziewczynka w zoo, trzymająca za rękę dorosłego mężczyznę i wpatrująca się w niego z uśmiechem. Frank zbliżył się i teraz dopiero rozpoznał Katie i jej ojca. Zdjęcie zrobiono na kilka lat przed jego śmiercią.

Pudełko stojące na komodzie było pełne spinek do włosów, gumek, przyborów kosmetycznych i taniej biżuterii. Frank odwrócił się i otworzył drzwi szafy. Przebiegł palcami po ubraniach. Schylił się i zobaczył na dnie stertę starych butów i dwie wiekowe rakiety tenisowe. Za nimi, pod ścianką, dostrzegł kopertę od dużej kartki urodzinowej. Wyjął ją i położył na łóżku. Na kartce z życzeniami widniały podpisy kilku dziewcząt i rysunki serc. Treść napisów

była całkiem niewinna. Frank sięgnął głębiej do koperty i wyjął plik kartek i listów od koleżanek Katie i od Shauna. Była tam też kolekcja kartek urodzinowych gromadzona od wczesnego dzieciństwa oraz nieliczne kartki walentynkowe. Jedną z nich była jasnoróżowa, ozdobiona rysunkiem misia z kwiatkiem w łapie. Otworzył ją i przeczytał życzenia o dziecinnej treści: „Róże są czerwone, a liliowe bzy, cukier zaś jest słodki, podobnie jak Ty”. Po lewej stronie widniał wielki znak zapytania. Frank był ciekaw, kto mógł napisać coś takiego. Ile lat miała ta kartka? Odwrócił ją. Stempel z poprzedniego roku. Dlaczego dziecko miałoby wysyłać do Katie kartkę walentynkową? A może ktoś tylko udawał dziecko? Nie było w tym sensu. Przewertował plik do końca, po raz ostatni rozejrzał się po pokoju i wąskimi schodami zszedł na dół, do salonu. Martha zerwała się z nadzieją.

- I co? - spytała.

Machnął kartką walentynkową w jej stronę.

- Wiesz może, od kogo to dostała? - spytał.

Martha wzięła kartkę do ręki i uśmiechnęła się.

- Ach - odezwała się po chwili, ze łzami w oczach. - Kto by pomyślał, że ją przechowała. To od Peteya Granta. Kochany chłopak. Katie uznała, że to urocze z jego strony. Nawet podziękowała na nią ta walentynka, chociaż wiadomo było, że nic z tego nie będzie. Tylko dlatego mogłam zobaczyć tę kartkę. Innej korespondencji nigdy mi nie pokazywała. Pamiętam, jak śmiała się z tego znaku zapytania. I tak wszyscy znali charakter pisma Peteya, bo często wieszał na gazetce szkolnej ostrzeżenia o mokrej podłodze albo o sali zamkniętej na czas sprzątania... - Martha umilkła na moment. - Zaczynam paplać. Potrzebne ci to? - spytała, unosząc kartkę.

- Nie, niech zostanie u ciebie - odparł Frank.

O'Connor zaparkował na alejce i ruszył w stronę domu Lucchesich, podziwiając widoki. Joe się nie spieszył, gdy usłyszał dzwonek do drzwi.

- Wykonał pan świetną robotę, odnawiając tę latarnię - powiedział O'Connor.

- To zasługa mojej żony.
- Zawsze lubiłem tę okolicę.
- Rzeczywiście, pięknie tu. Joe czekał, kiwając głową.
- Na pewno już pan wie, kim jestem. Detektyw inspektor Myles O'Connor z Waterford. Kieruję dochodzeniem w sprawie Katie Lawson.

- Tak, wiem. Proszę wejść.

Stanęli w holu.

- Chodzi o pański udział. Jestem zmuszony prosić, żeby pan...

Joe wiedział, że O'Connor wolałby nie kończyć tego zdania.

- Żeby?

- Trzymał się z dala od tej sprawy. Nigdy dotąd nie miałem do czynienia z sytuacją, w której ktoś chodzi od drzwi do drzwi i przesłuchuje ludzi albo wpada niespodziewanie na posterunek i mówi moim ludziom, co mają robić, żeby...

- Sądziłem, że wam pomagam. Informacje, które przekazywałem, to wynik doświadczenia i...

- Powiem krótko: panu się najwyraźniej zdaje, że my nie wykonujemy swojej roboty jak należy, że jesteście mieszkańcami cichej wioski, w której nawet policjanci są senni...

Joe nie odpowiedział.

- Naprawdę uważa pan, że śledztwo w sprawie śmierci jest czymś, w co moi ludzie nie włożą całego serca? Otóż tutaj pracuje się inaczej. Proszę nie mylić rozważki z lenistwem. Po prostu żaden z nas nie jest Flashem Harrym pędzącym ulicami miasta w pogoni za bandziorem.

- Ja też nie.

- No, to wyjaśniliśmy już sobie dwie błędne teorie.

- Chyba tak.

Joe spojrzął ponad ramieniem O'Connora.

- Cóż, w takim razie nie będę panu zabierał więcej czasu. Proszę tylko pamiętać, że świetnie damy sobie radę i bez pańskiej pomocy.

Detektyw odwrócił się, by odejść, ale po namyśle ponownie spojrzął na Joego.

- Może nie biegamy z bronią, nie mamy systemów VI-CAP czy HOLMES ani listy dziesięciu najbardziej poszukiwanych, ale też nie mamy kilkudziesięciu tysięcy zabójstw rocznie. Mamy mniej więcej pięćdziesiąt.

Joe wzruszył ramionami.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć - ciągnął O'Connor. - Popelniamy błędy, podobnie jak nowojorska i każda inna policja na świecie. Tylko że podczas żadnej podróży do Nowego Jorku nie zdarzyło mi się wtargnąć na posterunek...

- Spokojnie. Katie była dziewczyną mojego...

- Więc jest pan zapewne jedną z ostatnich osób, które...

- Czy na moim miejscu stałby pan beczynnienie?

- Zostawiłbym sprawę zawodowcom.

- A ja nim nie jestem?

- Tutaj jest pan amatorem. I naraża pan dobro śledztwa. Niektórzy mieszkańcy Mountcannon sądzą, że jest pan konsultantem w tej sprawie, a to naprawdę mnie niepokoi. Proszę więc, tym razem już oficjalnie, żeby trzymał się pan z daleka od tego dochodzenia. Niestety, jest pan w pewien sposób związany z ofiarą i z tego powodu szczerze współczuję całej pańskiej rodzinie. Nie zmienia to jednak faktu, że na krótkiej rozmowie z panem, którą odbyliśmy na początku śledztwa, powinien się zakończyć pański udział w tej sprawie.

Richie parzył kawę, gdy Frank wrócił od Marthy Law-son.

- Znalazłeś coś? - spytał.

- Nic nadzwyczajnego - odparł Deegan. - Może poza tym, że znowu pojawia się Petey Grant. Znalazłem w pokoju Katie kartkę walentynkową od niego. Wiem, że to nieszkodliwy gość, ale z drugiej strony... Może Katie nie potraktowała go poważnie, może poczuł się odrzucony... Sam nie wiem.

- To może z nim pogadam? - zaproponował Richie. - Ty już z nim rozmawiałeś. Popołudnie masz wolne, a ja znajdę dla niego czas, oszczędzę ci fatygi.

- Bo ja wiem... Czekaj, coś mi się przypomniało. W sprawie tego filmu dokumentalnego. Petey mówił, że tamtej

nocy oglądał film o tragedii podczas regat Fastnet. Do jakiego bloku tematycznego zaliczyłbyś taki materiał?

- Nie rozumiem...

- Mówię o kanale Discovery.

- Nie mam - powiedział Richie.

- Więc może nie wiesz, że oni zwykle proponują bloki tematyczne: budowle, zbrodnie, cokolwiek. W piątkowe wieczory puszczają *programy* historyczne. Nora oglądała... Nieważne. Chodzi o to, że Fastnet jakoś mi do tego nie pasuje. Zawsze są to filmy o naprawdę zamierzonych czasach, nie o świeżych sprawach. Czy regaty z siedemdziesiątego dziewiątego nie pasowałyby bardziej do sportu, żeglugi czy czegoś takiego?

- Obiecuję, że przepytam Peteya.

- Tylko pamiętaj, że z kimś takim trzeba łagodnie. Po-
trafisz, Richie?

- Bez problemu.

Ray oparł się o drabinę w pomieszczeniu pod komorą latarni. Obok niego stały na podłodze dwie puszki, z białą i zieloną farbą. Po raz pierwszy od wielu lat ściany były gładkie; zdarcie starych powłok malarskich i wymiana niektórych paneli przywróciły im dawną świetność.

- W porządku - powiedziała Anna. - Pamiętasz, co z kolorami i w ogóle?

- Chyba tak. Białe na ścianach, zielony na stropie i na detalach, takich jak drabinka.

- Doskonale. Zostawiam cię sam na sam z robotą.

Richie stanął przed niewielkim lustrem w korytarzu. Potarł palcem skronie, wyczuwając zgrubienia podobne do drobnych koralików. Roztarł w palcach żel i starannie rozprowadził go po włosach. Spojrzał na mięśnie widoczne pod koszulą. Jeździł do Waterford na siłownię siedem razy w tygodniu, w przeciwieństwie do kolegów ze szkolenia w Templemore. Niektórzy z nich w ogóle nie ćwiczyli. Wkrótce po dwudziestce dorobili się piwnych brzuchów i wcale nie zamierzali się ich pozbywać.

- Dobra, Petey, co masz dla mnie? - mruknął, otwiera-

jąc drzwi posterunku. Do szkoły miał blisko, ale postanowił pojechać służbowym wozem.

W środy lekcje kończyły się wcześniej. Richie zastał Pe-teya Granta w cichej sali lekcyjnej, podczas mycia tablicy. Wydawało się, że w całym budynku nie ma nikogo więcej.

- Się masz - powiedział Richie.

Petey wyglądał na zmieszanego. Cofnął się o krok.

- Cześć, Richie - odparł. - Jak zdrowie?

- Świetnie. A co u ciebie?

- W porządku. Mam trochę roboty z tablicami...

- Słuchaj no, Petey, może pojechałbyś ze mną na posterunek i odpowiedział na kilka pytań?

Petey wytrzeszczył oczy.

- Dlaczego?

- Dlatego - odrzekł Richie, wiedząc, że Petey nie będzie chciał się kłócić.

- Zgoda. Tylko pójde po kurtkę.

Petey wyszedł na korytarz i zajął do pokoju nauczycielskiego. Kiedy sięgał po kurtkę, poczuł nudności.

- Aresztuj mnie - powiedział do Pauli, nauczycielki, która tego dnia została w szkole dłużej.

- Co takiego? - zdziwiła się.

- Richie zabiera mnie na posterunek - wyjaśnił Petey. - Chyba mam poważne kłopoty. Pa! - Wybiegł z budynku i po chwili był już przy przednich drzwiach samochodu policyjnego.

- Siadaj z tyłu - rzucił oschle Richie.

Petey drżał, wsiadając do wozu i pozostał w tym stanie przez całą drogę.

- To ja - powiedział Danny. - Mam tu tę twoją rdzawo--złotą odznakę. Nikt jej nie zabrał, nie wypożyczył, nic. Poza tym zdobyłem długą listę znanych współników Riggsa. Przygotowałeś długopis? Duke Rawlins.

- To wszystko? - spytał Joe po chwili oczekiwania.

- Tak jest. Donald Riggs, mister popularności. Najlepszy kandydat do odstrzału gdzieś w parku...

-Rawlins... Skądś znam to nazwisko. Mamy coś na niego?

- Nic wielkiego. Spędził osiem lat w Ely, w Nevadzie.
Dźgnął kogoś nożem na parkingu. Typowa barowa rozróżba.

- Nic więcej?

-Nic.

- Ani gwałtu, ani morderstwa? -Nic.

- Masz dla mnie coś jeszcze?

- Nie. No, może tylko tyle, że o tej znajomości wiemy od strażnika więziennego. Zadzwoił do Crane'a po tym, jak sprawa Riggsa stała się głośna, a Crane zrobił notatkę na samym końcu akt... Ależ facet ma pismo... Tak czy inaczej, nikt nie zwrócił uwagi na tę informację... bo i po co, skoro Riggs zginął? A ja właśnie zadzwoniłem do strażnika, całkiem miły gość. Okazuje się, że Rawlins sporo nagadał kumpłowi z celi o Riggsie. Kumpel tymczasem wdał się w bijatykę i żeby uniknąć izolatki, dogadał się ze strażnikiem. Powiedział mu, że koleś Duke'a, Riggs, zamierza porwać jakiegoś dzieciaka i zgarnąć grubą forszę, która będzie czekać na Rawlinsa, gdy wyjdzie z mamra.

- A kiedy wyszedł? - spytał Joe.

- Rawlins? W lipcu. Dwa miesiące temu. Bo co?

- Jezu Chryste, Danny... Zdaje się, że ten świr poluje na mnie.

- Dlaczego, u diabła, miałby to robić? Dźgnął kogoś nożem, a potem był grzecznym chłopcem w pudle. Nie wygląda mi na psychopatę. Sądzisz, że ma irlandzkie korzenie, czy coś takiego?

- Cholera, Danny, to jest poważna sprawa. Niewykluczone, że to on zabił Katie.

- Ach, więc o to chodzi... Naprawdę myślisz, że to Rawlins?

- Nie jestem pewien - odparł Joe.

- Ale skąd by wiedział, że jesteś w Irlandii?

- Nie mam pojęcia.

- Kto jeszcze wie, że wyjechałeś?

- Znajomi, rodzina, współpracownicy...

- Tak, ale nikt z tego grona nie będzie paplał o twoim miejscu pobytu. To co, podejrzewasz, że śledził cię aż na lotnisko?

W głosie Danny'ego pobrzmiwała nieufność.

-Taksówkarz, który nas wiozł, mógł być gadatliwy...
Naprawdę nie wiem. Może któryś ze wścibskich sąsiadów...

- Joe, ty bredzisz.

- Jak długo mnie znasz, Danny?

- Za długo.

- Właśnie. I co, często partaczę swoją robotę?

- No, nie, ale teraz jesteś na wakacjach. Ja na przykład w życiu nie rozwiązałem kryminalnej zagadki, siedząc na leżaczku przy basenie.

- Daj spokój.

- Słuchaj, Joe, ludzie nie dzielą się takimi informacjami ot, tak, po prostu. Dziś wszyscy są podejrzliwi i interesują się tym, dlaczego ktoś zadaje takie, a nie inne pytania. Zaczekaj chwilę, mam rozmowę na drugiej linii.

Joe zaczekał.

- Ten facet z centrali to skończony palant - odezwał się po chwili Danny. - Miał połączyć z MacKenną, a tymczasem ja muszę gadać z jego ma... - Danny urwał w pół słowa. - Jasna dupa -jęknął. - Czekaaj.

Joe rozłączył się po dwóch minutach. Właśnie wychodził z pokoju, gdy telefon zadzwonił ponownie.

- Parę tygodni temu - zaczął bez wstępu Danny - niejakiego porucznika Wadego zadzwonił tu z Dziewiętnastego, szukając ciebie. Zła wiadomość jest taka, że nasz geniusz z centrali w życiu o tobie nie słyszał. Spytał więc jednego z chłopaków, a ten mu odkrzyknął, że jesteś w Irlandii. A teraz już wiemy, że w Dziewiętnastym nie pracuje żaden Wade. I że gość z centrali to przygłup jakich mało.

Joe nie odpowiedział. Czuł mocne bicie serca.

- Jezu Chryste - odezwał się w końcu. - Powiedział mu o Irlandii? Ale nic więcej?

- Nic więcej, więc Rawlins nie wiedziałby nawet, gdzie cię szukać, Oczywiście jeśli założymy, że to właśnie on dzwonił na posterunek.

Joe pokręcił głową.

- Założymy, Danny. I nie byłbym taki pewny... Irlandia to mały kraj.

- Wcale nie taki mały.
- Jak sądzisz, ilu ludzi tu mieszka?
- Bo ja wiem? Ze dwanaście milionów.
- Trzy i pół, z czego milion w Dublinie. To oznacza dwa miliony w całej reszcie kraju, a możesz mi wierzyć, że nie jest to duży kraj. Wiesz co? Zostaw mi na razie tę sprawę. Zobaczmy, czy do czegoś dojdę. - Joe już miał się rozłączyć, gdy nagle przypomniał sobie o czymś. - Słuchaj, Dan-ny. Mógłbyś zadzwonić do tego miłego strażnika, odwiedzić kumpla Rawlinsa z celi i dowiedzieć się czegoś jeszcze?

Danny jęknął cicho.

Skończywszy rozmowę, Joe podszedł do regału w salonie i zza rzędu książek wyjął fałszywą odznakę policyjną. Jej posiadanie było oczywiście nielegalne, ale większość funkcjonariuszy lekceważyła ten przepis. Zgubienie oryginału oznaczało karną utratę dziesięciu dni urlopu, toteż na co dzień Joe posługiwał się w pracy fałszywką, prawdziwą zaś odznakę trzymał w domowym sejfie. Tym razem jednak nie miał pod ręką oryginału; musiał go zwrócić, gdy odchodził ze służby. Poczuł lekką zazdrość. Otworzył portfel i spojrzał na wizytówkę z czerwonym stemplem, z jedną frazą, która zmieniała wszystko: „w stanie spoczynku”.

O'Connor siedział przed stertą segregatorów, szykując się do dogłębnej analizy każdego słowa zeznań, które zamierzał przeczytać. Jak zawsze każda czynność śledcza - przeglądanie billingów, przesłuchanie osoby, która znalazła ciało, analiza wyników autopsji - została wpisana do formularza sporządzonego w trzech egzemplarzach. Najważniejszy, niebieski egzemplarz został wklejony pod okładkę książki czynności; notatki po przeciwnej stronie informowały czytającego o tym, kto wykonał daną czynność i jaki był jej rezultat. Pozostałe kopie trafiły do innych teczek: „Zeznań”, „Świadków”, „Podejrzanych”... O'Connor sięgnął po segregator leżący na wierzchu, opatrzony nagłówkiem „Zeznania”. Pierwszym z nich był czterostronicowy zapis rozmowy z Shaunem Lucchesim. O'Connor pamiętał co najmniej trzech mężczyzn, którzy w ostatnich pięciu latach jego służby dopuścili się zabójstwa narzecz-

nej i po dziś dzień byli wolni. Gdyby instynkt policjanta pracującego nad sprawą miał ciężar dowodu, owi trzej mordercy od dawna siedzieliby za kratkami. Tym razem zaś instynkt podpowiadał O'Connorowi, że młody Lucchesi nie jest zabójcą, ale z całą pewnością kłamcą.

Gdy rozległ się sygnał telefonu leżącego obok, na biurku, Joe omal go nie zignorował.

- Dzień dobry, panie Lucchesi. Mówi Paula, ze szkoły... Nauczycielka historii Shauna. Nie mogę się skontaktować z matką Peteya Granta, pomyślałam więc, że zadzwonię do pana. Petey właśnie mi powiedział, że został aresztowany przez Richiego Batesa i że jadą na posterunek.

- Co takiego?! Jest pani pewna?

- No, niezupełnie. Przecież zna pan Peteya.

- Pojadę tam i sprawdzę. Dzięki za informację.

Richie i Petey siedzieli po przeciwnych stronach biurka.

- Dlaczego mnie aresztowałeś? - spytał Petey.

Richie roześmiał się.

- Nie aresztowałem. Jesteś tu, żeby - uniośł dłonie, robiąc palcami znak cudzysłowu - „pomóc policji w czynnościach śledczych”. Chodzi o to, że nie mamy dowodów... Jeszcze nie mamy. Zatem - ciągnął Richie, siląc się na przyjacielski ton - oczywiście jesteś tu z powodu Katie.

- Aha - mruknął Petey.

- Leciałeś na nią? - spytał Richie bez ogródek, głośno bębniąc palcami o drewniany blat.

- Nie! - zawołał Petey, rumieniąc się.

- Ale wysłałeś jej kartkę walentynkową, prawda? Petey spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami.

- To było... zanim zaczęła chodzić z Shaunem - wyjąkał.

- Zdenerwowałeś się, kiedy zobaczyłeś, że są razem?

- Nie! - Petey był ciężko przerażony. - Shaun jest moim przyjacielem. I Joe też!

- Czy kiedykolwiek próbowałeś umówić się z Katie?

- Nie! - Petey umilkł na chwilę. - Ja nigdy... z nikim.

- Zamrugał gwałtownie, próbując powstrzymać łzy.

- Nie będę owijał w bawełnę, Petey - powiedział Ri-chie. - Czy wiesz cokolwiek na temat wydarzeń tego piątkowego wieczoru, kiedy Katie zaginęła?

- Nie - odparł Petey. - Już ci mówiłem. Siedziałem w domu, jak trzeba.

- Na pewno? - spytał z naciskiem policjant.

- Tak. - Petey zaczął nerwowo przytupywać.

- Rozumiesz, jakie to ważne, żebyś powiedział nam o wszystkim, co wiesz? - indagował Richie. - Jeśli nie będziemy mieli wszystkich informacji, być może zginie kolejna dziewczyna.

Petey wyglądał na zszokowanego.

- Ktoś jeszcze może zginąć? O mój Boże...

Dźwięk dzwonka przestraszył go.

- Zostań tu - warknął Richie, ruszając w stronę drzwi. Petey trząśł się ze strachu.

Duke zeskoczył z ławki i przyłożył ucho do grubej, okrągłej szyby. Znowu usłyszał ten dźwięk: skrobanie, zgrzyt i znowu skrobanie.

- Cholera - szepnął. Właścicielka stanęła przy nim.

- Jakiś problem z suszarką?

- Owszem - odparł Duke. - Zdaje się, że zostawiłem w dzinsach odznakę.

- O rety... No, to proszę. - Wyłączyła urządzenie kluczem, który wsunęła w otwór z boku obudowy. - Teraz powinno się dać otworzyć.

Duke sięgnął do środka i wyjął ciepłe, wymięte dzinsy i kurtkę. Na dnie bębna leżała moneta jednoeurowa. Wyjął ją, zdziwiony. Parzyła.

- Pieniądze - powiedziała właścicielka. - Jeszcze lepiej.

Ale Duke wpadł w panikę. Zaczął wywlekać wszystkie kieszenie, obmacywać każdy skrawek odzieży, najpierw świeżo wypranej, a potem tej, którą miał na sobie, aż wreszcie wysypał na podłogę całą zawartość torby. Ukłękął z mocno bijącym sercem, nerwowo przerzucając drobiazgi. Wreszcie podniósł się z pochyloną głową i oparł ciężko o suszarkę. Na jego czole lśniły krople potu.

- Niech to szlag! - ryknął, wałąc dłońmi w blachę obu dowy i kopiąc ją z całej siły. - Szlag!

Wszyscy użytkownicy pralni spojrzeli na niego w milczeniu. Właścicielka się nie poruszyła, gdy Duke wrzucił swój dobytek z powrotem do torby i wyszedł, mijając kobietę, która trzymała w rękach białe spodnie z plamą od trawy na kolanie.

- Wywabisz melasę - warknął w jej stronę, nie zatrzymując się.

Joe wparował na posterunek i krzyknął:

- Dla twojego dobra lepiej będzie, żebyś nie przetrzymywał tu Peteya Gran ta!

Krzyknął, chociaż już od progu widział Peteya, który siedział na krześle bladej jak śmierć, nerwowo splatając palce wielkich dłoni.

- A co cię to obchodzi? - odparował Richie.

Joe przywitał się z Peteyem i wyprowadził Richiego z powrotem do holu.

- Co się tutaj dzieje, do ciężkiej cholery? - spytał. - Dlaczego przesłuchujesz Peteya pod nieobecność pełnoletniego opiekuna? Oszalałeś? To nielegalne!

- Nieprawda. Petey nie został aresztowany. Zresztą to nie twoja sprawa.

- Robię wszystko, żeby była moja - odparł Joe.

- Rób sobie, co chcesz. Ja nie złamałem przepisów, chłopak wcale nie jest aresztowany. Chciałem tylko zamienić z nim parę słów.

- Więc dlaczego, u diabła, nie zrobiłeś tego w szkole? Próbujesz go zastraszyć, widzę to w jego twarzy! Podejrzewasz kogoś takiego jak Petey? Ja też z nim rozmawiałem. Nic nie wie o Katie!

- Ooo, wielki amerykański detektyw przemówił, więc możemy wszyscy iść do domu, sprawa jest zamknięta.

- Co to miało znaczyć, do cholery? Mówię ci tylko, że zabierasz się do roboty w najgorszy sposób.

- A ja na to: trzymaj się, kurwa, z daleka od spraw, o których nie masz pojęcia.

- Czy ty w ogóle wiesz, co robisz? - spytał Joe, podno-

sząc głos. - To jest Petey Grant, na miłość boską! Absolutnie nieszkodliwy gość. Richie, ja naprawdę znam Peteya...

- Wszyscy tu znają Peteya Granta, i to znacznie dłużej niż ty, więc...

- Więc co?! Jakie to mroczne sekrety z jego życia poznałeś, o których ja nie mam pojęcia?

- On coś wie. Nie jest całkiem szurnięty i...

- Ach, więc tak się to nazywa? Petey jest, jaki jest, z powodu parszywego losu i niczego więcej. Wiesz, co mu się przytrafiło? Nie? Wcale mnie to nie dziwi. Zabrakło mu tlenu, kiedy się rodził. - Joe rozłożył ręce. - To wszystko. Oto i cała wielka tajemnica.

- I co z tego? To nie znaczy, że nie mógł...

~ Przestań wreszcie, Richie. Cholernie dobrze wiesz, że Petey Grant nie skrzywdziłby nawet muchy. Jezu, przecież ja musiałem mu tłumaczyć, kto to jest dziwka! Sądziś, że taki gość mógłby... Przecież widziałeś Katie. Powiedz uczciwie, czy Petey Grant...

- Podobała mu się...

- Pod takim zarzutem mógłbyś zamknąć połowę facetów z Mountcannon! - przerwał mu Joe. - Gówno prawda, Richie. W okolicy grasuje pieprzony psychopata, a ty co robisz? Przepytyujesz Peteya! Czy ty kiedykolwiek miałeś do czynienia z poważnym przestępstwem?

- Ty arogancki fiucie... - warknął Richie i zrobił krok naprzód, zatrzymując się ledwie parę centymetrów przed Lucchesim.

- Nawet nie próbuj - odparł Joe.

Bates stał przed nim, dysząc ciężko, purpurowy na twarzy. Na jego skroniach pokazały się nabrzmiałe żyły. Był wyższy od Amerykanina, ale brakowało mu opanowania; był zbyt ostry, zbyt wściekły. Joe wrócił do Peteya.

- W porządku - rzucił przez ramię. - Zadawaj mu pytania, a skoro jest tylko w charakterze świadka, nie ma powodu, bym mu nie towarzyszył. Mam rację, Petey?

- Panie Lucchesi, właściwie to... Przepraszam, ale wołałbym zostać sam.

Joe otworzył usta, ale minęła chwila, zanim się odezwał.

- Jasne, Petey. Jeśli tylko wszystko jest w porządku... Nie czujesz, że ktoś wywiera na ciebie presję?

- Nie. Wszystko gra.

- To dobrze. W takim razie zostawiam was samych.

- Dzięki - odezwał się Richie. - Doceniam ten gest.

Joe minął go i zniknął za drzwiami.

- Dobra, zapytam jeszcze raz - powiedział Richie, sia dając za biurkiem. - Wiesz coś o tej sprawie?

Petey wziął głęboki wdech.

- Tak jakby.

Richie poruszył się niespokojnie na krześle. Petey uniósł głowę.

- Wtedy, w piątek wieczorem, spotkałem Katie.

- Jak to spotkałeś? - spytał Richie.

- Wpadłem na nią - wyjaśnił Petey. - Płakała - dodał, patrząc w podłogę. Po chwili znowu spojrzął na policjanta. - Powiedziała, że pokłóciła się z Shaunem.

Richie się uśmiechnął.

Rozdział osiemnasty

Stinger's Creek, północne rejony środkowego Teksasu, rok 1986

Ashley Ames stała przed lustrem w swoim pokoju, zastanawiając się, czyjej makijaż jest już właściwy. Jeśli ma pasować do jej bladej cery, musi być subtelny: odrobina różu, tuszu do rzęs i błyszczyku. Wysypała przybory z kosmetyczki i znalazła wśród nich to, czego szukała: czarną kredkę do oczu, której prawie nie używała. Zdjęła nasadkę i pochyliła się przed lustrem. Tuż za nią na łóżku leżała jej dziewięcioletnia siostra Luanne. Ashley odwróciła się ku niej, gdy skończyła, trzymając szczotkę do włosów na wysokości ust.

- Ashley Ames prezentuje dziś państwu różowy top od krywający ramiona oraz szarą sukienkę ledwie zasłaniającą pupę. Dopełnieniem stroju jest para kedsów w kolorze klasycznej bieli. Albo: dziś Ashley Ames spotyka się ze swym mężczyzną w różowej koszulce odsłaniającej ramiona oraz w marszczonaj spódnicy do pół uda i w czarnych bucikach na wysokim obcasie, sięgających za kostkę.

Luanne dokończyła tym samym tonem:

- Czy jej włosy mogą być jeszcze bardziej nastroszone? Czy mogła jeszcze mocniej podkreślić oczy...?

- Przymknij się, Lu - skarciła ją Ashley. - No, to co mam ubrać?

- Marszczoną - odparła Luanne. - Ale tata się wścieknie.

- Dlaczego?

- Bo to ciuch dla lafiryndy.

- Akurat ty się znasz...

Ashley wcisnęła się w spódniczkę i zapięła suwak na boku. Wątek bujnego ciała wylał się nieznacznie ponad paskiem. Odwróciła się i poklepała po pupie.

- Kąp się w moim blasku, Lu. Kąp się w blasku.

Przysiadła na łóżku i wykrzywiając nogi na zewnątrz, zapięła zamki butów na pulchnych łydkach. Sięgnęła po torebkę, wrzuciła do niej kilka kosmetyków i o parę centymetrów wyżej ruszyła w stronę drzwi. Westley Ames opuścił gazetę.

- No, nie wiem, Ash, skarbie - powiedział, kręcąc głową.

- Czego nie wiesz, tatusiu?

- Czy to właściwe ubranie dla młodej damy. Czy wysyła właściwą wiadomość o tobie.

- A jaką wiadomość wysyła twoim zdaniem, tatusiu?

- Ashley, nie prowokuj mnie.

- Przepraszam, tatusiu. Chodzi o to, że wszystkie... No, wiesz, nie tylko ja noszę takie ciuchy. Lubię je i moim zdaniem nie wysyłają żadnej wiadomości.

- A to czarne wokół twoich oczu, to co? - spytał.

- To tylko kredka do oczu, tatusiu. Nic wielkiego.

- A ten młody człowiek, z którym wychodzisz?

- To Donnie Riggs, tatusiu. Znasz Donniego.

- Słyszałem o Donniem, Ashley, ale go nie znam. Podobnie jak ty. Możemy się tylko modlić, żeby nie miał w sobie za wiele z ojca, bo jeśli wyczuje od ciebie choćby odrobinę alkoholu, to więcej go nie zobaczysz. Słyszałaś, Ashley?

- Jest środek dnia, tatusiu. Poza tym, wiesz, że ja nigdy nie piję - odpowiedziała Ashley i z uśmiechem na ustach ruszyła w stronę holu.

Donnie Riggs siedział na krawężniku między dwoma samochodami, oddalony przecznicę od domu Ashley. Rzucił na drogę niedopałek papierosa i wstał, by obciągnąć brudne dzinsy. Nogi trzęsły się pod nim, a policzki płonęły. Tego dnia nie miał najmniejszej ochoty patrzeć w oczy Westleyowi Amesowi.

Zadzwonił do drzwi i otworzyła mu pani Ames. Stała przed nim z prawą ręką wspartą na wąskiej talii, na jej piersi leżał płasko sznur pereł.

- Witaj, Donnie - powiedziała, uśmiechając się bez entuzjazmu.

- Dzień dobry pani - odparł Donnie. - Jest Ashley?

- Wejdz.

Kobieta odwróciła się i uśmiechnęła na widok córki wychodzącej z salonu. Gdy znowu spojrziała na Donniego, miała łzy w oczach.

- Opiekuj się nią.

- Mamo!

- Nie gniewasz się, że to powiedziałam, prawda, Donnie? - spytała pani Ames.

- Oczywiście, że nie, proszę pani - odparł Donnie. - I proszę się nie martwić. Zajmę się nią jak należy.

Ashley uśmiechnęła się, chwytając go pod ramię.

Słońce stało wysoko, okrywając rzekę zmarszczkami srebrzystego światła. Duke siedział w półmroku gęstwiny drzew, z kolanami przywiedzionymi, do piersi. Latarka leżała obok, na trawie. Minęło pół godziny, aż w końcu usłyszał kroki na ścieżce i dziewczęcy śmiech. Potem rozległ się głos Donniego i stłumiony brzęk butelek z piwem. Dźwięki ucichły stopniowo, gdy para skręciła ku brzegowi rzeki.

- O, nie. Nie poszło mi za dobrze - powiedział Donnie. - Geografia to nie moja działka. No i nienawidzę Bak-ster. To frajer.

- No - przytaknęła Ashley.

Donnie bawił się kapsłem, bez końca pstrykając go kciukiem w górę i łapiąc.

- Halo, ziemia do Donniego, ziemia do Donniego - odezwała się Ashley po chwili. Odwrócił się i spojrział na nią tak, jakby naprawdę zapomniał o jej obecności.

- Przepraszam - mruknął. - Chcesz jeszcze jedno piwo?

- Jasne.

Sięgnął za siebie po butelkę, a kiedy znowu się wyprostował, jego twarz znalazła się ledwie parę centymetrów od twarzy Ashley. Zamknęła oczy, a wtedy pochylił się nieco i pocałował ją w usta, po czym łagodnie sprowadził do parteru, na miękką trawę.

- Powyżej pasa - powiedziała z uśmiechem, lekkim klepnięciem odsuwając jego dłoń.

Rozległ się trzask łamanej gałązki. Aż do tej chwili Duke stał nad nimi i przyglądał się w milczeniu. Ashley zerwała się na równe nogi, w locie poprawiając bluzkę i gapiąc się na Duke'a. Donnie usiadł, z paniką w oczach.

- Cześć, Rzy... Znaczy, cześć, Duke - powiedziała zmieszana Ashley.

- Kontynuujcie, nie przeszkadzajcie sobie - odparł Duke.

Spojrzała na niego z niepokojem, w końcu jednak się uśmiechnęła.

- Jasne - odpowiedziała, zerkając na Donniego. Roześmiała się, ale chłopak wyglądał na mocno zdenerwowanego. Znowu spojrzała na Duke'a.

- Mówię poważnie - wycedził lodowatym tonem. - Kontynuujcie.

Donnie objął Ashley ramieniem i pociągnął ku sobie. Odepchnęła go.

- Co ty wygadujesz? - spytała, wstając. - Zwariowałeś?

- Zróbcie to - odrzekł Duke, pchając ją tak, że upadła na Donniego.

Spojrzała na niego wielkimi oczami. Znała tych chłopaków, mogła ich zidentyfikować... I nagle stanęło jej serce. Wiedziała, że nigdy tego nie zrobi.

- Do roboty - rozkazał Duke. - Ja tu sobie posiedzę i popatrzę, a później może nawet się przyłączę.

- No, dalej, Ashley - powiedział Duke, kiedy było po wszystkim. Potrząsnął jej torebką i pogrzebawszy w rozrzuconych drobiazgach, podał jej puderniczkę. - Zrób coś z twarzą. Tusz ci się rozmazał. Prędkiej, prędkiej.

Otworzyła lusterko i zobaczyła w nim lzy płynące po policzkach. Duke znalazł w trawie szczotkę i zaczął czesać jej włosy, wyciągając palcami suche liście i drobiny ziemi.

- Co by sobie twój tatuś pomyślał? Może to, że jego córeczka jest kurwą? Że jego mała księżniczka poszła na pierwszą randkę i dała takiemu łajdakowi jak Donnie Riggs? - Duke roześmiał się głośno.

Donnie stał obok, w milczeniu. Ashley wyrwała szczotkę z ręki Duke'a i sama zaczęła się czesać.

- Zostawcie mnie w spokoju - zaszlochała. - Nikomu nie powiem... bo nie mogę tego zrobić. Tylko już mnie zostawcie... Proszę, idźcie już.

Duke podniósł z ziemi zakrwawioną latarkę i odszedł.

- Melasa wywabi plamy z trawy - wymamrotał Donnie, po czym ruszył jego śladem.

Ashley spojrzała w małe lusterko i zobaczyła rozmazane na policzkach smugi tuszu. Gdy oczyściła twarz i umalowała się na nowo, wyglądała prawie tak samo jak przed wyjściem z domu. Gdyby nie oczy. Wstała z ziemi i wolnym krokiem oddaliła się w stronę lasu i biegnącej za nim drogi.

Gdy była tuż obok swojego domu, minął ją Duke.

Skinął głową.

- Mogło być znacznie gorzej, Ashley. - Umilkł na moment. - Poczekaj tylko, aż zobaczysz nasz następny numer.

Rozdział dziewiętnasty

Richie stał przy czarnym kombi, wypisując mandat. Kiedy skończył, złożył druczek na pół i wsunął za wycieraczkę. Po chwili z kawiarni wyszedł Shaun. Na jego widok przewrócił oczami.

- Moglibyśmy zamienić słówko? - zawołał Richie, zbliżając się truchtem. - Chciałbym tylko coś wyjaśnić - dodał, przystając. Wyjął notes i przechylił go tak, by nie zmoczyła go mżawka.

- Jasne - odparł Shaun. - Ale teraz wracam do szkoły - dodał, narzucając na głowę kaptur kurtki, który ukrył jego oczy w cieniu.

- Przypomnij mi jeszcze raz, gdzie dokładnie pożegnałeś się z Katie?

Shaun zaczerpnął powietrza.

- Chyba tam, przy murze ciągnącym się do przystani.

- Słyszałeś śpiew? - spytał Richie. Shaun zamarł.

- Co takiego?

- Mówiłeś, że wcześniej byliście przy suchym doku.

-Tak.

- Był tam też jacht z dwudziestoma pijanymi Hiszpanami na pokładzie, którzy wydzierali się na całe gardło.

Shaun milczał.

- Zatem gdzie naprawdę byliście, kiedy wyszliście z do mu Katie? Nie wydaje mi się, żebyście trafili na przystań.

Shaun czuł wyraźnie każde uderzenie serca. Zimny pot ciekł strużką po jego boku.

- Byliśmy na przystani, ale wcześniej...

Właściciel czarnego kombi wyszedł z piekarni Tynan's i uniósł ręce ku niebu.

- Na miłość boską, panie władzo, nie było mnie dwie minuty! Zaszedłem tylko po gazetę. Ile to mogło trwać? Przyjechałem z Dublina tylko na parę dni, a...

Richie wzruszył ramionami i odwrócił się. Jeden z miejscowych pijacków, który przechodził w pobliżu, zatoczył się w stronę dublińczyka.

- On cię nie wysłucha, kolego. Powie tylko „podwójna ciągła” i pokaże palcem. To złamas...

Richie nie zwracał uwagi na mamrotanie za plecami. Przyglądał się Shaunowi.

-Potem... Potem poszliśmy na spacer - powiedział chłopak.

- Gówno prawda, Shaun. Gdzie byliście?

- Już mówiłem. Na spacerze.

- Zostaw młodego w spokoju - zawołał pijaczek, wchodząc do baru. - Złamasie jeden ty... - bełkotał.

- Dokąd poszliście? - naciskał Richie.

- Przez wioskę i...

- I dalej, szerokim łukiem omijając jej dom, wróciliście tutaj, żeby się pożegnać?

-Nie.

- Więc przez wioskę i co dalej? Do ciebie i znowu tutaj, całkiem nie po drodze, żeby się pożegnać?

Shaun nie mógł ustać spokojnie.

- Czy coś zaszło między wami, Shaun? Mnie możesz powiedzieć. Pokłóciliście się?

- Nie, wszystko było w porządku. Już mówiłem.

- Żadnej sprzeczki?

-Nic.

Richie zaczął notować.

- I nie była zdenerwowana?

- Nie - odparł Shaun.

- Nie płakała? Nie mogła nikomu powiedzieć na kilka minut przed zniknięciem, że pokłóciła się z tobą?

- Nie. - Głos odmawiał mu posłuszeństwa.

- Mógłbyś przysiąc?

- Ja... nie wiem.

Richie pisał jeszcze przez chwilę, a potem zamknął notes i skinął głową.

- Dzięki - powiedział.

Frank stał przed tablicą ogłoszeń na posterunku, sprawdzając, czy wszystkie ulotki są jeszcze aktualne. Zdjął kilka starych plakatów, zmiął je i rzucił do kosza i zmienił układ pozostałych. Nie usłyszał, kiedy Joe wszedł do środka.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale chyba powinienes o czymś wiedzieć, Frank. Możliwe, że pomoże wam to w śledztwie.

- Co takiego?

- Mniej więcej rok temu zabiłem kogoś - zaczął Joe. - Na służbie. Facet nazywał się Donald Riggs. Porwał ośmioletnią dziewczynkę, zabrał okup, a potem wysadził tę małą w powietrze wraz z jej matką. Widziałem to. Zastrzeliłem Riggsa i kiedy już leżał martwy, podszedłem bliżej i zobaczyłem w jego dłoni odznakę w kształcie jastrzębia. Trafiła do worka z dowodami rzeczowymi, gdzieś w gmachu One Police Plaza w Nowym Jorku. Wypada więc zapytać, dlaczego identyczna odznaka znalazła się na parkingu przed Danaher's w sobotę wieczorem. - Joe wyciągnął rękę.

Frank spojrział najpierw na odznakę, a potem na Luc-chesiego.

- Nie wiem - powiedział.

- Sądzę, że ktoś poluje na mnie i na moją rodzinę- powiedział Joe. - Domyślam się, że to niejaki Duke Rawlins.

- To tylko jakaś stara odznaka i...

- Wcale nie jakaś. To odznaka związana z konkretnym wydarzeniem... - Joe mówił z coraz większym trudem. - Pochodzi z lat osiemdziesiątych, a ściślej... Posłuchaj, wiem, że zabrzmiało to głupio i naprawdę nie znam dobrze tego faceta, ale uważam, że...

- Wiele przeszedłeś - przerwał mu Frank.

- Słucham?

- Żyjesz w sporym stresie.

- Jasne, że tak - zgodził się Joe. - Ale jedno nie ma z drugim nic wspólnego. Jestem pewien, że ten Rawlins przyjechał za mną do Irlandii.

- Widziałeś go?

- Nie, ale nie widzę innego wyjaśnienia faktu, że odznaka znalazła się w Mountcannon. Taki przedmiot nie ma żadnego związku z tym miejscem, a i w Stanach nikt się nie interesował ozdobą znaną przy martwym przestępcy. Ta odznaka ma dla mnie jakiegokolwiek znaczenie tylko dlatego, że była pierwszym przedmiotem, który zauważyłem przy pierwszym... miejmy nadzieję, ostatnim... człowieku, którego zabiłem.

- Niewiele mogę zrobić z tą informacją - powiedział Frank.

- Przecież ma związek ze sprawą Katie. Może facet zaatakował...

- Nie jesteśmy w stanie ustalić miejsca jego pobytu.

- Jak to? A służby graniczne, a obsługa lotniska...

- Joe, to nie tak. Jeśli facet jest bandytą, to nie przyjdzie do nas z oficjalnym pozwoleniem na pracę. A jeśli przyjechał tu z wizą turystyczną na sześć miesięcy, nie podlega obserwacji. - Frank wzruszył ramionami. - Może sobie robić, co mu się podoba.

Ray nacisnął klakson i wyskoczył z szoferki furgonetki. Po chwili z domu wybiegła Anna.

- Zgadnij, kto wrócił, kto wrócił znowu? - zawołał, cytując Eminema.

Roześmiała się i odpowiedziała śpiewająco:

- Shady wrócił, powiedz kumplowi.

- Nigdy nie wiadomo, kto okaże się fanem Eminema - powiedział Ray.

- Wszyscy są jego fanami - odparła Anna. - Tylko nie wszyscy się do tego przyznają. Domyślam się, że przyjechałeś na drugą rundę?

- Tak jest - odpowiedział, wyładowując z wozu puszkę, ryneczki na farbę i pędzle. - Gdybyś mnie potrzebowała, będę tam - dodał, wskazując na latarnię morską i zaśpiewał na pożegnanie: - Zdaje się, że to robota dla mnie, więc wszyscy za mną...

Anna odprowadziła go śmiechem.

Shaun wszedł do pustej sali komputerowej w St. Dec-lan's i usiadł przy pececie. Uruchomił program pocztowy i wpisał hasło. W skrzynce znalazł jedną wiadomość - bez tematu, wysłaną przez użytkownika, którego nazwę tworzył bezsensowny ciąg znaków. Otworzył ją i zobaczył fotografię latarni morskiej, z trawnikiem, na którym płonęły ogniska. Wiedział, że to zdjęcie z sesji zorganizowanej przez matkę. Szarpnął myszką, zamknął plik i podniósł z podłogi torbę. Gdy dotarł do domu, wciąż gotował się ze złości.

- Naprawdę rzygać mi się chce, kiedy patrzę, jak sobie normalnie żyjecie i pracujecie! - krzyknął do Anny, stając na progu.

- Nie zamierzam znowu marnować czasu na tę rozmowę - odparła. - Jestem zmęczona i... tak, właśnie tak... muszę pracować. Nic na to nie poradzę. Wiem, że przeżywasz trudne chwile, ale...

- Ale musisz mnie jeszcze dobijać?

- Nie dobijam cię - odpowiedziała. Odwróciła się i teraz dopiero zobaczyła jego minę. - Niby jak miałabym to robić?

- E-mailem.

- Jakim e-mailem?

- Ze zdjęciem z tej pieprzonej sesji!

- Co cię ugryzło?! Zresztą cokolwiek to jest, nie pozwalam ci zwracać się do mnie w taki sposób. Należy mi się szacunek. Może wreszcie się dowiem, o jakim e-mailu mówisz?

- O tym, który dziś odebrałem. Od ciebie.

Joe wszedł do kuchni i położył na kredensie bezprzewodowy telefon.

- Dzwonił Frank Deegan - powiedział, wyraźnie wytrącony z równowagi. - Shaun, rozmawiałeś dziś z Richiem Batesem?

- Tak. A bo co?

- Richie twierdzi, że zaprzeczyłeś, jakoby tuż przed zniknięciem Katie doszło między wami do kłótni. Policja tymczasem ma świadka, który jest odmiennego zdania.

- O czym ty mówisz?

- O tym, co przed chwilą usłyszałem. Richie powiedział, że rozmawialiście dziś w wiosce.

- Owszem, ale nie mówiłem, że...
- Najwyraźniej stwierdziłeś, pod ostrzeżeniem, że kłótni nie było. A on uważa, że skłamałeś, i zapisał twoje słowa w notesie.
- Co to znaczy „pod ostrzeżeniem”? To coś w stylu „wszystko, co powiesz lub zrobisz, może zostać użyte przeciwko tobie”?
- Mniej więcej.
- No, to wiedz, że Richie przed niczym mnie nie ostrzegał. Przysięgam na Boga, tato. Nic z tego nie rozumiem. My tylko gadaliśmy.
- Jezu Chryste, wyjdę na skończonego idiotę...
- Dlaczego?
- Nieważne. Zbieraj się, jedziemy na posterunek. Pogadamy i wyjaśnimy sobie wszystko. Wiesz, Shaun, naprawdę sam chciałbym wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Ray wyszedł tyłem ze swojego mieszkania, ciągnąc za sobą czarny foliowy wór. Zarzucił go sobie na ramię i ruszył w stronę metalowych kubłów ustawionych rzędem na końcu ślepej uliczki. Cisnął wór do jednego z nich; nowa dostawa śmieci uwolniła z wnętrza falę smrodu. Dopiero teraz Ray zauważył, że folia była pęknięta.

- Ray, do kurwy nędzy - powiedział Richie, zachodząc go od tyłu.

Ray odwrócił się gwałtownie.

- Popatrz tylko. - Policjant wskazał na śmieciowy szlak znaczący drogę od domu do kubła.

- Dobra robota, *garda* Richie - powiedział Ray. - Jesteś świetnym tropicielem. Zobaczysz, jeszcze zrobią cię sierżantem.

- Stul dziób, Carmody. I posprzątaj po sobie.

- Właściwie co cię to obchodzi, co wypada z mojego worka? - spytał Ray z krzywym uśmiechem. - Zazdrosny jesteś?

Richie chwycił go pod ramię i mocno zacisnął kciuk i środkowy palec.

- Auu -jęknął Ray. - Puszczaj, palancie.

Funkcjonariusz Bates nie puścił.

- Jeśli wrócę tu wieczorem i zobaczę ten chlew - wycedził groźnie, spoglądając na śmieci - to przysięgam, że wepchnę to wszystko do twojej skrzynki na listy. - Teraz dopiero zwolnił uścisk.

- Ach, rozumiem - mruknął Ray. - Policja strzeże porządku na ulicach Mountcannon.

- A tak w ogóle, to twoje mieszkanie? - spytał Richie.

- Cóż to za pytanie?

- Jesteś właścicielem czy nie?

- Wynajmuję. Ale co cię to obchodzi? Wystarczy, że ty i ten twój kochaś imprezowaliście razem i kupiliście sobie to miłosne gniazdko.

- To ja jestem właścicielem. Oran wynajmuje ode mnie.

- Nie rozumiem, po co właściwie ta rozmowa? Jesteś kobietą czy co?

Richie pchnął go z całej siły.

- Ejże, stróżu porządku - zaprotestował Ray. - Jesteś na służbie. Co sąsiedzi powiedzą?

Richie rozejrzał się po pustej ulicy.

- Lepiej się, kurwa, pilnuj - warknął, zbliżając twarz do twarzy Raya.

- Pilnuję. Gapię się na siebie bez przerwy - zapewnił go Ray. - I podoba mi się to, co widzę. Mógłbym patrzeć na siebie cały boży dzień!

Shaun zapadł się w fotel na posterunku, wyciągnąwszy długie nogi przed siebie, z daleka od biurka. Poza jednym „dzień dobry” pod adresem Franka nie powiedział jeszcze ani słowa.

- Musimy poczekać na Richiego - powiedział Deegan.

Richie zjawił się po pięciu minutach, rumiany i spocony. Frank popatrzył na niego, a potem spojrzął na Shauna.

- Powiedz nam teraz, gdzie byliście tamtej nocy - polecił. - Proszę cię. Za długo to wszystko trwa.

Joe siedział obok syna, rozglądając się po biurze. Koncentrował się na ciszy, jaka zapadła po słowach policjanta, oraz na ogłoszeniach przypiętych do tablicy na lśniącej, szarej ścianie. Była wśród nich marna kolorowa fotokopia zdjęcia

dziewczyny o małych oczach, gęstych brwiach i splątanych, czarnych włosach. Pulchne policzki niemal dotykały ramki portretu. Powyżej widniał napis: ZAGINIONA. Siobhan Fallon. Widziana po raz ostatni w lokalu American Heroes w Tipperary, w piątek siódmego września. Joe nigdy o niej nie słyszał. Media interesowały się niektórymi zaginionymi, lecz obrazy innych, mniej atrakcyjnych ofiar czekała co najwyżej kariera marnych portretów na ścianie policyjnego posterunku.

- W Seascapes - odezwał się niespodziewanie Shaun. Joe odwrócił się gwałtownie.

- Cholera, wiedziałem!

- Seascapes... Domki letniskowe? - spytał Frank, igno-
rując ten wybuch.

-Tak.

Joe pokręcił głową.

- O której? - indagował Frank.

- O siódmej trzydzieści.

- Po co tam poszliście? Miałeś robotę?

- Nie. - Shaun spojrzął na ojca. - Poszliśmy tam z Ka-tie,
bo... chcieliśmy być sami.

- Po co?

Policzki Shauna poczerwieniały.

- Bo my...

Joe wstrzymał oddech.

- Co? - odezwał się Frank.

- Poszliśmy tam, żeby uprawiać seks.

Joe wypuścił powietrze z płuc i zamknął oczy.

- Katie wiedziała, po co tam idziecie? - spytał Deegan.

- Słucham?

- Czy spodziewała się, że będziecie to robić?

- O, tak - odparł Shaun.

- I zrobiliście to?

- W pewnym sensie. Sam nie wiem.

- Jak możesz nie wiedzieć? Tak czy nie?

- Chodzi o to, że to był jej pierwszy raz. Denerwowała się.

Shaun zaczął płakać. Kolejne pytania były coraz bardziej
osobiste, prawie medyczne. Frank musiał wyciągać

z niego każdą odpowiedź. Potem przyszła kolej na Ri-chiego.

- Czyli tak: nic się nie wydarzyło, ona była spięta, a ty dostałeś szau?

- Nie - odparł Shaun. - To wcale nie tak... Zaczęliśmy to robić, aleją bolało, więc przestaliśmy.

- I wkurzyłeś się, bo poszło nie tak, jak tego chciałeś! -Nie.

- Nie dała ci, to się wściekleś.

- Nie!

- A może jednak nie wiedziała, po co ją tam zaprowadziłeś? Może wszystko to było dla niej wielką niespodzianką? Może upiłeś ją trochę, a potem jazda!

- Ty draniu! - krzyknął Shaun. Stracił panowanie nad sobą. - Pieprzony draniu! Kochałem Katie. To wszystko bzdury... - Rozpłakał się jeszcze mocniej, ale mimo drżenia ust nie przestał mówić. - Ty - powiedział, wskazując na Richiego - nie masz pojęcia, co się wydarzyło, bo cię tam nie było. Przytuliłem ją i powiedziałem, żeby się nie martwiła, bo możemy przerwać, jeśli tylko chce. Nic nie wiesz o mnie i o Katie! I w ogóle po co ci o tym mówię...?

- Frank - odezwał się Joe - zadzwoniłeś do mnie i poprosiłeś nas tu na nieoficjalną rozmowę, a nie po to, żeby znęcać się nad moim synem. - Przy każdym słowie czuł ból w twarzy. Podparł głowę ręką i spojrzał na Deegana. - Próbujemy ci pomóc. Gdybyś miał coś na Shauna, już byś go aresztował, ale nie masz. Jeśli nie liczyć rzekomego zaprzeczenia w sprawie kłótni, rzekomo pod ostrzeżeniem.

Richie zmrużył oczy i otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale przełożony szybko położył dłoń na jego ramieniu.

- Zatem to prawda, że pokłóciliście się, kiedy było po wszystkim? - spytał łagodnie Frank.

- Tak - odparł Shaun, ocierając łzy.

- Dlaczego nie powiedziałeś o tym wcześniej?

- Bo myślałem, że ona wróci - zaszlochał. - I że zniknęła, żeby napędzić mi strachu. Nie chciałem, żeby ktokolwiek dowiedział się o tym, co robiliśmy. Jej matka chyba by mnie zabiła. - Usłyszawszy własne słowa, Shaun znowu się rozplakał.

Czekali cierpliwie, aż odzyska panowanie nad sobą.

- O co właściwie była ta kłótnia? - spytał wreszcie Frank.

- O głupstwo - odparł Shaun. - Zapytała mnie, czy zdarzyło mi się już coś takiego, z kimś innym, w Stanach. Spytałem, czy mam być szczery. Odpowiedziała, że tak, więc wyjaśniłem jej, że nie, że z innymi dziewczynami było w porządku, ale też naprawdę nie martwię się naszym niepowodzeniem.

Richie wstrzymał oddech, ale Shaun nie zwrócił na to uwagi. Mówił dalej, rozpaczliwie wyrzucając z siebie słowa.

- Zakładałem, że wie, że to nie jest mój pierwszy raz, ale było inaczej. Sam nie wiem, po co w ogóle pytała. Może po prostu było jej źle i w ogóle... Nie wiem. Tak czy inaczej, była na mnie zła, bo nie powiedziałem jej wcześniej, że już to robiłem. Próbowałem ją przekonać, że nie ma znaczenia to, co było kiedyś, ale Katie nie chciała już słuchać. Powiedziała mi coś jeszcze i wybiegła z domku. Skoczyłem za nią, ale mnie odepchnęła.

- Co dokładnie powiedziała? - spytał Frank.

- Powiedziała: „Zostaw mnie w spokoju. Czuję się jak frajerka. Przez ciebie czuję się jak frajerka”.

- A co ty na to?

- Powiedziałem... - odrzekł Shaun, gapiąc się w sufit - cholera, powiedziałem: „Świetnie. Zostawiam cię w spokoju”. - Szloch powrócił z nową siłą. - I tak zrobiłem. Zostawiłem ją samą... Wróciłem do domku i pozmywałem te pieprzone naczynia. A tymczasem....

Ciało Shaun'a zaczęło drżeć, a łzy popłynęły nieprzerwanym strumieniem. Joe objął go ramieniem. Chłopak jęczał przez chwilę, a potem wybiegł z pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi łazienki.

Joe potrząsnął głową, spoglądając na Franka i Richiego.

- Nie powinien był kłamać - stwierdził Frank.

Lucchesi nie mógł poruszyć szczęką; zęby wydawały mu się ostre jak kolce. Zgrzytał nimi mocno przez całe przesłuchanie.

- Sprawdź, co z nim - powiedział Deegan.

- Wiecie co? Nigdy nie trzeba daleko chodzić, żeby zna leźć zabójcę - odezwał się Richie, gdy Frank wyszedł na ko rytarz. - Jak to było? Dziewięćdziesiąt procent morderstw popełniają mężowie, kochankowie...

Joe pokręcił głową. Pomyślał o wszystkich chłopakach, wśród których dorastał, a których nigdy nie umiał do niczego przekonać w racjonalny sposób, bo byli na to zbyt tępi. Zwycięstwo nad nimi było zawstydzająco łatwe.

- Jakiś cichy się zrobiłeś, co? - szydził Richie. - Póki twój synalek nie zaczął gadać, zasypywałeś nas pieprzony mi bzdurami, a teraz mamy tylko milczenie winnego.

Skurcz w szczęce był nie do zniesienia. Głos

Richiego zmienił się w cichy warkot.

- Ja tylko mówię, że mały Shaun zerznął swoją panienkę, pokłócili się, ona uciekła, a po trzech tygodniach jej ciało znaleziono w jego ogródku. I jakoś zapomniał nam o tym powiedzieć... Jaki z tego wniosek? Nie przyjrzałbyś się bliżej takiemu podejrzanemu, gdyby to była twoja sprawa, detektywie?

Ostatnie słowo zabrzmiało jak pogardliwe splunięcie.

Środkiem podjazdu prowadzącego aż do drzwi Lucche-sich biegł wąski pas trawy. Z boku, przy linii drzew, stały dwie furgonetki, a dalej na prawo, za pnem dębu, ukrywał się Duke Rawlins. Przyglądał się w skupieniu napisom na burtach wozów. Mark Nash. Ogrodnictwo. 089 676746. Przymknął oczy, żeby zapamiętać numer. Nagle gdzieś od strony drogi rozległ się warkot samochodowego silnika. Duke przygarbił się nieco, a po chwili zobaczył jeepa, który podjechał aż pod drzwi domu. Zaczekał, aż wóz znieruchomieje, i cofnął się po cichu w głąb lasu.

Frank miał właśnie zadzwonić do O'Connora, tymczasem detektyw go ubiegł.

- Frank? Cześć, tu Myles. Przeglądałem właśnie zeznania i mam wrażenie, że coś znalazłem.

Frank próbował mu przerwać, ale detektyw kontynuował.

- Robert Harrington powiedział: „Byłem na przystani

od siódmej wieczorem. Sprawdziałem nowy sprzęt komputerowy na jednej z łodzi. Widziałem Katie i Shauna na ścieżce. Całowali się i przytulali". To w porządku, mamy potwierdzenie od czterech rybaków. Później jednak Robert twierdzi, że następnie Katie i Shaun „musieli pójść do stanowiska łodzi ratunkowej". Nie „byli przy", tylko „musieli pójść". Kevin Raftery i Finn Banks w ogóle nie widzieli Katie i Shauna. Przyszli do Roberta o ósmej trzydzieści. To oznacza, że po raz ostatni widziano Katie i Shauna przed godziną dwudziestą. Osoba najbardziej związana emocjonalnie z zaginioną i jej chłopakiem, Robert Harrington, każe nam wierzyć, że para była w pobliżu, ale nie twierdzi, że naprawdę ich widział.

- Nie mylisz się - powiedział Frank.

Anna siedziała na beczce w piwnicy, opierając się plecami o zimną kamienną ścianę, i przyglądała się rzędom butelek z winem. Na posadzce pojawiła się smuga światła. Anna uniosła głowę i w drzwiach na szczycie schodów dostrzegła sylwetkę męża. Joe zszedł i stanął przed nią. Spojrzał na jej wyraziste kości policzkowe i wyciągnął rękę. Przycisnęła ją do twarzy i zaczęła płakać. Joe przytulił żonę i uściśnął mocno, wzdychając ciężko. Wysiłek unikania fizycznego kontaktu w ostatnich dniach obojgu dał się we znaki. Joe czuł pustkę w żołądku, suchość w oczach i mętlik w głowie od nadmiaru leków.

- Powiedz coś - odezwała się Anna. Nie poruszył się i nie spojrzał na nią.

- Proszę.

- Chyba jestem zły na siebie, że wszystko wydawało mi się takie doskonałe - powiedział.

- Bo było - odparła. -1 jest. A tamto... to historia sprzed lat.

- Wiem o tym. Ale kiedy patrzę na tego faceta, widzę tłustego, pijanego oferwę i myślę sobie: to mój konkurent. Facet, który posuwał moją żonę.

- Strasznie to brzmi... A poza tym to żaden konkurent. To, co zrobiłam, było po prostu głupie. Zawsze o tym wiedziałam i kocham cię...

- Trzeba było mi powiedzieć - przerwał.

- Zostawiłbyś mnie.

Joe odsunął ją nieco i spojrzął jej w oczy.

- Tak, zostawiłbym - przyznał. - Więc może jednak do brze się stało, że mi nie powiedziałaś - dodał, uśmiechając się smutno. - Myślę o tym bez przerwy od kilku dni, w całym tym zamieszaniu... I wychodzi na to, że w szerszej perspektywie ta sprawa sprzed lat nie ma żadnego znaczenia. To, co się stało z Katie, co się dzieje z Shaunem... tylko na to wystarczy mi energii. W tej chwili powinniśmy myśleć wyłącznie o naszym synu. Nie możemy być tacy jak ostatnio. Cokolwiek zrobiłaś, nie umiem być sam obok ciebie. To takie dziwne uczucie. Przepraszam za to, co powiedziałem. Nie myślę tak, po prostu byłem wściekły. - Joe zamknął dłonie Anny w swoich rękach. - Dlaczego - spytał, ściskając je mocno — wszystko tak się popieprzyło?

Przytulił ją mocno i pocałował jej włosy, gdy znowu zaczęła płakać.

Martha Lawson leżała zwinięta w kłębek na kanapie, otulona zbyt długim, rozpinanym swetrem, który ciasno przewiązała paskiem. Dźwięk dzwonka wyrwał ją z drzemki. Pospieszyła do drzwi i uśmiechnęła się słabo, gdy zobaczyła Richiego.

- Jak się masz? - spytał.

- Sama nie wiem - odpowiedziała, wpuszczając go do środka. Odgarnęła gazety i czasopisma leżące na kanapie, by miał gdzie usiąść. - Coś nowego? - spytała, zbierając z ławy puste filiżanki i kubki po herbacie. Starła palcem lepkie okręgi, które po nich zostały.

- Nie martw się, działamy - zapewnił ją Richie. - Usiądź. Tak naprawdę to mam dla ciebie wiadomości, ale chciałbym, żeby ta rozmowa została między nami. Powiem ci to w zaufaniu, bardziej jako przyjaciel niż jako policjant.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Chodzi o Shauna.

W sypialni panowała całkowita ciemność; rolety były spuszczone aż do samego podokiennika. Zapach snu unosił

się w powietrzu. Joe położył dłoń na ramieniu Anny i delikatnie obrócił ją ku sobie.

- Jadę do Dublina - szepnął. Zmarszczyła

brwi i spojrzała na budzik.

- Jest siódma rano.

- Wiem. Muszę coś załatwić.

- O tej porze? Zwariowałeś? A co z Shaunem? Nie mogę go dzisiaj posłać do szkoły. Co mam robić? Prawie nie rozmawialiśmy o tym, co zaszło na posterunku.

- Jadę właśnie z powodu Shauna - wyjaśnił. - Na razie puścili go wolno, ale kto wie, jakie zdołają zgromadzić dowody...

- I w czym ci tu pomoże Dublin? - spytała. - Nie mógłbyś załatwić tej sprawy przez telefon?

- Nie - odpowiedział i pocałował ją w policzek, zanim zdążyła odwrócić się do niego plecami.

Pojechał na północ, najpierw Waterford Road, a potem w stronę Passage East, by dołączyć do kolejki oczekujących na prom do Ballyhack. Wysiadł z jeepa na czas krótkiej podróży i wspinał się po wąskich schodkach na pokład. Za każdym razem, gdy wychodził na powietrze, rozciągał się przed nim inny widok. Tym razem zatrzymał się przy re-lingu i wystawił twarz do chłodnego wiatru.

Z Ballyhack pojechał na wschód, do rozjazdu z drogowskazami w prawo, do Rosslare, i w lewo, do Wexford. Skręcił w lewo i wkrótce dotarł do drogi Nil, wiodącej prosto do Dublina. Po niespełna dwóch godzinach był już na miejscu. Przedostał się jakoś przez bezsensowny system jednokierunkowych uliczek w centrum miasta i wreszcie znalazł miejsce na wielopoziomym parkingu w Tempie Bar. Poszedł w prawo, wzdłuż Westmoreland Street, minął kamienną krągłość gmachu Banku Irlandii i przeszedł na drugą stronę ruchliwej ulicy, do Trinity. Bywał już w Dublinie, ale nigdy jeszcze nie szedł po bruku pod słynnym łukiem.

Nagle poczuł się stary, gdy otoczyli go studenci - niektórzy w strojach akademickich, inni uderzająco nowocześni na tle osiemnastowiecznej architektury. Minął bibliotekę i skręcił w prawo. Trafił na mecz rugby - paru szaleńców

robiło to samo co gracze NFL, tyle że bez kasków i ochraniaczy. Po chwili stał już przed wielkimi drewnianymi drzwiami wydziału zoologii. Imponujący kamienny budynek liczył ponad sto lat; poczucie historyczności miejsca ogarnęło Joego, gdy tylko wszedł do ciasnego holu. Po prawej stronie znalazł białe drzwi z mleczną szybą - drzwi do gabinetu Neala Columba. Na małej ledwie trzymającej się framugi karteczki samoprzylepnej ktoś nabazgrał: „Wracam 2.30”. Drobiazgi często wiele mówią o charakterze, toteż Joe natychmiast wyobraził sobie Neala Columba jako osobnika niezorganizowanego i szorstkiego. Dlatego też, gdy o czternastej dwadzieścia pojawił się schludnie ubrany, świeżo wykąpany mężczyzna z kanapką w dłoni, Luc-chesi nie zwrócił na niego uwagi. Mężczyzna tymczasem pokręcił głową, spojrzął na notatkę wiszącą przy drzwiach i schował ją do kieszeni. Przekręcił klucz w zamku, wszedł do gabinetu i zaraz pojawił się ponownie, by przyczepić do drzwi karteczkę z idealnie wykaligrafowaną wiadomością: „Wracam o 14.30. Dziękuję. Neal Columb”.

- Jane - zawołał z uśmiechem do sekretarki siedzącej w sąsiednim pomieszczeniu. - Zostawiłem ci gotową notatkę. Nie musiałaś marnować swoich bezcennych karteczek.

Z sekretariatu dobiegł kobiecy śmiech, a Joe natychmiast zmienił zdanie o Nealu Columbie, najwyraźniej jednak dobrze zorganizowanym i przyjacielskim człowieku. Nie miał więc nic przeciwko temu, by dać mu dziesięć minut na zjedzenie lunchu, choć miał szczerą ochotę wdrzeć się siłą do gabinetu.

Wreszcie, spojrzawszy kilkakrotnie na zegarek, postanowił zapukać w mleczną szybę.

- Proszę wejść! - zawołał Neal. - Joe, prawda? Proszę usiąść.

- Widziałem, że pan biegał - powiedział detektyw. - Dookoła boiska do rugby.

- Zdecydowanie wolę biegać dookoła, niż grać — odparł Neal. Miał nieco ponad czterdzieści lat i szczupłe, wysportowane ciało, ale raczej nie wyglądał na kogoś, kto chciałby znaleźć się w środku młyna.

Joe rozejrzył się po gabinecie. Pokój miał typowo pro-

fesorski charakter, lecz bogata kolekcja zdjęć na ścianach i drobiazgi na półkach wystarczyły, by wytworzyć przytulną aurę.

- Chodźmy do laboratorium. Obejrzymy to, co pan przywiózł, Joe - zaproponował Columb.

Weszli na piętro. Strzałka w prawo wytyczała drogę do laboratorium, ale Neal wskazał ręką na lewo.

- Nie chciałby pan najpierw obejrzeć naszej Galerii Łotrów?

Joe spojrzał na niego pytająco.

- Muzeum - wyjaśnił Neal.

- Doskonale - zgodził się Joe.

Weszli do niewielkiej sali pachnącej kurzem i chemikaliami i natychmiast poczuł się tak, jakby się cofnął w czasie. Zabytkowe, mahoniowe gabloty ciągnęły się wzdłuż wszystkich ścian, a pośrodku, na rzędzie nieco niższych gablot, spoczywał również mahoniowy blat. Na półkach stały wypchane zwierzęta oraz słoje pełne mętnej formaliny, w której unosiły się martwe stworzenia.

- Niech pan zgadnie, co to jest - powiedział Neal, zatrzymując się przed jednym z eksponatów i zasłaniając dłonią plakietkę z opisem. W pojemniku lewitował duży, krągły, sprawiający wrażenie delikatnego obiekt w kolorze korzenia imbiru, z osobliwą, bulwiastą naroślą z boku. W jego tylnej części wycięto otwór odsłaniający wewnątrz wyłożone czymś, co przypominało plaster miodu.

- Pojęcia nie mam - przyznał Joe.

- Żołądek wielbłąda. Te małe komórki w środku służą do przechowywania wody.

- Aha. Nie tego się spodziewałem.

Neal wskazał na inny słoje, stojący w sąsiedniej gablocie. W zielonkawym roztworze unosił się niezmiernie długi, cienki pasek przypominający makaron-wstążkę.

- Jada pan czarny pudding? - spytał uczony.

- O nie, niech mi pan nie obrzydza...

- Ma pan przed sobą przyczynę, z której powodu warto zawsze porządnie gotować tę potrawę. To tasemiec, wielki miłośnik świń.

- Od dziś przyrządzam pudding w piecu termojadro-

wym - mruknął Joe, mrużąc oczy. - Stanowczo za długi -dodał, spoglądając na tasiemca i potrząsając głową.

Gdy się odwrócił, Neal wyciągał z szuflady tace pachnące drewnem i naftaliną. Na kremowych podkładkach spoczywały przyszpilone ciała owadów. Neal zaczął opowiadać o interesujących gatunkach, ale urwał po chwili i spojrzął na zegarek.

- No tak. Laboratorium - powiedział. -A potem spotka nie... Proszę mi przypomnieć, w czym mogę panu pomóc.

Joe zarabiał na życie wciskaniem kłamstw kapusiom i podejrzanym, ale tym razem czuł dziwną potrzebę szczerości. Wiedział jednak, że nie może sobie na nią pozwolić, wybrał więc kompromis: zaczął od prawdy.

- W pobliżu mojego domu jest las. Przedwczoraj znalazłem tam ten pusty kokon i po prostu jestem ciekaw... Na studiach, w Stanach, liznałem trochę entomologii, ale porzuciłem ten temat. Została mi tylko fascynacja, za to wiedzy brakuje. - Teraz nadszedł czas na kłamstwa. - W pobliżu leżało martwe zwierzę i zastanawiam się, czy jedno ma coś wspólnego z drugim. Może gdyby umiał pan ustalić dokładnie gatunek muchy i czas wylęgu, wie pan...

- W porządku - odrzekł Neal, wyciągając rękę po małą buteleczkę po tabletkach, w której Joe przyniósł kokon. Umieścił znalezisko pod obiektywem mikroskopu i spojrzął w okular.

- Ma pan zupełną rację. To pozostałość kokonu, w którym znajdowała się larwa muchy. Przekonajmy się, czy da się ustalić jej tożsamość...

Sięgnął po przewodniki taksonomiczne i zaczął je wertować, raz po raz zerkając przez mikroskop na obiekt badania. Od czasu do czasu przywoływał Joego, by pokazać mu istotne szczegóły. Wreszcie podszedł do szafki pełnej buteleczek, w których znajdowały się okazy owadów, i wybrał jedną z nich, zawierającą kokon i larwę zatopione w formalinie.

- Tak - odezwał się po godzinie. - Przywiózł mi pan okaz *Calliphora*, czyli, jak pan zapewne wie, muchy pluj ki. Jeśli chodzi o gatunek, to stawiałem na *vicina* albo *vo-mitoria*, ale teraz, po dokładnym porównaniu, wiem, że to

uomitoria. Potwierdzają to okoliczności, w jakich znalazł pan kokon... często spotykamy tę muchę w rejonach wiejskich, a zwłaszcza w lasach. Jest naprawdę świetnym narzędziem do ustalania czasu zgonu, co przydaje się w wyjaśnianiu kryminalnych zagadek. - Neal uniósł brew. - No, ale i o tym na pewno pan już wie. Joe kiwnął głową.

- Zgoda, ale co może pan powiedzieć o cyklu życiowym... - urwał, licząc na to, że Neal poda mu chronologię zdarzeń, a tym samym w jakiś sposób pomoże Shaunowi.

- Muchy plujki zlatują się do martwego ciała niemal natychmiast. Natura wyposażyła je w niezwykle wyspecjalizowany „radar śmierci”. Oczywiście pojawiają się na miejscu za dnia, nie nocą. Jeśli więc ten pański lis czy inne zwierzę padło wieczorem, mucha pojawi się przy nim rankiem i zaraz zabierze się do składania mniej więcej trzystu jaj za jednym podejściem, zawsze w jamach ciała lub ranach. - Neal spojrział na Joego. - Znowu robię to samo: mówię o sprawach, które nie są panu obce. Przejdźmy więc do rzeczy: na podstawie danych, które mi pan przedstawił, podejrzewam, że zwierzę padło mniej więcej dwadzieścia dni przed znalezieniem tego drobiazgu.

Joe zawahał się.

- Dzięki - powiedział, próbując ukryć rozczarowanie.

Opinia Neala Columba oznaczała, że Katie została zabita w dniu zaginięcia, a ostatnimi - prócz mordercy - osobami, które widziały ją żywą, byli biedny Petey Grant i Shaun. Idąc alejką przez campus, Joe wrzucił kokon do kosza na śmieci. Rozumiał, dlaczego czuje gniew, ale zaskoczyło go, niczym siarczysty policzek, inne uczucie, które pojawiło się zniemacka: nieznanne mu dotąd uczucie zawstyżenia.

- Zapomniałem ci powiedzieć - odezwał się Frank. - Wczoraj, zanim wezwałem tu Shauna, Joe Lucchesi odwiedził mnie z nową informacją.

- Cóż za zbieg okoliczności - zakpił Richie.

- Daj spokój. W naszej robocie trzeba brać pod uwagę wszystkie szczegóły. Lucchesi jest niespokojny, bo podejrzewa, że ktoś związany z dawną sprawą, jeszcze z Nowego

Jorku, próbuje go dopaść, a zaczął od Katie. Mówiąc ściślej, w zeszłym roku Joe zastrzelił kogoś... mówimy o tym w tajemnicy... a przyjaciel zabitego właśnie wyszedł z więzienia i całkiem możliwe, że pojawił się tutaj.

Frank spojrział na Richiego i zauważył, że jego oczy stały się szkliste -jak zawsze, gdy wymieniali więcej niż kilka zdań. Prawe oko uciekało nieznacznie w bok, ale powróciło na miejsce, gdy Richie wrócił do rzeczywistości.

- Dlaczego Joe tak sądzi? - zapytał po chwili.

- Trzeba przyznać, że ma powód: na parkingu przed Danaher's znaleziono poprzedniej nocy dowód, który wskazuje na bezpośredni związek z tamtą strzelaniną w Nowym Jorku.

- Ooo - powiedział Richie, kiedy przetrawił słowa Franka. - Dziwna sprawa. Możliwe, że coś w tym jest.

Frank szukał sarkazmu w tej wypowiedzi, ale po chwili pojął, że go nie znajdzie. Nie rozumiał Richiego. W jednej chwili trzymał się jednej hipotezy, w drugiej chwycił się zgoła odmiennej. Przyjmował każdą nową informację, jakby stanowiła odrębną całość. Ktokolwiek łączył się z nową poszlaką, był, wedle Richiego, podejrzany. Podejrzani pojawiali się więc i znikali z jego celownika: Petey, Shaun, Joe, Duke Rawlins...

Frank chciał to skomentować, przemówić mądrze na temat wagi dowodów i środków działania, ale poczuł, że jest zbyt zmęczony, by wszczynać nowy spór z bojowym, młodym kolegą. Opuścił więc i wprowadziwszy go w szczegóły opowieści Joego, wyszedł.

Anna siedziała na kanapie, w okularach, i czytała książkę. Wyprostowane nogi wyciągnęła przed siebie i oparła na niskiej ławie. Joe wszedł do salonu i usiadł przy niej. Wziął do ręki pilota i zaczął zmieniać kanały w wyciszonym telewizorze.

- Więc nie masz mi nic do powiedzenia? - odezwała się Anna. - Syn nas okłamuje, ty ukrywasz przede mną fakty...

- Tylko nie to.

- Właśnie to. Nie będziemy rozmawiać tylko wtedy, kiedy ci to pasuje, Joe. To poważna sprawa. On nas okłamał.

- Ma szesnaście lat. Był przerażony. Ostatnią rzeczą, do której nastolatek przyzna się dorosłemu, jest to, że uprawiał seks. Nie powie o tym zwłaszcza rodzicom czy gliniarzom.

Anna spojrzała na Joego bez słowa.

- No, co? - spytał. - Nigdy nie okłamywałaś rodziców?
- A ty nigdy nie byłeś aresztowany za morderstwo - syknęła.
- Oszalałeś?

Joe wstał.

- Przejdę się.

Oran Butler i Keith Twomey siedzieli w nieoznaczonym wozie policyjnym przed magazynem dywanów Healy'e-go. Dwaj inni *gardai* czuwali w samochodzie przy bramie wjazdowej na teren parku magazynowego.

- Nie do wiary, znowu to samo - powiedział Keith.
- Jeszcze nie wiadomo - odparł Oran. - Może jednak się zjawią.
- Jest druga nad ranem. Siedzimy tu od czterech godzin, Butler. Nie ma na co liczyć.

Oran ułożył głowę wygodniej na zagłówku i przymknął oczy. Drzemał jeszcze przez godzinę, zanim odwołano akcję i Keith odprowadził wóz na posterunek w Waterford.

Anna przypomniała sobie o e-mailu, który Shaun odebrał w szkole. Zapukała cicho do jego pokoju i weszła. Bębnił palcami o klawisze konsoli, wbijając spojrzenie przekrwionych oczu w jasny ekran.

- Chciałam się dowiedzieć, o czym mówiłeś - powiedziała. - Podobno wysłałam do ciebie jakiś e-mail.

- Podobno - parsknął Shaun, nie przerywając gry. - A któż inny miałby mi przysłać fotkę z tej twojej głupiej sesji?

- Shaun, ja nawet nie widziałam tych zdjęć. Brendan jeszcze mi ich nie przysłał.

- Co? Cholera! - Shaun stracił ostatnie życie i cisnął grę na podłogę, a potem spojrzał na matkę. - A jednak dostałem jedno z nich. Na szkolną skrzynkę pocztową.

- Dlaczego miałabym ci coś wysyłać? I dlaczego na

szkolną skrzynkę? Jeśli już, to na hotmailową. Wydrukuj mi jutro to zdjęcie i przynieś do domu.

- System automatycznie przetrzuca wiadomości ze szkolnej do hotmailowej. Mogę ci je pokazać choćby zaraz.

Przeszli do salonu i Shaun otworzył skrzynkę pocztową. Kliknął na najnowszej wiadomości i na ekranie ukazało się zdjęcie. Anna zmarszczyła brwi. Fotografia na pewno została wykonana podczas sesji.

- Ale spójrz na to - powiedziała, wskazując miejsce na ekranie. - To Brendan. Skoro jest na zdjęciu... to nie mógł go zrobić.

Frank nienawidził pracy po godzinach - na posterunku było wtedy stanowczo zbyt cicho jak na jego gust. Czytał bez końca kopie zeznań, rozpatrując nieskończoną liczbę scenariuszy, które przychodziły mu do głowy. Zaskoczył go sygnał telefonu, a jeszcze bardziej głos O'Connora w słuchawce.

- Frank? Tu Myles. Mam dla ciebie ciekawostkę z bil-lingu Katie.

- Strzelaj.

- Ostatnią osobą, do której dzwoniła tamtej nocy...

- Czekaj, czy to znaczy, że z kimś rozmawiała?

- Nie. Powinienem był powiedzieć: ostatnią osobą, do której próbowała zadzwonić...

-Tak?

- Byłeś ty, Frank.

Gdy Joe wrócił do domu, powitała go martwa cisza. Wszedł do pokoju i delikatnie zamknął za sobą drzwi. Odetchnął głęboko, a potem zatelefonował do biura numerów zagranicznych, by zdobyć numer z miasta tak małego, że nie było nawet kropką na mapie świata.

Słowa, które dobiegły ze słuchawki były powolne, lakoniczne.

- Zastępca szeryfa Henson, Stinger's Creek.

- Mówi detektyw Joe Lucchesi z policji Nowego Jorku. Chciałbym porozmawiać z kimś o przestępcy z waszego miasta, Duke'u Rawlinsie, który trafił za kratki w powiecie

lat dziewięćdziesiątych i kilka miesięcy temu wyszedł na wolność.

- Duke Rawlins... Nie brzmi mi to znajomo, ale jestem tu nowy. Mogę wiedzieć, dlaczego pan o niego pyta?

Udzielając odpowiedzi, Joe bardzo starannie dobierał słowa.

- I sądzi pan, że on może coś kombinować? W takim razie sprawdzę - powiedział Henson. - Tylko że raczej nie odezwę się do pana ani jutro, ani pojutrze...

- Chciałbym tylko...

- Straciliśmy funkcjonariusza, detektywie Lucchesi. Jutro pogrzeb.

- Ach tak. Bardzo mi przykro. - Jak to się stało?

- Postrzelił się. Tragedia, naprawdę... To nasz były szeryf, Ogden Parnum. Dobry chłop. Całkiem niedawno przeszedł na emeryturę.

- Naprawdę mi przykro - powiedział Joe.

- Nam też - odparł Henson. - Proszę zostawić numer. Oddzwonię, gdy tylko będę mógł.

Joe włączył komputer i zaczął, aż załaduje się system. Połączył się z Internetem i wpisał trzy słowa: Stinger's Creek Parnum. Wyszukiwarka wyświetliła kilka trafień; wszystkie były odnośnikami do tego samego artykułu. Kliknął pierwszy adres i zobaczył na ekranie krótki artykuł z biuletynu „Herald Democrat Online”.

Miasto w żalobie po tragicznym samobójstwie

Były szeryf Ogden Parnum z miasteczka Stinger's Creek w hrabstwie Grayson został znaleziony wczoraj rano ze śmiertelną raną postrzałową głowy. Parnum zyskał sławę w latach dziewięćdziesiątych, gdy pracował nad sprawą Leśnego Człowieka - tajemniczego sprawcy dziesięciu brutalnych gwałtów i zabójstw kobiet, których ciała odnaleziono w lasach wzdłuż drogi międzystanowej numer 35. Sprawa ta do dziś nie została wyjaśniona...

- Jezu Chryste - jęknął Joe.

Rozdział dwudziesty

Sherman, północne rejony środkowego Teksasu, rok 1987

- Pewnego dnia ktoś cię złamie na pół, Alexis - powiedział Diner Dave, unosząc za nadgarstek jej kościstą dłoń i upuszczając ją na ladę.

- Nie zauważyłeś, że chude znowu jest modne? - prychnęła Alexis, dosuwając plastikowe bransoletki w jaskrawych kolorach aż do łokcia i pozwalając, by same się zsunęły.

Dave nagłym ruchem pochwycił ją za obie ręce i ścisnął mocno.

- Uważaj na siebie, kochanie. Mówię poważnie - powiedział.

- Och, Dave, ciągle mi to powtarzasz - odparła, odwzajemniając uścisk. - Jakiś smętny jesteś - dodała po chwili.

- Widzę, w jakim stanie czasem przychodzisz.

- Wiem, co robię, ale dzięki za troskę - ucieła. - A teraz daj mi pudełko tego tłustego kurczaka z frytkami.

Kiedy skończyła jeść, ześliznęła się ze stołka krytego czerwoną skórą, zostawiając na nim dwie plamy gorącego potu z pośladek ledwie osłoniętych krótką, atlasową spódniczką. Kołysząc biodrami, ruszyła w stronę drzwi.

- Cześć, Diner Dave! - zawołała, pchając ciężkie skrzydło. - Do następnego razu - dodała głębokim głosem superbohatera. Jej ostatnie słowo utonęło w głośnym skwiercze niu kolejnego plastra mięsa, który Dave rzucił na grill.

Skreśliła w najbliższą przecznicę i przeszła na drugą stronę ulicy, do zapuszczonego budynku o elewacji z brunatnego piaskowca. Gdyby o sekundę dłużej wchodziła po

schodach do mieszkania, telefon przestałby dzwonić, a ten, kto wybrał jej numer, po prostu sięgnąłby po kolejną wizytówkę znaną w budce telefonicznej. Zdążyła jednak i ciężko dysząc, sięgnęła po słuchawkę.

- Nieźle zaczynamy - powiedział Donnie.

Alexis się roześmiała.

- Jestem zapracowaną dziewczyną - odpowiedziała, natychmiast przechodząc do spraw zawodowych. - I całkiem samotną.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć? - spytał.

- Najlepiej przyjdź, przekonasz się na własne oczy.

- Z twojej wizytówki wynika, że jesteś blondynką i ważysz pięćdziesiąt kilo. Mam nadzieję, że kiedy przyjdę, nie będziesz wielką babą z wąsem, co?

- Nic podobnego - odpowiedziała Alexis. - Zastaniesz tu najcudowniejszą cipkę, jaką kiedykolwiek...

- W porze lunchu, zgoda?

- Wtedy jestem najlepsza.

Donnie odwiesił słuchawkę i pobiegł do ciężarówki, w której czekał na niego Duke.

Kiedy skończyli, Alexis przysiadła na brzegu łóżka.

- Wyglądasz na smutną, skarbie - zauważył Donnie. - Czy to dlatego, że...

- Uwielbiam to, co robię - wpadła mu w słowo. - Daję ludziom szczęście. Faceci przychodzą tu, bo szukają szczęścia. Dostają je ode mnie i odchodząc, są w siódmym niebie. - Umilkła na moment. - Ale ty chyba nie jesteś.

- Jestem - zapewnił ją.

- Uroczy z ciebie chłopak.

- Więc daj się zaprosić na przejażdżkę.

- Dokąd?

- Może na bal maturalny? - zaproponował.

- Co takiego? Nie byłam na swoim. Zmyłam się ze szkoły na długo przed finałem.

- Cóż więc zaszkodzi, jeśli pójdziesz ze mną na maturalną randkę? - kusił Donnie.

Spojrzała mu w oczy, szukając sygnału zagrożenia, ale dostrzegła tylko uczciwość.

- Po południu? A co tam - zreflektowała się. - Nigdy nie jest za późno.

Godzinę później stała półnaga na wietrze, który targał jej spódnicę.

- Jak się naprawdę nazywasz? - ryknął Duke, chwytając ją za włosy i potrząsając mocno.

Wrzeszczała z bólu.

- Pytałem. Jak. Się. Naprawdę. Nazywasz.

Pociągnął ją do tyłu. Obróciła się całym ciałem, żeby jego ciężar nie zawisł na włosach. Duke szarpnął jeszcze mocniej.

- Janet - odpowiedziała.

- Janet jak?! - huknął.

- Janet Bell - wyjąkała przez łzy.

- W takim razie: żegnaj, Janet Bell... - Duke się zawałał. - A właściwie to żegnaj, Janet Bell, witaj, nikt! Żegnaj, Janet Bell, i żegnaj, Alexis, parszywa kurewko z debilną ksywką. Żegnajcie obie!

Puścił włosy Alexis i obrócił ją plecami do siebie. Kopnął ją tak potężnie, że runęła na twardą ziemię. Nie miała siły na najmniejszy ruch; potulnie zwiesiła głowę.

-Uciekaj, panienko, uciekaj! - zawołał Duke. - No, Donnie, pogoń ją trochę!

Donnie puścił się biegiem, a Duke wyjął z kołczanu strzałę o trójgraniastym grocie, uniósł łuk na wysokość ramienia i przytknął lewe oko.

Alexis zaniechała ucieczki, obróciła się i krzyknęła na jego widok. Rzuciła się w tył, upadła na plecy i poderwała się zaraz, rozpaczliwie pragnąc żyć, uciekać. Donnie był tuż za nią. Umykała przed nim, póki pierwsza strzała nie przebiła jej lewej nerki.

- Dziesięć punktów - zawołał Duke i roześmiał się, pa trząc na Donniego.

Gdy Alexis padała na ziemię, druga strzała przeleciała tuż nad nią, mijając cel o kilka centymetrów.

- Cholera - warknął Duke, biegnąc w stronę leżącej na boku. - Cholera...

Stał nad nią z Donniem, słuchając jej płytkiego oddechu.

- Niech to się wreszcie skończy - szepnęła, dzwoniąc zębami. - Niech przestanie boleć. - Spojrzała na Donniego, który wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany.

- Dobra - zgodził się Duke. Przewrócił ją na brzuch, wsunął pod nią nóż i przycisnął mocno, rozpoczynając pierwsze cięcie.

Kiedy skończył, wstał i poszedł do ciężarówki. Wyjął spod brezentu dwie łopaty, z których jedną rzucił Donnie-mu. Powrócił do martwej Alexis, leżącej twarzą ku ziemi. Kopnął jej zakrwawione zębra i uśmiechnął się. Stał przy pobliskim drzewie i uderzył łopatą w twardy grunt.

- Niech to szlag... Donnie, do cholery, rusz się!

Kopali, aż ich koszule nasiąkły potem, a w ziemi otworzył się przed nimi płytki grób. Duke pochwyił Alexis za nadgarstki i przeciągnął ją po ziemi do dołu. Rzucił ją na dno, wraz z kaskadą małych kamyków. Zasypali zwłoki ziemią, gałęziami i liśćmi. Donnie wsiadł do wozu, a Duke został jeszcze chwilę przy grobie. Złożył ręce i spojrzał z powagą na swoje dzieło.

- Żegnaj, Alexis - powiedział. Odchodząc, z uśmiechem nucił temat z *Dynastii*. - Żegnaj, JR. Dobranoc, Mary Ellen... Nie tak to szło?

Donnie siedział przy barze w lokalu Amazon; jego dłonie oplatały piątą już butelkę busha,

- Popatrz tylko na swoje oczy, chłopcze, jednym grasz w bilard, a drugim liczysz punkty - odezwał się barman Jake.

- Jak mam spojrzeć na własne oczy? - spytał rzeczowo Donnie.

- Szkoda, że tatulek w porę nie oduczył cię pyskowania - mruknął Jake, kręcąc głową.

- Moje oczy są w porządku - powiedział Donnie, ruchem głowy wskazując na dziewczęta tańczące przy rurach, na niewysokim pomoście.

Jedna z tancerek podeszła do baru, ciskając oczami gromy.

- Powinieneś podnieść ten cholerny pomost, Jake - powiedziała, tnąc powietrze długim paznokciem. - Nie mogę

pracować, kiedy obmacuje mnie stado napalonych kierowców. Jestem może z dziesięć centymetrów nad nimi. Jak, do diabła, mam zatrzymać te ich lepkie łapska?

- Szczerze mówiąc, sam bym przylepił swoje do tych twoich cycków - wtrącił Donnie, prostując się na stołku. Stopa ześliznęła mu się z metalowej poprzeczki i niebezpiecznie przechylił się do tyłu, wyciągając rękę w stronę tancerki, by odzyskać równowagę.

Odrzuciła ją bez wahania.

- Pieprz się, Donnie Riggs, mówiłam ci to nie raz - po wiedziała i odwróciła się ku Jake'owi. - Oto dwa słowa, które zawsze mam dla Donniego: pieprz się.

Jake roześmiał się.

- Prawdziwe? - spytał Donnie, wskazując na jej piersi.

- Kiedy jestem naga - odpowiedziała niespiesznie - staję przed lustrem i dotykam ich, są bardzo, bardzo prawdziwe. Mięciutkie, tak jak trzeba. Stuprocentowo amerykańskie. Ale dla ciebie, koteczku, nigdy nie będą prawdziwe... na zawsze zostaną w twoich zasranych snach. - Odwróciła się i zabębniła palcami o blat, by zwrócić uwagę Jake'a.

- No wiesz? Człowiekowi staję, a ty sobie odchodzisz -zaprotestował Donnie.

Jake zignorował tę skargę i zwrócił się wprost do dziewczyny:

- Pomost zostaje taki, jaki jest, skarbie. Może powinnaś sobie kupić wyższe obcasy?

Spojrzała na niego wilkiem i oddaliła się.

- I tak wiem, że na mnie lecisz! - zawołał za nią Donnie.

Nie odwracając głowy, z gracją tancerki uniosła w górę najpierw łokieć, a potem dłoń z wyprostowanym środkowym palcem.

- Ludzie, nawet to robi seksownie - jęknął Donnie. Jake zaczął nucić:

- Poznałem prawdę, gdy miałem siedemnaście lat... Donnie rzucił w niego korkową podkładką.

- Mam prawie osiemnaście - powiedział.

-I co z tego, chłopcze? - zaśmiał się Jake. - Pójdiesz głosować na jej dupsko?

Drzwi baru otworzyły się. Wszedł Duke i zajął miejsce obok Donniego.

- Dwa busche, Jake - powiedział.
- Hej, Duke - odezwał się Donnie. - Jake mi dokucz.
- No, to nic nowego. Musimy pogadać.
- O czym?
- O sprawach - odparł wymijająco Duke. - Wypij i idziemy.

Spojrzał na tancerki i zauważył, że ktoś macha do niego. Zmrużył oczy i w świetle scenicznego reflektora rozpoznał jedną z dawnych koleżanek matki. Z hukiem odstawił butelkę i wyszedł.

Pojechali razem w stronę domu Donniego.

- Pamiętasz, o czym ci mówiłem? - spytał Duke. - Donnie? Donnie? - powtórzył, szarpiąc nim. - Obudź się.

- Daj mi spać - wybełkotał Donnie. Poderwał się jak sprężyna, gdy Duke dał mu w twarz. - Jezu Chryste, za co?!

Groźne spojrzenie przyjaciela pomogło mu zapanować nad gniewem.

- Mówiłem do ciebie - warknął Duke.
- Dobrze już, dobrze. O co chodzi?
- Wydaje mi się, że za łatwo nam poszło. Wiesz, nasz plan...

Dzisiaj. Rozumiesz? Taka dziewczyna jak ona to prawie chętny wspólnik.

- Moim zdaniem nie wyglądała na chętną - odparł Donnie.

- Nie wyglądała na chętną w swoim mieszkaniu, kiedy już wiedziała, że zarobi pięćdziesiąt dolarów? Naprawdę uważasz, że nie? A ja ci powiem, Donnie, że ona zrobiłaby gorsze rzeczy niż my, byle tylko forsa wylądowała w jej kieszeni. Nic nie rozdzieli dziwki i jej pieniędzy. I narkotyków. Nic. Nagoniłeś ją dla mnie, hmm? I co, trudne to było? A może poszła z tobą chętnie, gdy tylko zostawiłeś pięćdziesiątkę na jej nocnym stoliku?

- Niby tak... - przyznał Donnie.
- No, to przestań marudzić.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Joe siedział przy oknie w kuchni, spoglądając na morze. Śledził wzrokiem biały ślad pozostawiony przez łódź rybacką, walczącą z falami w pół drogi do horyzontu. Kroki Anny na terakotowych płytkach były ciche. Bez słowa podała mu wydruk z programu pocztowego.

- Co to? Od kogo?

- Nie wiem - odparła. - Ktoś wysłał to zdjęcie na szkolną skrzynkę Shauna. Pole nadawcy jest puste, jeśli nie liczyć przypadkowych symboli i cyfr. To latarnia morska w ten wieczór po pogrzebie Katie, w czasie sesji. Tyle że nie Brendan jest autorem. Zdaje się, że ktoś fotografował, stojąc po drugiej stronie drogi.

Zauważyła minimalne drżenie mięśni na twarzy męża.

- O co chodzi? - spytała.

- O nic.

- Jeśli jest coś, o czym mi nie mówisz...

- Nie ma - uciął. - *Calmez vous.* - Uśmiechnął się. Wiedział, że mówi z fatalnym akcentem. Uśmiech nie objął jednak jego oczu.

- Jesteś kłamcą! - wybuchnęła Anna. - Łżesz i myślisz, że jestem taka głupia? Naprawdę? - krzyczała, ujmując w dłonie jego twarz i potrząsając nią mocno. - Uważasz mnie za idiotkę?

- Przestań, nie mogę teraz...

- Guzik mnie to obchodzi! Mam tego dość. Ukrywasz przede mną różne sprawy, zamykasz się w pokoju, konferujesz przez telefon...

- No tak, ty wiesz co nieco o ukrywaniu spraw.

- O, nie, nie, nie! - zawołała, unosząc rękę. - Nie bę-

dziemy ciągle do tego wracać. Albo mi wybaczasz, albo nie. Proste? Nie wykorzystuj tej sprawy, żeby mnie karać bez końca.

Joe wzruszył ramionami. Pchnęła go z całej siły w bark.

- *Connardl*

- Spokojnie, Betty. - Nazywał ją Betty Blue, gdy ponosiły ją emocje i z rozpędu przechodziła na francuski.

Uśmiech znikł z jej twarzy dość szybko.

- Wiele o tobie wiem, Joe. Są to jednak przede wszystkim sprawy, o których wiedzą wszyscy. Jesteś bystry, za bawny, opanowany... - Urwała. - Właściwie to nie jestem w nastroju do prawienia ci komplementów.

Joe roześmiał się, ale Anna ciągnęła, ignorując jego reakcję:

- Do tego dochodzi parę drobiazgów, o których wiem, ponieważ jestem twoją żoną... o twojej uczciwości, o miłości. W gruncie rzeczy jesteś nawet wrażliwym facetem. Ale w głębi są jeszcze jakieś straszne sprawy, o których nigdy nie słyszę. Ale wiesz co? Odczuwam skutki tego, co w tobie siedzi. Niestety, nie mam pojęcia, co się teraz dzieje w twojej głowie.

- Jezu, naprawdę chciałabyś wiedzieć wszystko?

- Nie chcę wiedzieć wszystkiego, ale też nie chcę być okłamywana. A wszyscy mnie okłamują!

- Nic podobnego.

- Daj spokój. Na przykład moi dwaj chłopcy mnie okłamują. Czuję się jak idiotka.

- Bardzo seksowna idiotka - uzupełnił Joe, przyciągając ją ku sobie. - Szczególnie seksowna jesteś wtedy, gdy się złościś.

- To nie jest zabawne.

- Owszem, jest - powiedział, przyciskając ją do siebie i głaszcząc po włosach, ale wyraz jego twarzy przeczył słowom.

Shaun i Anna nie zobaczyli sfabrykowanej noty o poufności, dołączonej na końcu wiadomości: E-mail ten jest adresowany do osoby odpowiedzialnej za zabójstwo Katie i może zawierać prawdę o tym, że to ty ją udusiłeś. Treść niniejszej wiadomości wyraża poglądy nadawcy oraz wszystkich

innych osób. Przechowywanie, ujawnianie i kopiowanie jej nie jest zabronione.

Podskoczyła, gdy zadzwonił telefon, i pierwsza sięgnęła po słuchawkę. Słuchała przez moment, spoglądając na Jo-ego zmrużonymi oczami.

- Zastępca Henson do ciebie - powiedziała cicho, zakrywając dłonią mikrofon. - O co chodzi?

- Robota - odszepnął Joe.

- *Tas raison* - mruknęła Anna, oddając mu słuchawkę.

Joe miał wrażenie, że powiedziała „w porządku”, ale w rzeczywistości było to raczej „akurat”.

- Zabieram Shauna do wioski - szepnęła i wyszła.

- Witam, szeryfie - powiedział Joe.

- Mam akta, o które pan prosił - odparł Henson. - Myślę jednak, że ktoś próbuje pana nabrać. Duke Rawlins nie żyje.

Nora rozłożyła gazetę na posterunkowym kontuarze. Nagłówek ciągnął się przez obie strony: „Utracone, ale nie zapomniane”. Po prawej znajdował się montaż fotografii uśmiechniętych dziewcząt i kobiet, które zaginęły lub zostały zamordowane w Irlandii w ostatnich dziesięciu latach. Na największym zdjęciu Nora zobaczyła piękną, rozpromienioną dziewczynę o brązowych włosach. Poniżej widniał napis: „Katie Lawson (16), Mountcannon w hrabstwie Waterford, zamordowana”. Frank wstał zza biurka i podszedł do kontuaru.

- Mój Boże, jeszcze jedna świeża sprawa - powiedziała Nora, wskazując na portret urodziwej blondynki. Frank pochylił się, słuchając. - Mary Casey, lat 19, z Doon w Li-merick, brutalnie zgwałcona i zamordowana w pobliżu własnego domu... Piszą, że zostawiła otwartą jedną z bram na pole, ojciec kazał jej iść i zamknąć. Rodzice są w rozpacz. Poszli spać, a córkę znaleźli dopiero rano.

- Niech im Bóg pomoże - szepnął Frank.

- To maleńkie miasto. Nie mają żadnego podejrzanego. Straszna sprawa... A tu masz dziewczynę z Tipperary, tę z twojego plakatu - powiedziała Nora, wskazując na arkusz wiszący na tablicy ogłoszeń.

Frank pokręcił głową.

- Nie umiem czytać do góry nogami. Co piszą o śledztwie w sprawie Katie?

- Praktycznie żadnych śladów. I że „po raz drugi przesłuchiowano pewnego młodego człowieka”; jakby nikt nie wiedział, o kogo chodzi. Sugerują też, że moglibyście bardziej się postarać.

- Sugerują czy mówią wprost?

- No... mówią wprost.

- Jak zawsze - mruknął Frank.

- Zabiorę to do domu - powiedziała Nora, składając gazetę.
- Nie chcę, żebyś mi dostał zawału.

Frank uśmiechnął się krzywo i wrócił do pokoju, a Nora omal nie zderzyła się w korytarzu z Mylesem O'Connorem. Detektyw wparował do biura Franka, zamknął za sobą drzwi i cisnął na biurko gazetę.

- Co to ma być?

Frank spojrzał na gazetę.

- Co? - spytał, zakładając okulary.

- Ten wywiad. - O'Connor wskazał palcem ten sam fragment tekstu, który zaczęła czytać Nora. - Nie powinieneś być gadać z tym facetem. Trzeba było skierować go do Waterford, zwłaszcza że nie masz wprawy w kontaktach z dziennikarzami. Jezu Chryste...

Frank wpatrywał się w płachtę gazety.

- No tak... Węszyli po okolicy. Musieli obserwować posterunek, kiedy przyszli tu Lucchesi. Nie mogłem ryzykować. Sam nie wiem... Ja...

- O, właśnie; znowu „nie wiem” - podchwycił O'Connor. Wziął do ręki marker i ponownie przejrzał artykuł, tym razem lekkimi pociągnięciami zakreślając fragmenty tekstu. Skończył na ośmiu; we wszystkich znajdowała się fraza „nie wiem”.

- To tylko taki zwrot - bronił się Frank, zdejmując okulary.

- Wyjątkowo głupi zwrot w chwili, gdy udziela się wywiadu w sprawie morderstwa - stwierdził detektyw. - Wyszliśmy na durniów. „Nie wiem”. Coś ty sobie wyobrażał?

-Nie wiem. Facet wyglądał na sympatycznego, wyda-

wało mi się, że nic złego się nie stanie. Obiecał, że „uporządkuje moją wypowiedź”.

- Dobrze wykonujemy swoją robotę, Frank, niepotrzebne nam takie gówno - powiedział z naciskiem O'Connor. -Przyładowali nam za rzekomy brak postępów w śledztwie...

- A co, widzisz jakies postępy? Nadal nic nie wiemy -odparował Deegan. - Mamy paru podejrzanych i ani śladu dowodów, które można by z czymkolwiek połączyć. Kilka osób pomaga nam w przesłuchaniach. Albo i nie...

-Posłuchaj. Dziennikarze wydzwaniają tu i albo nikt nie odbiera, albo zostają skierowani do Waterford. A potem mówią: nic dziwnego, że w Mountcannon morduje się ludzi, skoro nie ma tam policji!

- Przecież to samo...

- Na miłość boską, wiem! Wiem, że to wiecznie te same bzdury, które wypisują, żeby sprzedać więcej gazet. -O'Connor dyszał ze złości. W końcu warknął: - Ktoś to zrobił. - Zastukał palcem w podobiznę Katie. - I niech mnie szlag, jeśli pozwolę, żeby mu to uszło na sucho.

Anna parkowała jeepa przed supermarketem, gdy Shaun trącił ją lekko w ramię.

- Mamo, to pani Shanley. Zapytam ją o pracę.

- Spotkamy się w Tynan's - odpowiedziała.

Betty Shanley stała przy swoim samochodzie, przed piekarnią, z trudem utrzymując równowagę z pudełkami ciastek w jednej ręce i torbami z zakupami w drugiej. Shaun szybko przebiegł przez ulicę.

- Dzień dobry, pani Shanley - powiedział. - Ja pomogę.

Wyciągnął ręce po pudełka, ale nie oddała ich.

- Nie trzeba. Poradzę sobie - odparła.

Spojrzał na nią i zarumienił się, widząc w jej oczach coś dziwnego.

- Zastanawiałem się właśnie, czy nie jestem potrzebny. A może pustki w ośrodku?

- Jest ruch - odpowiedziała, nie patrząc na niego. - Ale niestety nie będziesz mi już potrzebny. Syn mojej siostry zbiera na samochód, chce kupić małą renault. Powiedziałam mu, że może u mnie pracować. Barry.

Barry „Helikopter w ogniu” z ogolonym łbem, pomyślał Shaun.

-Ach tak. W porządku... Chodzimy razem do szkoły. Nic mądrzejszego nie przyszło mu do głowy.

Joe czekał w bolesnym milczeniu i ze ściśniętym żołądkiem, a zastępca szeryfa wertował dokumenty. Wreszcie funkcjonariusz przełknął coś, co żuł od dłuższego czasu, i przemówił.

- Tak, mam go tu. Rawlins William. Umarł w więzieniu. Ale podał mi pan niewłaściwe daty: facet kopnął w kalendarz w dziewięćdziesiątym drugim, więc nie mógł znowu trafić do pudła w dziewięćdziesiątym siódmym. Dostał wyrok za zabójstwo Rachel Wade, w osiemdziesiątym ósmym. Mniej więcej wtedy mieliśmy tu sprawę Leśnego Człowieka, ale nie udało się połączyć pozostałych spraw z osobą Rawlinsa. Straszny los spotkał te wszystkie kobiety. W biały dzień...

- Ja pytałem o Duke'a. Duke'a Rawlinsa.

- Tak miał na drugie.

- Ile miał lat, kiedy zmarł?

-Miał... niech no sprawdzę... pięćdziesiąt cztery lata.

- To nie ten. Szukam młodszego. Nie ma pan teczki żadnego innego Rawlinsa?

- Raczej nie. Ale sprawdzę. Zaczeka pan chwilę?

Joe miał wrażenie, że serce mu eksploduje, zanim Hen-son połapie się w papierach.

- O, jest - ucieszył się zastępca szeryfa. - Rawlins, Duke, urodzony drugiego grudnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku. Pchnął nożem kierowcę ciężarówki na parking. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym osadzony w Ely w Nevadzie. Miał pan rację. Przepraszam. To przez ten system archiwizacji...

- To wszystko? - przerwał mu Joe. - Nic więcej? Żadnych porwań, innych aktów przemocy?

- Nic - potwierdził Henson. - A o co jest podejrzany?

- Pojęcia nie mam - odparł Joe. - Ale dziękuję za pomoc. Może mógłby pan przesłać mi faksem jego zdjęcie?

- Jasne.

John Miller stał zgarbiony w kącie Tynan's, przeglądając czasopismo motoryzacyjne.

- Nie, żebym miał prawko czy coś w tym guście - odezwał się do Anny, gdy próbowała prześliznąć się obok niego. Patrzył na nią pożądliwie spod uniesionych brwi.

- Zdecyduj się, John. W jednej chwili przepraszasz, a w następnej zachowujesz się tak jak teraz.... I co właściwie nagadałeś Joemu?

Wyglądał tak, jakby próbował sobie przypomnieć. Anna spojrzała na niego bez sympatii.

- Nie chce mi się z tobą gadać - powiedziała, wyciągając palec w jego stronę.

- Dajże spokój - odrzekł, sięgając ku niej obiema rękami. Jego oddech zalatywał etanolem.

Odrząciła jego dłonie.

- Nie dotykaj mnie! - syknęła.

- Kiedyś mówiłaś inaczej...

- Jezu, John, czy mógłbyś wreszcie przestać? - Była naprawdę wściekła. - Nie rozumiem, co się z tobą stało. Nie rozumiem, jak mogłeś się tak zmienić z miłego faceta w pijaka lejącego żonę! - Umilkła, porażona wagą słów, które sama wypowiedziała. Ich sens uderzył ich oboje, ale było już za późno. Zniżyła głos. - Twoja matka - wyjaśniła. - Opowiedziała komuś.

W oczach Millera pojawił się błysk zrozumienia. Zebrał siły, by nadać swemu spojrzeniu i głosowi choćby pozory trzeźwości.

- Nigdy nie uderzyłem żony - oznajmił ze smutkiem. - Moja matka mówiła o sobie... i o moim ojcu. Zdarza jej się mylić przeszłość z teraźniejszością. Nie jest sobą... To Alz heimer. Mało kto o tym wie, ale... ojciec bił ją jak psa.

Shaun siedział w fotelu przed telewizorem, opierając nogi na stołku.

- Pewnie nie jesteś w najlepszym nastroju - powiedziała Anna - ale pomyślałam, że może trochę cię rozweselić.

- Czym? - spytał Shaun.

- Pamiętasz, że w piątek tata ma czterdzieste urodziny? Może urządzimy skromną uroczystość. Oczywiście nie

mówię o żadnym przyjęciu czy czymś takim. Tylko my, we troje.

Shaun wzruszył ramionami.

- Proszę cię, naprawdę uważam, że powinniśmy jakoś poprawić sobie humor. Będzie tort, świece, wiesz, o czym mówię...

- Masz rację, nie jestem w nastroju do świętowania.

- Nikt z nas nie jest - zgodziła się Anna. — Ale i tak uważam, że byłoby miło. Twój ojciec na pewno by się ucieszył.

- Chcesz, żebym ci jakoś pomógł? - spytał Shaun. Anna się roześmiała.

- Gdyby tylko w twoim tonie była chęć pomocy...

- Naprawdę chcę pomóc - zapewnił ją z uśmiechem.

- Zamówię w mieście ciasto i balony z dostawą do domu, kiedy taty nie będzie. Ale prawdziwą niespodziankę dosta nie dopiero wieczorem.

Shaun spojrział na matkę pytająco, ale Anna tylko przyłożyła palec do ust, bo Joe właśnie wszedł do pokoju.

- Czegoś mi w tym wszystkim brakuje - powiedział, gdy Shaun się oddalił. Spojrział na zegarek. - Wiesz, minął równo miesiąc od zniknięcia Katie. Pójdę jeszcze raz na drogę... może przyjdzie mi do głowy coś, o czym nie pomyślałem poprzednim razem...

- Zanim to zrobisz, oczywiście wbrew mojej woli - odezwała się Anna - chcę ci tylko o czymś powiedzieć. Ma to związek ze śledztwem. Rozmawiałam z Johnem Millerem...

Frank z pochyloną głową i rękami wciśniętymi w kieszenie szedł aleją wzdłuż przystani, obsesyjnie rozmyślając o niedawnej zawstydzającej rozmowie. Poczul nagłą niechęć do Lucchesich; mógł nakreślić w myślach wyraźną linię oddzielającą czasy sprzed ich przybycia do Mountcan-non od teraźniejszości. Nie mógł winić ich za śmierć Katie. Prawdą było jednak i to, że zanim się zjawili, wioska była stabilnym mikroświatem, a życie w niej toczyło się utartym, dobrym rytmem. Frank bardzo chciał wrócić do przeszłości. Tęsknił za dniami, w których tropił złodziei sa-

mochodów i nie miał do czynienia z poważniejszymi przestępstwami.

W ciągu ostatniego miesiąca w spójnej dotąd strukturze wioski pojawiło się więcej pęknięć niż w całej jej dotychczasowej historii. Ludzie kłócili się z sąsiadami o to, kto jest podejrzany, przeklinali policję albo bronili jej działań, a nade wszystko z rosnącą frustracją próbowali dopasować do faktów sensowne teorie. W rodzinach wybuchały konflikty choćby o to, kto nie zamknął na klucz tylnych drzwi - choć przecież nikt ich nie zamykał przez ostatnie sześćdziesiąt lat. Jedyną rzeczą, która jednoczyła mieszkańców Mount-cannon, było pragnienie ujęcia sprawcy zbrodni. Wola społeczności to poważna siła i Frank nie dziwił się, że O'Con-nor zaczyna tracić pewność siebie. Nic nie wiedział o jego sytuacji rodzinnej, ale w głębi duszy miał nadzieję, że detektyw też ma swoją Norę, która czeka na niego w domu, gotowa dzielić z nim brzemię zawodowej odpowiedzialności.

O własnym położeniu wolał nie myśleć. Serce mu pękało, ilekroć docierało do niego, że ostatni rok jego służby naznaczyla taka tragedia. Miał tylko nadzieję, że przynajmniej uda się doprowadzić sprawę do końca.

Usiadł na odrapanej ławce nad samą wodą, zamknął oczy i zaczął się modlić.

Joe podążył trasą, którą - o czym był przekonany - szła samotnie Katie. Zastanawiał się, czy idzie też po śladach zabójcy. Na drodze było pusto i cicho. Słyszał własny oddech, szelest nieprzemakalnej kurtki, łagodny szum morskich fal, a nawet skrzyp gumowych podeszew butów. Katie na pewno usłyszałaby kroki. Być może jednak wypadki potoczyły się szybko: otwierają się drzwi furgonetki, kierowca wpycha ją do środka, drzwi zasuwają się, dopada ją gromada napastników... A może sprawcą był ktoś, kogo znała, komu ufała, kto gotów był odprowadzić ją do domu albo zatrzymał wóz i zaproponował, że ją podwiezie. Żadna z tych hipotez nie przekonywała Joego.

Skręcił w lewo, na cmentarz, i zatrzymał się przed mogiłą Matta Lawsona. Po chwili wrócił niespiesznie i zatrzymał się na zakręcie, gdzie krzyżowały się Lower Road

i Manor Road. Gdyby skręcił na końcu w lewo, trafiłby do domu Katie. Rozejrzał się i zauważył samochód stojący na poboczu, po prawej stronie drogi. Podszedł bliżej i dostrzegł w środku Richiego Batesa. Głośniki radia samochodowego pracowały pełną parą. Richie podskoczył, gdy Joe zapukał w okno od strony pasażera.

- Czego chcesz? - warknął, opuszczając szybę.

- Niczego - odparł Joe. - Spaceruję sobie. A ty co? Sprzęt ci wysiadł w domu?

- Masz tupet, człowieku - odpowiedział policjant, przekrzykując ryk muzyki. - Ja tu prowadzę śledztwo!

Joe parsknął lekceważąco.

- A ja słyszałem, że prowadzi je detektyw inspektor z Waterford.

- Odpieprz się - rzucił Richie. Nie panował nad ruchami prawej nogi, która podskakiwała nerwowo w górę i w dół.

- Pracujesz po godzinach, tak? - spytał Joe, spoglądając na dzinsy i sweter Richiego.

- Czy mógłbyś się wreszcie odwalić ode mnie? - wykrzyczał Richie. - Męczysz mnie jak wrzód na dupie.

- Jezu, uspokój się, człowieku... - mruknął Joe.

Richie już nie słuchał: uruchomił silnik, wycofał wóz, mijając Lucchesiego o centymetry, i zawrócił w stronę wioski. Joe ruszył drogą ku domowi Katie.

Detektyw inspektor O'Connor wpatrywał się w kubek pełen gorącej herbaty i leżący obok kawałek ciasta. Po chwili odjechał z fotelem do tyłu, schylił się i otworzył dolną szufladę biurka. Leżała tam biała zapalniczka z ukośnie biegnącym, zielono-żółtym logo producenta zup; pamiętał, że znalazł ją w kieszeni któregoś ranka, po balu dobroczynnym. Właśnie miał po nią sięgnąć, gdy zadzwieczał telefon. O'Connor wcisnął klawisz głośnika.

- Rozmowa na linii pierwszej.

Zamknął szufladę i podniósł słuchawkę.

- Detektyw inspektor O'Connor? Witam, mówi Alan Brophy z Biura Technicznego. Dzwonię w sprawie tych okruczeń, które znalezione w czaszce Katie Lawson. Okazuje się, że pochodzą od ślimaka.

- Co takiego?

- Tak, wiem, że to dziwne. Są to odłamki grubej muszli, ciemnej, z żółto-białym, spiralnym wzorem. Wiemy, że to piaszkowa odmiana ślimaka ogrodowego; łacińska nazwa pewnie panu niepotrzebna, ale podam: *Theba pisana*. Brzmi raczej jak nazwisko hiszpańskiej malarki... Tak czy owak, akurat takie ślimaki można znaleźć na wydmach, klifowych urwiskach i tego typu miejscach. Przywierają do roślin. Prawdopodobny scenariusz: dziewczyna została uderzona kamieniem, do którego przyczepił się ślimak, a szczątki rozbitej muszli utkwily w czaszce. Potem sprawca porzucił ciało dziewczyny w lesie, robaki zeżarły ślimaka... *escargot*, smacznego, dziękuję... i zostały nam tylko te odłamki muszli.

- Na ciele nie było śladów piasku...

- Nie, ale te cuda spotkać można też na łąkach w pobliżu morza. Może żerował gdzieś na trawie u podnóża urwiska czy coś...

Przed oczami O'Connora stanął obraz okolic przesmyku. Mariner's Strand.

- W porządku, Alan. Dzięki.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Joe wrócił do wioski i zaszedł do Danaher's, żeby się napić. Ray i Hugh siedzieli przy barze.

- Witaj, łaskawco - powiedział Hugh, przyciągając dla niego stołek.

- Dzięki - odparł Joe. - Miałem przesrane dzień, a także wieczór, noc...

- Ja mam przesrane całe życie, jeśli to ci poprawi humor - wtrącił Hugh, wzruszając ramionami.

Joe podziwiał obu stałych bywalców tego lokalu. Pojawili się na pogrzebie Katie w czarnych garniturach, białych koszulach i czarnych krawatach, niczym bardzo szacowni obywatele. Nawet związane w koński ogon włosy Hugh wyglądały na wyszczotkowane. Obaj mieli owego dnia łzy w oczach, ale nie powracali do tematu, jeśli Joe sam nie wykazał inicjatywy. Znali swoje zadanie: trzymać się lekkiego tonu.

- Wpadłem dziś na Richiego Batesa - powiedział Joe, wiedząc, że ten temat wzbudzi zainteresowanie.

- Zwanego dawniej, w czasach szkolnych, Herbatniko-wym Richiem - wtrącił z udawaną sympatią Hugh. Tradycyjne irlandzkie herbatniki są płaskie i krągłe, łatwo rozpuszczają się w gorącej herbacie.

- Otóż siedział sobie w samochodzie w pobliżu przesmyku, dając czadu ze wszystkich głośników jak ostatni...

- Matoł? - wtrącił Ray. - Przygłup?

- Dupek? - zaproponował Hugh.

- Chciałem powiedzieć: frajer — uściślił Joe.

- Wszystkie cztery określenia pasują - stwierdził Hugh.

- ...I kiedy się zbliżyłem, przestraszył się jak jasna cholera - dokończył Joe. - Zupełnie stracił panowanie nad sobą, pyskował, jakby miał nierówno pod sufitem.

- Ja mam dla was jeszcze lepszą historię - oznajmił Ray. - Wczoraj dostał szału na ulicy przed naszym domem, a wiecie dlaczego? Bo pękł mi worek na śmieci. Mówię wam, kompletne koka-ryku. Totalny...

Joe słuchał Raya z uśmiechem na ustach, gdy nagle poczuł na ramieniu dotyk kościstej dłoni. Odwrócił się i zobaczył jednego z miejscowych pijaków, który pochylał ku niemu wychudłą twarz, kiwając palcem.

- No jasne, panie Lucchesi, walnij sobie pintę i baw się dobrze po tym, co się stało - wymamrotał i odszedł, dorzucając głośno: - Pieprzony przybłędo...

Joe dokończył piwo, zabrał kurtkę i wyszedł, zirytowany uwagą zgorzkniałego starca. Szokowało go to, jak ciepło przyjęto jego rodzinę w Mountcannon, jak wylewnie okazywano współczucie po śmierci Katie i jak teraz nagle wszyscy zdawali się ich odrzucać. Docierało do niego z wolna, że słowo frustracja nie opisuje dobrze tego, co czuje niewinny człowiek uznany za podejrzanego. Frustracja jest nieszkodliwa. To, co przeżywał, było przytłaczające, duszące, wyczerpujące. Nie chodziło tylko o Shauna. Ludzie czuli niechęć i do Joego, bo na co dzień obcował ze zbrodnią. Do Anny, bo być może próbowała osłaniać syna albo męża. Mieszkańcy spokojnej dotąd wioski znaleźli się w sytuacji,

której nie kontrolowali. Joe rozumiał teraz, że być może właśnie tego oczekiwał sprawca zbrodni.

Danny Markey wszedł do środka pod koniec gorączki wywołanej porą lunchu, gdy tłum we Wścibskim Burgerze nieco się przersedził. Na stolikach i na posadzce wały się papiery i pudełka. Danny odczekał, aż ostatni klient oddali się od lady.

- Cheeseburgera, zwykle frytki i zwykłą colę proszę - powiedział.

Masywny czarnoskóry mężczyzna stojący za kontuarem zdjął dwa nieszczególnie ciepłe pudełka z półki, którą miał za plecami, i ustawił je na tacy. - Oraz wszystko, co wiesz na temat Duke'a Rawlinsa.

Abelard Kane uniósł głowę i spojrzał wielkimi, brązowymi oczami na twarz przybysza.

Danny wrzucił ramionami.

- Obawiam się, że jestem wścibski.

- A nie mógłbyś wścibiać nosa w sprawy innych osób, gliko?

- Nie mógłbym - odparł Danny.

-Duke Rawlins... - Uśmiech rozjaśnił szeroką twarz Kane'a. - Co ty razem przeskrobał nasz ptaszek?

- Ptaszek?

Kane uniósł pudełko z cheeseburgerem i machnął nim w powietrzu.

- Facet miał obsesję.

- Na punkcie latania?

- Na punkcie ptaków.

- Jakich ptaków? - indagował Danny.

- Zaraz, zaraz - powstrzymał go Kane. - My się nie znamy.

Kim ty właściwie jesteś, gościu, i o co ci chodzi?

- Detektyw Danny Markey, policja Nowego Jorku.

- No, to już wiem, jak mnie znalazłeś. Ale dlaczego szukałeś?

- Nie mogę powiedzieć - odparł Danny. - Po prostu muszę się dowiedzieć jak najwięcej o Rawlinsie. Interesuje mnie wszystko, co pomoże mi lepiej go zrozumieć.

Kane gwizdnął przeciągle.

- Ooo, to powodzenia życzę, detektywie.
 - Po prostu powiedz mi, Kane, jaki on był. Siedziałeś z nim przez pięć lat.
 - Ś.W.I.R.
 - Może tak bardziej precyzyjnie?
 - Już powiedziałem. Wielkimi literami.
- Danny spojrział na niego groźnie.
- Bardziej precyzyjnie, to znaczy jak? - spytał Kane.
 - Jaki miał temperament, czym się interesował, co lubił, czego nie lubił... Interesuje mnie każdy szczegół, rozumiesz?
 - Randka w ciemno! - zawył Murzyn, po czym oparł rękę na biodrze i wyseplenił cienkim głosem: - Witaj, mam na imię Duke. Lubię strzelać do puszek i sypiać z kuzynkami. Moje hobby to...
 - Dobrze już, dobrze. Do rzeczy. Wysił się trochę, Kane. Pomóż mi.
 - Czy to jest ten moment, w którym ja mówię „nie”, a ty przesuwasz w moją stronę po kontuarze parę zielonych Franklinów?
 - Nie. Ja ci odpowiadam, że nie jestem miłym gliną, tylko bardzo, bardzo niemiłym gliną, który połamie ci wszystkie kości, jeśli nie powiesz mi tego, co chcę wiedzieć.
- Kane wyszczerzył zęby w uśmiechu.
- Opowiedz mi o tych jego ptakach - powiedział Danny.
 - Jastrzębie. Jastrzębie Harrisa. Zdjęcia na wszystkich ścianach celi, książki, gadzety i wszelkie badziewie na temat tych ptaków. Kiedy wychodziłem, mogłem bez trudu znaleźć robotę w jakiejś ptaszarni.
 - I to wszystko? A co wiesz o porwaniu, które zaplanował jego kumpel?
 - Frajer, dał się zabić. Nie wierzyłbym specjalnie, że to był jego plan. Na twoim miejscu szukałbym planów u kogoś innego. Człowieku, żałuj, że nie widziałeś Rzygusa tego dnia... Taką ma ksywkę: Dukey Rzygus. Dostał amoku. Najpierw był wkurzony, potem wściekły, a potem kurew-sko wściekły. Ciągłe powtarzał, że Donnie powinien był wiedzieć lepiej i nie dać się zapędzić w sytuację bez wyjścia. A potem rzucił pawia.

- Coś jeszcze?
- Mówił, że w jednym Donnie spisał się na medal: rozwalił oboje, gdy kobieta wezwała gliny. „Trzeba dotrzymać słowa”, powiedział.
- Jaki honorowy - mruknął Danny.
- No - przytaknął Kane.
- Nie chwalił się, co zamierza robić po wyjściu na wolność?
- Jasne. Pokazał mi plany skarbców bankowych, podał daty, godziny i adresy. Aha, i jeszcze powiedział, że Oswald był tylko kozłem ofiarnym.
- Dobra, dobra. Ale naprawdę nic już sobie nie przypominasz?
- Kane pokręcił głową.
- Nie rozgryzłem faceta - powiedział. - Człowiek po święta takim najlepsze lata życia... - Rosły Murzyn za chichotał, odwrócił się w stronę kasy i wyciągnął rękę. - Burger, frytki, cola, razem sześć dziewięćdziesiąt dziewięć.
- Danny rzucił na ladę kilka jednodolarówek.
- Stać mnie tylko na Waszyngtony - rzucił na odchodnym.
- Hej, detektywie! Jeszcze jedno - zawołał Kane. Danny obrócił się na pięcie.
- Co takiego?
- Twoja cola - odparł Kane, potrząsając puszką. - A co, myślałeś, że rozwiążę za ciebie tę sprawę? - Głośny śmiech odbił się echem od nierdzewnej stali kuchennego zaplecza.
- Danny uśmiechnął się mimo woli.
- Ale wiesz co? Było coś jeszcze - rzekł po chwili Kane. - Coś naprawdę śmiesznego.
- Co?
- Duke robił sobie wyrzuty z powodu tego porwania i strzelaniny, bo Donnie miał w ten sposób zdobyć pieniądze dla niego. Plotka jednak mówi, że kasa miała powędrować do zupełnie innej osoby. Do kogoś, kto potrzebował jej, żeby się nie znaleźć się w pobliżu Duke'a Rawlinsa, gdy wyjdzie z pudła. - Kane znowu się zaśmiał. - I nie wątpię, że Dukey znowu by rzygnął, gdyby wiedział, kto to taki. Rzygnąłby w technikolorze.

W drodze na posterunek Joe zatrzymał jeepa, by przepuścić grupę dzieci przechodzących przez ulicę w stronę przystani. Zerknął w bok, na leżącą na fotelu pasażera kopię policyjnej fotografii. Twarz Duke'a Rawlinsa odwzajemniła jego spojrzenie z marnego faksu. Pomyślał o dziewiętnastowiecznym włoskim lekarzu, który długo badał fizjonomie przestępców i ostatecznie ustalił, że większość z nich ma pociągłe twarze, wyraźnie zaznaczone szczęki oraz gęste, ciemne włosy. Może większość, ale nie Duke Rawlins, pomyślał Joe.

- Magnum wrócił - mruknął Richie do Franka, gdy Luc-chesi wszedł do środka.

- Posłuchajcie, powinniście się czegoś dowiedzieć o Mae Miller - zaczął Joe.

Funkcjonariusze spojrzeli na niego bez słowa.

- Ma Alzheimera - wyjaśnił Joe.

- Umysł Mae Miller jest w najlepszym porządku - odparł Frank, wstając bez pośpiechu. - Działa jak szwajcarski zegarek - dodał, stukając palcami w skronie. - Dlaczego rozpowiadasz takie bzdury?

- Nie rozpowiadam bzdur - warknął Joe. - Joe Miller powiedział o tym Annie. W zaufaniu.

- Absolutny nonsens - oświadczył Frank. - Moim zdaniem Mae jest w doskonałej formie. Prędzej niepokoiłbym się o zdrowie Johna Millera.

- Naprawdę nie zauważyłeś niczego szczególnego podczas ostatniej rozmowy z Mae? - upewnił się Joe.

- Nie - odparł Frank. Zaraz jednak powrócił myślą do dziwnego, erotycznego uścisku, w którym przywarła do niego szacowna nauczycielka.

Zadzwoił telefon. Richie podniósł słuchawkę.

- Dobra - rzekł po chwili i spojrzał na Franka. - Patrol Wodny już jest.

- Patrol Wodny? - zdziwił się Lucchesi. - Po co?

Frank pokręcił głową.

- Joe, muszę już iść - powiedział. Zabrał kluczyki i ruszył w stronę drzwi.

Joe poszedł za nim.

- Frank, zanim pojedziesz...

- Jadę do portu. Nie możesz z tym poczekać?

- Nie - odparł Joe. - Mam zdjęcie, na które powinienś rzucić okiem. Pamiętasz tego faceta, o którym ci mówiłem? Duke'a Rawlinsa. Tak na wszelki wypadek. Moi przyjaciele w Stanach próbują dowiedzieć się o nim czegoś więcej... I jeszcze to - dodał, wręczając Deeganowi wydruk z poczty elektronicznej. - Ktoś przysłał to wczoraj Shaunowi, bez adresu. To nie może być przypadek. Przemyślałem to dobrze, Frank. Wiem, o czym mówię.

- W porządku, Joe. Rano zamelduję o tym wszystkim w Waterford. Sprawdzą tego Rawlinsa przez Interpol, ale biorąc pod uwagę biurokratyczną drabinę, podejrzewam, że twoi przyjaciele w Stanach będą szybsi.

- Dziękuję ci, Frank. Doceniam to - powiedział Joe i chwycił Deegana za ramię, nim wsiadł do samochodu. - Macie nowy trop, prawda? To dlatego Patrol Wodny czeka na ciebie na przystani. Co się dzieje?

- Wiesz, że nie mogę ci powiedzieć.

- Ale co to oznacza dla Shauna?

- Myślę, że najważniejsze jest to, co to oznacza dla Katie.

Frank usiadł za kierownicą i spojrział na wydruk z e-maila. Postanowił, że wieczorem pojedzie do domu nieco okrężną drogą.

Anna napełniła dwa wiadra gorącą wodą i do jednego z nich wlała porcję mydła w płynie. Nasunęła głęboko na oczy filcowy kapelusz i włożyła długie rękawice ogrodowe.

Shaun pólleżał na fotelu pod oknem.

- Chciałbyś mi pomóc? - zapytała pogodnie.

- O, na pewno. Chyba tylko mamom się wydaje, że prace domowe mogą poprawić człowiekowi humor.

Westchnęła ciężko.

- Dobrze już, dobrze. Tylko pytałam.

Wzięła pod pachę pęk szmat i wyszła z domu tylnymi drzwiami. Była jedenasta trzydzieści, ale pod warstwą ołowianych chmur panował półmrok. Idąc po trawie, Anna nie podnosiła głowy; starała się nie uronić ani kropli z prawie pełnych wiader. Wreszcie poczuła się lepiej, gdy dotarła do odnowionej latarni. Otworzyła drzwi i wspięła się z wiadra-

mi na górę, by umyć zwierciadło. Po dwudziestu minutach zeszła do warsztatu i wyciągnęła z zakamarków wszystkie wiadra i szmaty, jakie tylko zdołała znaleźć. Wróciła do domu i zajrzała do Shauna.

- Przykro mi, ale nie masz wyboru. Nie mogę przez cały dzień latać po schodach z góry na dół. Będziesz musiał po móc mi w noszeniu wody.

Shaun spojrział na nią spode łba.

- W głowie się nie mieści, że każesz mi robić coś takiego w takiej chwili. Właśnie straciłem wszystko, co ważne w moim życiu, nie wyłączając tej zasmarkanej pracy, a ty chcesz, żebym...

- ...Ponosił wiadra z wodą, Shaun. Nic dramatycznego. Zajmie ci to może pół godziny. I wynagrodzę ci to. Uwierz mi, sama wolałabym tego nie robić, ale niestety życie musi biec swoim torem.

- Jesteś taka zimna - odpowiedział i natychmiast dostrzegł w jej twarzy reakcję, na którą liczył.

Kiedy skończył z noszeniem wiader, wrócił do swojego pokoju i kładąc się na łóżku, sięgnął po pilota. Włączył program informacyjny.

- Zespół policyjnych nurków przybył właśnie do Mount-cannon w hrabstwie Waterford. Ich obecność ma związek z nowymi dowodami w sprawie zamordowanej Katie Lawson...

Kamera pokazała panoramę zatoki, a potem reporterkę w beżowym płaszczu i czerwonym, kraciatym szaliku, unoszącą do ust mikrofon. Shaun zeskoczył z posłania i w biegu złapał kurtkę.

Anna myła zwierciadło przez cztery godziny, ze wszystkich stron, a następnie zabrała się do szorowania podłóg. Z każdą chwilą czuła coraz bardziej przenikliwy ból w krzyżu. Bolały ją też ramiona, a do tego odezwał się głód. Zeszła do kuchni. Znalazła na blacie kanapkę, butelkę coli i wiadomość od Shauna, że wyszedł. Zjadła szybko i ruszyła w stronę drzwi, ściągając górę kombinezonu i związując rękawy na wysokości pasa. Włożyła na T-shirt niebieską bluzę i skierowała kroki w stronę latarni.

- Przepraszam... Pani Lucchesi?

Odwróciła się i zobaczyła uśmiechniętego mężczyznę.

- Dzień dobry. Jestem Gary. Mark z Lawn Order nie może przyjechać ani dziś, ani jutro. Sprawy osobiste. A ja czasem go zastępuję.

- Aha - odpowiedziała zaskoczona. - Nie wspominał o tym. Zresztą nic by się nie stało, gdyby nie przychodził przez parę dni. Naprawdę nie musi pan go zastępować.

Mężczyzna spojrział na donicę, którą przyniósł ze sobą.

- Przyniosłem trochę rzeczy, więc może, skoro już tu jestem, wyląduję je?

- Jaka ładna - powiedział Anna, dotykając jednego z liści. - Co to za roślina?

- To... eee... — Gary rzucił okiem na metkę - hosta.

Anna spojrzała na niego z uwagą.

- Cóż, proszę postawić tam. Przy schodach. Jest pan pewien, że tylko z osobistych powodów Mark nie pojawił się u nas?

Mężczyzna przystanął.

- Jasne - odparł. - Tylko i wyłącznie.

Anna popatrzyła za nim, gdy odchodził, a potem wróciła do domu i zatelefonowała do Marka. Automat uruchomił przekazywanie połączenia.

Gdy Shaun dotarł na przystań, na pierwszym planie zobaczył ekipę telewizyjną. Kamerzysta zdejmował z siebie ekwipunek i rzucał do środka przez otwarte drzwi furgonetki. Reporterka stała w pobliżu, odgarniając włosy, którymi wiatr smagał jej twarz. Po chwili wsiadła do kabiny od strony pasażera. Shaun patrzył, jak wóz odjeżdża stromą drogą. Kierowca kiwnął mu głową na pożegnanie. Na nabrzeżu portowego basenu zebrał się tłumek gapiów. Shaun zatrzymał się na tyle daleko, by nikt go nie rozpoznał.

Siedmiu ludzi w czarnych piankowych kombinezonach stało na kei, nad rzędem łodzi szorujących o betonową ścianę przy każdym ruchu niespokojnej wody. Jeden z nich skinął głową i pierwszy funkcjonariusz skoczył do wody, trzymając w ręku grubą linę. Nie zanurzył głowy. Zaraz potem kolejni trzech nurkowie nałożyli czarne maski i znaleźli się

w wodzie; każdy z nich dźwigał na plecach podwójną butlę z mieszkanką powietrzną. Trzymając się liny, zanurzyli się pod łodziami.

Martha Lawson przycisnęła chustkę do nosa i odwróciła głowę, jakby nurkowie mieli natychmiast znaleźć coś, co będzie dla niej kolejnym strasliwym ciosem. Ścisnęła mocniej ramię siostry. Funkcjonariusze pracowali przez długie godziny, przeczesując toń basenu przystani, a potem przesunęli się nieco dalej od brzegu, korzystając z pontonu.

Shaun został dłużej niż większość gapiów. Wszystko, co widział, pogłębiało jego przygnębienie. Widok łodzi, które być może od trzech tygodni wraz z sieciami wynosiły w głąb morza ewentualne dowody, coraz wyższe fale rozbijające się z hukiem o skały, a nawet głodne mewy szybujące w górze. Tego dnia sekrety przystani nie były tymi samymi sekretami, które woda pogrzebała trzy tygodnie wcześniej... Nagle rozległ się krzyk jednego z nurków, siedzącego w łodzi. Jego trzech towarzysze wynurzyli się właśnie, a jeden z nich trzymał w dłoni różowy but. Shaun patrzył, jak adidas znika w torebce na dowody rzeczowe. Zaczął płakać. Uwielbiał te buty. To była cała Katie...

Victor Nicotero siedział na tarasie, w swetrze zapiętym po samą szyję i z puszką piwa, która mroziła jego dłoń. Patti podała mu telefon.

- Nic, kiedy ja do ciebie dzwonię?

- Kiedy czegoś szukasz, Joe.

-Wiem, wiem... Tym razem dzwonek alarmowy odezwał się tutaj, i to bardzo głośno. Szczerze mówiąc, nie wiem nawet, czy chcę, żeby moje przypuszczenia okazały się prawdziwe czy nie...

- Wykrztuś wreszcie, o co ci chodzi.

- Powiedz, co byś pomyślał, gdybyś usłyszał to co ja... Dwaj faceci z małego miasteczka, jeden jest porywaczem--mordercą, a drugi siedział za atak nożem. W okolicy, w której razem mieszkali, ktoś popełnia dziewięć poważnych przestępstw: gwałtów, po których następuje polowanie zakończone śmiercią ofiar. Sprawa pozostaje nierozwiązana. Po latach pierwszy facet ginie od kuli. Drugi wycho-

dzi z pudła i po dwóch miesiącach w lesie, w którym być może się pojawił, umiera dziewczyna. Tymczasem szeryf z małego miasteczka, były dowódca oddziału szukającego sprawcy dziewięciu morderstw, popełnia samobójstwo.

- Powiem ci, Joe, że ja też usłyszałbym sygnał alarmowy. Zwłaszcza gdyby chodziło o dziewczynę mojego syna.

- Nie zasypiasz gruszek w popiele - mruknął Joe. Milczeli przez chwilę. - To jak, Nic? Co powiesz na wycieczkę do Teksasu?

- Stary jestem. Potrzebuję słońca. Powiem: tak.

- Jeśli tylko podciągniesz portki aż do samych pach jak należy...

- Nie czepiaj się wieku, kolego, sam depczesz mi po piętach. Kiedy wielka pięćdziesiątka?

- Za cztery dni. I dziesięć lat.

- Dobra, Lucchesi. To jaki mamy plan?

- Chcę, żebyś pogadał z wdową po jakimś Ogdenie Parnumie. Dowiedz się, dlaczego jej ukochany szeryf postanowił przewietrzyć sobie mózg ołowianą kulką. I spróbuj poznać szczegóły sprawy, nad którą kiedyś pracował: sprawy Leśnego Człowieka.

- Leśnego Człowieka? Dobra. Zrobi się.

Nora Deegan stała przed swoim ulubionym obrazem, była to prosta akwarela harmonizująca z purpurą i zieleniami salonu. Trzymała w wyciągniętej ręce plik próbek farby i przebiegała wzrokiem po niewielkich kwadratach barw, z których każdy był innym odcieniem bieli.

- Nie mogę się zdecydować - powiedziała. - To dla galerii.

- Za dużo odcieni bieli - stwierdził Frank. Po chwili wskazał na jedną z próbek. - Ten mi się podoba.

Nora skinęła głową.

- Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła - dodał niespodziewanie. - Podczas jednego z tych waszych małych poranków przy kawie.

- Jak to małych? To są poważne sprawy i proszę je traktować poważnie.

- Jasne, że poważne - zgodził się z uśmiechem Frank. -

Chciałbym... No, nie wiem, jak ci to wyjaśnić. Chciałbym, żebyś trochę uspokoiła sytuację.

- W jakim sensie?

- Mówię o Lucchesich. Cała wioska huczy od plotek o Shaunie - wyjaśnił. - A chłopak nie ma nic wspólnego ze sprawą. Gdyby miał, już by siedział. Jest zupełnie rozbity. Widziałem, jak ludzie na niego reagują. A Anna i Joe... Joe stał się nieznośny od czasu tej tragedii, ale nie winię go za to. Biedaczysko, pewnie odchodzi od zmysłów; mam wrażenie, że cierpi na paranoję. Dostał jakiś e-mail, kompletną bzdurę, i jak zwykle spodziewa się najgorszego. Tak czy owak, można powiedzieć, że cała rodzina znalazła się w ciężkiej sytuacji. Czy jest szansa na to, że mogłabyś... no, nie wiem... przekazać właściwe słowa właściwym ludziom? Wiem, że opowiadasz o mojej pracy paniom od golfa.

Nora niewinnie uniosła brwi.

- Jesteś żoną sierżanta, skarbie. Zaufaję ci.

Cytrynowa para wypełniała łazienkę. Joe wszedł do środka i przestąpił nad kupką zmiętych ubrań Anny.

- Nie zbliżaj się do nich! - krzyknęła z kabiny pryszniowej. - Skażone.

Spróbował się uśmiechnąć.

- Mówię poważnie. Robiłam dziś dosłownie wszystko. Niektórzy robotnicy nie przyszli, podobnie jak Mark. Za czynam się niepokoić.

Joe skrzywił się. Otworzył lustrzane drzwiczki szafki i zajrzał do wnętrza.

- Sam powiedz: czy pojawiłbyś się w pracy u kogoś, kogo przesłuchiowano w sprawie morderstwa? - spytała Anna.

Nie przerywając poszukiwań w szafce, Joe uniosł palec, by dać żonie sygnał, że nie może mówić. Spojrzała na niego ze złością.

- Shaun poszedł dobrowolnie - wycedził z wysiłkiem Joe. - Nic wielkiego.

- Ludzie uważają inaczej. Moim zdaniem dzieje się coś dziwnego. Ty próbujesz wtykać nos w nie swoje sprawy, Shaun jest przesłuchiwany, a tymczasem ludzie zwyczajnie nas unikają.

- Nie gadaj głupstw, kochanie.

- Mark przynajmniej miał dość przyzwoitości, żeby przysłać zastępcę, nawet jeśli gość wcale nie znał się na rzeczy... Wiesz, jak Mark zwiedzał naszą posiadłość - zna jej każdy zakątek. Aten nowy jakby z innej bajki. Tak czy inaczej, odesłałam go. Wolę zaczekać.

- Mark wróci, podobnie jak inni.

- Powinam odpocząć - powiedziała Anna. - Jestem wykończona.

Wyłączyła prysznic. Joe podał jej płaszcz kąpielowy. Zauważyła, że krzywił się, obracając głowę.

- Mam dla ciebie ciepłe kompresy na szczękę. To te maśki, moczą się w gorącej wodzie - dodała, wskazując na umywalkę.

Joe zobaczył dwie wypełnione żelam, gumowe twarze: Homera i Barta Simpsonów. Spojrzał pytająco na Annę. Uśmiechnęła się.

Wyjął okłady z wody, osuszył ręcznikiem i przyłożył do policzków.

- Mmm... gorące.

Nagle usłyszeli gwałtowne łomotanie do drzwi. Wymienili spojrzenia. Joe zerknął na zegarek: dochodziła północ. Odłożył kompresy do umywalki i razem zeszli niespiesznie do salonu. Joe próbował zatrzymać Annę, ale odepchnęła jego rękę.

- Ooo - mruknął Joe, zerknąwszy przez wizjer. Otworzył drzwi.

- Jaką wy rodziną jesteście?! - zawołała histerycznie Martha. - Co się z wami dzieje?

Miała głębokie cienie pod oczami; włosy związała w cienki koński ogon. W ciągu miesiąca straciła piętnaście kilogramów i tak szczupłego ciała.

Powiodła wzrokiem po twarzach Joe i Anny.

- Wasz syn zabiera mi córkę i uprawia z nią seks... Nie wychowywałam jej po to, żeby robiła to przed ślubem! Po tem okłamuje policję. Co on jej zrobił?!

Słuchając tych wyrzutów, Anna omal się nie popłakała. Bardziej poruszał ją widok załamanej kobiety niż to, co mówiła o jej synu.

- Martho... - Joe miał wrażenie, że jakaś siła za chwilę rozerwie mu szczękę.

- Jesteś mordercą! - wykrzyknęła Martha. - Kto ci dał prawo komentowania czegokolwiek? O ile mi wiadomo, zastrześliłeś kogoś. A ja przyszedłam do ciebie, szukając pomocy. Do ciebie, spośród wszystkich ludzi... Czyżbym oszalała? A ty... Niosłeś jej trumnę! - Martha uniosła rękę i opuściła wolno, zaciskając drżącą pięść. - Jeżeli dowiem się, że... że on... przysięgam na Boga... - Urwała.

Joe patrzył na nią bez słowa.

- Nie masz nic na swoją obronę? - krzyknęła.

Anna wreszcie się odezwała.

- Shaun naprawdę kochał Katie. W głębi serca wiesz, Martho, że nigdy nie wyrządziłby jej krzywdy.

- Nic już nie wiem. - Zapłakała. - Nic i o niczym! Nie wiem, co mam myśleć! Dlaczego pozwolił jej wracać samotnie do domu? - spytała zduszonym głosem.

Shaun podszedł cicho do drzwi. Po policzkach spływały mu łzy.

- Nie wiem dlaczego - powiedział, tłumiąc szloch. - Ja też nie wiem dlaczego. To był błąd.

- Ktoś musi wiedzieć! - wykrzyknęła Martha. - Ktoś. Musi. Wiedzieć! A co ty wiesz? - zawołała, spoglądając błagalnie na Shauna. - O czym jeszcze nie powiedziałeś policji? Shaun płakał, ukrywając twarz w dłoniach. - O niczym... O niczym! Powiedziałem wszystko, co wiem. A jej już nie ma... I nie mogę w to uwierzyć.

- Kłamstwa, kłamstwa i jeszcze raz kłamstwa - odparła Martha. - Jesteś zakałą rodziny.

Odwróciła się i oddaliła chwiejnym krokiem. Shaun pobiegł do swojego pokoju.

Joe pokręcił głową i spojrzał na Annę.

- Jezu Chryste - wycedził przez zaciśnięte zęby. - To jakiś pieprzony koszmar.

Rozdział dwudziesty drugi

Denison, północne rejony środkowego Teksasu, rok 1988

Silnik pikapa stojącego w ciemnym zaułku pomrukiwał cicho na jałowym biegu. Donnie i Duke siedzieli na przedniej kanapie.

- Witaj, Barbaro - powiedział Donnie, wyciągając rękę.

- Dlaczego podajesz jej rękę? - spytał Duke. - Robisz to za każdym razem, kiedy się spotykacie?

- Nie - przyznał Donnie.

- No to po co, do cholery, miałbyś robić to dzisiaj? Nie wyglądałoby to naturalnie - stwierdził Duke i ruchem głowy pokazał Donniemu, że ma spróbować jeszcze raz.

- Cześć, Barbaro - powiedział Donnie. - Urządzamy przyjęcie dla Ricka. Zastanawiałem się właśnie, czy pomogłabyś mi przygotować listę gości.

- Tak lepiej - pochwalił go Duke.

Z samochodu, który stanął na podjeździe przed jednym z domów, wysiadł mężczyzna w szarym garniturze i ruszył w stronę ganku.

- Co to, kurwa, ma znaczyć? - syknął Duke. - Kim jest ten pajac?

Donnie przymknął oczy.

- To mąż - powiedział.

- Która jest godzina, Donnie? - spytał Duke.

Donnie wiedział, ale i tak spojrzął na zegarek.

- Pięć po jedenastej.

- A jaki mamy dzisiaj dzień? - indagował Duke, waląc dłonią w deskę rozdzielczą.

- Wtorek.

- Ty durny sukinsynu - warknął Rawlins. - Tępy kutasie. Przecież ci o tym mówiłem. Powtarzałem: wyobraź sobie. Wyobraź sobie wszystko po kolei. Na przykład wielki pieprzony zegar z pieprzonym wielkim napisem „wtorek” i wielkim pieprzonym napisem Jedenasta pięć” pośrodku.

Donnie wtulił się w oparcie fotela i wolno wypuścił powietrze.

- Przepraszam - powiedział, spoglądając na Duke'a.

- Ja też cię kocham, skarbie - zaszczebiotał Duke. -I nie cierpię, kiedy się kłócimy.

Cisza zawisła w powietrzu.

- Ty zaszary frajerze! - wybuchnął po chwili Duke. -Mam tego dość. Pora coś z tym zrobić. Nie będę dłużej...

- Nie! - krzyknął Donnie. - Posłuchaj... Wiem, że spaprałem sprawę, ale to się więcej nie powtórzy. Przysięgam na Boga.

- Spaprałeś?! - ryknął Duke. - Spapranie jest wtedy, kiedy pomylisz godziny seansu w kinie albo posolisz sobie chrupki. A przez twoje spapranie mogliśmy wylądować twarzą na ziemi, z łapami skutymi na plecach, a potem brać w dupę gdzieś pod więziennym prysznicem! To - krzyknął, dźgając powietrze wyprostowanym palcem - to była największa pomyłka twojego życia. I w dodatku ostatnia, jaką kiedykolwiek popełniłeś.

Donny z przerażeniem poczuł, że pierś rozrywa mu ostry ból. Duke sięgnął przed nim i otworzył drzwi.

- Wsiadaj - powiedział. - Wypierdalaj z mojego wozu!

Donnie wyskoczył z pikapa i cichym stuknięciem zamknął za sobą drzwi. Przez pisk opon usłyszał jeszcze huk, gdy Duke ponownie otworzył i zatrasnął drzwi.

Rachel Wadę wycierała bufet w lokalu Beeler's brudnym ręcznikiem zalatującym stęchłym piwem i popiołem. Po chwili odwróciła się, by wypucować butelki umocowane za barem, a jej cienkie jasne włosy zakołysały się od energicznego ruchu. Gdy skończyła, wróciła na salę, by pomyć pozostałe stoliki, i rozcapierzając smukłe palce, zebrać

ostatnie szklanki. Wreszcie, zmierzając z powrotem w kierunku baru, trąciła łokciem wyłącznik światła. W ciemnym holu pojawił się nagle mężczyzna.

- Przepraszam... - odezwał się.

Rachel podskoczyła.

- Jasny gwint! - zawołała, obracając się z ręką przyciśniętą do piersi. - Wystraszył mnie pan jak cholera. Myślałam, że zamknęłam już drzwi. - Wpatrywała się w mrok, próbując wyłowić szczegóły jego twarzy, ale widziała jedynie magnetycznie błękitne oczy.

- Przepraszam panią - odparł z uśmiechem. - Ciekawe, czy jest już za późno na piwo.

- Zamykamy o czwartej - odrzekła. - Ale od północy jest pan pierwszym klientem.

- W takim razie poproszę o butelkę buscha - powiedział przybysz.

Postawiła przed nim piwo, a potem znowu wyszła zza baru. Zbierała szklanki, wycierała blaty i wbijała w tarczę porzucone strzałki. Duke obserwował jej wąskie biodra, gdy tak przemykała między stolikami, a także jej różowy, koronkowy stanik wypychający białą koszulę.

- Może napijemy się razem? - spytał.

- Pewnie.

Wyjęła butelkę jacka danielsa i usiadła na stołku obok Duke'a. Po godzinie zamknęła drzwi lokalu, a po dwóch kończyli już butelkę. Rachel wstała, żeby pójść do toalety, i nagle zakołysała się na piętach.

- Oho... Człowiek nic nie czuje, póki nie wstanie - po wiedziała ze śmiechem.

Duke zawtórował jej i bez słowa popatrzył na rozkołysane w marszu, dżinsowe biodra.

Rachel cofnęła ręce spod suszarki do rąk i spojrzała w lustro. Miała zaczerwienione oczy i poważne kłopoty z ostrością widzenia. Wyjęła z kieszeni błyszczki i posmarowała usta. Drzwi omal jej nie uderzyły, gdy wyciągnęła rękę, by je otworzyć. Duke wparował do damskiej toalety, otoczył Rachel prawym ramieniem i mocno przycisnął do zimnej, wykafelkowanej ściany. Pocałował ją brutalnie,

szorując językiem po jej ustach i uderzając zębami o jej zęby. Odepchnęła go i odetchnęła głęboko.

- Ejże - powiedziała. - Uspokój się, kolego. Wracajmy do baru.

- Albo i nie - odparł Duke. Jego ręka wystrzeliła w dół i bez ceregieli ścisnęła jej krocze. Ruchliwy język znowu spróbował wedrzeć się do jej ust.

- Hej - sapnęła. - Spokojnie.

Odchyliła głowę i ze zdziwieniem spojrzała mu w oczy. Były czarne; źrenice poszerzyły się do granic możliwości. Machnęła mu ręką przed nosem.

- Halo? - powiedziała. - Nie tak traktuje się damę.

Uśmiechnęła się, ale w sercu czuła narastającą panikę. Zaczęła myśleć gorączkowo o barze, o zamkniętych drzwiach, o telefonie, o sąsiadach, o krzyku. A potem powiedziała sobie, że jest głupia, lecz kiedy znowu spojrzała mu w oczy, wiedziała, że to jest to. W tym momencie jej ciało zwiotczało i poczuła, że ramiona i pięści na nic się jej nie przydadzą. Jej nogi drżały, lecz mimo to spróbowała użyć kolana. Nie trafiła; uderzyła niegroźnie w jego twarde udo. Złapał ją teraz za gardło, przycisnął głowę do ściany i znowu próbował całować, obmacując drugą ręką całe ciało. Zebrawszy wszystkie siły, odepchnęła go i uwolniła się. Otworzyła drzwi i na miękkich nogach wybiegła w ciemność holu. Lokal, który знаła tak dobrze, nagle wydał jej się obcy; potykała się co chwilę, biegnąc między stolikami w kierunku zaryglowanych drzwi. Duke dopadł ją w ciągu paru sekund i bez wysiłku rzucił na podłogę. Mocno uderzyła szczęką o lepka, niebieską wykładzinę i woń dymu i piwa znowu wypełniła jej nozdrza. Próbowwała odpełznąć, czując na sobie jego ciężar, ale wewnętrzny głos kazał jej zaraz znieruchomieć. Pomyślała, że zlituje się nad nią -była taka drobna, przecież nie mógł zrobić jej krzywdy. Płakała z bólu, ale alkohol i strach odebrały jej siły; nie mogła zrzucić z siebie przytłaczającej masy.

Poczuła, że jakaś siła rozrywa koszulę na jej plecach, a podmuch przeciągu owiewa strużki zimnego potu. I wtedy musnęło ją coś ostrego. Napastnik nie rozrywał jej koszuli, tylko rozcinał ją nożem.

- Proszę - jęknęła.
- Stul pysk - wycedził. Jego głos brzmiał lodowato, nie było w nim ani śladu dawnego ciepła.
- Proszę, nie rób tego - spróbowała ponownie. Wykładzina i złamanie szczęki sprawiły, że jej słowa brzmiały bełkotliwie.
- Powiedziałem. Stul. Pysk. Suko.

Teraz zobaczyła jego nóż. Był mały, zagięty i groźny w jego mocnej dłoni. Nóż do dywanów. O Boże, pomyślała. Pamiętała, z jaką łatwością takie ostrze przycinało wykładzinę, na której teraz leżała. Zaczęła zawodzić błagalnie, ale zakrył jej usta i drugą ręką sięgnął do jej dzinsów. Trzęsła się konwulsyjnie. Duke wstał i przestąpił nad nią. Strach przygwoździł ją do podłogi, lecz po chwili, w nowym przyływie energii spotęgowanej przez lęk przewróciła się na bok i zaczęła pełznąć w ostatniej, rozpaczliwej próbie przetrwania. Pozwolił jej dotrzeć do drzwi, a kiedy dotknęła drewna i wyciągnęła rękę w stronę zamka, dopadł ją trzema długimi susami i znowu pchnął twarzą ku podłodze. Rozpiął dzinsy i przez chwilę pobudzał się ręką, a potem, w nowym przyływie szału, sięgnął po butelkę od piwa i przykleknął przed Rachel. Krzyczała przenikliwie. Wreszcie z hukiem rozbił butelkę w kominku i wtedy wszystko ucichło. Rachel czuła straszny ból, ale wciąż miała nadzieję, że to wystarczy intruzowi. Nie dbała o to, że zostawi ją w takim stanie, że ujdzie mu to na sucho. Gdy znowu zobaczyła jego nóż, krzyknęła tak przeraźliwie, że poczuł wibracje w palcach. Sięgnął do kieszeni, wyjął zmiętą chustkę, wepchnął jej do ust i docisnął szczęki. Przewrócił ją na bok, wsunął pod nią nóż i użył ciężaru własnego ciała, by ponownie przydusić ją do podłogi. Ostrze wbiło się w ciało poniżej żeber. Puścił ofiarę, przesunął broń i znowu nacisnął, by po chwili otworzyć trzecią ziejącą ranę. I właśnie wtedy, gdy miał się zabrać do pracy nad lewym bokiem Rachel, usłyszał chrzęst. Za drzwiami.

- Rach? Rach, skarbie? Jesteś tam? Duke
spojrzał na swoją ofiarę.

- Szlag... Szlag by to!

Patrzyła na niego błagalnie. Sięgnął po masywny stółek.

Donnie włączył telewizor w samą porę, by obejrzeć ostatnie minuty reporterskiego doniesienia.

- ...nie wiąże się z innymi zabójstwami, których najprawdopodobniej dokonano za dnia.

Oglądał właśnie scenę wynoszenia z baru zwłok przykrytych czarną folią, gdy rozległo się walenie do bocznych drzwi.

- Donnie, otwórz! Otwórz! Przepraszam, stary, niech to diabli... Donnie!

Duke bębnił pięściami w drewno, póki nie usłyszał szczęku otwieranej zasuwki i nie zobaczył Donniego.

- Jezu Chryste - powiedział Donnie.

Duke był zachlapany krwią, miał przemoczoną koszulkę, zbryzgane dzinsy i półotwarty rozporek. Chwiejnym krokiem wszedł do kuchni, dysząc ciężko. Donnie wyjął ze zlewu szmatę i zabrał się do wycierania czerwonych smug z drzwi.

- Dlaczego nie polazłeś do strumienia, jak zawsze? - spytał.

- Spanikowałem, stary. Normalnie spanikowałem - odparł Duke. - Ktoś się zjawił... Mało brakowało, a zostawiłbym ją żywą.

- To ta z telewizji.

- Już ją pokazali? Sukinsyny...

- A gdyby Geoff był w domu?

- Jego wóz stoi przed Amazonem - odrzekł Duke.

Donnie patrzył, jak przyjaciel oddala się w kierunku łaźni.

- Więc jednak na coś się przydadę, co? - zawołał za nim.

- Przydajesz się, Donnie. A ja pieprzyłem bez sensu. Byłem wściekły. Nie będę tego robił sam. Gadałem od rzeczy i tyle.

Rozdział dwudziesty trzeci

- Najświeższy raport w sprawie Katie Lawson - powiedział O'Connor, stając na dobrze mu znanym miejscu u szczytu sali konferencyjnej. - Jak już słyszeliście, szczegółowe badanie zwłok przyniosło nowe dowody... fragmenty muszli ślimaka... wskazujące na to, że Katie została zamordowana gdzie indziej, a jej zwłoki przeniesiono do lasu. Koncentrujemy poszukiwania w rejonie Mariner's Strand, gdzie znaleźliśmy podobne okazy ślimaka. Patrol Wodny przeszukał wczoraj płycizny w tej okolicy oraz przystań. Nurkowie znaleźli jeden z różowych adidasów Katie. Dziś laboratorium szuka na nim odcisków palców. Według najnowszej hipotezy, Katie zboczyła z drogi do domu, żeby odwiedzić grób ojca przy Church Road. Zostawiła tam białą różę. Być może przeszła później na drugą stronę drogi, w rejon Mariner's Strand, gdzie została zaatakowana. Nie wykluczone, że została tam w jakiś sposób zwabiona, ale na razie trudno orzec, czy była to przypadkowa zbrodnia, czy też ktoś śledził ruchy ofiary. Wiemy natomiast, kto był ostatnią osobą, do której Katie próbowała zadzwonić: Frank Deegan. - O'Connor skinął głową w stronę Franka, który siedział naprzeciwko z dość ponurą miną. - To oznacza, że albo była świadoma zagrożenia, albo próbowała zgłosić inne przestępstwo. Fakt, że wybrała numer Franka, a nie policji, uważam za intrygujący, choć należy zaznaczyć, że dobrze знаła rodzinę Deeganów. Jako że odnaleźliśmy ciało dopiero po trzech tygodniach, nie spodziewam się raczej odnalezienia nowych dowodów w rejonie Mariner's Strand. Warto zaznaczyć, że prawdopodobna trasa, którą Katie pokonała tego feralnego wieczoru, nie znajduje potwierdzenia

w zeznaniu świadka Mae Miller. Musimy bliżej zbadać tę sprzeczność. Różne mogą być powody tego, że zwłoki znalazły się w lesie... być może zabójca uznał to miejsce za odosobnione, być może dobrze je znał albo tak było mu najwygodniej. Niewykluczone, że miał inne powody, których jeszcze nie znamy. Najbliżej tego skrawka lasu znajdują się posesja Lucchesich oraz sad Millerów. Musimy nadal bacznie się przyglądać potencjalnym podejrzanym.

Muzyka łomotała w głośnikach: wąta, powtarzalna melodyjka na tle potężnych basów. Duke spojrział na fryzjerkę. Nosiła dzinsy biodrowki, które mocno uciskały parokilogra-mowy nadmiar tłuszczu na jej biodrach i popychały ku górze brzuch z pępkiem przebitym kolczykiem. Głęboki dekolt czarnej, lśniącej bluzki odsłaniał skórę marnie reagującą na sztuczną opaleniznę. Usta fryzjerki poruszały się bezgłośnie, powtarzając tekst piosenki. W pewnej chwili mokry pukiel odciętych włosów spadł na rozłożoną gazetę Duke'a.

Sięgnęła ręką i strzepnęła go na podłogę, odsłaniając policyjny szkic na wilgotnym papierze.

- Straszne, prawda? - powiedziała, wskazując grzebieniem na portret pamięciowy. - Zaginęła, biedaczka.

- Straszne - zgodził się Duke, spoglądając na rysunek, który miał być jego portretem.

- Podobno jakaś dziewczyna zgłosiła się na policję dopiero po paru tygodniach. Była wtedy w tym amerykańskim barze, gdy pojawił się ten facet, ale bała się zeznawać, bo zdawało jej się, że będzie miała kłopoty w szkole. Jaka szkoda... - Fryzjerka umilkła, nie przerywając pracy. - Bóg jeden wie, czy po takim czasie w ogóle pamiętała, jak ten gość wygląda - dodała po chwili.

- Pewnie nie - odparł Duke. - Ale faktem jest, że niektóre twarze zostają w pamięci na całe życie, dobre czy złe. Pewnie dowiemy się, kiedy go złapią.

Nożyczki zbliżyły się do jego ucha, przycinając włosy tuż przy skórze.

W pokoju panowała cisza, jeśli nie liczyć cichego pomruku pracującego faksu. Kartki wysuwały się kolejno z wnętrza-

trza maszyny i lądowały miękko na drewnianej podłodze. Shaun podszedł bliżej i zatrzymał się ze zdziwieniem, próbując rozpoznać rozmazany obraz wydruku leżącego do góry nogami. Schylił się, podniósł kartkę i spojrział z bliska. Zobaczył kobietę o spokojnej, nienaruszonej twarzy i zbezczeszczonym, pokrytym krwią ciele. Odręczne notatki ze strzałkami wskazywały „przebicia podobne do śladów szponów” na piersi, „trzy niesymetryczne rany szarpane poniżej żeber” oraz „częściowe wyprucie wnętrzości”. Shaun poczuł lodowate pulsowanie pod czaszką. Opadł na kolana, zebrał rozsypane kartki i zagłębił się w rozmazanych, ale jednak czytelnych obrazach. Detale, takie jak biała torebka czy porzucony but, czyniły obce kobiety niezmiernie realnymi istotami. Shaun przewrócił się na podłogę.

- Chryste Panie! - wykrzyknął Joe, wbiegając do pokoju. - Shaun, nie...

Ukląkł na podłodze i przygarnął syna do piersi, drugą ręką uwalniając zmiętą kartkę z jego kurczowo zaciśniętych palców.

- To był faks do mnie, tylko do mnie - powiedział bez sensu.
- Czy to właśnie z nią zrobili, tato? - spytał Shaun przez łyżę.
- Czy to spotkało Katie? To jest chore. To jest najbardziej kurewsko chore rzecz, jaką widziałem. Jakiś facet zrobił coś takiego? Kto? - Shaun dusił się własnymi słowami i szlochem, który ścisnął go za gardło.

Joe otoczył go ramionami. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni byli tak blisko siebie. Podobnie jest z moim ojcem, pomyślał. Po chwili rozluźnił uścisk i zaczął zbierać kartki z podłogi. Wiedział, że czeka go kolejna podróż do Dublina.

Mae Miller otworzyła drzwi na oścież. Miała na sobie długą, srebrzystą suknię wieczorową, a na jej szyi wisiał sznur purpurowych koralów, przewiązany w połowie i sięgający pasa. Czarne rękawiczki zakrywały jej ręce aż do łokci, a prawy nadgarstek zdobiła gruba bransoleta z pereł. Siwe włosy odgarnęła do tyłu i związała w kok.

- Witaj - powiedziała z szerokim uśmiechem.

- O, pani Miller - odezwał się Richie. - Nie wiedziałem, że pani wychodzi. - Spojrzał na zegarek. Była jedenasta trzydzieści; przed chwilą jadł śniadanie.

- Nic nie szkodzi - odrzekła Mae Miller. - Przedstawienie bardzo mi się podoba. Nie wiedziałam tylko, że i ty jesteś miłośnikiem opery, mój chłopcze.

Richie odwrócił głowę.

- Zastanawiałem się właśnie, czy mógłbym zamienić słowo z Johnem.

- Mamy antrakt! John poszedł do baru.

- Do Danaher's? - spytał Richie.

- Nie, tutaj - odparła, wskazując na schody wiodące na piętro.

- A czy mogłaby pani go zawołać?

- Z przyjemnością - odpowiedziała Mae i odplynęła o kilka kroków w głąb holu. - John? John? - zawołała. -Zobacz, kogo spotkałam.

Richie wszedł do środka i stanął przy drzwiach. John zszedł na dół i zmarszczył brwi na widok matki.

- Się masz, Richie - odezwał się nagle.

- John, jesteś gotowy? - spytała Mae.

Odwróciła się w stronę kuchennych drzwi i uniosła rękę, jakby czekała na eskortę.

- Nie chcemy się spóźnić na drugi akt - rzuciła przez ramię, spoglądając na Richiego.

- Naturalnie, pani Miller - odparł Richie, wbijając wzrok w podłogę.

Joe jechał przez Dublin w kierunku północnym, ku Ma-lahide Road. Zanim dotarł do autostrady biegnącej w stronę portu lotniczego, skręcił w lewo, przez żelazną bramę, w wysadzaną drzewami alejkę prowadzącą łukiem do Centrum Szkolenia Pożarniczego. Drogowskaz do kostnicy skierował go na uliczkę okrążającą rozległe pole, na którym stała przechylona na skrzydło połówka samolotu. Minął mur, na którym namalowano witrynę nocnego klubu, i zatrzymał wóz przed czterema barakami, w których mieściła się tymczasowa siedziba Głównego Patologa kraju. Miał nadzieję, że zastanie doktor McClatchie za biurkiem,

ale nie miał szczęścia. Stała przed drzwiami, rozmawiając z asystentką.

- Doktor McClatchie? Dzień dobry, nazywam się Joe Lucchesi. Jestem detektywem policji Nowego Jorku. Czy znalazłaby pani dla mnie chwilę? - spytał z uśmiechem.

Nie wyglądała na zachwyconą, ale odpowiedziała:

- Tak, proszę do mojego gabinetu.

- Chodzi o morderstwo Katie Lawson - wyjaśnił.

- Ach tak - odrzekła, siadając i gestem wskazując mu miejsce. - Z policji Nowego Jorku? A od kiedy bierzecie udział w tym śledztwie?

Joe starannie ważył słowa.

- Nie bierzemy - odparł wreszcie.

Wyjął zza pazuchy plik faksów i położył je na biurku tak, by jedno z bardziej drastycznych zdjęć znalazło się na wierzchu. Na górnym marginesie widniał napis: Tonya Ra-mer. Fotografie wykonano w kostnicy; twarz zabitej wyglądała upiornie, ale też był w niej osobliwy spokój. Ciało musiało zostać odnalezione po kilku dniach od zabójstwa. Pomiędzy nogami widać było jedynie chaos zmasakrowanych tkanek oraz ostre, czarne odłamki czegoś, co - jak wiedział Joe - było szczątkami drewnianego klocka. Poza ciężkim uszkodzeniem krocza na ciele ofiary widoczne były rany szarpane kolan oraz po trzy nacięcia równej długości po obu stronach klatki piersiowej. Lara spojrzała na zdjęcie i szybko uniosła głowę, ale wpatrując się w oczy Joego, nie przestała rozprostowywać palcami kolejnych stron faksu.

- W co pan się bawi? - spytała, bardziej rozbawiona niż rozdrażniona.

- Chciałem, żeby spojrzała pani na te zdjęcia i powiedziała mi, czy Katie Lawson doznała podobnych obrażeń.

- Czy pan oszalał? - spytała krótko, jakby zaraz miała skinąć ręką na podwładnego i rozkazać: „Ściąć go”.

Joe odetchnął energicznie.

- Katie Lawson była dziewczyną mojego syna.

Lara z westchnieniem zapadła się w fotel.

- I wiem - ciągnął - że mój syn jest głównym podejrzanym. Podejrzewam, że człowiek, który popełnił te morderstwa - wskazał na biurko - jest także winien śmierci Katie.

Lara odruchowo spojrzała w dół i omiotła spojrzeniem kopie fotografii.

- Wie pan, że nie mam prawa rozmawiać z panem na ten temat. I w gruncie rzeczy jestem zdumiona, że w ogóle się pan fatygował.

- Nie może mnie pani winić, musiałem spróbować. Proszę mi wierzyć, że bardzo mi się podoba to, jak pani sobie poczyna... bardziej niż wysiłki innych ludzi pracujących nad tą sprawą.

- Może, ale pan nie jest jednym z nich.

- To fakt - przyznał. - Ale ja tu umieram.

Spojrzał ze smutnym uśmiechem w stronę drzwi kostnicy i pochylił się nad biurkiem, żeby zebrać rozrzucone papiery.

- Przepraszam, że zabrałem pani czas - powiedział, patrząc w oczy Lary. - Mam jednak nadzieję, że będzie to wizyta bez następstw.

- Słucham? - zdziwiła się.

- Policja nie może wiedzieć, że tu byłem.

Doktor McClatchie wzniosła oczy ku niebu.

- Cóż, przecież nic panu nie powiedziałam.

Owszem, powiedziałaś mi wszystko, pomyślał Joe. Wyszkolono go, by rozumiał język ciała i reakcje na język ciała: ruchy powiek, grymasy, drżenie mięśni, przełknięcia śliny - wszystko to, co odróżnia uczciwego człowieka od kłamcy. Reakcja Lary na fotografii była bardzo wymowna: rany nie były takie same. Jednego tylko Joe nie mógł zrozumieć: nieznacznego zmarszczenia brwi, które dostrzegł w ostatniej sekundzie, a także niechęci pani patolog do rozstania z ponurą dokumentacją.

- Zostawię wizytówkę, na wypadek gdyby chciała pani się ze mną skontaktować.

Spojrzała na niego bez słowa. Ignorując wyraz jej twarzy, skreślił nowojorski numer i wpisał numer irlandzkiej komórki. Wstał, żeby wyjść, ale dla pustego żołądka był to ruch zbyt szybki. Joe zachwiał się i oparł o blat, by nie upaść.

- Dobrze się pan czuje? - spytała Lara, podchodząc do niego.

Gdy uniósł głowę, przed oczami zawirowały mu srebrzyste plamki.

- Proszę usiąść. - Lara podsunęła bliżej krzesło. -

Wszystko w porządku?

Z trudem kiwnął głową. Przycisnął dłoń do karku i roz-tarł mocno.

- Zakręciło mi się w głowie - wyjaśnił. - Nic nie ja dłem.

Nagłym ruchem pochylił się nad koszem na śmieci i zwymiotował gwałtownie, spryskując zmięte papiery i ołówkowe ostrużyny.

- Wiedziałam, że nie powinnam kupować wiklinowego - stwierdziła.

- Jezu, strasznie mi przykro - odparł Joe. - Nie wiem....

- Może się pan zatrul? - spytała. - Jest pan bardzo bla-dy.

- Nie. Po prostu wziąłem na pusty żołądek środki przeciwbólowe i inne świństwa... I kawę.

- Wolno spytać, po co panu środki przeciwbólowe? A może to standardowa dieta gliniarzy?

Parsknął śmiechem.

- „Tak” na oba pytania. Mam silne bóle szczęki i powiązany z tym ból głowy. Boli mnie, kiedy jem, stąd te zawroty głowy...

- Mogę rzucić okiem? - spytała, wyciągając ręce.

Odchylił głowę do tyłu.

- Marnuje pani czas.

- W tym gabinecie ja jestem szefem - odparła, nie zważając na jego opór. Przycisnęła zimne kciuki najpierw do boków jego nosa, następnie do policzków, a potem do czoła, tuż nad brwiami.

Wstrzymał oddech. Oboje unikali kontaktu wzrokowego-

- Przepraszam - powiedział, odpychając jej rękę. - Muszę oddychać.

- Nie prosłam, żeby pan przestał - odrzekła.

Spojrzał wymownie na wiklinowy kosz.

Roześmiała się.

- Żeby pan wiedział, z jakimi woniami mam do czynienia na co dzień. - Przysiadła na skraju biurka. - Na pewno nie są to zatoki - powiedziała. - Mówił pan, że boli przy jedzeniu. Gdzie dokładnie?

- Tutaj - odparł, trąc palcami ostre końcówki baczków. Z irytacją zmienił pozycję na krzesło.

- Dobrze - powiedziała.

Opuścił ręce, a wtedy Lara dotknęła kciukami tego samego miejsca.

- Proszę otworzyć i zamknąć usta - poleciła. - Czuje pan coś?

- Jakby trzask.

-Ból?

- Nie, ale też nalykałem się pigułek, żeby nie czuć.

- No tak. Czy szczęka czasem się panu blokuje? Słyszysz pan niekiedy, że coś przeskakuje?

-Tak.

- Ma pan bóle szyi lub policzków?

-Tak.

- Czy kiedykolwiek badał się pan w związku z bólem zębów, ucha albo zapaleniem zatok?

- Tak. Pani doktor, doceniam te wysiłki, ale naprawdę muszę już iść...

- Czy przeszedł pan kiedyś poważny uraz twarzy lub zuchwy?

Mignęły mu w pamięci wizje bijatyk z dzieciństwa, a zaraz potem obraz wypadku z młodości, walki na pięści podczas wieczoru kawalerskiego, zderzenia z drzwiami podczas akcji, eksplozji...

- Aha - przyznał.

Cofnęła się o krok.

- Najpierw dobra czy zła wiadomość?

-Zła.

- Pesymista? - spytała, kręcąc głową.

- Przewidywacz najgorszych scenariuszy.

- Po pierwsze, nie jestem pańskim lekarzem ogólnym, więc to, co pan usłyszysz, to tylko domysły poparte wiedzą. Albo jest to nerwoból nerwu trójdzielnego, albo dysfunkcja stawu skroniowo-zuchwowego. To ten najważniejszy staw,

dzięki któremu możemy poruszać zuchwą. Jako Amerykanin na pewno rozumie pan słowo dysfunkcja.

Lara McClatchie wiedziała, co znaczy cięty komentarz.

- Powiedziałabym raczej, że chodzi o staw - dodała. -
Widziałam już takie przypadki. Mój brat na to choruje. -
Umilkła na chwilę, przyglądając się Lucchesiemu. - Mam
wrażenie, że pan tylko uprzejmie potakuje.

Joe nie odpowiedział.

- Pan już zna diagnozę, prawda?

- Chyba tak.

- Więc dlaczego się pan nie leczy?

- Byłem zbyt zajęty.

- Naprawdę powinien pan znaleźć czas. Pański mózg marnuje sporo energii na radzenie sobie z tym problemem. Poza tym będzie coraz gorzej, jeżeli stesy nie ustąpią, a w pańskiej sytuacji daleko do tego. Podejrzewam, że założyliby panu najwyżej szynę na szczęki, może na stałe, może tylko na noc. Są też inne rozwiązania, na przykład chirurgiczne... - Roześmiała się, widząc jego reakcję. - Ach tak. Dotarłam do źródeł „postawy odrzucenia”.

Joe wzruszył ramionami.

- Samo nie przejdzie - powiedziała Lara.

- Nie może pani przepisać mi czegoś doraźnie?

- Pan zapomina, że przyjmuję tu tylko nieboszczyków.

- Ach tak - mruknął i uśmiechnął się.

- Założę się, że ostatnio nieczęsto pan to robi.

- Nieczęsto - przyznał.

- Proszę - powiedziała, pochylając się nad biurkiem, by zapisać coś na kartce z notesu. - To nazwisko specjalistki z kliniki laryngologiczno-okulistycznej, doktor Morley. Na pewno panu pomoże. Chodziłyśmy razem do college'u... Odbiła mi chłopaka.

- I co, wysłała mnie pani do niej w ramach zemsty?

- Słuszna uwaga - przyznała Lara, uśmiechając się półgębkiem. - Niech pan to odda. - Skreśliła nazwisko i napisała inne. - Proszę. Ten gość nie jest wielkim miłośnikiem chirurgii - zaznaczyła z uśmiechem.

Podziękował i wyszedł. Chwilę później Lara ruszyła jego śladem, by dołączyć do asystentki czekającej przed drzwiami.

- Gili? - powiedziała. - Pamiętasz moje kleszcze?
- Asystentka skinęła głową.
- Gdybym miała w tej chwili usunąć nimi jedną rzecz, byłyby to platynowa obrączka na czwartym palcu lewej dłoni tego faceta.
- Platynowa - powtórzyła Gili. - Wiele mówiący detal.
- Nie do wiary, że omal nie wysłałam go do tej krowy z kliniki. - Lara westchnęła ciężko. - A mówiąc poważnie, będzie mi potrzebna teczka sprawy.
- Przecież o nim też mówiłaś poważnie.
- Prawda.

John Miller siedział przy barze, tuląc w dłoni kufel piwa i zabawiając się małym kieliszkiem napelnionym whiskey. Ed przyglądał mu się przez parę minut, a potem nagle pochylił nad blatem i szepnął mu wprost do ucha:

- Coś ci powiem. Mam nadzieję, że słuchasz uważnie.
- Co? - spytał John.
- Nie jesteś alkoholikiem. John delikatnie odstawił piwo.
- Chodzi o to, Miller, że twoje ciało nie jest uzależnione od alkoholu. To tylko ty uzależniłeś się od tego stanu, do którego doprowadza cię alkohol: od stanu zapomnienia. Mógłbyś przestać choćby jutro rano, bez niczyjej pomocy, i mam wrażenie, że dobrze o tym wiesz. Ale na przykład za sześć miesięcy sprawa może wyglądać gorzej.
- Jezu, przyszedłem tu na parę głębszych, nic więcej - odpowiedział John.

Ed huknął pięścią w bar, po czym odwrócił się i zdjął ze ściany jedną z wiszących tam fotografii, przedstawiającą drużynę rugby Munster z 1979 roku. Rzucił ją z rozmachem na blat i ze złością wskazał na tylny rząd zawodników, w którym stał młody i zdrowy John Miller, z przyjacielskim, szerokim uśmiechem na twarzy.

- Byłeś zwycięzcą! - zagrmiał Ed.
- A koniec końców wszystko to gównno warte - odparł John.
- Ed powstrzymał się, by nie wrzasnąć na całe gardło.
- Przestań wreszcie być taki cholernie trudny, na mi-

łość boską! Mam tu tylu klientów, że brak jednego nie zrobi mi żadnej różnicy. Od ponad miesiąca słucham codziennie, jak pieprzysz o żonie i dzieciach. A ja ci mówię: przestań jęczeć i zrób coś w tej sprawie. Skoro żona cię nie chciała, kiedy byłeś w porządku, to na pewno nie wróci do takiego frajera, jakim się stałeś.

Victor Nicotero właśnie miał zadzwonić, gdy zobaczył mrugające czerwone światelko automatycznej sekretarki. Nacisnął guzik.

- Cześć, Nic. Tu Joe. Podróż do Teksasu odwołana. Nie jestem pewien, ale... Co mogę ci powiedzieć? Niby wszystko się zgadza, ale nic się nie zgadza. Łeb mi pęka od tego. Ale i tak dziękuję.

Następnego ranka Anna, blada i zmęczona, podjechała pod drzwi supermarketu. Szybkim krokiem przemierzyła krótkie alejki między regałami, starając się nie zwracać uwagi na spojrzenia kupujących. Czują, że policzki palą ją coraz mocniej, a dłonie stają się lepkie. Omal nie upuściła koszyka, a gdy się schyliła, by nad nim zapanować, zobaczyła przed sobą parę rybackich butów. Uniosła głowę.

- Nie podoba mi się to, co zrobił Shaun - powiedział Mick Harrington. Przygotowywał się do tej rozmowy, ale widać było, że jest zażenowany.

- Nie wiem, o czym mówisz, Mick - odparła Anna.

- Namówił Roberta, żeby zatarł za nim ślady. Kazał mu pójść do Seascapes i wyłączyć światło po tym, jak urzędował tam z Katie. Robert mógł trafić za to do aresztu.

- Nie wiedziałam, że Shaun tak postąpił - powiedziała Anna.

- Ale oczywiście rozumiem, że nie było to słuszne. Niewiele mogę ci odpowiedzieć, Mick. Shaun jest załamany, a ja długo o niczym nie wiedziałam... Gdyby było inaczej, działałabym.

- Mam wrażenie, że oboje z Joem nie jesteście zbyt zorientowani w tym, co się działo - odparł Mick. - A może to już faza wyparcia?

Anna nie mogła wykrztusić słowa.

- Robert już nie będzie was odwiedzał - zakończył Mick.

Została sama między regałami. Powstrzymała jakoś łzy i ruszyła w stronę kasy. Stojąc w kolejce, usłyszała, że ktoś wołają po imieniu. Nie miała ochoty sprawdzać, kto to.

- Anno - rozległ się ponownie ten sam głos. Tym razem towarzyszyło mu lekkie stuknięcie w ramię. - Jak się masz?

Odwróciła się i zobaczyła ciepły uśmiech Nory Deegan.

- Pewnie nie najlepiej, skoro przeżywacie takie straszne chwile. Straszne - powtórzyła Nora głośno i dobitnie. Uścisnęła ramię Anny, nie zważając na zdziwione spojrzenie kasjerki. - No, ale nie będziemy drażyć tematu - dodała. - Pomyślałam sobie, że może miałabyś ochotę wpaść do mnie po południu na kawę?

- Jasne - odparła Anna. - Cudowny pomysł.

Barry Shanley podszedł do drzwi, przyciskając wacik do ranki na świeżo ogolonej głowie. Wziął głęboki wdech, gdy zobaczył, kto stoi na zewnątrz.

- Witaj, Barry. Mogę wejść? - spytał Frank. Spojrzał na bojówki chłopaka i jego czarny T-shirt z napisem „Nie biorę jeńców”.

- No jasne - odparł Barry, cofając się nieco.

- Ojciec w domu?

Ojciec Barry'ego pracował na promie w Rosslare i nieczęsto przebywał z rodziną. -No.

- A matka?

Barry skinął głową.

- Mam ich zawołać? Bo jestem trochę zajęty, odrabiam lekcje - wyjaśnił, podpierając się o schodową balustradę.

- Z tobą też chcę pogadać - odparł Frank.

- Ach tak. Oczywiście.

Państwo Shanley wprowadzili Franka do salonu i spoglądając na niego nieufnie, usiedli na kanapie. Barry stanął w drzwiach, wsparty o framugę. Frank wyjął z kieszeni złożony wydruk z poczty elektronicznej i podał go pani Shanley.

- Co to jest? - spytała.

- W dawnych czasach byłby to pewnie list napisany za-

trutym atramentem. Ale dziś można osiągnąć to samo za pomocą e-maili. Tę wiadomość otrzymał Shaun Lucchesi, a jej nadawcą, jak sądzę, jest Barry. Rodzice spojrzeli na syna.

- W życiu tego nie widziałem - powiedział.

Rodzice kiwnęli głowami.

- Daj spokój, Barry - rzekł Frank. - Wczoraj, wracając do domu, odwiedziłem pana Russela, nauczyciela informa* tyki. To on ustalił, skąd wysłano tę wiadomość.

- To na pewno pomyłka - odezwała się pani Shanley. - Okropne, że ktoś wysłał Shaunowi coś takiego, bez względu na to, co ma na sumieniu.

- A co, twoim zdaniem, Shaun Lucchesi ma na sumieniu? - spytał Frank.

Pani Shanley zarumieniła się.

- Ale masz rację, to okropne, że ktoś to wysłał - zgodził się Frank. - Zwłaszcza że zrobił to Barry - dodał, odwracając się ku niemu. - Pan Russel jest ekspertem. Jeśli trzeba, przysięgnie przed sądem.

Oczy Barry'ego otworzyły się szeroko.

- Mam stanąć przed sądem? - spytał drżącym głosem.

- To twoja wina - powiedziała pani Shanley, spoglądając na męża. - Tak, twoja. Nigdy cię nie ma, kiedy trzeba przywołać Barry'ego do porządku.

Frank znowu zwrócił się do nastolatka.

- Nie, nie będziesz musiał stawać przed sądem. Ale uważam, że jesteś winien Lucchesim przeprosiny.

Barry zaczął płakać.

O szóstej rano Danny Markey pochylił się nad oparciem kanapy i podniósł słuchawkę telefonu.

- W dzisiejszych czasach nigdy nie wiadomo, kto ci na-pluje do hamburgera - powiedział, gdy uzyskał połączenie.

- Danny, co się dzieje? I dlaczego nie śpisz?

- Kolejna noc na kanapie w domostwie Markeyów. Gadałem z Kane'em. Smaży teraz burgery w Nowym Jorku; dzięki Bogu góra przyszła do Mahometa. Naprawdę góra. Wielki facet, a jednocześnie jakiś taki... milutki. I dowcip-

niś. Zupełnie nie pasuje do papierów, które mamy na niego: tortury, okaleczenie... Wybił facetowi za to oko łaską, że tamten gwizdał. Psychiczny skurczybyk.

- A co z Rawlinsem?

- Niestety, nic ważnego. Kane się upiera, że to wariat. Ma obsesję na punkcie jastrzębi Harrisa. To by się zgadzało. Poza tym dostał szalu na wieść o śmierci Riggsa. Twierdził też, że matka z córką słusznie wyleciały w powietrze, bo trzeba dotrzymywać słowa. I w zasadzie to wszystko. O tobie nie wspominał, bracie.

-Nie spodziewałem się, że wspomni. Ale... Sam nie wiem... - Słowa kłębiły się w umyśle Joego, jakby walczyły o to, które ma się wydostać najpierw.

- Naprawdę powinieneś zostawić tę sprawę, Joe. Jesteś nieswój. Na pewno wszystko w porządku? A w ogóle która tam u was godzina? Byłeś już na piwie?

- Nie - odparł Joe. - To tylko ból.

Nic się nie zgadzało. Pomału zaczynał wpadać w pani-kę.

- Posłuchaj, niedługo będzie po wszystkim, a lokalny bandzior trafi za kratki.

- Nie byłbym taki pewny.

- Człowieku, naprawdę mam wrażenie, że potrzeba ci więcej snu.

Joe parsknął z cicha.

- Więcej snu. Świetny pomysł - powiedział, trąc oczy.

- To może przynajmniej weź prysznic. Pamiętaj, że to ja zadzwoniłem w środku nocy - zaśmiał się Danny, ale bez odzewu. - Jezu, omal nie zapomniałem ci powiedzieć o najdziwniejszym szczególe. Chodzi o pieniądze z okupu. Sprawdziłem tu i tam i wygląda na to, że Kane miał rację. Przyślę ci kurierem akta Hayley Gray.

Anna nigdy dotąd nie odwiedzała Deeganów. Mieszkali przy małej, bocznej uliczce Mountcannon, w domu bez widoku na morze. Wnętrza były pięknie odnowione, a uroku nowo położonej strzesze dodawały ramy okienne i drzwi pomalowane na tradycyjny, zielony kolor. Dzwonka nie było; Anna musiała użyć mosiężnej kołatki.

- Żona sierżanta raczej nie zaprosiłaby do domu matki mordercy, nieprawdaż? - powitała ją Nora, otwierając szeroko drzwi.

Jej bezpośredniość była szokująca, ale Anna zdołała zdobyć się na krótki śmiech.

- Dziękuję - powiedziała. - Naprawdę bardzo mi miło.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Szczerze mówiąc, jest to zaproszenie podszyte odrobiną egoizmu - przyznała Nora. - Miałam nadzieję, że skorzystam z twojej wiedzy.

- Nie ma problemu. O co chodzi?

- O moją galerię, a ściślej o wnętrze. Chciałabym, żeby było doskonałe, ale nie mam odpowiedniego budżetu - wyjaśniła.

- Chętnie pomogę - powiedziała Anna. - Ale czy jesteś pewna, że tego chcesz? Nie chcę, żebyś miała kłopoty. Wiesz, jacy są ludzie.

Nora przewróciła oczami.

- Potrzebna mi opinia eksperta i to wszystko. Mam w nosie ludzi i ich wymysły.

- W gruncie rzeczy nie jestem ekspertem. Siedzę w tym od niedawna.

- Ale pracujesz dla jednego z najlepszych pism na świecie, jeśli chodzi o dekorację wnętrz.

- Miałam szczęście i dobre kontakty - odparła Anna. - To nie oni przyszli do mnie. Dopiero zaczynałam, miałam za sobą cztery lata projektowania wnętrz. Podczas studiów prowadząca zajęcia wysoko oceniała moje prace. Kiedy przyszedłam do niej z moim pomysłem, poleciła mnie swojej przyjaciółce z redakcji, lubiącej ryzyko.

- Najwidoczniej zasługujesz na zaufanie. Podjęli kosztowne ryzyko. To znaczy: nie pozwoliliby ci na taką robotę, gdyby nie wierzyli, że sobie z nią poradzisz.

- Joe powiedziałby, że nie jestem też dobra w trzymaniu się budżetu.

Shaun wyjął z szafy walizkę, otworzył ją i położył na łóżku. Właśnie wyciągał z szafki stos czystych ubrań, gdy na schodach do jego pokoju pojawił się Joe.

- Co robisz? - spytał.

Shaun odwrócił się gwałtownie.

- Nie mógłbyś pukać?

- Pukałem, ale nie odpowiedziałeś. Co robisz?

- Pakuję się.

- Trochę uprzejmiej, Shaun. Mogę wiedzieć, dokąd się wybierasz?

- Do domu. Do Nowego Jorku.

- Co takiego?

Shaun spuścił głowę.

- Dziadek przysłał mi bilet - powiedział, wskazując na biurko.

Joe sięgnął szybkim ruchem po cienką okładkę.

- Jeszcze zobaczymy - mruknął, idąc w stronę drzwi. -A walizkę możesz schować - rzucił przez ramię. - Po rozmowie z twoim dziadkiem idę na spacer, a potem do Dana-her's. Lepiej, żebyś tu był, kiedy wrócę.

- Pewnie nawet cię nie obsłużą! - zawołał za nim Shaun. - Tu wszyscy nas nienawidzą.

Nora zsunęła z biurka stertę książek, czasopism i gazet i przeniosła je na stół kuchenny. Otworzyła książki na stronach, które zaznaczyła zakładkami, by pokazać Annie prace artystów, które zamierzała wystawić. Wyciągnęła też kolekcję wycinków z prasy poświęconych sztuce oraz faksów od szefów podobnych małomiasteczkowych galerii w całym kraju.

- Myślę, że mam w domu coś, co powinnaś obejrzeć -powiedziała Anna. - To taki pomysł, nad którym zaczęłam pracować, ale nie miałam okazji go zrealizować do końca.

- Wspaniale - odpowiedziała Nora, szperając w dokumentacji.

- Kto to jest? - spytała nagle Anna, wskazując górną połówkę poważnej twarzy; resztę zakrywały wycinki prasowe.

Nora ze zdziwieniem sięgnęła po faks, ale Anna już zdążyła wyjąć go i wiedziała, że ma przed sobą policyjne zdjęcie podejrzanego. Zasłoniła dłonią usta.

- To papiery Franka - wyjaśniła Nora. - Musiałam je pomieszać z moimi...

Anna pobladała.

- O mój Boże - szepnęła. - Kto to jest? - powtórzyła, spoglądając na Norę. - Kto to jest i dlaczego Frank ma tę fotografię?

Nora nie odpowiedziała. Anna dostrzegła na marginesie cztery litery urwanego, odręcznie wpisanego słowa: „chesi”.

- Czy to ma jakiś związek z Joem? - spytała drżącym głosem.

- O to musiałabyś spytać Franka - odparła Nora. -Przepraszam. To moja wina...

- Nic podobnego - zaprzeczyła Anna. - Ale będę już się zbierać. Muszę porozmawiać z Joem.

Joe wbił numer na klawiaturze telefonu i zaczął nerwowo spacerować po kuchni, zanim jeszcze jego ojciec podniósł słuchawkę.

- Co ty sobie wyobrażasz, do ciężkiej cholery? - zaczął.

- Przypuszczam, że mówisz o tych biletach lotniczych -odparł Giulio. - Nic, chciałem tylko pomóc wnukowi.

- Grając grubą rybę. On nie potrzebuje twojej pomocy.

- Zbyt wiele ostatnio przeszedł. Potrzebuje odpoczynku.

- Nie twoja sprawa. Zwariowałeś? Pakujesz się w nasze sprawy i próbujesz wyciągnąć go do Nowego Jorku? Jak sądzisz, jak to zostanie przyjęte tu, na miejscu?

- Zadzwoił do mnie, prosząc o pomoc, więc mu pomagam.

- Uciec. Nie mogę uwierzyć, że w ogóle o tym rozmawiamy! I nie do wiary, że Shaun do ciebie zadzwonił.

- Mam wrażenie, że nie do końca rozumiesz, co się dzieje w jego głowie - powiedział ostrożnie Giulio.

- O czym ty mówisz?

- On się czuje jak przestępca, Joe. Ma dopiero szesnaście lat...

- A co ty u diabła wiesz o szesnastolatkach, co?

- ...Tymczasem ty latasz po okolicy i próbujesz mieszać się w śledztwo, zawstydzając biednego dzieciaka.

Joe nie wierzył własnym uszom.

- To nie jest twoja sprawa - warknął.

- Jeżeli mój wnuk jest nieszczęśliwy, to to jest moja sprawa.

- Ale jeśli twój syn jest nieszczęśliwy...
- Przestań wreszcie, Joe. Mamusia i tatuś wciąż cię kochają, tylko już nie mogą być razem. - Głos Giulia był teraz szyderczym jękiem.

- Jesteś naprawdę zimnym typem, Giulio.

- Shaun potrzebuje ucieczki, odprężenia, wytchnienia w miejscu, w którym nikt na jego widok nie będzie przechodził na drugą stronę ulicy.

- Nikt nie przechodzi na drugą stronę ulicy na jego widok, do jasnej cholery!

- On postrzega sprawy inaczej. Na tym etapie życia potrzebna mu przede wszystkim akceptacja. Nie może na nią liczyć w tej waszej małej, uroczej wiosce. Wywieź go stamtąd, zanim zajdą w nim zmiany, których już nie odwrócisz. To ważna faza...

- O co ci chodzi? Próbujesz nadrabiać stracony czas? Chcesz być przy Shaunie, bo nie było cię przy mnie, kiedy tego potrzebowałem?

- Lepiej popatrz na siebie. Co z ciebie wyrosło? Niczego nie umiesz doprowadzić do końca...

- Na Boga wszechmogącego, ty znowu o tym college'u! Więc powiem ci jeszcze raz, bardzo wyraźnie: studia nie były mi pisane. Nie urodziłem się po to, żeby zadowalać osiągnięciami twoich kolegów-profesorów i kogo tam jeszcze, z kim się liczysz. „No tak, mój syn jest gliniarzem”. Założę się, że nie za często poruszasz ten temat podczas lunchów z dziekanem, co, tatusiu? Byłbym gównianym entomologiem, rozumiesz? Jestem za to cholernie dobrym gliną.

- Więc dlaczego nie pracujesz?

Joe był bliski apopleksji.

- Schrzaniłeś sobie życie, Joe, i dobrze o tym wiesz.

Ciszę, która teraz zapadła, maćło jedynie ciche brzęczenie na linii. Joe nie mógł się wściec jeszcze bardziej, więc zrobił to, co jeszcze mu pozostało. Kilka razy odetchnął głęboko, a potem odpowiedział cicho i spokojnie:

- Wydaje ci się, że nie umiem się trwale zaangażować? Takie odnosisz wrażenie? A co z Anną? Co z kobietą, którą kocham i obiecałem kochać całym sercem w dniu, w któ-

rym wzięliśmy ślub? Osiemnaście lat małżeństwa. Oto dowód na to, że się mylisz: trwam przy mojej żonie. I wydaje mi się, że to znacznie bardziej chwalebne, niż odejść od umierającej kobiety.

Gdy Anna wróciła do domu, jeepa już nie było, a dom był pusty. Na kuchennym blacie leżał telefon komórkowy Jo-ego. Wizja zdjęcia, które zobaczyła u Nory, wciąż nie dawała jej spokoju. Anna nie chciała nawet myśleć, co oznaczał ten policyjny portret. Przypomniała sobie o projekcie, który chciała pokazać Norze, i podeszła do regału z papierami. Spróbowała otworzyć górną szufladę, ale coś blokowało mechanizm. Sąsiednia była uchylona. Anna pochyliła się i otworzyła ją bardziej. Z brązowej, nie opisanej teczki wystawał skrawek białej kartki. Anna zawahała się. To była szuflada Joego. Po namyśle sięgnęła jednak i wysunęła kartkę z teczki. Był to krótki list, zaadresowany do Działu Personalnego, Police Plaża 1. Jej serce stanęło.

Joe Lucchesi, numer odznaki, prosi o przywrócenie do służby tak szybko, jak to możliwe...

Anna mocnym kopniakiem zamknęła za sobą drzwi.

Niebo nad Mariner's Strand było szare. Joe siedł kamienistą plażą, żalując, że nie jest jednym z tych, którzy przychodzili tu wyłącznie po to, by podziwiać widoki. Żal dotyczył zresztą wielu spraw: na przykład utraty doskonałego małżeństwa i śmierci pięknej dziewczyny Shauna. Joe zauważył w oddali Franka i Norę Deeganów. Ruszył w ich stronę. Frank skinął głową i jego żona oddaliła się posłusznie.

- Nie wiem, czy to dla ciebie dobra, czy zła wiadomość, Joe, ale ustaliłem, kto przysłał Shaunowi ten e-mail. To Barry Shanley, uczeń piątej klasy w St. Declan's. Bawił się w twardziela.

- Jesteś pewien? - spytał Joe. - Przecież...

- Sprawdziłem dokładnie, z pomocą nauczyciela informatyki. Rzecz jest absolutnie pewna, a Barry nawet się przyznał. Płakał, kiedy wychodziłem. Wiele przeszedłeś,

Joe. To rozumiała, że takie sprawy jak ta mocno dają ci się we znaki... Aha, Richie odwiedził dziś Mae Miller i powiedział, że nie powinniśmy się o nią martwić. Ona nie ma Alzheimera, Joe. John Miller to dziwak, pewnie szukał u ludzi współczucia.

Anna obeszła cały dom, zastanawiając się, co robić. Nie chciała marnować gniewu na rozmowę telefoniczną, którą Joe mógł w każdej chwili przerwać. Pragnęła uzmysłwić mu każdą cząstkę urazy i rozczarowania, jakie czuła. Miała rację: obaj ją okłamywali. Wspierała bez końca i męża, i syna - i tak jej za to odpłacili.

- Pieprzę was - szepnęła.

Wracała właśnie do szuflady z papierami, gdy odezwał się dzwonek u drzwi. Znieruchomiała. Sygnał powtórzył się. Wybiegła na korytarz i gwałtownym ruchem otworzyła drzwi. Stał przed nią uśmiechnięty mężczyzna w brązowych pionierkach, wąskich dżinsach, kraciastej koszuli i kremowej kamizelce. Serce Anny przyspieszyło tak gwałtownie, że z wrażenia nie mogła się poruszyć. Pamiętała tę twarz: to był Gary, zastępca ogrodnika. Spojrzała na ściegna w jego przedramionach. Nagle dotarło do niej, że przestał mówić. Uniósł głowę. Ich spojrzenia spotkały się. Usta mężczyzny już się nie uśmiechały. Anna podjęła rozpaczliwą próbę zamknięcia drzwi. Podparła je bosą stopą, ale Duke już napierał, wolno odsuwając ją ku ścianie. Drzazgi szorstkiego drewna rozdzierały skórę na jej pięcie; krzyknęła z bólu i cofnęła nogę, odskakując pod ścianę. Rzuciła się na kolana i spróbowała ominąć napastnika, ale dał krok wstecz, chwycił ją i uniósł, miażdżąc brzuch i żebra potężnym uściskiem. Szarpnęła jego ramieniem, by się wyswobodzić, ale trzymał mocno. Coś w niej pękło. Gdy ją wynosił, dostrzegła w lustrze jego rozmazane odbicie. Tylko jedno widziała wyraźnie, a widok ten zmusił ją do krzyku: jego rozszerzone źrenice. Okna duszy, pomyślała... Dusza była czarna.

Ray i Hugh stali przy barze zajęci, jak zawsze, dysku-sją, gdy zbliżył się do nich Joe.

- Dla mnie gęby z tych policyjnych portretów to w ogóle odrębny gatunek ~ mówił właśnie Hugh. - Weźmy tego typu z American Heroes. Taka twarz nie może istnieć w realnym świecie! Tylko w policyjnych aktach albo w gazecie. No bo kto miałby tak wyglądać? To jakiś mutant, zbudowany z kawałków, które utkwiły komuś w pamięci. Zawsze widzę te same dwuwymiarowe facjaty o złych oczach, wystających kościach policzkowych i, oczywiście, wąskich, sadystycznych ustach. „Cześć, jestem szkicem sprawcy rabunku. Pamiętacie ten bank?” „O, jaki ty niepodobny do gościa, którego złapali!” - Hugh powiódł wzrokiem od Raya do Joego. - Wiedziecie, o co mi chodzi? - dodał z nadzieją.

- Hugh oddał komputer do naprawy - powiedział Ray. -To dla niego ciężkie chwile.

Hugh smętnie pokiwał głową.

- Nie widziałem tego, o którym mówisz, ale fakt, że te ich szkice zawsze są gównem warte - stwierdził Ray. - Parę lat temu grasował w okolicy Waterford gwałcieciel. Policja wysmarowała portret pamięciowy i masz... wypisz, wymaluj, cały ja. Przysięgam na Boga! Ukazał się we wszystkich gazetach. Pomyślałem, że tylko ja zauważam podobieństwo, ale ludzie zaczęli się na mnie gapić...

- Stawiam na Richiego Batesa; narysował to sam, żeby cię wkurzyć - przerwał mu Hugh.

- Myślę, że jest do tego zdolny - przyznał Ray.

- No, sądząc po tym kukuryku ulicy... - wtrącił Joe.

- Po jakim kukuryku? - spytał Ray.

- Jak to co? Przecież byłeś przy tym.

Ray spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Mówię o śmieciach na ulicy przed twoim domem. Ray i Hugh wymienili spojrzenia. Ray parsknął śmiechem.

Trzy piwa pojawiły się przed mężczyznami na kontuarze, a wraz z nimi nowy temat rozmowy.

Robert Harrington wyszedł przez okno na dach oranżerii i zaczął iść oklakiem nad szklanymi taflami, stawiając stopy na aluminiowych ramach. Zszedł ostrożnie do krawę-

dzi dachu i zeskoczył do ogrodu, po czym sprintem dotarł do drogi.

- Chata wolna - oznajmił Shaun, otwierając drzwi. -Starych nie ma.

- Ty i te twoje irlandzkie powiedzonka — prychnął Robert.
- Nie powinieneś mówić: „Shaun sam w domu” czy coś w tym guście? A przy okazji marnie wyglądasz.

- Dzięki. Właż, wszystko ci opowiem. Moje życie to bagno. Myślę, że powinniśmy zrobić nalot na barek.

- Pod dowolnym pretekstem - zgodził się Robert.
-Dzwoniłem po Ali. Jest w drodze.

Teczki zajmowały niemal cały stół w kuchni. Frank siedział nad nimi, wsparty na łokciach, i przyglądał się rozłożonym aktom. Nora stanęła w drzwiach.

- Chyba powinnam ci powiedzieć o tym, co się dziś wydarzyło...

Frank uniósł rękę, by umilkła. Po chwili uniósł głowę i spojrział na żonę oczami powiększonymi przez okulary.

- Przepraszam - powiedział, odsuwając się od stołu -ale zaczynam wątpić, czy znajduję w tym wszystkim jakiś sens.

- Wiem, że jesteś zapracowany, kochanie - odparła Nora. - Pobladłeś. I te cienie pod oczami... większe niż zwykle - dodała z uśmiechem. - Dobrze się czujesz?

- Żołądek mi się przewraca - odrzekł, ruchem głowy wskazując na dzbanek z kawą.

- Czasem warto się pomęczyć - stwierdziła, uśmiechając się ciepło. - Kiedy masz mnóstwo roboty i po prostu musisz.

- Chodzi o to, że... Wściekam się, bo nie mam pojęcia, dlaczego Katie wybrała akurat mnie, żeby zatelefonować. Dlaczego nie ogólnodostępny numer policji, dlaczego nie na posterunek, dlaczego nie do Shauna? Chociaż jego akurat mógłbym wykluczyć, bo się pokłócili... - Frank westchnął głęboko. - Nie wiem.

- Tylko nie pozwól, żeby O'Connor to usłyszał.

Roześmiali się jednocześnie.

- Nie przejmuj się tak tym telefonem. Niedługo na pew-

no wszystko stanie się jasne - powiedziała Nora, podchodząc bliżej i ściskając jego ramiona. Pochyliła nieco lampkę. - Tak lepiej.

- Dzięki - odparł.
- Pracuj dzielnie.

Gdy tylko Joe skręcił w alejkę, zobaczył w świetle reflektorów jeopa czubek latarni morskiej, a na galerii otoczonej balustradą - niebezpiecznie wychyloną postać. Zatrzymał wóz i cofnął nieco. Teraz w smudze światła zobaczył jeszcze dwie postacie, stojące na ziemi i machające w stronę desperata. Wcisnął gaz do deski, podjechał do połowy podjazdu, wyskoczył na chodnik i zeskoczył ze stopni na alejce prowadzącej do latarni. W gęstej mżawce zobaczył Ali stojącą na trawie. Robert pospieszył mu na spotkanie.

- Panie Lucchesi - powiedział, wskazując na balkon. -To Shaun. Jest załany. Mówi, że skoczy. - Robert załatywał piwem, ale strach pomógł mu wytrzeźwieć.

- Jezu Chryste - jęknął Joe. - Co tu się działo?

- O Boże, Boże, Boże... - zawodziła histerycznie Ali.

- Piliśmy w domu - wyjaśnił Robert. - W końcu Shau-nowi zachciało się wyjść na deszcz. Zgodziliśmy się. Powiedział, że pokaże nam latarnię. Pobiegnął pierwszy, stanął na górze i od tamtej pory wisi na barierce, twierdząc, że chce umrzeć. Nie wiedzieliśmy, co robić. Nie chcieliśmy zostawiać go samego.

- Gdzie Anna? - spytał Joe.

- Nie wiem. Shaun mówił, że wyszła.

- Brał coś?

- Chodzi o narkotyki? Nie. Tyle że mieszał trunki.

- Cholera - mruknął Joe.

Przez chwilę patrzyli, jak Shaun wymiotuje pod wiatr.

- Chcę umrzeć! - zawył, zbryzgany treścią własnego żołądka.

- A ja chcę cię zabić - warknął cicho Joe.

Robert uśmiechnął się.

- Przepraszam, panie Lucchesi. Nie miałem pojęcia...

- To nie twoja wina - przerwał mu Joe. - Shaun, przeżywa ciężkie chwile. To nieuniknione... Wcale nie chcesz

umrzeć, Shaun! - zawołał głośno. - Złóż na dół, na miłość boską. Zrobię ci kawy.

- Moje życie jest skończone - odrzyknął Shaun, trzymając się mocno balustrady i cofając się nieco. - Katie nie żyje, a wszyscy myślą, że to ja ją zabiłem!

- Nieprawda! - zawołał Robert.

- A skąd możesz to wiedzieć? Twój tata nawet nie pozwala ci mnie odwiedzać!

Robert wzruszył ramionami i spojrział na Joego.

- Chodź już, synu! - krzyknął Joe. - Piwo przez ciebie przemawia, nic więcej. Wejdę na górę i razem wrócimy na dół. Zaczekasz tam, gdzie jesteś?

- Odpieprz się i zostaw mnie w spokoju! - ryknął Shaun, próbując unieść kolano, żeby znaleźć się po drugiej stronie balustrady. Zatoczył się do tyłu i rąbnął plecami w ścianę. Zgięło go wpół i znowu zwymiotował, po czym otarł usta rękawem.

-Jezu... Idę na górę, wy zaczekajcie tutaj - zakomenderował Joe. - On nie skoczy. Nie jest w stanie przełożyć nogi nad barierką.

Wbiegł do środka przez dwuskrzydłowe drzwi i dotarł schodami do komory reflektora. Pchnął drzwi i znalazł się na galerii. Shaun tarł oczy kulakami, raz po raz targany szlochem. Joe przysiadł obok i przyciągnął go do siebie. Poglądził go po włosach, szepcząc, że wszystko jakoś się ułoży. Po chwili krzyknął do Roberta i Ali, żeby wracali do domu.

Pół godziny później zdołał postawić syna na nogi i sprowadzić po schodach na dół. Kiedy szli przez trawnik w stronę domu, Shaun gadał jak najęty, co chwila popadając w zgoła odmierne nastroje.

- Anno! - zawołał Joe, otwierając drzwi.

- Matko! - krzyknął Shaun z angielskim akcentem. -O, matko!

Joe zaśmiał się cicho.

- Nie mówiła, że wychodzi? - spytał.

- Nie. Nie pamiętam. Może. Ale kto to może wiedzieć? -dodał z westchnieniem Shaun.

- W tym stanie raczej mi się nie przydasz. Idź do łóżka, i to już. Albo nie, najpierw pod prysznic.

Shaun oparł się o drzwi i osunął na podłogę. Skulony zamknął oczy i przytulił policzek do szorstkiego dywanika.

- Wstawaj - rozkazał Joe, podnosząc go z wysiłkiem. Zaciągnął go do pokoju. - Dalej radź sobie sam.

Zajrzał do kuchni, pustej i ciemnej. Wszedł na piętro i ponownie zawołał Annę po imieniu. Nie odpowiedziała.

Rozdział dwudziesty czwarty

Stinger's Creek, północne rejony środkowego Teksasu, rok 1989

Drewniane ławki były puste, a zraszacze działały pełną mocą. Sędziwy ogrodnik w cienkiej koszuli sięgnął za plecy, by odlepić wilgotny materiał od spoconej skóry. Duke Rawlins stał przy wielkiej tablicy, która fantazyjnymi, zielonymi literami informowała go, że trafił do Domu Emeryta „Radość”.

Ubrany w poszarpane dżinsy, czarną koszulkę i czarne motocyklowe buciory, Duke ruszył w głąb długiego podjazdu i otarł ręką czoło, gdy dotarł do chłodnego holu budynku. Uśmiechnięta pielęgniarka wskazała mu drogę do windy. Wsiadł na trzecim piętrze i odnalazł szóste drzwi po lewej stronie. Były otwarte. Zapukał delikatnie.

- Pani Genzel? To ja, Duke. Duke Rawlins. Z szóstej klasy.

- Nadal? - Pani Genzel na chwilę oderwała wzrok od widoku za oknem. - Miałam nadzieję, że zrobisz jakieś postępy.

Duke się uśmiechnął.

Pokój o liliowych ścianach pachniał perfumami i różami. Nie było w nim sprzętu medycznego, zbiorników z tlenem, kroplówek, tabletek, syropów, chodzików ani lasek. Na podwójnym łóżku leżały kolorowe, pikowane poduszki. Na białym, żelaznym stelażu wisiał sznur fioletowych lampek w kształcie kwiatków.

Pani Genzel siedziała przy oknie, na krześle o prostym oparciu. Nie zmieniała uczesania i nie przytyła ani kilogra-

ma od czasu, gdy Duke widział ją po raz ostatni - od tego roku, gdy skończył szóstą klasę, a ona przeszła na emeryturę. Miała na sobie szare spodnie, granatowe pantofle, białą bluzkę i biały sweter zawiązywany na tasemki.

- Usiądź - powiedziała. - Choruję z tęsknoty, kiedy od-
suwam się od okna.

- Piękny widok - zauważył Duke, stawiając miękki, różowy
fotel obok jej krzesła.

- Tak. Niektórzy tu wolą oglądać telewizję przez cały dzień.
Prędzej piekło zamarnie, niż do nich dołączyć. Mam swoje
zwykłe książki - wskazała na półkę - i książki na płytach.

Na stoliku przy łóżku stał odtwarzacz kompaktów z wiel-
kimi słuchawkami. Duke przyjrzał się im z daleka.

- Nie lubię tych małych, jak dla niedosłyszących. Albo
nadwerężają mi uszy, albo wypadają - wyjaśniła z uśmiechem.

- Sądziłem, że nie będzie mnie pani pamiętać - powiedział
Duke.

- Pamiętam cię - odrzekła. - I cieszę się, że mnie od-
wiedziłeś.

- Gdy tylko się dowiedziałem, że tu panią znajdę. Podoba
się pani tutaj?

- Bardziej, niż myślisz.

- Fakt, że przytulnie tu. Po domowemu.

- To prawda. Poza tym znalazłam przyjaciół, z którymi
widuję się codziennie. Rozmawiamy, o czym tylko zechcemy, o
książkach, filmach, teatrze, rodzinach...

- O zwyczajnych sprawach.

Skinęła głową.

- A ty, Duke? Co porabiasz? Mam na myśli pracę.

- Ech, różne bywa. Wie pani... Przez jakiś czas pracowałem
w restauracji. Potem na torze kartingowym, niezła zabawa.

- Widujesz czasem swojego przyjaciela, Donalda?

- Bez przerwy. Świetnie sobie radzi. Pracuje w magazynie,
u producenta materiałów biurowych.

Rozmawiali o wszystkim, o czym może rozmawiać dwoje
ludzi, którzy prawie się nie znają, a potem przez jakiś

czas siedzieli w milczeniu. Wreszcie Duke pochylił się, trąc dłońmi o uda.

- To była pani, prawda? - spytał nagle, nie patrząc na nią.

- O czym mówisz?

- To pani ich wezwała. Wtedy, kiedy zginął Sparky. Nie wiem, z jakiego urzędu byli... Przyjechali do nas. Rozejrzeli się. Rozmawiali z mamą. - Duke zacisnął powieki. - I nigdy nie wrócili.

Pani Genzel wyciągnęła rękę i łagodnie położyła dłoń na jego ramieniu.

- Przykro mi. Tak mi przykro...

- Czy to pani?

- Powiedziałabym, że to anonimowy informator - odpowiedziała, klepiąc go po ramieniu.

Duke przez chwilę studiował jej profil, a potem odwrócił się w stronę okna.

- Chyba lepiej już pójdę - powiedział, wstając. Odstawił fotel do kąta i wrócił do pani Genzel. - Proszę na siebie uważać - rzekł.

- Ty też uważaj, Duke.

- Dziękuję - odparł, zatrzymując się przy drzwiach.

Pani Genzel opatulila się ciasniej ciepłym swetrem. Zdjęła okulary i przetrzała je małą, kwadratową szmatką, którą trzymała w kieszeni. Sięgnęła za siebie, po gruby przewodnik turystyczny, który leżał na stoliku. Wysunęła zakładkę i zaczęła czytać, ale po chwili uniosła głowę i znieruchomiała, zapatrzona na ogród.

W otwartych drzwiach stała młoda pielęgniarka.

- No, pani Genzel, jest pani cichą wodą tego przybytku.

Kto to był?

Pani Genzel nie odwróciła się, by odpowiedzieć.

- Żebym to ja wiedziała. Ale nawet nie mam kogo zapytać - dodała, smutno kiwając głową.

Pielęgniarka zdążyła otrząsnąć się ze zdumienia.

- Słodki był.

Żółty trójkołowiec lśnił w słońcu, a wstążki w kolorach tęczy przyczepione do kierownicy zwisały smętnie w mor-

derczym upale. Cynthia Sloane otworzyła na oścież tylne drzwi swego domu. Słońce przeświecało przez jej sukienkę, zaznaczając pod cienkim materiałem linię smukłych nóg. Była zmęczona i obolała. Przez trzy popołudnia z rzędu, gdy tylko próbowała się zdrzemnąć, budziły ją wrzaski kota, który zakradał się na jej podwórko. Miała troje małych dzieci, w tym noworodka, i w zasadzie nie marzyła o niczym prócz snu. Zwierzęcy głos, tak bardzo podobny do płaczu, doprowadzał ją do szaleństwa. Dlatego czekała teraz, ściskając w prawej ręce miotłę. Wreszcie usłyszała głośne miauczenie - tym razem była gotowa. Wybiegła na podwórko i zatrzymała się pośrodku. Usłyszała szelest w cienistym kącie, przy alejce. Ruszyła cicho w tę stronę i zniemacka wepchnęła miotłę w gęsty krzak. Cofnęła się o pół kroku i zaatakowała ponownie.

- Jazda stąd, psik! - zawołała. - Psik, ty mały...

Nagle czyjaś ręka wychyłała się spomiędzy gałęzi i chwyciła trzonek miotły. Szarpnięcie było mocne, a pchnięcie, które nastąpiło zaraz po nim, rzuciło Cynthię na ziemię, Krzyknęła. Donnie skoczył ku niej i zasłonił dłonią jej usta. Sięgnęła po miotłę i zdołała zdzielić go trzonkiem w twarz. Zacieśnił uchwyt i pociągnął ją w stronę zaułka. W cieniu, przy samochodzie, czekał na niego Duke.

Rozdział dwudziesty piąty

Joe, obszedłszy cały dom, zajrzał do gabinetu.

- O, cholera - powiedział, gdy zobaczył na podłodze swoje podanie. - Cholera jasna. - Pokręcił głową i powtórzył: - Cholera.

Przygniatało go poczucie winy, czuł w piersi jego ciężar. W pierwszym odruchu postanowił kłamać, udawać, że list był tylko planem zapasowym. Mógł też odbić piłeczkę poczucia winy na jej pole, twierdząc, że napisał podanie pod wpływem tego, co powiedziała mu o Johnie Millerze. Zaraz jednak pomyślał, że jego żona jest na to zbyt bystra. Nie odeszłaby, gdyby sądziła, że istnieje jakiegokolwiek wyjaśnienie tego listu prócz najbardziej oczywistego.

Gdy to zrozumiał, poczuł złość. Wybiegł myślą ku nieuchronnej kłótni i wyobraził sobie, że krzyczy: „Byćie gliną to całe moje życie, Anno. Dlaczego muszę zawsze robić to, czego sobie zażyczysz?” Żałosne, pomyślał. I nieprawdziwe. Usłuchał jej życzenia tylko raz, przyjeżdżając do Irlandii. Poza tym wiedział, że cokolwiek powie podczas kłótni, nie przyniesie mu pożytku. Wiedział, że w ogóle nie może dojść do kłótni, jeśli Anna ma mu kiedykolwiek wybaczyć. Zastanawiał się nawet, co mu strzeliło do głowy, że napisał podanie, nie mówiąc jej o tym.

Wszedł do sypialni i otworzył drzwi jej szafy, żeby sprawdzić, czy zabrała walizkę. Westchnął ciężko, widząc rząd toreb upchniętych na najwyższej półce. Nawet by nie zauważył, gdyby wzięła jedną z nich. To samo z ubraniami, bielizną, butami.

- Cholera - mruknął.

Usiadł na łóżku, przechylił się i oparł głowę na poduszce.

Czuł słaby zapach jej perfum: cytrynę i zioła. Nigdy nie lubiła mocnych woni. Wszystko w niej było subtelne. Joe zmarszczył brwi. Odejście bez pożegnania nie było subtelne. Wstał i zbiegł na dół, do telefonu. Wybrał numer jej komórki i usłyszał pogodny głos: „Osoba, z którą próbujesz się połączyć, prawdopodobnie wyłączyła aparat lub...” Lub ma cię serdecznie dosyć, pomyślał Joe. Spojrzał na zegarek. Była pierwsza w nocy. Czy Anna naprawdę była tak wściekła, że nie zostawiła wiadomości i nie miała ochoty zadzwonić? Przycisnął dłoń do piersi, żeby złagodzić przeszywający ból. Odsunął zasłonę w okienku przy frontowych drzwiach i wyjrzał. Czuł się tak, jakby szukał kluczy na pustym stole.

Zabrał ze sobą bezprzewodowy telefon, wrócił do salonu i usiadł na kanapie. Włączył lampkę, wziął pilota i przebiegł szybko po kanałach. Zatrzymał się na moment na wiadomościach i ruszył dalej. Wyłączał głośniki za każdym razem, gdy zdawało mu się, że usłyszał jakiś szmer. Wreszcie zrezygnował. Przez chwilę siedział w ciszy.

Ponownie zadzwonił do Anny i raz jeszcze usłyszał ten sam pogodny głos. Znowu ogarnął go gniew. Cokolwiek uczynił, nie zasługiwał na takie traktowanie. Kochał ją, a ona o tym wiedziała. Nie był draniem; nigdy nie był dla niej podły. Przyznała się, że go zdradziła, a teraz odeszła. Może się pomylił? Zadzwonił jeszcze raz.

- No, dalej, Anno...

Sięgnął po pierwszą z brzegu książkę spośród leżących na półce pod stolikiem i zaczął przeglądać fotografie luksusowych hoteli... Znowu pomyślał o Annie. Chciał tylko, żeby wróciła do domu. Nie mógł znieść myśli o tym, że mogła go rzucić. Ich małżeństwo było przecież niegdyś doskonałe. Za każdym razem, gdy Anna wyjeżdżała służbowo albo z wizytą do rodziców, czuł się zagubiony. Choć nie była jedną z tych żon, które robią wszystko, by dogodzić mężowi, gdy tylko zostawał sam, nie miał chęci na nic poza obiadami z puszeki. Było mu słabo na samą myśl o tym, że mogłaby odejść. A wszystko przez jego pracę... Ułożył głowę na oparciu kanapy i przymknął oczy. Ocknął się dwadzieścia minut później, z mocno bijącym sercem. Przez krótką chwilę nie wiedział, gdzie jest.

Rozejrzał się.

- Anno? - zawołał.

Wstał i poszedł do kuchni. Było ciemno. Kolejny raz popatrzył na lodówkę, szukając wiadomości. Omiótł spojrzeniem pusty stół.

Wrócił na kanapę, tym razem w panice. Dochodziła druga trzydzieści. Anna nie mogła mu tego zrobić. Zadzwoił, a gdy nie odebrała, pobiegł do holu po kluczyki od jeepa. Jadąc pod górę, poczuł dziwny dreszcz, gdy mijał miejsce, w którym znaleziono Katie. Zwolnił, mijając dom Johna Millera, a potem znowu przyspieszył.

- Proszę cię, Anno - szepnął. - Przerażasz mnie.

Nerwowo bębnił palcami po kierownicy. Było ciemno i zimno, a jego żona zniknęła, nie mówiąc mu ani słowa. Przeczucie mówiło mu, że coś tu nie gra. Tyle tylko że nie był pewien, czy o tak późnej porze, po tylu bezsennych nocach i pod wpływem poczucia winy powinien ufać swoim przeczuciom. Zastanawiał się, czego właściwie się boi: tego, że coś się jej stało, czy tego, że to głupie podanie tak ją rozsierdziło. Nie chciał być sam. Wyobraził sobie, jak w weekendy przesiaduje z Shaunem w McDonalddie, próbując być jego najlepszym kumplem, tak jak wszyscy inni rozwiedzeni ojcowie, zapatrzeni w obojętne twarze nastolatków.

Nagle dostrzegł jakiś kształt pośrodku drogi. Szarpnął kierownicą i hamując ostro, zjechał w płytki rów. Obejrzał się i zobaczył martwego lisa. Większość kierowców najwyraźniej nie wykazywała się podobnym refleksem. Joe wycofał wóz na szosę i pojechał dalej.

Po kilku minutach znowu sięgnął po telefon i wybrał numer Anny.

- Szlag by to! - wykrzyknął, ciskając aparat na siedze nie pasażera.

Ze ściśniętym żołądkiem jeździł przez długie godziny, tylko po to, by dać jej czas na powrót do domu. Wreszcie zatrzymał samochód na podjeździe i spojrzał na dom, szukając jakiegokolwiek śladu zmiany. Zbliżając się do drzwi, wiedział już, że nic się nie zmieniło, lecz mimo to wszedł na piętro i zajrzał do wszystkich pomieszczeń. Czuł pulsowanie pod czaszką, a szczyki zacisnęły mu się na dobre.

Gdy próbował otworzyć usta, czuł taki ból, jakby wrywał sobie wszystkie zęby naraz. Zaszedł do kuchni po tabletki i połknął zbyt wiele. Usiadł na łóżku w pokoju gościnnym, z telefonem bezprzewodowym i komórką w zasięgu ręki. Głowa ciążyła mu coraz bardziej. Zanim zasnął, pomyślał jeszcze z nadzieją, że rano Anna będzie w domu, być może wściekła, ale cała i zdrowa.

Obudził się, z duszą na ramieniu, gdy rozległ się sygnał telefonu.

Nora nigdy nie lubiła starego fotela Franka, obitego brązowym zamszem i wypełnionego kapokiem. Podłokietniki były wytarte, a okrycie siedziska i oparcia - rozciągnięte. Stał na dole, w holu, czekając, aż ktoś zabierze go na śmietnik. I właśnie w nim znalazła Franka o ósmej rano. Spał z głową odrzuconą do tyłu i półotwartymi ustami. Na podłodze przed nim leżała sterta teczek i segregatorów. Uklękła i delikatnie położyła dłonie na jego rękach.

- Kochanie - powiedziała.

Wolno otworzył oczy i z wysiłkiem skupił spojrzenie na jej twarzy.

- Oho - sapnął. - Zdaje się, że przysnąłem. Która godzina?

- Ósma - odparła Nora. - Czy to jakiś protest? Gdybym wiedziała, że zamierzasz na nim spać, nie proponowałabym, żeby go wywieźć na śmietnik.

Frank się uśmiechnął.

- Przysiadłem tylko na chwilę, żeby mi wzrok odpoczął...

- Do której pracowałeś?

- Do piątej.

- Biedactwo... Coś nowego?

Pokręcił głową.

- Zupełnie nic.

- Chodź - powiedziała, klepiąc jego dłoń i wstając. - Zje my śniadanie.

Joe zasepił się, gdy dotarło do niego, że głos, który słyszy, nie należy do jego żony.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? - powiedziała doktor McClatchie.

-Nie. Ja... Nie.

- Skontaktował się pan ze specjalistą?

-Nie.

- Bardzo głupio mi prosić, ale czy mogłabym spojrzeć jeszcze raz na te fakty, które przyniósł mi pan wczoraj?

-Nie.

- To dla mnie dosyć ważne.

Joe odetchnął głęboko i odpowiedział szybko, by zminimalizować ból w szczęcie, który przez noc tylko się spotęgował.

- Nie powinienem był przychodzić z tą sprawą, pani doktor. Działalem pod wpływem emocji, które być może utrudniły mi osąd sytuacji. Poza tym moja teoria była błędna...

- Ledwie pana słyszę. Mógłby pan trochę głośniej?

Powtórzył, czując tępy ból w dżiąsłach i pulsowanie w skroniach.

- Tak, ale być może te zdjęcia pomogą mi w pewnym projekcie. Rozmawiałam właśnie z...

- Przykro mi - przerwał jej Joe. - Wyrzuciłem je do śmieci, gdy tylko się dowiedziałem, że nie mają nic wspólnego z Katie.

- Ach tak. A kto panu powiedział, że nie mają?

- Ktoś, choć może nie dosłownie.

Joe odłożył słuchawkę i kolejny raz obszedł wszystkie pokoje. Czuł w żyłach na przemian zimne i gorące pulsowanie. Znowu zadzwonił do Anny i połknął porcję pigułek. Położył się na kanapie, czekając, aż ogarnie go przyjemne odrętwienie. Ulga przyszła jednak zbyt szybko i zbyt intensywnie; zamrugał energicznie, by odzyskać ostrość widzenia.

Myles O'Connor opierał się łokciami o dach samochodu. W rękę trzymał telefon komórkowy, a z jego ucha zwisał przewód słuchawki. Przycisnął do ust niewielki mikrofon.

- Posłuchaj! Wiesz, w czym rzecz? Ja jestem młody. On jest stary. Ja zaczynam, a Frank Deegan jest na wylocie.

Świeża krew kontra emeryt. Jak sądzisz, komu może bardziej zależeć na rozwiązaniu tej sprawy niż mnie?

Frank zamarł za murem, ściskając w dłoni torebkę z drugim śniadaniem.

Shaun obudził się spocony i niemal niezdolny do ruchu. Leżał nieruchomo dobre pięć minut, zanim zdołał obrócić głowę. Na stoliku obok łóżka stała półlitrowa szklanka wody. Wyciągnął rękę i strącił ją na podłogę. Chciał powiedzieć „cholera”, ale nie udało mu się odkleić języka od podniebienia. Kiedy wreszcie usiadł, poczuł zawroty głowy i opadł z powrotem na poduszkę. Poczował ruch w żołądku i od razu wiedział, że nie zdąży do łazienki. Wychylił się poza krawędź łóżka i zwymiotował żółcią do miski, którą zostawił mu przewidujący Joe. Po chwili powtórzył, wybałuszając oczy z wysiłku; tym razem poszło mu także nosem. Zakaszłał, czując kwaśny smak w gardle, i znowu pochylił się nad miską. Wymiotował, póki nie opróżnił żołądka. Podniósł z podłogi koszulkę i wytarł nią usta. Położył się, bo świat wciąż kołysał się nieznośnie. Pomału przypominał sobie urywki scen z ostatniej nocy. Wiedział, że Robert i Ali będą się z niego śmiać; bardziej obawiał się rozmowy z rodzicami. Nagle stanął mu przed oczami obraz Katie. Wciąż nie panował nad umysłem, zbyt wiele alkoholu krążyło w jego żyłach.

Joe zapukał i wszedł. Shaun wolno uchylił powieki i pomyślał mgliście, że ojciec wygląda na pijanego. Był nieuczesany i miał przekrwione oczy.

- Przepraszam, tato -jęknął Shaun.

Joe spróbował się uśmiechnąć.

- Nic się nie stało, synu. - Podeszedł do łóżka, odsunął miskę i usiadł. - Chciałem, żebyś się najpierw wyspał...

Po raz pierwszy w życiu Shaun zobaczył w jego oczach strach.

- Kiedy wróciliśmy wczoraj do domu, matki nie było. -Joe mówił wolno, trochę niewyraźnie.

- Co takiego?

- Ona... odeszła - uściślił. Mrugał intensywnie, starając się trzymać głowę prosto. W rzeczywistości jednak chciał

położyć się obok Shauna, zasnąć i obudzić się dopiero wtedy, gdy to wszystko wreszcie się skończy.

- Jak... Jak to odeszła? Dokąd?

- Nie wiem - odparł Joe. - Nie ma jej. Nie było jej już wczoraj, kiedy wróciliśmy. - Powieki ciążyły mu coraz mocniej.

- Tato! Tato! Dobrze się czujesz? Dziwnie wyglądasz... Czy ty piłeś? - Szarpnął ojca za ramię.

- Nie - odparł zdecydowanie Joe. - Nie piłem.

- Ale co mówiłeś o mamie?

- Że odeszła... Albo poszła dokądś.

- Planowała coś takiego?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Nie gniewaj się, ale pamięć masz do bani.

- Wiesz, możliwe, że była... wściekła na mnie albo coś w tym guście.

- Jak to?

- To sprawa między mną a twoją matką.

Shaun zmarszczył brwi.

- Na mnie nie była wściekła. Powiedziała mi, gdyby się dokądś wybierała.

- Albo i nie.

Shaun wyglądał na urażonego.

- Co teraz zrobimy?

- Chwilowo nic. A potem sam się tym zajmę. Idź do szkoły. Zanim wrócisz, będę już w domu.

-Wolałbym zostać... Mógłbym na nią zaczekać. Nie czuję się dobrze. - Shaun opadł na poduszkę.

Joe wstał i zdarł z niego kołdrę. Shaun jęknął i zwinął się w kłębek.

Joe pokręcił głową.

- Pajac z ciebie, i dobrze o tym wiesz.

Frank siedział za biurkiem, zastanawiając się, czego O'Connor naprawdę chciał. Zadał parę pytań o postępy w śledztwie, a potem już tylko stał z rękami w kieszeniach, gapiąc się na morze. Jedyne, co Frank wyniósł z tego spotkania, to poczucie urazy. Czerwienił się na samo wspomnienie zasłyszanej rozmowy. Miał nadzieję, że detektyw

mówił w gniewie albo tylko po to, żeby zrobić na kimś wrażenie, a nie dlatego, że naprawdę tak uważa. Dowiedział się później, że rozmówcą był komisarz Brady, który nie lubił oczerniania podwładnych. Być może o tym właśnie rozmyślał O'Connor, gapiąc się przez okno.

Frank wyjął z torebki kanapkę i odchylił kromkę chleba. Szynka i musztarda. Pociuszające, pomyślał. Zanim zaczął jeść, załatwił jeszcze jedną sprawę: zadzwonił do osoby, której, jak sądził, sprawi przyjemność.

- Doktor McClatchie? Mówi sierżant Frank Deegan z Mountcannon.

- O, witaj, Frank.

- Powiem krótko: pomyślałem, że zainteresuje cię, skąd pochodzą odłamki znalezione w czaszce Katie Lawson. Mówiłaś, że nigdy nikt cię nie informuje o wynikach...

- Otóż to.

- To była muszla. Muszla ślimaka piaskowego, dasz wiarę? Najprawdopodobniej przyklejona do kamienia, którego twoim zdaniem użył sprawca.

- Naprawdę miło, że mnie o tym zawiadomiłeś. Więc jednak ciało zostało przeniesione?

- Tak, ale uważamy, że stało się to zaraz po morderstwie. Poza tym nie znaleźliśmy żadnych innych śladów, więc...

- To sensowna hipoteza.

- Właśnie. Nie zabieram ci więcej czasu...

- Skoro już rozmawiamy... chciałabym zamienić z tobą słowo o pewnej ciekawostce. Otóż odwiedził mnie wczoraj Joe Lucchesi...

- Co takiego?! - zdumiał się Frank.

Lara na wszelki wypadek odsunęła słuchawkę od ucha.

- Widzę, że nie należysz do jego wielbicieli - odparła gładko. - Tak czy inaczej, pokazał mi kopie zdjęć ofiar morderstw, nadesłane ze Stanów. Pytał, czy widzę podobieństwo między nimi a przypadkiem Katie Lawson. Nie widziałam. Oczywiście nie powiedziałam mu tego, ale za uważałam intrygującą rzecz: rany na zdjęciach były nie mały identyczne jak te, które oglądałam ponad trzy tygodnie temu, podczas autopsji tej nieszczęsnej dziewczyny-

ny z Doon, Mary Casey, znalezionej na polu za domem. Sprawdziłam w aktach i... mogłabym przysiąc, że wszystkie te zbrodnie popełniła ta sama osoba. Tę ostatnią może mniej starannie, ale rany i tak są praktycznie identycznie.

- Jezu Chryste - szepnął Frank.

- Jak najbardziej. I jeszcze coś dziwnego: gdy Joe przyszedł do mojego biura, co, musisz przyznać, samo w sobie było śmiałym posunięciem, był... nie powiem nachalny, ale na pewno stanowczy. Widać było, że wie, czego chce. Tymczasem, gdy zadzwoniłam do niego dziś rano, wydawał się wręcz nie zainteresowany. Fakt, że kłamałam co do powodów tej rozmowy... być może to wyczuł... ale odpowiedział mi, że wyrzucił te fakty do śmieci. To naprawdę dziwne, biorąc pod uwagę to, jak daleko posunął się w tej sprawie. Co ty na to?

Dzwonek u drzwi odezwał się trzykrotnie, krótkimi, urywanymi sygnałami. Joe pobiegł, przez chwilę w pośpiechu mocował się z zasuwką, a kiedy wreszcie otworzył, zobaczył kuriera firmy FedEx z grubą, prostokątną paczką i notatnikiem. Joe podpisał kwit i zamknął drzwi. Rozdarł folię i wyciągnął szarą teczkę. Akta Grayów. W środku wyczuwał plik kartek. W takich teczkach przesyłano wyniki badań, dokumenty podatkowe, dane osobowe albo... papiery rozwodowe. Szare tecki każdego dnia przynosiły ludziom złe wiadomości. O tym, co zawierała ta przesyłka, Joe wolał nie myśleć. Przygotował się psychicznie na szok, złagodzony nieco myślą, że przynajmniej tym razem nie znajdzie w środku zdjęć trupów. I rzeczywiście, nie znalazł. Pociągnąwszy za niebieską tasiemkę, otworzył teczkę i zobaczył długą listę nazwisk, z których jedno było zakreślone. To jest to, pomyślał Joe. Czarno na białym, tak jak Danny lubi. Czarno na białym.

Zgięty wpół, Oran Butler kaszlał gwałtownie, trzymając się za gardło i zraszając kuchenną podłogę kropelkami sosu pomidorowego. Wreszcie z jego przetyku wystrzeliła kula mozzarelli i grzybów. Opadł ciężko na krzesło i spró-

bował uspokoić oddech. Po chwili podniósł leżący przed nim plaster pizzy i cisnął go do zlewu. Z salonu przyszedł Richie.

- Wszystko w porządku? - spytał, spoglądając na bałagan.

- Dodatki stanęły mi w gardle - wystękał Oran.

- Nie martw się, posprzątam - powiedział Richie, wskazując na podłogę.

- Tyle to i ja wiem - odparł Oran.

Richie już sięgał po mopa.

- A przy okazji... jutro wpada do nas na słówko twój kumpel.

- Jaki kumpel?

- Detektyw inspektor O'Connor. Szefa nie będzie przez tydzień, więc O'Connor zniży się łaskawie do pracy na ulicy, z wydziałem narkotyków.

- Naprawdę? - zdziwił się Richie. - Spodoba ci się.

- Niekoniecznie, jeśli wieczorem w domu będę musiał słuchać, jak umierasz z tęsknoty za nim.

Joe pędził drogą do Waterford, bacznie obserwując mijane samochody. Szok wytrącił jego umysł ze stanu mglistej podświadomości; Joe czuł we krwi adrenalinę. Nie żałował gazu, podświadomie realizując pragnienie ucieczki - szalonej jazdy tak długo, aż wszystko, co się wydarzyło, będzie za nim, a Anna wróci do domu.

Zaparkował jeepa przy nabrzeżu i pobiegł prosto do księgarni Fingletona, ściskając w dłoni telefon komórkowy. Z perspektywy brukowanej, ruchliwej ulicy sklep wyglądał całkiem zwyczajnie, w istocie jednak zajmował całe trzy piętra kamienicy. Wnętrze było dość ciemne i ciche; pośrodku sali na parterze znajdowało się obniżenie pełne wysokich, czarnych regałów z książkami. Joe szybko przejrzał dział historii naturalnej i wybrał tylko jedną książkę o jastrzębiach Harrisa. Na okładce zobaczył parę ptaków, siedzących czujnie na gałęzi drzewa. Zaczął nerwowo przerzucać kartki, zatrzymując się na zdjęciach i szkicach, a od czasu do czasu czytając przypadkowe fragmenty. Autor był sokolnikiem i z każdego słowa emanował jego zachwyte-

matem. To, jak bardzo ptaki opanowały wyobraźnię pisarza, zaintrygowało Joego. W podobny sposób zawładnęły też duszą mordercy, a teraz być może i gliniarza. Jeszcze przez kilka minut chłonął opowieść o ptakach, rozdarty między nadzieją a rozpaczą i paniką.

Duke Rawlins usiadł na białym drewnianym krześle. Jego twarz oświetlała poświata z ekranu telefonu komórkowego Anny. Naciskał klawisze, wchodząc i wychodząc z kolejnych pozycji menu. Jego kciuk zawisł na chwilę w powietrzu, gdy na wyświetlaczu pojawiła się znajoma gra. Wreszcie Duke obrócił telefon w dłoni, odnalazł mały, czerwony przycisk i ekran zgasł.

Anna leżała skulona na boku, twarzą w stronę ściany sypialni. Wiedziała, że domek, w którym się znalazła, stał na odludziu - przez długie godziny napastnik pozwolił jej zdzierać gardło krzykiem o pomoc, rzucać się w więzach opasujących jej nadgarstki i kostki, daremnie tracić siły. Rozpaczliwe próby nie wyczerpały jej jednak na tyle, by zasnąć w obecności tego człowieka. Zamykała oczy tylko po to, by bronić się przed całkowitą ciemnością: w pobliżu nie było dających nadzieję latarni ulicznych, domów czy samochodowych reflektorów.

Shaun czekał w korytarzu z dziwnym wyrazem twarzy -mieszanią nadziei, ulgi i niepokoju. Spojrzał na torbę, którą Joe trzymał w ręku.

- Byłeś na zakupach? - zapytał z niedowierzaniem. Joe owinął reklamówkę ciasniej wokół książki.

- W ramach rozpoznania.

- Mama nie wróciła - powiedział Shaun oskarżyciel-skim tonem.

- Domyśliłem się.

- Nie sądzisz, że to trochę dziwne? Mama nigdy w życiu nie zostawiała nas tak po prostu. Nigdy.

- Nie, nie sądzę, że to dziwne. W tej chwili uważam, że mama jest na mnie zła i potrzebuje przestrzeni. Gdyby ktoś pytał, powiemy, że pojechała na parę dni do Paryża, zobaczyć się z rodzicami. Będziesz pamiętał?

- Tak. Tylko nie rozumiem, dlaczego musimy kłamać.
- Bo w ten sposób zyskamy na czasie. Mama wróci, ja kupię jej kwiaty, zaproszę na kolację i wszystko będzie dobrze.
- Sam w to nie wierzysz - stwierdził Shaun, patrząc mu w oczy.
- Owszem, wierzę. - Joe spojrzął na telefon i pomyślał, że może warto zadzwonić do Franka.
- Przestań traktować mnie tak, jakbym był niedorozwinięty.
- Nie traktuję cię tak - odparł cierpliwie Joe. - Potrzebuję tylko spokoju.
- Raczej obojętności - parsknął Shaun.
- Synu, jesteś wzburzony. Myślę, że szukasz kogoś, na kim mógłbyś...
- Spójrz tylko na Katie! Co się z nią stało? Zobacz, jak to się skończyło! Może dobrze, co? Powiesz mi, że dobrze? -Shaun podnosił głos w miarę, jak popadał w histerię. -A jeśli ktoś porwał mamę? My tu czekamy jak ostatni frajerzy...
- Nikt nie porwał mamy.
- A jeśli? - upierał się Shaun. Uniósł głowę, jakby nagle przyszła mu do głowy jakaś myśl. - A może ma to jakiś związek z tym dziwnym e-mailem?
- Nie ma - zapewnił go spokojnie Joe. - Okazało się, że zdjęcie wysłał ten przyszły komandos z twojej szkoły.
- Barry Shanley? - spytał zdumiony Shaun.

Frank zawołał Richiego do swojego gabinetu i kazał mu zamknąć drzwi.

- Posłuchaj, zdarzyło się coś ciekawego.

W krótkich słowach opowiedział o Joem, doktor McClat-chie i faksach ze Stanów.

- Ooo - powiedział Richie. - To dziwne.

Frank nieomalże słyszał, jak pracują tryby w jego mózgu. Przypomniała mu się gra, w której trzeba manewrować zębatkami ze szczelinami w taki sposób, by mały pionek trafiał w otwory i zsuwał się na sam dół plastikowego panelu. „Spadanie”. Tak nazywała się ta gra. Frank zastanawiał się, kiedy pionek Richiego dotrze do mety.

- Dzwoniłem do Limerick i rozmawiałem krótko z tamtejszym komisarzem. Jutro mam się z nim spotkać. Jest na wakacjach, w drewnianym domku gdzieś w górach Ballyhoura. Nie mają żadnych tropów w tamtej sprawie. Sprawdzili paru miejscowych podejrzanych, ale wszystkich musieli wykluczyć. A wiadomość od doktor McClatchie jest intrygująca. Poza tym spójrz na to.

Frank obrócił mapę w taki sposób, by Richie mógł na nią patrzeć.

Prawe oko młodego policjanta wróciło na miejsce.

- Nikt nie chciałby łączyć tych spraw - dodał Frank - ale sam zobacz.

Rozłożył mapę, odsłaniając całą południową część kraju. Nakreślił okrąg wokół Doon, gdzie w polu znaleziono Mary Casey, a następnie wokół Tipperary, gdzie zniknęła Siobhan Fallon. Po chwili z namysłem zaznaczył Mount-cannon i spojrzał na Richiego.

- Wszystkie te miejsca leżą na jednym szlaku - powie działo i umilkł na chwilę. - Sądzę, że Joe jest o krok przed nami. I skoro już wiemy o tych ślimakach, trzeba mu przyznać, że miał rację co do trasy, którą pokonała Katie tamtej nocy... bez względu na to, co mówi Mae Miller. Musimy iść dalej tym tropem. Pamiętaj, że Joe ominął nas i pojechał prosto do głównego patologa...

Richie kiwnął głową.

- ...więc musi być coś, o czym nie chce nam powiedzieć - dokończył Frank, po czym westchnął i rzucił pióro na mapę. - I wcale mu się nie dziwię.

Rozdział dwudziesty szósty

Stinger's Creek, północne rejony środkowego Teksasu, rok 1990

Donnie spojrzął na wymyśloną listę nazwisk.

- Szukam Gosposi - zawołał. - Panny Suzy Gosposi.

- Kurewsko zabawne. - Duke stał na podwórku przed swoim domem, w szarych spodniach od dresu i w żółtych, cumowych rękawicach, wykręcając brudną szmatę.

- O cholera - powiedział Donnie. - Okazuje się, że twój dom był biały!

- Co cię dzisiaj opętało...

Donnie obszedł kałużę, żeby obejrzeć z bliska obite deskami ściany. Po lewej stronie drewno było szarobrazowe; po prawej, wyszorowanej, odzyskało białawy kolor. Farba była jednak mocno spękana i odłaziła miejscami, a spod luźnych płatków spływały strumyki brudnej wody.

- Powinieneś pociąć z węża - zasugerował Donnie.

- Jasne. Tylko najpierw wykonam taniec deszczu - odparł Duke.

Donnie pochylił się i usiadł na stopniu.

- Ani się waż! - krzyknął Duke, rzucając mokrą gąbką w jego nagą pierś.

- Sukinsyn - mruknął Donnie. Podniósł gąbkę, zanurzył w kałużę i rzucił, ale niecelnie. Duke roześmiał się i pobiegł za nim. Złapał przyjaciela w pól, od tyłu. Donnie wił się, próbując uciec, ale Duke nacierał mu twarz ubłoconą gąbką, póki śmiech nie odebrał mu sił.

Donnie odskoczył wreszcie i pochylił się, wypluwając drobiny piasku.

- Bez szans -jęknął, potrząsając głową. Po chwili wszedł do domu i wsadził głowę pod strumień zimnej wody.

- Nie masz wrażenia, że dziwnie tu bez Wandy? - zawołał. Duke nie odpowiedział. - Mówilem - krzyknął głośniejszym głosem, wystawiając głowę przez okno - że dziwnie tu...

- Słyszałem - przerwał mu Duke.

Donnie wrócił na podwórkę, podniósł gąbkę z kałuży i ponownie zabrał się do szorowania desek. Przerzywał co kilka minut, żeby powtórzyć:

- Nienawidzę tego gówna.

Duke nie zwracał uwagi na te skargi.

- Naprawdę - wysapał wreszcie Donnie. - Naprawdę nienawidzę tego gówna.

- Wystarczy - powiedział Duke. - Zajmij się wynoszeniem rupieci. Myślisz, że chociaż tyle dasz radę zrobić?

- Alleluja - ucieszył się Donnie. Cisnął gąbkę na ziemię i podszedł do wielkiego kartonu oznaczonego literą X. -Tylko żebyśmy się dobrze zrozumieli: wywalamy wszystko z literą X, tak?

- Tak - odparł Duke. - Już mówiłem.

Donnie rozejrzał się po podwórku i wszędzie zobaczył wielkie ikсы.

- Nic nie zostawiasz w domu? - Pochylił się nad pudełkiem. - To tajemniczy karton z twojej szafy! Poznają na klejkę „nie wchodzić”. Miała wisieć na drzwiach pokoju...

Donnie objął ramionami karton i unióśł go na wysokość pasa, ale ścisnął zbyt mocno i dno się otworzyło. Z otwartymi ustami spojrzął na rozsypaną zawartość.

- Skąd żeś to wszystko wytrzasnął? - spytał. Odwrócił się i spojrzął na Duke'a, czekając na odpowiedź, ale ten tylko popatrzył w niebo. Donnie przyklęknął i zaczął przebierać w stercie nigdy nie rozpakowanych zabawek. Wspaniali bohaterowie akcji za lśniąącymi plastikowymi szybkami, wywrotki, samoloty myśliwskie, rękawice bokserskie, pudełko z cukierkami, zestaw narzędzi dla małego mechanika... Zabawki błyszcząły w słońcu gamą podstawowych barw.

- Przez te wszystkie lata miałeś „Space Invaders”? -wykrzyknął Donnie, wskazując na jedno z pudełek. - He, spójrz na tego - dorzucił, wyciągając rękę w stronę blade-

żółtego misia z metką, na której widniało imię Benton. -Jak mogłeś trzymać biednego Bentona w ciemnej szafie... -Donnie sięgnął po czarną postać - ...z Darthem Vaderem! Chyba że... - Donnie dramatycznie zniżył głos - ...on jest jego ojcem.

Zaśmiał się nerwowo i znowu spojrzął na Duke'a. Przez chwilę czekał w milczeniu, a potem wstał i zaczął pakować zabawki z powrotem do pudła, trzymając w ręku każdą z nich o ułamek sekundy dłużej, niż powinien.

- Może... No, wiesz... oddalibyśmy je do jakiegoś domu dziecka czy coś?

- Ślepy, kurwa, jesteś? Nie widzisz X na kartonie? Wielkie, pieprzone, czarne X!

Duke wniósł do sypialni wiaderko z czerwoną farbą. Ściany były szare, z beżowymi pasami tu i ówdzie. Wanda nigdy nie dokończyła tapetowania, które zaczęła, gdy wprowadzili się do tego domu.

- Dobra, co teraz? - spytał Donnie, dołączając do niego. Rozejrzał się po pokoju i podrapał się po nagim brzuchu. - Komoda?

- Zastanawiam się, czy nie zrobić jednej ściany czerwonej, a drugiej czarnej - powiedział Duke, wskazując palcem. - Jak myślisz?

- Dobry pomysł. Wynosimy komodę? - powtórzył Donnie, klepiąc dłonią w blat.

-Tak.

Pochylili się, pochwycili mebel za końce i unieśli, przechylając tak, by nie wysunęły się szuflady. Kiedy wychodzili, Donnie zahaczył ramieniem o ościeżnicę.

- O cholera -jęknął. Upuścił swój koniec komody i obejrzał się, by ocenić skutki. - Widzę kawał luźnej skóry - powiedział.

- Zaraz przyniosę masę - odparł Duke. - A teraz bierz komodę i idziemy.

- Do pikapa? - spytał Donnie, schodząc tyłem z ganku.

-Tak.

Wstawili ciężar na pakę i ruszyli z powrotem w stronę domu.

- To już wszystko... jeśli nie liczyć łóżka - powiedział Donnie.

- Sam się nim zajmę.

- Sam nie dasz rady.

- Idź, zapal sobie - poradził Duke, przeskakując po dwa stopnie.

Donnie wzruszył ramionami, wyjął marlboro z kieszeni džinsów i poszedł w cień. Widział w oknie sylwetkę Duke'a, który z wysiłkiem unosił materac do pionu.

- Jak skończę, przyjdę ci pomóc! - zawołał.

- Dobra.

Duke rzucił materac z powrotem na łóżko i zniknął na chwilę, a kiedy pojawił się ponownie, trzymał w ręku piłę.

- Może i słusznie - ocenił Donnie, gdy wrócił do pokoju i omiół spojrzeniem stertę wiórów i resztki materia. - W całości pewnie nie przeszłoby przez drzwi.

Duke rzucił piłę na podłogę.

- Maść - przypomniał mu Donnie.

- A, tak. W łazience.

Duke otworzył szafkę i wyjął spłaszczoną tubkę, zwiniętą już niemal do końca. Wycisnął na palec odrobinę maści i chwyciwszy Donniego za ramiona, odwrócił go w stronę światła. Donnie spojrzał na siebie w lustrze i wciągnął brzuch.

- Robiłeś to już kiedy? - spytał, próbując obserwować poczynania przyjaciela.

- Robię teraz - odparł Duke, delikatnie rozprowadzając maść po uszkodzonej skórze. Znowu sięgnął po tubkę i wycisnął jeszcze trochę.

Donnie przestąpił z nogi na nogę.

Duke cofnął się o krok. Jego drżąca ręka zawisła u podstawy kręgosłupa Donniego.

Rozdział dwudziesty siódmy

Joe wyszedł spod prysznica skoncentrowany, wolny od oglupienia wywołanego działaniem tabletek i cokolwiek zszokowany, że powoli odzyskuje poczucie kontroli. Przepasał się ręcznikiem i spojrzął w lustro. Wyglądał na zmęczonego, ale wzrok miał przytomny. Nie zrozumiał, jak mógł być tak nierozważny - zostawić dom i Shauna samego, jeździć samochodem w takim stanie... Ledwie pamiętał, jak dotarł do Waterford. Poszedł do sypialni i sięgnął po zielonkawą puszkę LV8 stojącą na kredensie. Popił cztery tabletki Fuel It. W tym momencie zadzwonił telefon komórkowy. Na ekranie wyświetlił się numer Anny. Kolana ugięły się pod Joem.

- Dzięki...

- Witaj.

Joe zeszczywniał, słysząc zaciągający po teksańsku, męski głos.

- Halo? - odezwał się Duke. - Halo?

- Zabrałeś Annę... moją żonę?

- Wiem, kim jest Anna. A jak sądzisz?

Serce Joe zabiło mocniej, boleśniej.

- Proszę - powiedział. - Proszę, nie rób jej krzywdy... Duke roześmiał się.

- Pod warunkiem że obiecasz nie zastrzelić mojego part nera.

Joe zawahał się.

- Pogadamy o tym innym razem - oznajmił Duke.

Joe wpadł mu w słowo.

- Musisz wiedzieć, że... - Myślał intensywnie o dwóch słowach z teczki przysłanej przez Danny'ego. Walczył ze

sobą. Czy powinien powiedzieć Rawlinsowi, co wie, czy lepiej poczekać. - ...że moja żona...

- Co? - przerwał mu Duke. - Jest diabetyczką? Potrzebuje cukru albo nie potrzebuje cukru? Potrzebuje lekarstw, bo inaczej umrze? No, wiesz, jak w filmie.

- Nie - odparł wolno Joe. - To jest bardzo rzeczywista sytuacja. Wiem o tym. Sprawa jest ważna dla nas obu. Obaj czegoś chcemy... Ja na przykład chcę, żeby Anna, moja żona, bezpiecznie wróciła do domu. - Głos zdrzął mu nieznacznie. - A czego pan chce... panie Rawlins? - Joe umilkł, spoglądając w sufit.

Usłyszał cichy grzechot. Rawlins odłożył telefon i zaczął klaskać. Po kilku sekundach podniósł słuchawkę.

- Znasz się na robocie. „Panie Rawlins”, to mi się podoba. No, ale nie zabierałbym ci żony, gdybym miał ją zaraz oddać, nieprawdaż? Gdzie tu sens?

- Czy Anna jest cała i zdrowa? - spytał Joe. - Nie zrobił jej pan krzywdy? Chciałbym z nią porozmawiać. Proszę.

- Mówiła, żebym cię pozdrowił - odparł Duke. - Żartuję. Nie mówiła.

- Proszę mi powiedzieć, czego pan potrzebuje, a ja to załatwię - powiedział Joe. - Obiecuję.

- Czego potrzebuję? To moja sprawa. A czego ty potrzebujesz, Joe? To znacznie bardziej interesujący temat. To w zasadzie mój priorytet w tej całej sprawie.

- Nie rozumiem.

- Kiedy skończymy, nie będzie ważne, co rozumiesz, a czego nie, detektywie. Będzie po wszystkim. To ślepa uliczka. A kiedy kończysz w ślepej uliczce, zupełnie nieistotne jest to, jak się tam znalazłeś.

- Proszę mi pozwolić porozmawiać z żoną.

-Nie.

- A mogę ją zobaczyć?

Duke parsknął cicho.

- Przyjedź na parking przy wielkim urwisku, niedaleko przystani, za pięć minut. Czekać no, jak się nazywały te zwierzaki? Aha, lemingi.

Śliski od potu telefon wysunął się z dłoni Joego i z trzaskiem upadł na podłogę.

Frank Deegan był już w połowie ścieżki, gdy zatrzymało go wołanie Nory.

- Przypomniałam sobie, co ci miałam wczoraj powiedzieć... Możliwe, że zrobiłam coś głupiego - wyznała, podchodząc bliżej. - Pozwoliłam, żeby Anna Lucchesi zobaczyła to zdjęcie, które dał ci Joe. To policyjne.

- Jakim cudem?

-Przepraszam... Całkiem przypadkowo. Zawieruszyło się pomiędzy moimi papierami. Anna wyglądała na mocno poruszoną. Pomyślałam sobie, że może zdenerwowała się, bo Joe nie dopuścił jej do sprawy, cokolwiek to było... -Nora umilkła na moment. - Ale teraz wydaje mi się, że po prostu była bardzo niespokojna.

- Jak to niespokojna?

- Widziałam, jak drżało w jej ręku to zdjęcie. Potem zasłoniła dłonią usta... Rozglądała się nawet, jakby w panice,

Frank znał tę reakcję. Zwykle następowały po niej słowa: „To on. To ten człowiek”.

Joe pobiegł do jeepa i w pośpiechu opuścił Shore's Rock. Gdy mknął w stronę wioski, w jego głowie kotłowały się napędzane kofeiną myśli - w końcu miał w sobie odpowiednik osiemnastu łyżeczek kawy.

Znowu pomyślał o Hayley Gray. Pamiętał jej rodziców, jak czekali, bezsilni, ponieważ wezwali policję. Gordon Gray siedział na kanapie i czytał gazetę. Joe miał wrażenie, że to zimny, obojętny człowiek. Lecz nagle ojciec Hayley Gray zerwał się na równe nogi i krzyknął:

- Co ja tu robię? Co powinienem robić? Oglądać telewizję, pracować? Co, do ciężkiej cholery, mam robić, kiedy dzieje się coś takiego? - Urwał nagle, a w ciszy, jaka zapadła w salonie, jego kolejne, wypowiedziane szeptem słowa brzmiały jak krzyk. - To przeze mnie. - Wpatrywał się w Joego bez mrugnięcia okiem, z otwartymi ustami. - O Boże, to moja wina. To wszystko moja wina.

Joe patrzył przed siebie. Teraz już wiedział, co czuł wtedy Gordon Gray. To była jego wina. Zapłata za to, co zrobił z Donaldem Riggssem. Być może mylił się co do Katie, może

nie miał racji co do kobiet zabitych w Teksasie, ale jednego był już pewny: Duke Rawlins miał go na celowniku.

Zastanawiał się, jak wykorzystać informację, którą znalazł w aktach Grayów. Na samą myśl o tym, że mógłby to zrobić, poczuł przypływ paniki. Mocniej ścisnął kierownicę i docisnął pedał gazu do samego końca. Pomyślał, że warto zadzwonić do Franka Deegana, i nawet sięgnął po telefon komórkowy, ale zaraz stanęły mu przed oczami ostatnie sekundy życia Hayley Gray... Duke Rawlins mógł być pewny jednego: że Joe nie wezwie policji na pomoc.

- Kogo bardziej kochasz, męża czy syna? Gdybyś musiała wybierać - spytał nagle Duke.

- Syna - odparła spokojnie Anna.

Duke zaśmiał się z cicha.

- Tak po prostu? - spytał.

- Tak. Odchodzę od męża.

- Pierniczysz.

- Nie. To już koniec. - Serce biło jej bardzo mocno, gdy Duke wpatrywał się w jej twarz.

- Lepiej, żebyś nie pierniczyła.

- Już powiedziałam. Proszę nie robić krzywdy mojemu synowi.

Duke popatrzył na nią jeszcze przez chwilę, a potem zamachnął się i mocno uderzył ją w twarz wierzchem dłoni. Rozbił jej dolną wargę.

- Całkiem nieźle ci poszło - powiedział, odgarniając włosy z jej twarzy, by spojrzeć jej w oczy. Płakała. - Tylko mi tu, kurwa, nie kłam więcej. Nigdy nie dokonałabyś wyboru między nimi. Masz to wypisane na tej swojej chudej francuskiej buźce.

- Przepraszam - szepnęła. - Przepraszam... Duke wzruszył ramionami.

- Za późno - rzekł. - Zrealizujemy plan B. Tak dla jaj.

Barry Shanley szedł do szkoły, pisząc wiadomość na klawiaturze telefonu, gdy ktoś złapał go za plecak i pociągnął ku ziemi. Telefon upadł na chodnik. Barry wierzgał nogami, próbując stanąć na nogi, ale zdołał jedynie przewrócić

się na bok, gdy Shaun ponownie pociągnął go za plecak. Palce Barry'ego bezsilnie drapały kamień.

- Zostaw mnie - warknął, usiłując się uwolnić.

- Pieprz się - odparł Shaun. - Jesteś pierdolnięty, wiesz o tym? Przysyłasz mi e-maile jak jakiś psychol!

- Napędziłem ci strachu, co, Szczęściarzu?

- Oszalałeś? Moja mama o mało... - Shaun urwał i zacisnął powieki.

- Ach, twoja mama! - podchwycił Barry. - Ty cipo.

Zsunął plecak z ramion i rzucił na ziemię. Stał na palcach i drobiąc nogami, uniósł ramiona w górę. Shaun parsknął pogardliwie.

- Umieram ze strachu, Karate Kid.

Barry spróbował trafić go w szyję kantem dłoni, ale Shaun pochwycił go w locie za nadgarstek i wykręcił mu rękę, ciągnąc w górę tak długo, aż usłyszał okrzyk bólu. Po chwili pchnął Barry'ego na ziemię.

- Szkoda mi czasu, żeby się z tobą bić — powiedział.

Pochylił się i podniósł telefon Barry'ego. Przewinał wiadomość i przeczytał ją na głos. - „Nagraj mi *Home and away*.

Będę o 7. Całuski". Powiedz no, do kogo chciałeś to wysłać?

O, już widzę: do mamusi. Pieprz się, Shanley.

Joe zmarszczył brwi, widząc w oddali kobietę stojącą na poboczu.

- Co u licha...

Kołysała się na boki jak pijana, z wysiłkiem unosząc ramiona, by go zatrzymać. Joe spojrział na zegarek. Za trzy minuty miał być na parkingu. Rozejrzał się, mając nadzieję, że ktoś inny znajdzie się w pobliżu i pomoże tej kobiecie.

1 wtedy zauważył krew sączącą się z jej ramienia. W pobliżu nie było śladów wypadku ani innych poszkodowanych, za to kobieta, gdy zbliżył się do niej, zaczęła dawać mu jeszcze bardziej rozpaczliwe znaki.

- Cholera - mruknął, zatrzymując się obok niej.

Wyciągnęła rękę w stronę klamki, ale nie trafiła na nią i dopiero po kilku próbach zdołała otworzyć drzwi. Osunęła się na fotel pasażera, a Joe, patrząc na nią bez słowa, poczuł, że włosy jeżą mu się na karku.

- Bardzo dziękuję, że się pan zatrzymał... Strasznie dziękuję - powiedziała.

Jej twarz była czerwona i spocona z wysiłku. Oddychając ciężko, kobieta odgarnęła włosy z twarzy. Jeden z kosmyków zahaczył o złotą pętlę jej koleczka.

- Co się stało? - spytał Joe.

- Jakiś maniak mnie zaatakował! Spacerowałam sobie, a on nagle pojawił się znikąd. - Spojrzała na Joego szeroko otwartymi oczami. - Chyba chciał mnie zgwałcić - dodała.

Joe spojrział na jej bujne kształty. Siedzenia w jeepie były szerokie, ale jej krągłości nieomal wylewały się z fotela. Tylko bardzo potężny mężczyzna mógł odważyć się na atak. Być może tylko dzięki swej tuszy uszła z życiem.

- Muszę jechać do szpitala. Dźgnął mnie nożem - wyjaśniła. Wyglądała na zdumioną tym, co się wydarzyło. A potem zniecierpliwienie wyrzywił jej twarz, jakby chciała dodać: „Dupek jeden”.

- Proszę pokazać - powiedział Joe, ruchem głowy wskazując na ramię. Zawahała się. - Jestem policjantem - uspokoił ją.

Odchyliła sweter, odsłaniając głębokie rozcięcie biegnące ukośnie przez jej pulchne przedramię. Było proste i czyste; Joe wyobrażał sobie, że cios został wyprowadzony z góry na dół, w chwili gdy ofiara próbowała osłonić twarz ramieniem. Włączył silnik i spojrział na ranę.

- To nic groźnego - powiedział. - Niestety, nie mogę zawieźć pani do szpitala. Mam pilne spotkanie...

- Spotkanie?! Przecież jest pan policjantem! - oburzyła się. - Nie może pan tak po prostu...

- Nie jestem na służbie - przerwał jej. - Przykro mi. Zawiozę panią na posterunek policji, a tam sierżant Frank Deegan albo jego kolega, Richie Bates, zajmą się panią. Zawiozą do szpitala. Niech pani powie, że przywiózł panią Joe Lucchesi.

Znowu spojrział na zegarek. Miał już trzy minuty spóźnienia, a wjeżdżał dopiero na główną ulicę, chcąc się zatrzymać pod Danaher's.

- To tam - powiedział, wskazując kierunek.

Nie wysiadła z wozu. Nie zamierzał prosić, żeby to zrobi-

ła. Obiegł samochód dookoła, otworzył drzwi i podtrzymując ją delikatnie za zdrowe ramię, wyprowadził na ulicę.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił ją, ściskając jej dłoń. - Przykro mi, że spotkało panią coś takiego i że muszę panią tak zostawić.

- Dziękuję - odpowiedziała. - Jest pan bardzo... miły.

Wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozplakać. Joe wskoczył do jeepa, zawrócił i pomknął w stronę wybrzeża. Spóźnił się o cztery minuty. Adrenalina burzyła mu krew, a dłonie drżały, gdy wysiadał z wozu i rozglądał się po pustym placu.

Detektyw inspektor O'Connor siedział za biurkiem przed rzędem otwartych segregatorów. Irytowało go wszystko, co czytał. Wydział Narkotyków tworzyło sześciu funkcjonariuszy. Z dokumentów wynikało, że w ciągu ostatniego roku nie dokonali absolutnie niczego. Tyle wiedział już wcześniej, ale teraz, gdy przeczytał akta za jednym posiedzeniem, zaczął się zastanawiać. Co się działo z tymi ludźmi, odkąd ich opuścił?

- Ooo - powiedział Duke. - Kto się spóźnił na imprezkę?

Joe zamarł.

Głos w słuchawce brzmiał tak, jakby rozmówca znajdował się w zamkniętym pomieszczeniu. Joe rozejrzał się, ale parking był pusty. Ani jednego samochodu, ani jednego człowieka.

- Nie mógłby pan po prostu...

- Mógłbym zrobić wszystko, na co mi przyjdzie ochota, kolego - przerwał mu Duke. - Bo to ja złapałem żabkę. Całkiem uroczo, nawiasem mówiąc. Jak Ribbit.

Joe nie wiedział, co robić.

- Ja... Daj spokój, człowieku. Dam ci wszystko, co zechcesz - powiedział, przechadzając się nerwowo w tę i z powrotem.

- Chciałem, żebyś tu był o trzeciej trzydzieści.

- Jest trzecia trzydzieści pięć.

- No i dlatego mówię, że spóźniłeś się na imprezkę. Nie

trzeba było zatrzymywać się przy tej dziewczynie, pieprzony frajerze.

Rawlins przerwał połączenie,

Joe spróbował zapanować nad przyspieszonym oddechem. Skoncentrował się na otoczeniu. Z wysokiego urwiska nad przystanią widać było jedynie mały fragment wioski. Droga do Shore's Rock była zupełnie niewidoczna, z wyjątkiem pierwszego zakrętu za wioską. Joe zmarszczył brwi. Z miejsca, w którym stał, w żaden sposób nie mógł dostrzec szosy, na której zatrzymała go dziewczyna. Rawlins mógł więc widzieć go tylko w chwili, gdy podjeżdżał pod Danaher's, ale na pewno nie zauważyłby pasażerki. Chyba że wcale nie zamierzał przywozić Anny na parking, a obserwował okolicę z zupełnie innego miejsca. Joe wskoczył do samochodu i ruszył w powrotną drogę, co pewien czas zatrzymując się i zaglądając między drzewa rosnące wzdłuż szosy. Szukał śladów Rawlinsa; nie mógł znieść myśli, że Anna przez cały czas mogła być ledwie o kilka metrów od niego. Nie znalazł jednak niczego. Dotarłszy do Shore's Rock wolno skręcił na podjazd. Gdy tylko wszedł do domu, zatelefonował na posterunek.

- Frank? Cześć, tu Joe. Chciałem tylko sprawdzić, czy zawiozłeś już tę dziewczynę do szpitala.

Cisza.

- Frank?

- Jaką dziewczynę?

- Tę, którą zostawiłem przed Danaher's. Ranioną nożem. Mówiłem jej, żeby poszła do ciebie. Potrzebowała pomocy medycznej, a ja musiałem... Jezu, mam nadzieję, że nie zemdlą na ulicy!

- Joe, nie mam pojęcia, o czym mówisz. Siedzę tu od samego rana. Nikt tu nie zająztał i nikt nie zemdlął przed Danaher's. Gdyby było inaczej, chyba bym coś o tym wiedział. Dobrze się czujesz, Joe?

Joe wyobraził sobie dziewczynę umierającą na ulicy z upływu krwi... A zaraz potem Franka, stojącego przy kontuarze w głębokim przekonaniu, że rozmawia z szaleńcem. I wtedy zrozumiał.

- Muszę lecieć - powiedział.

Pobiegł do gabinetu, otworzył książkę o jastrzębiach, przejrzał indeks i szybko odszukał właściwą stronę. Wodząc palcem po literach, czytał: „polują zespołowo”, „pracują w parach”, „obserwuje z dużej wysokości”, Jeden nagania, drugi zaś atakuje”...

Podniósł słuchawkę i ponownie wybrał numer do Franka.

- Przepraszam za to, co przed chwilą - powiedział. - Totalne nieporozumienie. A teraz zastanawiam się tylko... Pamiętasz tę zaginioną dziewczynę z Tipperary? Tę z ulotki na waszej tablicy ogłoszeń? Taka duża...

- Tak - odparł Frank. - Siobhan Fallon.

- O, właśnie. Czy mógłbyś spojrzeć na jej zdjęcie i podać mi znaki szczególne?

- Ma duży pieprzyk na lewym ramieniu, kolczyk w pępku i trzy złote kółka w prawym uchu.

Joe poczuł na twarzy falę gorąca. Najpierw ogarnęły go mdłości. Potem gniew. A potem szal.

Zdołał jeszcze podziękować Frankowi, nim się rozłączył, nie czekając na nieuniknione pytania.

Frank spojrział na Richiego.

- Właśnie odbyłem dziwną rozmowę. Joe Lucchesi chciał poznać znaki szczególne tej dziewczyny, Fallon - powiedział, wskazując na ulotkę z portretem zaginionej. Zmarszczył czoło. - Możesz mi to jakoś wyjaśnić?

Shaun przyszedł do domu w porze lunchu i nie zamierzał już wracać do szkoły. Miał nadzieję, że zastanie matkę, ale dom wciąż był pusty i zimny. Usiadł w kuchni, zbyt osowiały, by przygotować sobie coś do jedzenia. Uniósł głowę, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Nie odezwał się; miał zakaz otwierania komukolwiek. Sygnał rozległ się ponownie, a po chwili ktoś głośno załomotał w drzwi.

- Pani Lucchesi? - odezwał się głos o mocnym, dublińskim akcencie. Nazwisko zabrzmiało bardziej jak „Le Chessy”.

Shaun ruszył w stronę drzwi, zastanawiając się, co robić. Zobaczył za szybą pulchnego mężczyznę wskazującego palcem na notatnik, który trzymał w ręce. Patrząc na nie-

go, Shaun omal się nie roześmiał. Nie wyobrażał sobie, by ktoś taki mógł być niebezpieczny. Uchylił drzwi.

- Przywożłem balony - powiedział mężczyzna.

Shaun wyglądał na zszokowanego.

- Jezu -jęknął facet, spoglądając na rachunek. - Chyba nie dla ciebie ta niespodzianka, gościu? No nie, na pewno nie. Zdecydowanie nie masz jeszcze czterdziestki - dodał i roześmiał się hałaśliwie.

- Pewnie chodzi o tatę. To dla niego.

- Mam nadzieję, chłopcze, że nie będziesz prezentował się tak żałośnie, wręczając mu te balony. - Mężczyzna znowu się zaśmiał, a Shaun kolejny raz pomyślał, że to dziwne: ludzie żyją zupełnie normalnie, nawet gdy komuś świat wali się na głowę.

- Zapłacone z góry? - wybąkał.

- Tak - odparł mężczyzna. - Na szczęście, sądząc po twojej przerażonej minie. Nic się nie martw, matka zapłaciła.

- Przyjechała z panem? - spytał Shaun podniecony. Wychylił się i spojrzął na podjazd.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

- No... nie. Płaciła kartą, przez telefon.

- Dzisiaj? - spytał Shaun, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami.

- Nie. W zeszłym tygodniu.

- Ach tak.

- Zgrana z was rodzinka, co? - zakpił mężczyzna, a potem skinął głową w stronę furgonetki. - Gdzie zanieść?

Shaun rozejrzał się, jakby miał znaleźć odpowiedź gdzieś między drzewami.

- Tam, do latarni morskiej.

Mężczyzna spojrzął z namysłem na ścieżkę.

- Wiesz co, kolego? Sam sobie poradzisz. Nie ma ich znowu tak dużo...

Wrócił do furgonetki i wyjął z niej trzy przezroczyste worki foliowe związane u dołu wspólnym węzłem. W każdym z nich znajdowało się pięć balonów napełnionych helem. Całość była obciążona granatowym balonikiem wypeł-

nionym piaskiem. Na wszystkich balonach widniał napis:
„Szczęśliwej czterdziestki”.

- Dzięki - powiedział Shaun.

- Hej - rzucił mężczyzna przez ramię, odchodząc. - Roz-
chmurz się!

- Twoja żona mnie okłamała - powiedział Duke. Joe usłyszał
w słuchawce odgłos uderzenia w twarz. - Więc udzieliłem jej
lekcji. - Policzek. - Otóż próbowała mi wmówić, że cię rzuca.
Prosiła tylko, żebym nie krzywdził małego Shauna. - Policzek. -
Obraziła tym moją inteligencję. -Ostatni policzek.

- Dość gadania o mojej żonie, Rawlins - wycodził Joe
lodowatym tonem. - Porozmawiajmy o twojej.

Rozdział dwudziesty ósmy

Stinger's Creek, północne rejony środkowego Teksasu, rok 1991

- Przepięknie wyglądasz - powiedział Vincent Farraday. - Służę ramieniem.

Wanda Rawlins miała na sobie liliową garsonkę ze spódniczką sięgającą kolan, białe pończochy oraz białe pantofelki. Pochyliła się nisko, wysiadając z samochodu, i przytrzymała ręką liliowy kapelusz, by nie porwał go wiatr.

Spojrzała na mały drewniany kościółek i na łuk nad wejściem, upleciony z białych róż.

- Jakie to śliczne, Vince - powiedziała, dotykając kącików oczu koronkową chusteczką. - Jest tak, jakbym zauważała rzeczy, których nigdy wcześniej nie widziałam.

- Już dobrze, moja mała - odparł Vincent. - Ciesz się tym dniem. I zapomnij o wszystkim, co było złe.

- Spróbuję - odrzekła.

Wielebny Ellis przeszedł pod różanym łukiem i stanął w pełnym słońcu, osłaniając oczy książeczką do nabożeństwa. Machnął ręką w stronę Wandy i podszedł bliżej.

- Wanda Rawlins, minęły chyba ze dwa lata. Witaj w domu - powiedział, ściskając jej dłoń. - Tak się cieszę, że wracasz w dobrym zdrowiu. - Uśmiechał się ciepło i szczerze. - Mam nadzieję, że to coś więcej niż chwilowa wizyta.

- Niestety, chwilowa, ojciec. Mieszkamy teraz w Denison.

- A to zapewne ten szczęśliwiec - powiedział wielebny Ellis, ściskając prawicę Vince'a.

- Tak jest. Nazywam się Vincent Farraday. Miło mi ojca poznać.

- Witamy v/ Stinger's Creek. A teraz proszę wybaczyć, muszę poszukać pana młodego.

Duke siedział zgarbiony za kościołem i palił papierosa.

- Panie Rawlins, jak się pan czuje w. tym szczęśliwym dniu?

- Dzięki, świetnie, pastarze - odparł Duke, wstając. -Tylko garnitur mam pół numeru za ciasny - dodał, dotykając granatowego aksamitu. Zauważył drobiny popiołu na żabocie koszuli i strząsnął je palcami, by uleciały z wiatrem.

- Jestem pewien, że Samantha nie zauważy - powiedział wielebny Ellis.

- Nikt nie będzie patrzył na mnie - odrzekł z uśmiechem Duke. - Ten dzień należy do Sammi.

Wielebny Ellis wprowadził go do świątyni tylnymi drzwiami. Duke przystanął przy ołtarzu i z wrażenia zabrakło mu tchu, gdy w pierwszym rzędzie zobaczył matkę. Pomachała mu nieśmiało, z nerwowym uśmiechem. Zbliżył się.

- Mamo... - Skąd wiedziałas?

- Widuję w kościele w Denison siostrę twojej teściowej.

- Chodzisz do kościoła?

Wanda zarumieniła się.

- I mieszkasz w Denison?

- Tak. A to mój mąż, Vincent - powiedziała Wanda. -

Pomógł mi przejść... no, wiesz.

Duke widział poczucie winy i strach w jej oczach, maskowane nieśmiałym uśmiechem na zaokrąglonej twarzy. Zastanawiał się, jak mogła żyć, wiedząc to, co wiedziała. Był wściekły, ale uprzejmie uściśnął rękę Vincenta, który zrewanżował mu się szerokim uśmiechem.

- Cieszę się, synu, że tu jestem.

- Dziękuję - odparł Duke i wrócił na swoje miejsce przy ołtarzu. Spojrzał na zegarek i się rozejrzał.

Po chwili podszedł do niego wielebny Ellis.

- Obawiam się, że mam przykrą wiadomość od Donal da - powiedział. - Dzwonił, że stoi w korku, był wypadek na międzystanowej. Nie zdąży na ślub. Mówił, że ty masz obrączki, synu, więc możemy zacząć bez niego. Powinien zdążyć na wesele.

Duke pokręcił głową i rozejrzał się po sali, szukając zastępcy. Zobaczył niemal wyłącznie bliższych i dalszych krewnych Sammi. Jediną osobą, którą mógł poprosić, był Vincent. Duke przywołał go gestem.

Nagle zabrzmiała muzyka i podwójne drzwi kościoła otworzyły się szeroko. Ojciec Sammi prowadził ją trzymając pod prawe ramię. Jej trwała lśniła, a brązowe loki opadały poniżej ramion. Z przodu były zaczesane wysoko, a z tyłu spięte pod długim, białym welonem. Suknia lśniła drobnymi perełkami. Ojciec Sammi podał Duke'owi jej dłoń. Uśmiechnął się z rezerwą, gdy Duke uścisnął mu rękę.

Gdy msza dobiegła końca, goście przeszli na drugą stronę ulicy, do Baru Kolejowego, lokalu o nazwie o tyle ironicznej, że linia kolejowa ominęła Stinger's Creek szerokim łukiem już w dziewiętnastym wieku, na zawsze przekreślając jego szanse rozwoju.

Parkiet był niewielki, toteż pary ocierały się w tańcu, stłoczone w drewnianym kręgu. Kobiety w obcisłych atłasowych sukniach, wykończonych koronką i mocno opinających wystające brzuchy, kołysały się niepewnie na zbyt wysokich obcasach. Mężczyźni przeżyli się w garniturach albo wąskich spodniach i ozdobnych, kowbojskich koszulach. Pili piwo, poprawiali whiskey i raz po raz pokrzykiwali na orkiestrę. Duke stał na skraju parkietu, obserwując rozkołysane biodra swojej młodej żony, która z głową odrzuconą do tyłu i z zamkniętymi oczami tańczyła w rytm muzyki.

- Dobrze się bawisz? - spytała, zbliżając się tanecznym krokiem. Uszczypnęła go lekko w policzki i pocałowała w usta.

- Jasne, że tak - odparł. - Tylko trochę mi smutno, że wujek Bill tego nie doczekał.

- Wiem, kochanie. Z tego, co mówisz, to był cudowny człowiek. Szkoda, że go nie poznałam.

- Ja też żałuję. Wiesz co, Sammi? Jesteś najpiękniejszą panną młodą na świecie. I obiecuję, że będę ci wierny do końca życia. Wiem, że popełniałem błędy, ale jednego

jestem pewien: kiedy ktoś znaczy dla mnie tyle co ty, jestem mu winien lojalność. Zdecydowanie tak. - Jego słowa brzmiały coraz bardziej bełkotliwie.

- Tylko mi się dziś nie upij - ostrzegła.

- Tak jest, proszę pani - odparł służbiście Duke.

- Chcę, żebyś stał na baczność. - Uśmiechnęła się, unosząc brwi.

Duke spochmurniał.

- Przymknij się już, Sammi - powiedział.

- Nie dzisiaj - odrzekła. - Dzisiaj nie odzywaj się do mnie w taki sposób. Umówiliśmy się.

- W porządku - zgodził się. - Tylko na mnie nie naska-kuj.

- Nie będę, jeśli się nie upijesz. Będę was miała na oku... ciebie i Donniego, jeśli się w końcu pojawi.

Wanda pochyliła się nad umywalką, kierując twarz w stronę kinkietu zawieszonoego nad lustrem.

- A to co, dziś tylko takie proszki cię interesują? - rozległ się z boku kobiecy głos.

Wanda nie odpowiedziała.

- Do ciebie mówię!

- Mało mnie to obchodzi, Daria - odparła Wanda, chowając puderniczkę do torebki.

- Wydaje ci się, że taką jesteś szacowną matroną w tej swojej garsoneczce i z pięknym mężulkiem?

- Powiedziałam, że nie obchodzi mnie, co masz do powiedzenia.

- Ty błada ździro...

Wanda obróciła się gwałtownie, chwyciła Darię za tył głowy i szarpnęła w górę, drugą ręką chwytając od dołu za podbródek i nie żałując przy tym paznokci. Odchyliła się do tyłu i z impetem splunęła w przerażoną twarz. Przez chwilę patrzyła, jak ślina spływa po zaciśniętych powiekach Darli.

- Nie rób tego więcej - powiedziała, grożąc jej palcem. - To wesele mojego syna.

Pchnęła Darię tak, by jej głowa uderzyła o drzwi, a potem umyła ręce i wyszła z toalety.

- Tak, jakby cię to w ogóle obchodziło! - krzyknęła za nią Daria.

Donnie wszedł do baru i uniósł ręce.

- Patrzcie państwo, kto przyszedł! - zawołał Duke. -Przegapiłeś najważniejszy moment - dodał, uśmiechając się szeroko.

- Gratulacje - odpowiedział Donnie, ściskając jego dłoń i klepiąc go po plecach. - Dużo straciłem?

- Gdzieś ty się podziewał, do ciężkiej cholery? - syknął Duke, chwytając go pod łokieć i pochylając się nad jego uchem.

- Oficjalnie? Stałem w wielkim korku - odparł Donnie. - A nieoficjalnie musiałem się zająć pewną sprawą... Wiesz, bawiłem się w chowanego w lesie - wyjaśnił, puszczając oko do Duke'a. - No i trochę pomachałem łopata. O, już pamiętam: Tally jej było na imię.

Duke spojrział na niego obojętnie.

Sammi podeszła od tyłu i klepnęła go w ramię.

- Cześć, Donnie - powiedziała.

- Mała pani Rawlins - powiedział i zakręcił nią tanecznie. - Zameżna w dziewiętnastym roku życia, w ciąży w dwudziestym?

- Nawet nie żartuj w taki sposób - rzuciła Sammi, oddalając się w stronę druhen.

- Przyrowadź mi tu jedną! - zawołał za nią Donnie. Machnęła mu ręką, zanim odszedł w kierunku baru.

- Musiałam wybierać - powiedziała Wanda, stając za plecami Duke'a. - Uwierz, że to mi złamało serce.

Duke odwrócił się i spojrział na nią bez słowa.

- Wybierać między tobą a Vincentem - wyjaśniła. - To chyba najtrudniejszy moment w życiu matki. Pomyślałam chyba, że jesteś już dorosły i mama nie będzie ci potrzebna.

- I miałaś rację - odparł Duke. - Ale w jednym się mylisz. Nie wybrałaś Vincenta, mamó. Jak zawsze, wybrałaś siebie.

Donnie chwycił druhenę w pasie i obrócił ją z werwą. Po chwili był już przy Duke'u.

- Chciała mnie - zauważył.
- Jasne - odparł Duke. - Dzięki, że wszystkim się zająłeś. Nie powinienem był się gniewać...
- Hej - przerwał mu Donnie. - Kto to jest? Tam, w niebieskiej koszuli i kowbojskim kapeluszu. Czy to nie Vincent Farraday, ten piosenkarz? A ta babka przy nim, w liliowych ciuchach?
- Pretty Woman, kurwa jej mać - odparł Duke.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

- Plotka głosi, że Sammi Rawlins była zajęta różnymi robótkami...

Joe nie dokończył zdania.

- Jakimi robótkami? - spytał Duke.

- No, wiesz, ręcznymi, ustnymi...

-Jeżeli próbujesz mi powiedzieć, że moja żona jest dziwką, to daruj sobie. Pieprzysz bez sensu.

- A kto mówił, że dziwką? Była stuprocentowo wierna jednemu mężczyźnie, odkąd poszedłeś za kratki. Jaka szkoda, że to nie byłeś ty.

- Gówno prawda.

- Zaczekaj, jeszcze nie doszedłem do najlepszego - ciągnął Joe. - Nie chcesz wiedzieć, kto był tym szczęśliwcem? Nie wygłupiaj się; ja na twoim miejscu chciałbym wiedzieć. Widziałeś się z żoną po wyjściu na wolność?

- Jest u matki... Słuchaj no, po co ja w ogóle z tobą gadam? Dlaczego słucham tych pierdoł?

- Spójrz prawdzie w oczy, Rawlins. Twoja żona dawała innemu, kiedy ty siedziałeś w pudle, zjedna ręką na...

- Czyś ty, kurwa, oszalał?! - ryknął zniecierpliwiony Duke. -Sądziś, że wierzę w choćby jedno słowo z twojej parszywej gęby? Jesteś glina! Gliną, który powinien w tej chwili stulić pysk. Bo jeszcze jedno słowo i zabiję twoją żonę. Chory jesteś, czy co?

Joe milczał z mocno bijącym sercem. Jak dotąd udało mu się jedynie wyprowadzić psychopatę z równowagi.

Detektyw inspektor O'Connor stanął przed zgromadzonymi.

- Mam tego cholernie dosyć - powiedział. - Z jakiegoś powodu ci handlarze zawsze są o krok przed nami. My się zjawiamy, a oni nie. Oni się nie zjawiają, a my tak. - Poto czył wzrokiem po twarzach znudzonych i zmęczonych policjantów. - Pobudka, do kurwy nędzy! - wrzasnął.

Niektórzy podskoczyli na krzesłach. Pokręcili głową, nie spuszczając ich z oka.

- Na miłość boską, ludzie! Co z was za gliniarze?

Poruszyli się niespokojnie.

- Co się dzieje - ciągnął O'Connor - gdy plan nie działa? Co trzeba zrobić? Owens?

- Eee...zmienić plan?

- Rzucić go w cholerę i wymyślić nowy - zawołał ktoś z tyłu.

- Albo? - spytał z uśmiechem O'Connor. - Albo działać bez planu.

Spojrzeni na niego ze zdziwieniem.

- Chcę, żebyście wszyscy zastanowili się przez chwilę nad niespodzianką. W ciągu dziesięciu minut macie ustalić trzy adresy, pod którymi zjawicie się dziś w trzech ze spółach. Pojedziecie o jakiegokolwiek porze i liczę na to, że dorwiecie przynajmniej jednego drania na gorącym uczynku. Nie chcę słyszeć żadnych planów działania. Tylko adres i para policjantów w wozie. Butler, pojedziesz z Two-meyem.

Rozległ się rumor odsuwanych krzesel i funkcjonariusze ruszyli w stronę drzwi.

Odłożywszy słuchawkę po rozmowie z Dukiem Rawlin-sem, Joe usłyszał głosy dobiegające z dołu.

- Hej, kto tam jest? - zawołał, wychodząc na korytarz.

Przyłożył ucho do drzwi, za którymi znajdowały się schody wiodące do piwnicy.

Shaun już biegł na górę. Po chwili uchylił drzwi.

- Ja - powiedział zirytowany. - I Ali. A bo co?

- Nie mówiłem, że możesz zapraszać gości.

- A ja nie powiedziałem jej o mamie, jeśli o to ci chodzi.

- W tej chwili odeślij ją do domu.

- Co cię ugryzło?

- Zabierz ją stąd natychmiast - syknął Joe. Shaun spojrzął na niego lękliwie.

- Dobrze już, dobrze...

Zbiegł na dół, a Joe wrócił do salonu. Usłyszał kroki Ali w holu.

- Do widzenia, panie Lucchesi - zawołała.

- Dokąd się wybierasz? - spytał Joe.

Shaun stanął obok Ali i spojrzął na ojca jak na szaleńca.

- No, przecież do domu - powiedział.

- Sama?

- Jasne - przytaknęła. - Jestem już duża - dodała z uśmiechem.

- Shaun, chodź no tu na chwilę.

- Czekaaj - mruknął Shaun i zostawił Ali w korytarzu.

Joe chwycił go pod łokieć, ale zaraz pozwolił mu uwolnić ramię. Wręczył mu telefon i odezwał się półgłosem:

- Każ jej zadzwonić do ojca. Niech ją zabierze spod naszych drzwi. I zaczekasz z nią, aż to zrobi.

- Co się dzieje? - spytał Shaun. W jego głosie czaiła się panika.

- Po prostu zrób, co każe.

Ali zadzwoniła, a potem zajrzała do salonu.

- Frank Deegan właśnie tu jedzie - powiedziała. - Tata poprosił go, żeby mnie zabrał do domu. Będzie tu lada chwila.

Joe miał ochotę wybuchnąć. Ostatnią rzeczą, której potrzebował na podjeździe przed swoim domem, był policyjny samochód.

Wstał energicznie.

- Ja cię odwiozę.

- To bardzo miłe z pana strony - odparła Ali - ale nie chcę sprawiać kłopotu. Daję słowo, że Frank zaraz tu będzie. Pojadę z nim, bezpieczna.

- To żaden kłopot...

- Puszczę jej jeszcze jeden kawałek - powiedział Shaun i pociągnął Ali za sobą w stronę piwnicy.

Joe usiadł na kanapie i podparł głowę rękami. Pozostał w tej pozycji aż do chwili, gdy odezwał się dzwonek u drzwi.

- Witaj, Joe - powiedział Frank i wręczył mu kartkę w błękitnej kopercie. - Spotkałem po drodze listonosza.

Joe rozpoznał pismo Danny'ego.

- Możemy zamienić kilka słów? - spytał Frank.

- Nie bardzo. W tej chwili nie mam czasu, czeka mnie mnóstwo roboty - odpowiedział Joe, wodząc spojrzeniem po linii drzew.

- Prawdę mówiąc, nie masz wielkiego wyboru. Chodzi o faks, który zawiozłeś do doktor McClatchie.

Joe poczuł gniew na myśl o tym, że został zdradzony.

- Nie widzę problemu w tym, że w ogóle do niej pojechałeś - kontynuował Frank. - Po prostu muszę rzucić okiem na zdjęcia. Doktor McClatchie ma pewne podejrzenia...

Joe zauważył, że Frank trzyma w ręku policyjny portret pamięciowy oraz zdjęcie Duke'a.

- Nie mam ich. Wyrzuciłem do śmieci.

- Przykro mi, ale sądzę, że jednak je masz. Mogę wejść?

- No dobrze - rzucił niechętnie Joe. Wciągnął Franka do domu i szybko zamknął drzwi. - Naprawdę nie mam na to czasu...

- Ani ja - wpadł mu w słowo Frank. - Jadę na spotkanie do Limerick, a wcześniej muszę zobaczyć te zdjęcia. Do niedawna nie wierzyłem w to, co mówiłeś o tym Rawlinsie, ale teraz musisz wiedzieć, że zmieniłem zdanie. Z drugiej strony, trochę naciągam procedurę. Nie zgłosiłem tego przełożonym, bo zanim to zrobię, muszę mieć pewność, że wszystko trzyma się kupy.

Joe miał ochotę chwycić Franka za ramiona, potrząsnąć nim zdrowo i wrzasnąć: „To za mało i o wiele za późno!”, ale bez słowa wyszedł do gabinetu. Wyjął faksy, złożył je i wsunął do brązowej koperty. Oparł się o biurko, gdy poczuł ostry ból między skrońmi. Po chwili otworzył szufladę i zobaczył puste opakowanie po advilu. Zamknął ją szybko. Nawet gdyby było tam dwadzieścia tabletek... Obiecał sobie, że nie weźmie ani jednej, póki to wszystko się nie skończy... Chyba że ból będzie nie do zniesienia.

Przypomniawszy sobie o kartce od Danny'ego, którą położył na blacie. Otworzył kopertę, żeby sprawdzić, czy znajdzie w niej coś ważnego. Zobaczył reprodukcję *Krzyku* Muncha.

Potrząsnął głową i spróbował się uśmiechnąć. Rozłożył kartkę i przeczytał odręczną notatkę: „Przypomina ci kogoś? Wszystkiego najlepszego z okazji czterdziestki, partnerze. Udanej imprezy”. Joe bardzo chciał, żeby to życzenie się spełniło.

- Masz - powiedział, gdy wróciwszy do salonu, wręczał Frankowi kopertę z faktami. - Wsadź sobie do wewnętrznej kieszeni.

- Jasne... - Frank zmarszczył brwi. - A dlaczego?

- Nieważne. Czy to już wszystko?

- Nie. Chciałbym porozmawiać z Anną.

- Niestety, jest w Paryżu.

Frank pokręcił głową.

- A pod jakim numerem mógłbym ją złapać?

- Pod żadnym - odparł Joe. - Jej rodzice nie mają telefonu.

- Naprawdę? W takim razie powiem ci, że widziała to policyjne zdjęcie. Była u nas, z Norą. Fatalnie zareagowała na ten widok, całkiem jakby...'

Joe zamarł.

- Nie mówiłem jej, że będę coś sprawdzał - powiedział szybko. - Była zła, że jej nie uprzedziłem. To dlatego pojechała do Paryża.

- W takim razie powiedz mi jeszcze, dlaczego dzwoniłeś w sprawie Siobhan Fallon - przypomniał sobie nagle Frank. - Widziałeś ją?

- Nie. Ale wydawało mi się wczoraj, że tak.

- Gdzie?

- W wiosce. Ale to nie była ona, Frank. Wybacz, ale naprawdę nie możemy już rozmawiać - dodał, przyciskając rękę do szczęki.

Frank odwrócił się i otworzył drzwi.

- Zaraz wyślę do ciebie Ali.

- W porządku. Dzięki za faks, Joe. Doceniam to. - Frank wyszedł i obrócił się raz jeszcze. - Ale nie lubię być okłamywany.

Oran Butler i Keith Twomey siedzieli w fordzie mondeo na parkingu przed supermarketem Tobin's - ponurym bu-

dynkiem z czerwonej cegły, stojącym w sercu cieszącej się złą sławą dzielnicy. Dwaj otyli rzeźnicy w zakrwawionych fartuchach stali w kącie, paląc papierosy. Grupa długowłosych chłopaków w workowatych portkach i luźnych bluzach okupowała skrawek gładkiego betonu przy schodach, ćwicząc jazdę na deskorolkach.

- Długo tu siedzimy? - spytał Oran, wyciągając spomiędzy zębów kawałek cukierka toffi. Między jego nogami piętrzyła się sterta papierków.

- Dwie godziny - odparł Keith.

- Czy widziałeś, żeby chociaż jeden z nich porządnie wykonał tę sztukę?

- Nie - odrzekł Keith, przypatrując się, jak kolejny miłośnik akrobacji usiłuje wskoczyć na poręcz. Śmiałek stur-lał się po schodach, a deskorolka huknęła o beton.

- Dobija mnie ten dźwięk - powiedział Keith.

Oran stracił papierki od cukierków na podłogę i zaczął budować nową stertę. Keith spojrzał w dół.

- Spośród wszystkich ludzi, którzy mogliby dzielić mieszkanie z Richiem Batesem, ty jesteś najgorszym wie przem. Sam nie wiem, którego z was bardziej mi żal.

Kolejny deskorolkarz wbił się w powietrze, ale zaczął spadać w połowie drogi i wylądował okrakiem nad poręczą.

Policjanci spojrzeli po sobie i pokręcili głowami. Kiedy znowu popatrzyli na grupkę małych, zobaczyli mężczyznę zmierzającego do wejścia do supermarketu. Poruszał się w dziwny, kanciasty sposób, jakby przy każdym kroku kości wyskakiwały mu ze stawów. Podążał za własnym wysuniętym podbródkiem, zaciskając ponuro wąskie usta i mrużąc oczy. Nasunął brudną, czerwoną czapkę głębiej na przyszczone czoło i zwolnił, zbliżając się do najstarszego z chłopaków.

- Nie do wiary - mruknął Keith, prostując się w fotelu. - Kogo my tu mamy... Marcus Canney, skończony łajdak.

Przyglądali się w milczeniu, jak Canney rozmawia z młodym, a potem sięga do kieszeni, wyjmując rękę i wyciąga przed siebie, by przekazać mu coś więcej niż uścisk dłoni. Wyskoczyli z wozu i po paru sekundach byli na miejscu.

Joe się odezwał, zanim Duke zdążył to zrobić - gdy tylko nacisnął zielony guzik, by odebrać połączenie.

- Po co to robisz?

- Wiesz po co - odparł Duke.

- Dobra, wiem. Ale nic jeszcze nie zrozumiałeś, kolego. Musisz dowiedzieć się paru rzeczy, zanim podejmiesz decyzję, że naprawdę chcesz zrobić to, co z takim trudem przygotowałeś.

- Nie pora na rozmowy.

- Ale przyznaj, Rawlins, para to coś lepszego niż samotny człowiek, prawda?

- O czym ty, kurwa, mówisz?

- We dwoje trochę łatwiej.

Joe doskonale słyszał powolny, wymuszony oddech Duke^.

- Wiesz, ja zauważam pewne sprawy - ciągnął Joe. -

Mam dobry wzrok... Jastrzębi.

Duke nie odpowiedział.

- Wiem, co dzisiaj porabiałeś. I żał mi tej dziewczyny, którą wzięłeś sobie, żeby pomogła ci w brudnej robocie. Ale przecież sam byś sobie nie poradził... - Joe umilkł na moment. - Wydaje ci się, że jesteś facetem? Otóż tak naprawdę jesteś tylko gnojem, tchórzliwym gnojem.

- Pieprz się - odparował Duke. - Gównu wiesz.

- Mylisz się. Powiem ci, co wiem na pewno: pani Rawlins siedzi w tej chwili na posterunku policji w Stinger's Creek, składając bardzo ciekawe zeznania na twój temat.

Duke parsknął pogardliwie.

- Gównu prawda. Ja po prostu wiem, że pieprzysz od rzeczy.

- Może przypominasz sobie serię morderstw sprzed paru lat - ciągnął Joe, celowo starając się naśladować sposób mówienia Duke'a; tej samej sztuczki używał na co dzień w robocie, gdy miał do czynienia z ćpunami i dziwkami. - Bo widzisz, okazuje się, że twoja żona opowiada każdemu, kto zechce jej wysłuchać, że to ty jesteś facetem, którego powinni szukać. Leśnym Człowiekiem. Właśnie ty. I że za długo już osłaniała twój tyłek.

Duke wciąż milczał.

- Powiedz, dlaczego twoja żona tak nagle zapragnęła wysłać cię znowu do pierdła, kiedy właśnie z niego wysze dłeś? - spytał Joe. - Może dlatego, że nie chciała, żebyś wrócił i zabił ją za to, że dawała twojemu najlepszemu przyjacielowi? - Znowu odczekał chwilę. - Tak, Duke, to był Donnie. Twoja żona pieprzyła się z Donniem.

Duke roześmiał się głośno i chrapliwie.

- Mam dowód - zapewnił go szybko Joe. Duke nie przerwał mu. - Nazwisko Rawlins wydawało mi się znajome, a to dlatego, że twoja żona była wtedy w parku, gdy zginął Donnie. Była świadkiem po niewłaściwej stronie policyjnego kordonu, więc musiała się przedstawić i została przeszukana. Miała przy sobie paszport. Założę się, że nie wiedziałeś, że twoja żona ma paszport. Poszła tam, żeby pomóc Donniemu...

- Jaki dowód?

- Akta sprawy. Jest w nich jej nazwisko. Mam je tutaj.

- Pokaż mi - zażądał Duke.

- Pokaż mi moją żonę.

Joe odłożył słuchawkę i natychmiast wyczuł za plecami czyjąś obecność. Powoli odwrócił głowę. Shaun stał w drzwiach, wstrząśnięty i blady.

- Jak długo...? - spytał Joe.

- Co jak długo? Jak długo mógłbyś mnie okłamywać?

- Co słyszałeś?

- Gdzie jest mama? Z kim rozmawiałeś? - Shaun z trudem powstrzymywał łzy.

- Doprowadzę tę sprawę do końca.

- Jak to? Kto ją zabrał? Gdzie ona jest?

- Nie musisz znać szczegółów.

- Wezwałeś policję?

Joe milczał przez chwilę.

-Nie.

- Proszę, powiedz, że żartujesz - powiedział Shaun.

- Jasne, że nie - warknął Joe. - Nie mogę wezwać policji.

- Jesteś takim hipokrytą - odparł Shaun, podnosząc głos. - Jak brzmi ta zasada? Jeśli nie znajdziesz ofiary w ciągu dwudziestu czterech czy czterdziestu ośmiu go-

dzin, to akcja nie nazywa się już ratunkowa, tylko poszukiwawcza, tak?

Joe pokręcił głową.

- Shaun, na miłość boską...

- Sam zawsze każesz ludziom dzwonić po policję.

- Być może nie zawsze jest to najlepsze rozwiązanie.

- Oczywiście, tylko wtedy, kiedy detektyw Joe Lucchesi staje u drzwi.

Joe nie podjął rękawicy.

- Przepraszam, tato.

- Wiem, że nie chciałeś.

Łzy spłynęły wolno po policzkach Shauna.

- Mam już dość tego płaczu - powiedział. - Jestem wykończony. Podnieś słuchawkę, tato. Podnieś ją. Podnieś! - Shaun skoczył po telefon, ale Joe zastąpił mu drogę, unosząc aparat wysoko w górę.

Odepchnięty Shaun zachwiał się i spojrzał na niego z przerażeniem.

- Nie mogę - powiedział Joe. - Przykro mi, ale nie mogę zadzwonić.

- Więc jak ją odzyskamy? Co się z nią stanie? I dlaczego właśnie mama? Co takiego ona...

Joe wiedział, co miało zaraz nastąpić.

- O mój Boże. To przez ciebie, prawda? - powiedział Shaun.

- Ktoś ją porwał... przez ciebie. Nikogo nie interesuje jakaś tam mama, chyba że jest żoną policjanta. Chryste! - Shaun umilkł. - Czy ta sprawa ma coś wspólnego z Katie? - Zbliżył się do ojca i zaczął szarpać go za ramię.

- Nie, nie - zapewnił go Joe. - Proszę cię, Shaun, uspokój się. Proszę... Muszę ustalić jeszcze parę szczegółów. W tej chwili nie możemy pozwolić, by ktokolwiek dowiedział się o sprawie. Słuchasz mnie? To bardzo ważne. Musimy milczeć.

Marcus Canney siedział z kolanami pod brodą, na podłodze celi posterunku w Waterford. Jego chude nogi okrywały czarne nylonowe spodnie od dresu; na stopach miał białe adidas umazane błotem. Na ramiona zarzucił zieloną kurtkę pilota.

- Uważaj, kiedy będziesz wracał do swojej sypialni - powiedział O'Connor, wchodząc do celi ze schludną, białą paczką w dłoni.

Canney uniósł głowę i spojrzał na niego pytająco.

- Masz dziurę w podłodze. Wiedziałeś, że leży tam mniej więcej - detektyw przymknął oko, spoglądając na paczkę kokainy - trzydzieści tysięcy w towarze?

Canney zbladł.

- Pieprz się - mruknął.

- Jestem zbyt zajęty pieprzeniem ciebie - odparł O'Connor.

- W życiu nie widziałem tej paczki.

Policjant przewrócił oczami.

- Powiedz mi tylko, skąd bierzesz towar. I dlaczego nie trafiłeś tu dwanaście miesięcy temu.

Canney rzucił mu szybkie spojrzenie.

- Tak, wiem - ciągnął O'Connor. - Istnieje bardzo dobry powód, dla którego wymykałeś się nam tak długo. I właśnie zamierzam poświęcić ranek na to, żeby poznać ten powód.

Duke spojrzał na Annę i roześmiał się.

- Twój mąż uważa mnie za jakiegoś przygłupa.

Wybrał swój numer domowy na klawiaturze własnej komórki. Natychmiast włączył się automat. Duke zastanawiał się właśnie, jaką zostawić wiadomość, gdy dotarło do niego, że słyszy obcy głos:

- Abonent został odłączony. Prosimy o kontakt z...

Duke przerwał połączenie, sprawdził numer i zadzwonił jeszcze raz. Usłyszał ten sam komunikat. Poklepał się po kieszeniach kurtki i spodni, a potem rozejrzał się po pokoju, poczym zatrzymał wzrok na Annie.

- Gdzie to ja podziałem nóż...

Victor Nicotero szedł alejką przez zadbane ogródki świętej pamięci szeryfa Ogdena Parnuma, raz po raz wzruszając ramionami, by marynarka lepiej na nich leżała. Pod lewym ramieniem trzymał pustą teczkę; prawą ręką sięgnął do dzwonka. Zanim jednak go dotknął, drzwi otworzyły się i zobaczył urodziwą, niespełna pięćdziesięcioletnią blondynkę.

- Kim pan jest?

- Delroy Finch - odparł Victor. - Z Bractwa Policjantów, FOP.

- Ach tak - powiedziała, spuszcżając oczy. - Proszę wejść, panie Finch.

- Dziękuję pani.

Zaprowadziła go do staroświeckiego salonu i wskazała miejsce na kanapie, a sama usiadła naprzeciwko, w wiklinowym fotelu o wysokim oparciu.

- Przede wszystkim, pani Parnum, chciałbym złożyć kondolencje z powodu tragicznego wypadku, który odebrał pani męża.

- Żaden wypadek, panie Finch. Mąż palnął sobie w łeb z karabinu sporego kalibru. Proszę więc nie próbować oszczędzać mi drastycznych szczegółów, które i tak już znam.

- Przepraszam - powiedział Victor. - Zatem nie będę owijał w bawełnę. Przychodzę tu, pani Parnum, żeby zapytać, w jaki sposób Bractwo Policjantów powinno upamiętnić osobę pani męża. Proponujemy pamiątkową plaketę...

- Pozwolę sobie przerwać od razu, panie Finch. Mój mąż był sukinsynem. Zostawił mi niejedną pamiątkę swojego istnienia i tak się składa, że są to pamiątki bez wyjątku przykre. Doceniam to, co próbujecie dla mnie zrobić, i wiem, że wasza organizacja świetnie wywiązuje się ze swoich zadań, ale najlepiej będzie, jeśli świat jak najszybciej zapomni o istnieniu szeryfa Ogdena Parnuma.

- Raz jeszcze przepraszam panią, jeśli poruszyłem bolesne wspomnienia, ale...

- Ależ nie, absolutnie nie trzeba, panie Finch. To nie pan jest winny.

- Proszę mi powiedzieć, pani Parnum... Dlaczego, pani zdaniem, mąż popełnił samobójstwo?

- Dlatego, że był żalorny. Pograżony w depresji. Bo nie-nawidził samego siebie. Bo jego życie stało się nieznośne. A dlaczego inni ludzie popełniają samobójstwo?

Victor się nie odezwał.

- Znowu zaczynam - stwierdziła pani Parnum. - Jakoś nie mogę się powstrzymać - dodała i zaśmiała się nerwo-

wo. - Naprawdę nie znam dokładnej przyczyny. Nie zostawił mi listu, jeśli o to panu chodzi, ale... - Utknęła, lecz po chwili zdecydowanym ruchem uniosła głowę. - Dlaczego pan pyta?

- W naszej pracy zdarzają się niekiedy takie przypadki i zawsze interesują mnie przyczyny, bo być może jeśli je poznamy, zdołamy coś zrobić, by uchronić innych przed podobnym losem. - Victor potrzebował punktu zaczepienia. - Przepraszam, ale co chciała pani powiedzieć? Urwała pani na „ale”...

- Ale... tamtego ranka przyszła do nas pewna kobieta. Chciała rozmawiać z Ogdenem. Nigdy wcześniej jej nie widziałam. To była blondynka, na pewno przed czterdziestką, w dobrze skrojonym żakiecie. Kiedy mnie zobaczyła, jej twarz przybrała na moment bardzo dziwny wyraz. - Wdowa umilkła na chwilę. - Powiedziałabym, że to była litość.

- Litość?

- Tak, właśnie tak. Ale dlaczego obca kobieta miałaoby litować się nade mną? Ludzie, którzy mnie znają, uważają, że świetnie mi się żyje. Kiedy jednak ta kobieta stanęła na progu, poczułam, że przejrzała moją duszę na wylot.

Victor niespiesznie skinął głową.

- I jeszcze mina Ogdena, kiedy ją zobaczył... Okazało się, że to Marcy Winbaum, prokurator okręgowy. Nie poznałam jej, a przecież przed laty pracowała z Ogdenem. Bardzo się zmieniła, a w dodatku tego dnia była naprawdę wzburzona. Uparła się, że porozmawia z moim mężem na osobności. Zaprowadził ją do gabinetu. Byłam bardzo zaciekawiona, więc po dłuższej chwili przyłożyłam ucho do drzwi. Marcy mówiła podniesionym głosem, co wydało mi się bardzo dziwne. Usłyszałam, że mówi coś o „pogrzebaniu” spraw i o „życiu z samym sobą”. Powiedziała też, że znalazła kogoś, kto gotów jest zeznawać w sądzie pod przysięgą i że Ogden ma dwa wyjścia. A potem odezwał się brzęczyk w piecyku i musiałam pójść do kuchni, żeby wyjąć ciasto.

- Pytała pani później męża, o co chodziło?

- Nie chciałam pytać tak od razu... A nocą okazało się, że znalazł trzecie wyjście: rozwalił sobie mózg.

- Jeśli wolno o coś jeszcze spytać... Pani mąż pracował

nad sprawą Leśnego Człowieka. Tamte morderstwa nigdy nie zostały wyjaśnione. Czy sądzi pani, że mogły mieć jakiś wpływ...

- Biedne dziewczęta. Ogden naprawdę źle znosił tamtą sprawę. Ale to już tyle lat... - Wdowa Parnum zmarszczyła brwi. - Czy zadaniem pańskiej organizacji jest też wywlekanie zawodowych porażek martwych policjantów?

Victor zmieszał się i zaraz powrócił do roli.

- Chyba pytałem bardziej z osobistej ciekawości - przyznał. - Więc jest pani pewna, że w żaden sposób nie możemy przyczynić się do upamiętnienia postaci szeryfa?

- Powiem panu coś o Ogdenie Parnumie - odrzekła niespodziewanie. - Widywałam zadrapania na jego plecach. Małutkie zadrapania i jeszcze mniejsze półksiężycyce pozostawione przez paznokcie wygłodniałych dłoni. Czasem bywały i na jego twarzy. Widywałam je jednak tylko przelotnie, ponieważ nigdy nie miałam okazji spojrzeć na nie z bliska. Ale proszę popatrzeć na mnie - dodała, gładząc palcami linię smukłych bioder. - Nie jestem kobietą, która godzi się na wszystko... a jednak nie było takiej rzeczy, której nie zrobiłabym dla niego, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Nie żenił się ze słodkim, niewinnym maleństwem. - Wdowa uniosła głowę i spojrzała na Victora ze łzami w oczach. - Więc niech pan powie, co było we mnie nie tak? Co było nie tak?

Canney nie przestawał przygryzać i skubać brudnych paznokci.

- To nie będzie łagodna połajanka w sądzie okręgowym - mówił właśnie O'Connor, grożąc mu palcem. - Sta niesz tam w swoim tandetnym, błyszczącym gajerku, z wło skami przyczesanymi płasko, jak u mamusi, i z tą tępą miną... a wszystko to nie będzie miało znaczenia. Bo na przeciwko stanie Delaney. - Detektyw uśmiechnął się. - Sędzia uprzedzony. A ty będziesz szczał pod wiatr.

Canney skrzywił się nerwowo.

- Naprawdę, posłanie cię na dno nie sprawi mi przy jemności - dodał O'Connor. - Ale gdybym znał twoich do stawców...

Cisza.

- Daj spokój, Canney. To nie zabawa w Indian i kowbojów. To poważna rzecz. Pójdiesz siedzieć na pięć do siedmiu. Wtedy będziesz sam.

Canney znowu się skrzywił.

- A gdzie wtedy będą wielcy gracze? Zajęci szkoleniem nowego pachółka. Być może tym razem lepiej się spiszą, a potem będą się zastanawiać, w jaki sposób najlepiej usunąć cię ze sceny. Zajmą się tym podczas odsiadki czy może zaczekają, aż wyjdiesz na wolność w nadziei, że przed tobą całe życie, zupełnie nowe życie?

Canney gapił się tępo w przestrzeń.

- Słuchaj - kontynuował O'Connor. - Możesz stąd wyjść, a oni o niczym się nie dowiedzą. Mogę ci to obiecać.

- Akurat.

- Tkwisz po uszy w gównie, Canney. Nie wiem już, jak mam ci to tłumaczyć. A jednak masz wyjście: zapomnimy o wszystkim. Będziesz wolny. Nikt nie piśnie ani słowa. Wszyscy będą zadowoleni.

- Absolutnie wykluczone. Nie pójdę na to.

- Jak sądzisz, dlaczego siedzę z tobą tutaj, a nie w pokoju przesłuchań, gdzie każde słowo jest rejestrowane na taśmie?

Canney wciąż patrzył prosto przed siebie.

- No bo... - zmarszczył czoło, myśląc intensywnie.

- Bo co? Powiedz. Kto ci dostarcza towar?

- Nic nie powiem. Zgłupiałeś, facet?

- Twoja wola - powiedział O'Connor, wstając. - Zrobiłem co mogłem. Do zobaczenia w pokoju przesłuchań - dodał, ruszając w stronę drzwi. - Siedem lat... No, może pięć. To absolutne minimum. Tylko że gość jakoś nie rozumie - mówił do siebie, pukając się palcem w czoło. Zatrzymał dłoń na klamce na sekundę.

Canney wreszcie przemówił.

- A gdybym wiedział co nieco o tej zamordowanej dziewczynie z Mountcannon?

O'Connor obrócił się na pięcie. Canney uśmiechał się, wolno kiwając głową.

- Jesteś skończoną kanalią, Canney...

-A jeśli mówię poważnie?

O'Connor stanął plecami do drzwi, potrząsając głową.

Canney wzruszył ramionami.

- A jeśli byłem jednym z ostatnich ludzi, którzy widzieli ją żywą?

Stary Nic poszedł do miejscowej restauracji i zamienił dwudziestodolarówkę na garść monet. Zamknął się w budce telefonicznej i wybrał numer Lucchesiego.

- Teraz nie mogę rozmawiać - powiedział szybko Joe.

- Ale możesz posłuchać. To ważne. Wiem, że odwołałeś moją wycieczkę, ale jednak pojechałem do Teksasu. Czuję w kościach, że powinienem. Pogadałem sobie z wdową i powiem ci, Joe, że pani Parnum to niczego sobie kobitka. Tylko trochę zgorzkniała. Nienawidziła męża. Zdaje się, że ją zdradzał, bla, bla...

- Mówiła coś o przyczynie samobójstwa? Albo o sprawie?

- Tylko tyle, że źle ją znosił. A jeśli chodzi o przyczynę, to pani Parnum mają gdzieś. Cytowała zwyczajowe teksty. Zimna jak lód. Aleja chyba już znam przyczynę, Joe. Wiesz, z kim powinieneś pogadać? Z ostatnią osobą, która złożyła wizytę Ogdenowi Parnumowi, zanim zagrał sobie w rosyjską ruletkę z pełną komorą. Z Marcy Winbaum. Dziś jest prokuratorem okręgowym, a kiedyś była podwładną Par-numa. Poszła do college'u, tralala, a teraz na nowo otworzyła starą sprawę, twierdząc, że pojawił się ktoś z nowymi informacjami. Nikt jeszcze nie zawiadomił o tym Dorothy Parnum, a to dlatego, że jej zmarły mąż, jak się wydaje, znalazł się... a raczej był... w poważnych tarapatkach. Marcy Winbaum trzyma karty przy sobie, ale plotka głosi, że to dlatego, że lada chwila rzuci na stół zabójczy układ.

Anna przyglądała się, jak Duke Rawlins przeszukuje chatę i wreszcie wyciąga z kąta wilgotny, brudny worek, który teraz okrywał jej głowę. Z każdym oddechem czuła smród mokrych kotów i zepsutego mleka. Przez całą drogę targały nią torsje, gdy leżała zwinięta w kłębek na podłodze furgonetki. Teraz znowu znalazła się na świeżym po-

wietrzy; podświadomie rejestrowała zmianę w natężeniu fetoru.

- Dobra, stój - szepnęła Duke, szarpiąc ją za ramię.

Anna zatrzymała się i w tym momencie usłyszała kroki trzeciej, jakby najcięższej osoby.

- Sheba - syknął Duke. - Sheba, wracaj tu, ty tłusta...

Siobhan Fallon zawróciła, nie próbując ukryć urazy, która odmalowała się na jej twarzy. Podeszła wolno do Duke[^], który właśnie wiązał nogi Anny na wysokości kostek.

- Proszę, przestań nazywać mnie „Sheba” - poprosiła łagodnie Siobhan. - Przecież nie tak trudno to wymówić: sziw-on. Proste.

- Spróbuję - odparł Duke. - Sh... Sh... She. Ba. Dobrze? - spytał ze sztucznym uśmiechem.

- Dlaczego taki jesteś... Co ci zrobiłam? - Wyciągnęła rękę w stronę jego policzka.

Powstrzymał ją w pół drogi, zbyt mocno ściskając nadgarstek.

- Świetnie się spisałaś - powiedział. - Naprawdę. Po myśl o swoim najlepszym burgerze z frytkami, koktajlem mlecznym, majonezem, pikiem i dodatkową porcją sosu, a wszystko to spisane w twoim ślicznym notesiku, bez jednego błędu. I oczywiście razy dziesięć.

Uśmiechnęła się nerwowo. Wyczuwała własny puls w jego mocnym uścisku. Spróbowała uwolnić rękę. Podeszedł bliżej.

- Zdejmij ten wielki sweter - rozkazał.

- Dlaczego? - spytała lekliwie.

- Bo mam to.

Puścił jej nadgarstek i wyciągnął nóż z tylnej kieszeni. Uniósł zakrzywione ostrze na wysokość jej twarzy. Zamarła. Duke patrzył jej prosto w oczy. Wolno wyjęła z rękawa najpierw prawą rękę, trzymając łokieć blisko ciała. To samo zrobiła lewą ręką, tak że sweter zawisł na jej szyi. Luźne rękawy ledwie zakrywały poszarzały bawełniany biustonosz. Białe ciało Siobhan pokryło się gęsią skórą. Zaczęła drżeć. Duke pochylił się i rozwiązał linę opasującą szyję Anny, a następnie zdjął worek. Próbowała odwrócić głowę, ale ścisnął jej brodę i musiał do patrzenia.

- Na pewno nie chciałabyś tego przegapić - powiedział. Włożył rękojeść noża do ust, by mieć wolne ręce. - Zaraz zobaczymy, czy jeszcze pamiętam, jak to się robi - dodał, sięgając za plecy Siobhan, by rozpiąć biustonosz.

Szerokie, płaskie piersi opadły na zwały tłuszczu otaczające jej talię. Duke spojrział na nią z odrazą. Nagle Siobhan wyciągnęła rękę po nóż, pochwyciła rękojeść i pociągnęła ku sobie, tak, że ostrze przecięło usta Duke'a. Odwróciła się i rzuciła do ucieczki, ale skoczył na nią błyskawicznie, powalił na ziemię, przewrócił na plecy i przycisnął wyciągnięte nad głowę ręce.

- Ty suko - wycedził, spluwając na trawę obok niej. Pochylił twarz nad jej twarzą, tak by krople krwi powoli spadły na jej usta i spłynęły po policzkach, zmieszane z jej łzami. - Wstawaj. Już! I zdejmuj dzinsy..,

- Zostaw ją w spokoju! - zawołała Anna. - Zostaw... Duke ponownie ujął jej twarz i potrząsnął na tyle moc no, by stłumić protest. Znowu odwrócił się ku Siobhan.

- Zdejmuj wszystko. Widziałeś, co potrafi ten nóż — do dał z uśmiechem, unosząc dłoń do rany na twarzy.

Usłuchała, rozpaczliwie zaśliniając ciało rękami. Anna oddychała z trudem. Miała nadzieję, że Siobhan przechwyci jej spojrzenie i odczyta je prawidłowo: że wszystko będzie dobrze, że nikt się nie dowie o tym, co tu przeszła. Ale kiedy zobaczyła, co Duke wyciąga z torby, zrozumiała, że dziewczyna za chwilę umrze. I że nic już nie będzie miało znaczenia.

- Nie odwracaj się teraz.

Siobhan wstała i odwróciła się instynktownie. Krzyknęła przeraźliwie na widok łuku.

- Uciekaj, króliczku, uciekaj! - wrzasnął Duke, unosząc broń do ramienia.

Siobhan zaczęła biec, potknęła się o niski krzak i po chwili jej gołe pięty zamigotały na ostrych kamieniach. Ubiegła trzydzieści metrów, gdy trafiła ją pierwsza strzała.

Joe zatelefonował do Marcy Winbaum, pierwszej osoby, której miał powiedzieć prawdę od chwili, gdy Anna zniknę-

ła. Prokurator mówiła z pewnością siebie właściwą kobiecie, która ciężko pracowała na swoje osiągnięcia. Z każdym usłyszonym słowem serce Joego biło szybciej, ciało traciło siłę, a wola twardniała. Nigdy dotąd nie doświadczył czegoś podobnego: czuł przemożną panikę - ucisk w piersiach, słabość w nogach i pulsowanie w czaszce. Starał się zapanować nad przyspieszonym oddechem. Miał przed oczami faksy ze Stanów; ciała ofiar porzucone jak zepsute lalki. Po chwili ich miejsce zajął policyjny portret Duke'a Rawlinsa, a potem wizja zwłok Donalda Riggsa. I Anna... Joe czuł, że coś w nim pęka. Sam postawił żonę na drodze tego maniaka. Całą nadzieję pokładał w tym, że ma w rękę przynajmniej jeden atut.

Victor Nicotero wyszedł z budki telefonicznej, rozmyślając o Dorothy Parnum; o tym, jak ludzie potrafią być zarazem niezwykle silni i bardzo słabi. Podobało mu się to. Otworzył fałszywą teczkę bractwa, żeby zapisać tę myśl jako materiał do pamiętników. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni po pióro - prezent na emeryturę. Nie znalazł go. Sprawdził w tezcze. Obmacał kieszenie.

- Niech to szlag - powiedział, zawracając.

Duke przykłęknął przy ciele Siobhan Fallon i zakrzywionym ostrzem zabrał się do pracy.

Anna, uwolniona z więzów na kostkach, ale przywiązana do cienkiego pnia drzewa, pochyliła się gwałtownie i zwymiotowała między nogi. Uczyniła to z taką siłą, że poczuła, jak rozluźniła się pętla otaczająca jej nadgarstki.

- Patrz, co robisz - powiedział Duke. - Albo zmuszę cię, żebyś zrobiła coś, czego będziesz żałować.

Anna spojrzała na niego zażawionymi oczami.

- Nie wiń siebie - dorzucił Duke. - Wiń siebie i męża. Wiń was oboje. - Uśmiechnął się, kończąc kolejny etap rytuału. Co chwilę zerkał przez ramię na Annę; widok jej pięknej, przerażonej twarzy wywoływał w nim rozkoszne dreszcze. Gdy odwrócił się po raz kolejny, zerwała się do biegu.

Frank Deegan rozłożył kartki na siedzeniu pasażera. Zamierzał zerkać na nie podczas jazdy, ale musiał zatrzymać wóz już przy drugiej stronie. Patrzył na zdjęcia i czytał beznamienne opisy stanu młodej skóry, kości, włosów, kończyn, a także ran, które je zbrukały. Nigdy nie rozumiał, dlaczego mężczyzna może pragnąć unicestwienia tak delikatnych stworzeń.

Znowu spojrzął na faksy. Potrafił połączyć w myśli punkty tworzące schemat ran amerykańskich ofiar z ranami Mary Casey z Doon. Istniała jednak w tym wymyślonym rysunku jedna kropka, której nie potrafił połączyć z niczym. Joe Lucchesi. I jeszcze jedna, obok: mała, delikatna Anna.

Dorothy Parnum otworzyła drzwi, przykładając do oczu chusteczkę zwiniętą w kulkę. Tusz do rzęs spłynął na jej policzki, a po szmince nie było już śladu; został tylko okropny zarys ust nakreślony kredką.

- Zostawiłem pióro - wyjaśnił Victor, ale wdowa już mu je podawała.

- Dzięki.

- To ja dziękuję - odpowiedziała. - I przepraszam za moje wcześniejsze zachowanie. Sama nie wiem, po co opowiadałam panu o tym wszystkim. - W jej oczach pojawiły się nowe łzy. - Ale to fakt, że wygląda pan na najmilszego człowieka, jakiego może spotkać rozpaczająca wdowa. - Ścisnęła ramię Victora, ale to jej nie pomogło. Rozpłakała się jeszcze mocniej; dopiero po długiej chwili odetchnęła głęboko i spróbowała się uśmiechnąć. - Koniec bu-buu - powiedziała. - Tak mawiał do mnie Ogden. Koniec bu-buu... Ale potem znowu miałam powody do płaczu.

Rozdział trzydziesty

Stinger's Creek, północne rejony środkowego Teksasu, rok 1991

Ogden Parnum zamknął plastikowy segregator i przez chwilę przyglądał się, jak na gładkiej powierzchni schnie i zanika odcisk spoconej dłoni. Potem przeniósł spojrzenie na puste miejsce między dwoma zdjęciami wiszącymi na ścianie i wreszcie pochylił głowę. Trwało to, aż poczuł rwanie w karku i pulsowanie krwi w skroniach. Raz po raz przeczesywał drżącymi palcami rzadkie włosy. W końcu nacisnął klawisz interkomu,

- Marcy, myślę, że będziemy musieli wezwać kogoś na posterunek. Przyjdź do mnie na chwilę.

- Jasne, szefie.

Na przestrzeni lat Ogden Parnum pracował już z pięcioma zastępcami, ale żaden z nich nie był tak bystry i efektywny jak Marcy Winbaum. I właśnie dlatego wiedział, że jest ona ostatnią osobą, która powinna pracować nad tą sprawą. Podobnie jak podejrzany, którego był zmuszony wezwać na posterunek, był ostatnią osobą, którą chciał widzieć.

- Czy to nie podniecające? - Marcy uśmiechnęła się, wskazując na raport z laboratorium.

- Spokojnie, Marcy. Myślę, że to przedwczesna radość i że znajdziemy jeszcze niejedno zupełnie inne wyjaśnienie.

- Tak, ale ja mam jeszcze jeden powód do zadowolenia, jeśli tylko zechce pan posłuchać, szeryfie. Przejrzałam teczkę Leśnego Człowieka aż do spodu, a potem porównałam

niektóre szczegóły ze sprawą Janet Bell, której ciało znaleziono w osiemdziesiątym ósmym. Tej prostytutki zwanej Alexis. Otóż wydaje mi się, że to także jedna z jego ofiar.

- Miała ranę postrzałową, Marcy.

- Proszę tylko posłuchać, szefie. Zwłoki Mimi Bartillo znaleziono w tym samym roku. Przebicia nerek i sześć nacięć na żebrach. Ciało zostało zwyczajnie porzucone, jakbyśmy mieli je łatwo znaleźć. Później, po ośmiu miesiącach, zwłoki Janet Bell zostają zakopane. Znajdujemy je w fatalnym stanie i przyjmujemy założenie, że ofiara została postrzelona. Ale proszę spojrzeć na to. - Marcy wskazała na jedno ze zdjęć z miejsca zbrodni. - Tu, na atlasowej spódnicy. Jeśli przyjrzeć się bliżej, widać trójkątne rozdarcie materiału - wyjaśniła, spoglądając na Parnuma. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. - A jeśli to nie była rana po kuli, tylko ślad strzały o trójgraniastym grocie? Trójkątny ślad. Konsultowałam się z patologiem, twierdzi, że to bardzo prawdopodobne. Kiedy ciało zostaje trafione pociskiem o dużej prędkości, rana otwiera się i utrwala informację, która pomaga nam wywnioskować, co się stało. Potrafimy odróżnić ranę postrzałową od klutej po tym, jakie uszkodzenia wywołało ciało obce... Ale jeśli ciało ulegnie rozkładowi, sprawa się komplikuje. Tkanki stają się miękkie... Nieważne - ucieła, rumieniąc się. - Tak czy inaczej, rana w ciele przestaje mieć wartość śledczą. Dlatego kluczem jest tu trójkątny otwór w ubraniu. - Marcy umilkła na chwilę. - Myślę, że Janet Bell była pierwszą ofiarą. Została pogrzebana, ale potem zabójcy spodobała się myśl o porzuceniu ciała i to właśnie zaczął robić.

- Ale Bell nie została ranna w nogę. Skąd więc przebicie spódnicy?

- Proszę sobie wyobrazić, że ofiara biegła w atlasowej spódnicy. Możliwe, że wiatr podniósł materiał... Pamięta pan Marilyn Monroe nad kanałem wentylacyjnym? No właśnie. Panna Bell uciekała przed zabójcą, a wiatr pod-wiał jej spódnicę i w tym momencie przebiła ją strzała. Raniąc w plecy, ma się rozumieć.

- Jezu, Marcy -jęknął Parnum. - Nie sądzisz, że trochę to naciągane?

- Wiem, że nie lubi pan, kiedy się mieszam, ale naprawdę sędzę, że wpadłam na ważny trop. Jak dotąd Leśny Człowiek zabił Mimi Bartillo w osiemdziesiątym ósmym, Cynthię Sloane w osiemdziesiątym dziewiątym, Tonyę Ra-mer w dziewięćdziesiątym, Tally Sanders w dziewiątym pierwszym, a teraz jeszcze tę nieznaną... No i, moim zdaniem, Janet Bell w osiemdziesiątym siódmym. To już sześć kobiet. A dzisiejsze dowody...

- Nie pomyślałaś o Rachel Wade, tej barmance? Mówiłaś, że według ciebie to też ofiara Leśnego Człowieka. Ale to Bill Rawlins poszedł za nią siedzieć. - Gdy tylko wspomniał o tej sprawie, wszystkie przypadki, nad którymi pracował od czterech lat, skryształizowały się w jedną, przygnębiającą rzeczywistość. Zdołał jednak dopowiedzieć jeszcze: - Jesteś tu nowa, Marcy. Skup się, dobrze? I nie wychodź przed orkiestrę.

Jej uśmiech zgasł, gdy tylko usłyszała jego słowa. Wróciła do siebie, do otwartej teczki i żółtego notatnika leżącego obok na biurku. Parnum poszedł za nią, zamknął akta i przycisnął je ręką.

Pokój przesłuchań na posterunku w Stinger's Creek był ciasny i pozbawiony okien. Źródłem światła była mleczna żarówka dyndająca pod sufitem, prawie nie osłonięta zakurzonym, zielonym abażurem, który na wszystkie strony rzucał ponure cienie.

- Zaczeka pan tu na rozmowę z szeryfem? - spytała Marcy.

- Oczywiście, że zaczekam, proszę pani. Ale wolałbym pogadać z nim w cztery oczy. - Duke Rawlins rozwalił się wygodnie na metalowym krzeselku, plecami do drzwi. Nogi rozłożył szeroko, a biodra wypchnął do przodu.

Marcy Winbaum odwróciła się i wyszła. Parnum stanął w drzwiach i spojrzał na mężczyznę siedzącego na krześle. Startł krople potu z czoła chusteczką.

- Pamiętasz mnie, szeryfie? - Duke odwrócił się i przełożył łokieć nad oparciem krzesła.

Parnum zamknął za sobą drzwi i dociągnął, aż zamek szczęknął głośno.

Duke uniósł brwi i uśmiechnął się.

- Co, znowu mam być twoją małą suką, twoją fujareczką, twoim chłopczykiem, twoją dziwką z ciasną dupką, twoim... o, tak, tak: wierzgającym konikiem?

- Godzinę temu dostałem raport z laboratorium - powiedział półgłosem Parnum. — Ustalono, że drobiny farby na bucie niezidentyfikowanej ofiary to w istocie fragmenty lakieru z pikapa dodge ram. I Bóg mi świadkiem, że w całej okolicy jest tylko jeden taki wóz, a stoi na twoim podwórku.

Duke spojrzął na szeryfa całkiem spokojnie.

Parnum rąbnął pięścią w stół.

- Nie rozumiesz? Ludzie już o tym wiedzą: Marcy, labo-ranci... Znaleźliśmy dowód!

- Powiem ci, co masz zrobić - odparł Duke, pochylając się w jego stronę, wsparty na dłoniach. - Dla dobra twojego tyłka lepiej będzie, jeśli go z powrotem znajdziesz.

Parnum cofnął się odruchowo.

- Oszalałeś? Nie mogę, przecież...

- Czekaj, niech pomyślę. Co będzie z panią szeryfową i małymi szeryfiatkami? Myślisz, że chętnie poznają twój sekret? A wielbny Ellis? A szacowne grono pierwszego chóru Kościoła baptystów?

Parnum milczał. Odezwał się po długiej chwili:

- Zobaczę, co się da zrobić.

- Nie. Zrobisz, co się da zrobić.

- Zamordowałaś pięć kobiet.

- Tak sądzisz?

Parnum z trudem przełknął ślinę.

- Tylko mnie nie osądzaj. Ani się waż mnie osądzać, ty pieprzony skurwysynu! - wycedził Duke.

Parnum poczuł falę mdłości i na wszelki wypadek chwycił obiema rękami krawędź stołu.

- Byłeś tam w piątek wieczorem...

- Gdybym tam był w piątek wieczorem, szeryfie, to jakim cudem mógłbym przegrać z twoją karetą siódemek?

- Nie grałbym w pokera z...

- Nie grałyś w pokera ze mną? - Duke parsknął śmiechem.

- Dla ścisłości: nie tylko ze mną. Donnie Riggs też tam był. Nie mielibyśmy piwa, gdyby nie Donnie.

- Słodki Jezu... Donnie Riggs. Przecież my nigdy...

- Mam wrażenie, koleżko, że całe życie przepływa ci przed oczami, co?

- Ty popaprany sukinsynu...

- Mówisz do mnie? - Tym razem Duke roześmiał się na cały głos.

- Wiem wszystko o Rachel Wade - powiedział Parnum. -Pozwoliłeś, żeby twój wujek poszedł do więzienia...

Duke zmrużył oczy.

- Czy ja wyglądam na sędziego? Czy przypominam ci dwunastu gniewnych ludzi? A może... - Duke urwał na moment

- ...może wyglądam jak te cholerne, tłuste palanty, które pracowały nad tą sprawą? Przymknąłeś niewłaściwego człowieka, szeryfie. A ja mogłem go tylko wspierać. Byłem tam w każdym dniu procesu...

- Siedziałeś i słuchałeś szczegółów własnej...

- Uważaj, co mówisz, szeryfie. Chyba nie chciałbyś wystąpić z oskarżeniem, którego nie poprą żadne dowody?

- Bill Rawlins był porządnym człowiekiem.

- Nigdy nie twierdziłem, że nie był.

- To jego chustkę znaleziono w ustach dziewczyny...

-Parnum potrząsnął głową. - Pozwoliłeś mu umrzeć.

- Powtórzę jeszcze raz: na nic nie pozwalałem. Nie było mnie przy nim w celi, kiedy złapał się za serce i padł na podłogę. Gdybym był, zapewne pompowałbym jego piers znacznie szybciej niż ci debile, którzy go znaleźli.

- Jesteś wyjątkowym...

- Cii, cicho już, cicho.

Umilkli. W pokoju Marcy Winbaum huknęła zamknięta z impetem szuflada. Zadzwonił telefon. Buczała klimatyzacja.

Wreszcie odezwał się Duke.

- Sądzisz, że jesteś dobrym człowiekiem, szeryfie? Jak to jest?

-Ja... ja...

- Tak czy nie? - zagrzemiał Duke.

-Tak.

- Wiedziałem. Wiedziałem, że tak właśnie myślisz. I tym przyjemniejsza jest moja sytuacja. - Duke wypiął biodra

i ścisnął się ręką w kroku. - Widzisz? Tak czy inaczej, wygrywam. Mogę robić, co mi się podoba. I czerpać z tego cholerną rozkosz. A w dodatku wiem, że każdej nocy, kiedy leżysz w łóżku, rozmyślasz o mnie. Tylko że teraz już ci nie staje w szortach, szeryfie. Teraz się boisz i tylko twój zimny pot sączy się w prześcieradło.

Parnum był sztywny.

Duke wstał i pochylił się nad jego pobladłą twarzą. Pocałował go mocno w policzek i przesunął językiem po jego szczęce. Parnum drgnął mimowolnie.

- Być może moja dupa należała kiedyś do ciebie, szeryfie, ale teraz twoja jest tylko i wyłącznie moja. - Duke kopnął krzesło i wyszedł z pokoju.

- No i co się tak gapisz? - rzucił w stronę zastępcy szeryfa, stając w chłodnym powietrzu nocy.

Rozdział trzydziesty pierwszy

O'Connor z trzaskiem otworzył drzwi pokoju przesłuchań i wybiegł na korytarz. Porwał telefon z biurka dyżurnego oficera i wybrał numer posterunku w Mountcannon. Automat natychmiast przekierował połączenie z powrotem do centrali w Waterford. O'Connor pobiegł do samochodu. Głos syreny niósł się echem nad miastem, gdy wyjeżdżał na szosę wiodącą do nadmorskiej wioski.

Joe pochylał się nad szufladą w kuchni, gorączkowo przerzucając pudełka i buteleczki z lekarami, z których żadne nie mogło powstrzymać bólu rozsadzającego mu czaszkę. Wreszcie napełnił szklanek wodą, ale gdy zimny płyn otoczył jego zęby, ból stał się jeszcze gorszy. Obrazy migwały mu przed oczami niczym slajdy z zepsutego projektora: pobladłe ciała, zaschnięta krew... Rozpaczliwie starał się nie widzieć wśród nich Anny, martwej, rannej albo... Nie chciał nawet wiedzieć, do czego zdolny jest Duke Raw-lins. Gdzieś w głębi jego duszy zatrzasnęła się okiennica chroniąca resztki zdrowego rozsądku. Zmusił się do myślenia o pięknym obrazie Anny, spacerującej korytarzem z małym Shaunem na biodrze, malującej nowe mieszkanie, stojącej w holu z potarganymi włosami, gdy szedł spać w gościnnym pokoju.

Stał z policzków łyż i skoncentrował się na osobie człowieka, któremu wkrótce miał stawić czoło. Duke Rawlins trafił do więzienia za bójkę z użyciem ostrego narzędzia, ale za najgorsze zbrodnie nigdy nie został ukarany. Dzięki miejscowemu szeryfowi zyskał alibi, które przetrwało jedenaście lat. Joe wiedział, że najprawdopodobniej nigdy nie

pozna pobudek, które skłoniły policjanta do takiego działania. Teraz liczyło się tylko to, że znalazł się w świetle psychopatycznego mordercy. To, co zrobił w słoneczny dzień w Nowym Jorku, sprowadziło zabójcę na trop jego rodziny tu, w wiosce, którą tak pokochali. Joe doszedł do wniosku, że zasługuje na ból, który czuł.

Jedynym pocieszeniem było to, że być może już zadał cios, który zrujnuje plany Rawlinsa: pozbawił jego misję sensu. Uświadomił mu, że żona zdradzała go z najlepszym przyjacielem... Teraz jednak Joe pomyślał w panice, że tym samym stworzył sytuację, w której Duke Rawlins nie ma nic do stracenia.

Zadzwonił telefon.

- Masz spotkanie z uroczą gołąbeczką w cichym zakątku ogrodu - powiedział Duke. - Naprawdę. Z gołą. Beczką.

Joe poczuł ucisk w żołądku. Chwycił latarkę i wybiegł z domu w ciemność. Pośliznął się na wilgotnej trawie i zamortyzował upadek rękami. Odepchnął się od ziemi i pobiegł dalej, aż zobaczył w mroku, przy kępie krzewów, białą postać leżącą twarzą ku ziemi. Powoli przesunął wiązkę światła w stronę nagiej sylwetki. Wstrzymał oddech i zaraz odetchnął z ulgą, ale i z poczuciem winy. Siobhan Fallon próbowała uciec, gdy dwie strzały przebiły jej ciało od tyłu. Krew rozlała się sporą kałużą, tworząc czarną plamę na tle trawy. Joe rozpoznał ciętą ranę na przedramieniu. Pamiętał, jak dziewczyna spojrzała na nią w samochodzie, najpierw ze zdziwieniem, a potem z gniewem. Teraz rozumiał. To była pierwsza rana zadana przez mężczyznę, który obiecał jej udział w swej grze, po czym zabrał jej wszystko, gdy odegrała swoją rolę.

Telefon zadzwonił ponownie, tym razem w jego kieszeni. Po krótkiej chwili nasłuchiwania Joe zrozumiał, że Duke śmieje się tak intensywnie, że nie może złapać oddechu.

- O, ludzie - odezwał się wreszcie, wciąż chichocąc. - O, ludzie... - Teraz głos Duke'a zamienił się w cichy war kot. - Zadowolony? Teraz jest nas tylko dwóch: ty i ja. Jeden na jednego.

Joe zamknął oczy i przemówił wolno, prawie nie otwierając ust.

- Pewnie jakimś mrocznym zakamarkiem umysłu wyobrażasz sobie, że to, co robisz, jest szlachetne, że wszystkie te twoje polowania, gwałty i morderstwa to wspaniała rzecz. Masz swoją technikę, swoje gierki, całe to gówno. Ale co zostanie, kiedy odejmiesz technikę, Rawlins? Zemsta. Stara, dobra zemsta. Niskie pobudki, które czynią cię podobnym do wszystkich innych żalosnych ludzkich śmieci.

- A gdybyś tak miał szansę - odparł Duke - nie posłałbyś mi kulki w serce za to, co zamierzam zrobić?

- Jako to „za to, co zamierzasz zrobić”? - Joe nie wytrzymał. Odsunął telefon od ucha i wrzasnął prosto do mikrofonu: - Wiesz co? Koniec zabawy, ty tchórzliwy, pie-prznięty skurwysynu! - Rzucił telefon na trawę. Rwały go struny głosowe, a ból wykręcał twarz. Ukrył ją w dłoniach i pomyślał, że Duke Rawlins nie odczuwałby najmniejszej przyjemności z tego, co się dzieje, gdyby nie mógł go obserwować. Wyprostował się i rozejrzał po okolicy, szukając najlepszego punktu widokowego.

- Nie chcesz tej teczki? - ryknął w ciemność. - Mam ją tutaj.

Nagle omiotła go potężna wiązka światła i zaraz skierowała się ku morzu.

- Na miłość boską - jęknął O'Connor, pochylając się w lewo i próbując wpisać numer telefonu Franka z klawiatury nowego telefonu komórkowego, który umocował sobie przy radiostacji. Małeńki joystick umieszczony między klawiszami jakoś nie chciał słuchać jego palców. - Dziadowskie gówno - warknął, zjeżdżając na pobocze. Wyjął telefon z wieszaka i wybrał numer Franka z książki telefonicznej. Znowu odezwał się automat.

- Gdzie się podziewasz, tępy...

Urwał, bo fatalnie się poczuł. Lubił Franka. Tyle że w tej chwili miał ochotę strzelić go w pysk, choć tak naprawdę chodziło o detal, którego nikt nie dostrzegł. O'Con-nor zjechał z powrotem na drogę i wcisnął gaz do deski. To, co przytrafiło się Katie, było złem. Myśl o dziewczynie, którą znał tylko z fotografii, pograżała go w smutku. Jak dotąd, rozmyślał ponuro, śledztwo pod dowództwem

Mylesa O'Connora zawodziło na całej linii. Spodziewał się, że jego nazwisko kojarzone będzie odąd raczej z parodią śledztwa. Teraz pozostało mu tylko jedno: dotrzeć na miejsce w samą porę, by zamknąć dochodzenie w jedyny sposób, który oddałby sprawiedliwość Katie Lawson.

Richie Bates po cichu zaparkował radiowóz za rzędem krzaków opodal Shore's Rock. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w sylwetkę Joego Lucchesiego, oświetloną dziwnym blaskiem latarki rzuconej w trawę. Amerykanin cisnął czymś, krzychał, a potem pobiegł w stronę latarni morskiej.

O'Connor zatrzymał wóz z piskiem opon, zaledwie o parę centymetrów od muru posterunku w Mountcannon. Wskoczył na chodnik i pobiegł do drzwi, gotów uderzyć pięścią w dzwonek. Zatrzymał się jednak, odetchnął głęboko i delikatnie nacisnął klawisz. Zaczekał. Zadzwoił ponownie. Zawołał Franka po imieniu. Odpowiedzi nie było.

Anna traciła i odzyskiwała przytomność. Zwisła bezwładnie górną połową ciała, przywiązana w pasie do metalowej drabinki i osłabiona uciskiem liny na brzuch. Kolana uginały się pod nią, a stopy wciąż próbowały unieść choć część ciężaru ciała. Ręce miała związane na plecach kawałkami cienkiego drutu. Szeroka taśma zasłaniała jej usta.

- Jezu Chryste! - zawołał Joe łamiącym się głosem.

Jej oczy były zamknięte, a ciało bezwładne. Wsunął teczkę za pazuchę i zdarł taśmę z ust Anny. Włożył rękę za szczeble drabiny, odszukał węzeł i pociągnął za koniec. Lina puściła i zawisła luźno na nieruchomych udach. Próbuując przygarnąć Annę do siebie, Joe dotknął jej pleców i zamarł. Powoli unióśł rękę i ponad ramieniem zobaczył własną dłoń i przedramię ociekające krwią. Spojrzał niżej. Dół koszulki i górna część dzinsów Anny mieniły się czerwienią.

Nagle usłyszał za sobą kroki, a zaraz potem głośny krzyk:

- Mamó! Mamó!

Odwrócił się i zobaczył Shauna, który umilkł nagle, zszokowany tym, co zobaczył.

- Kazałem ci zostać w domu! - zawołał Joe, przekrzykując wycie wiatru targającego piętro wyżej niedomkniętymi drzwiami. - Idź, zamknij te drzwi!

Spróbował ułożyć Annę na podłodze w ciasnej przestrzeni i kopnął linę, by zrobić dla niej miejsce. Tę samą linę, którą rozwiązał tak łatwo... Poczł zimny dreszcz. Zbyt łatwo. Anna drgnęła gwałtownie, odzyskując przytomność. Potrząsnęła głową i spojrzała na niego oczami pełnymi strachu.

Shaun przewyciężył napór wiatru i zamknął drzwi, ale gdy tylko je puścił, otworzyły się znowu, rzucając go na podłogę.

Słyszając rumor, Joe spojrzał w górę i zobaczył Duke'a Rawlinsa, jak przyciska policzek do twarzy Shauna i dotyka jego skóry nożem pokrytym zakrzepłą krwią.

- Niczego się nie nauczyłeś, co? - zawołał Duke. - Sprawy nie rozwiązują się same, detektywie. - Ścisnął Shauna mocniej, odchylił mu głowę do tyłu i przyłożył do gardła zagięte ostrze. - Aha - dodał, sięgając wolną ręką w dół i podając Lucchesiemu koniec sznurka.

Joe pociągnął go w dół i zobaczył powyżej srebrzysty balon wypełniony helem.

- Wszystkiego najlepszego - powiedział z uśmiechem Duke.

Gdy tylko Frank Deegan oddalił się od gór, jego telefon komórkowy zasygnalizował powrót do życia. Pozostał w zasięgu najbliższej anteny na tyle długo, by przekazać siedem zgłoszeń od Mylesa O'Connora, ale nie na tyle, by Frank zdążył odpowiedzieć.

Richie cicho zamknął drzwi samochodu, przeskoczył nad rowem i przecisnął się przez dziurę w żywopłocie. Przykucnął i zaczął się skradać w stronę latarni oraz cieni tańczących w pomieszczeniu na jej szczycie.

- Próbowwała pomóc tej tłustej suce - powiedział Duke, ruchem głowy wskazując na leżące pod ścianą, kruche i nie ruchome ciało Anny. — Shebie.

- Siobhan - szepnęła Anna. - Miała na imię Siobhan.

Duke parsknął i skrzywił się, dając jej do zrozumienia, że jest mu wszystko jedno. Znowu kiwnął głową w jej stronę.

- Próbowwała nawet uciec ode mnie... Ale zaraz wróciła - dodał z uśmiechem.

Reflektor obracał się nad nimi, wydając odgłos gigantycznego palnika. Joe spojrział na mosiężne kratki umieszczone w ścianie rzędami na wysokości podłogi oraz na wysokości niespełna dwóch metrów. Wiedział od Anny, że powinny być otwarte albo od południa, albo od północy, w zależności od kierunku wiatru. W tej chwili jednak wszystkie były zamknięte i opary z palącej się nafty nie znajdowały ujścia z ciasnej przestrzeni.

- Dobra. To nie potrwa długo - powiedział Duke. -Wiesz, to jedna z tych szybkich decyzji, takich jak ta, którą już podjąłeś: zastrzelić czy nie zastrzelić bezbronnego człowieka. Tak, detektywie, wiem, że Donnie był nieuzbrojony. Biedaczek, ścisnął w dłoni odznakę. Nie bez powodu, zapewniam cię. Chciał mieć ją jak najbliższej, ale nigdy nie zrozumiesz dlaczego. Lojalność... - Urwał i przymknął oczy.

- Lojalny partner nie sypiałby z twoją żoną, Rawlins.

- A ty ciągle o tym...

- Teczka - powiedział Joe. Zakrwawiona ręka zostawiła ślad na szarej okładce. - Zobacz. Jest tam jej nazwisko. Była w Nowym Jorku, akurat w tym parku, akurat o tej porze. Potrafisz to sobie wyjaśnić? Przyznała się prokuratorowi okręgowemu w Stinger's Creek, że Donald Riggs chciał zdobyć pieniądze z okupu dla siebie i dla niej - po to, żeby mogli razem uciec jak najdalej, zanim ty wyjdiesz na wolność.

- Donnie chciał umrzeć, ściskając w rękę odznakę...

- Nieprawda - przerwał mu spokojnie Joe, ostrożnie kładąc teczkę na podłodze. - Chciał ją wyrzucić.

Kiwnął głową w stronę teczki pełnej fotografii, zeznań świadków, wyników autopsji, raportów sądowych. Duke spojrział na nią, wciąż kręcąc głową.

- Nie - powiedział. - Nie.

Przez chwilę stali tak w milczeniu. Duke kołysał się lekko, zapatrzony w przestrzeń. Joe wstrzymał oddech i obserwował go, z niepokojem myśląc o eksplozji, która mogła nastąpić po tej chwili spokoju.

- Możesz się teraz wycofać - powiedział. - Nikt cię nie złapie. Nie musisz spędzać reszty życia w więzieniu za te wszystkie morderstwa.

- Jakie morderstwa? - spytał Duke, wzruszając ramionami. A potem znowu coś w nim pękło, bo kiedy się odezwał, jego głos był lodowaty. - Marnuję tu czas, detektywie. Dam ci szansę. Szybka rozgrywka. - Pstryknął palcami. - Więc i ty będziesz musiał działać szybko.

Richie Bates wiedział już, że pojawił się Duke Raw-lins... i że nadarzyła się sposobność, która mogła wszystko odmienić.

Shaun stał na ośmiocentymetrowym gzymsie biegnącym za balustradą okalającą galerię. Duke obejmował go ramieniem na wysokości piersi.

- Shaun, trzymaj się mocno! - Joe starał się przekrzyczeć huk obracającego się powyżej reflektora oraz wiatru. Poczul ból w szczęce i odruchowo dotknął jej palcami.

- Coś cię boli? - spytał Duke, uśmiechając się szeroko. Podszedł o krok bliżej.

Joe wstrzymał oddech i spróbował pokręcić głową.

- Może tak? - Rawlins skoczył naprzód i uderzył pięścią w palce dotykające szczęki. Ból przeszył czaszkę Joego i zgiął go w pół, wyciskając łzy z oczu.

- A teraz morda w kubeł - rzucił Duke. Wyjął z kieszeni telefon i kciukiem wybrał numer pogotowia. Pokazał Luc-chesiemu cyfry jarzące się na wyświetlaczu. - Mam wrażenie, że twojej żonie przydałaby się karetka - powiedział.

Joe odwrócił się i spojrzał na Annę. Leżała w kałuży krwi, pobladła, z zamkniętymi oczami.

- Oto twój wybór: rzucam telefon albo twojego syna. Co wolisz?

Joe nie mógł ruszyć się z miejsca. Rozejrzał się, despe-

racko szukając w ciasnym pomieszczeniu czegoś, co pomogłoby mu podjąć decyzję albo zabić tego człowieka. Jego wzrok zatrzymał się znowu na szarej teoczce.

- Proszę... - powiedział. Z kącika ust popłynęła krew.

Duke podszedł o krok bliżej, ale zamiast się schylić po teoczkę, kopnął ją czubkiem buta. Kopnął jeszcze raz i luźne kartki poleciały na wszystkie strony.

- Nie - odparł, kopiąc teoczkę po raz trzeci. - Powtarzam: rzucam telefon albo chłopaka. Co wybierasz?

Joe spojrział na Annę. Na ułamek sekundy uniosła powieki i przecząco poruszyła głową. Tylko na to wystarczyło jej energii. Joe dał krok w jej stronę.

- Trzymaj się od niej z daleka - zarządził Duke, wciskając klawisz w telefonie. - Poproszę o karetkę - powiedział do mikrofonu, spoglądając na Joego. - No, detektywie, czas minął. Telefon czy chłopak? - Uniósł ramię tak, że telefon zawisł poza balustradą.

- Telefon - odparł cicho Joe.

- Nie słyszę. Co powiedziałaś?

- Nie, tato, nie! - krzyknął Shaun, szarpiąc się z całej siły. - Nie!

- Pogotowie, w czym mogę pomóc?... Halo? - daleki głos brzmiał metalicznie. Ucichł, gdy Duke wychylił się za poręcz i otworzył dłoń. Telefon spadł z wysokości dziesięciu metrów i rozleciał się na części.

Shaun krzyknął, gdy Duke puścił go na moment i ponownie złapał w ostatniej chwili.

- Aha, kable w domu też przeciąłem - powiedział Rawlins, po czym zwrócił się do Shauna. - Złap się rękami za barierkę. Zaraz będziesz mógł przejść na tę stronę i pogratulować tatusiowi. Właśnie zabił mamusię.

Shaun przeszedł przez balustradę, ale gdy tylko dał krok w stronę rodziców, Duke kopnął go w plecy. Chłopak wpadł na ojca i razem upadli na podłogę. Shaun odsunął się natychmiast, a Joe skoczył do drzwi, ale Duke był szybszy. Mignął tylko na galerii i zniknął.

Joe spojrział na syna.

- Sprowadź pomoc. Powiedz policji, co się stało. Mama z tego wyjdzie.

Wybiegł na zewnątrz. Wiatr, który wdzierał się nawet do ust, spotęgował ból szczęki nie do zniesienia. Detektyw rozejrzał się po galerii, ale nie znalazł niczego poza liną szarpaną wichrem. Wchodząc z powrotem do komory reflektora, zauważył biało-niebieskie światła migające w dole.

- To policja! - krzyknął do Shauna. - Niech sprowadzą ambulans. Ja muszę iść. - Spojrzał w dół i zobaczył, że ktoś wysiada z radiowozu. - Cholera - powiedział. - To Richie.

Wiedział, że Bates mu nie uwierzy.

O'Connor wyjął i zapalił papierosa. Przymknął oczy i zaciągnął się głęboko. Telefon zawibrował raz, a potem odezwał się najgłośniejszym sygnałem.

- Myles, tu Frank Deegan.

- Gdzieś ty był? - warknął O'Connor. - Próbowałem cię złapać przez całe popołudnie.

Frank zawahał się.

- Byłem w górach Ballyhoura. Co rusz traciłem zasięg. Jestem prawie w domu. Przywożę parę nowin, powiem ci, jak przyjadę.

- A właśnie że nie, do kurwy nędzy - wycedził O'Connor.

Frank nie wierzył własnym uszom.

- Słucham?

- Powiesz mi teraz, Frank. Co się dzieje, do cholery?

- Jak to co? I w jakiej sprawie? Bo ja pojechałem, żeby się dowiedzieć w Doon czegoś o Mary Casey. Widzisz, ten Duke Rawlins, o którym mówił Joe Lucchesi... Widziałem, co robił z kobietami w Stanach. I to samo spotkało tę kobietę w Limerick, tyle że w Stanach rany zadano strzałem z łuku, a u nas nożem. No, ale jeśli ktoś nie miał łuku... Mam przeczucie, że to raczej przypadkowa zbrodnia. Tak czy inaczej, facet jest w naszym kraju, co do tego nie mam wątpliwości. - Frank skupił się na opowiadaniu tak bardzo, że nie usłyszał nawet wołania O'Connora, że ma się zamknąć i słuchać.

- To sprawa Limerick! - ryknął O'Connor, kiedy Frank wreszcie umilkł. - Gdybyś tylko pilnował spraw na własnym podwórku...

Frank poczuł, że policzki go pieką.

- Słuchaj - ciągnął O'Connor. - Przekazałeś informacje i to wystarczy.

- Jak to? - zdziwił się Frank. - A co z Katie Lawson? Myślę, że facet zmienił sposób działania, żeby rzucić podejrzenie na Shauna albo Joego...

- Wyszły nowe fakty w sprawie Katie Lawson - przerwał mu O'Connor. - Jedź prosto do domu Lucchesich. Tylko nie wchodź. Spotkamy się tam.

Joe pobiegł w stronę Richiego z gotowym wytłumaczeniem, ale nie musiał się wysilać.

- Co to było, u diabła? - spytał Richie. - Jakiś psychol otworzył mi drzwi wozu i rozwalił radio!

- Potrzebuję karetki dla Anny - odparł Joe. - To był on, Rawlins. Zranił Annę. - Niemal jednocześnie spojrzeli na roztrzaskaną krótkofalówkę, z której sterczały bezużyteczne już kable i ostre odłamki plastiku.

- Gdzie ona jest?

- Z Shaunem, w latarni. Ale... - Joe spojrzał na Richiego w panice.

-Wiem. Musisz dorwać sukinsyna. Wsiadaj. Karetka zaraz tu będzie, zadzwonię z komórki.

Richie oddalił się od samochodu, żeby znaleźć zasięg. Rozmawiał krótko, po czym biegiem wrócił do radiowozu, uruchomił silnik i ruszyli w stronę szosy.

- Przyjechał białą dostawczą fiestą. Ma najwyżej pięć minut przewagi - powiedział. - Pojechał tam, pod górę. Nie włączę ani świateł, ani sygnału, żeby nie spanikował. Jak sądzisz, dokąd się wybiera?

- Wie, że tutaj jest udupiony - odparł Joe. - W kraju jest poszukiwany za poważne przestępstwa i o tym też wie. Stawiam na to, że będzie chciał uciec z wyspy, ale nie samolotem.

- Mógłby spróbować do Anglii albo Walii - zasugerował Richie. - Promem.

- Z Rosslare? Myślisz, że o tym wie?

- Nie jest idiotą. Zaplanował każdy szczegół tej akcji.

- Może powinniśmy zadzwonić do Franka?

Richie uniósł brwi.

- I grać ściśle według regulaminu? - spytał, spoglądając na Joego. - Ten czubek próbował zabić twoją żonę...

Milczenie detektywa było wystarczającą odpowiedzią. Minęli zakręt i skrzyżowanie z Manor Road, ulicą prowadzącą w stronę kościoła i dalej, do serca wioski. Obaj spojrzeli odruchowo w prawo. Richie z całej siły przydepnął hamulec.

- Jezu Chryste - jęknął Joe, podpierając się ręką o skrytkę.

Richie wrzucił wsteczny i po chwili znowu zobaczyli porzucony biały samochód.

- Do diabła, czego on szuka w wiosce?

Shaun ułożył głowę matki na swoich kolanach. Dziwnie się czuł, będąc tak blisko niej. Była blada i nie otwierała oczu. Od kwadransa, czyli odkąd zostali sami, odruchowo gładził jej czoło. Zimny wiatr zaczął bombardować latarnię kroplami deszczu; nieustanny hałas przyprawiał Shauna o ból uszu. Kiedy sobie to uświadomił, przestał głaskać Annę i zasłonił jej uszy. Przycisnął lekko swoją bluzę do rany na jej brzuchu, ale wiedział, że to nie wystarczy. Krew była wszędzie; nie mógł już na nią patrzeć.

Richie zaparkował ukosem, oświetlając reflektorami poobijaną fiestę. Joe wyskoczył z wozu i małym łomem podważył klapę wozu. Pusta przestrzeń bagażowa maleńkiego samochodu wydawała się ogromna.

Joe wrócił do radiowozu, mrużąc oczy w ostrym świetle.

- Jedziemy dalej! Nie ma go, uciekł.

- Szlag - mruknął Richie.

Ruszyli do centrum, szybko nabierając prędkości. Po chwili jechali sporo ponad sto kilometrów na godzinę. Richie bardziej skupiał się na wypatrywaniu uciekiniera niż na prowadzeniu wozu.

- Na Boga, uważaj! - krzyknął Joe.

Bates zahamował gwałtownie, zdumiony sceną, która rozgrywała się przed nim. Ulica była zablokowana. Przed

kościółem stało wiele samochodów; niektóre przeciskały się środkiem, a jeden z nich stanął w poprzek jezdni, gdy jego kierowca zobaczył rozpedzony radiowóz. Richie szarpnął kierownicą w lewo i ford wpadł w niekontrolowany poślizg na wilgotnej nawierzchni. Posłał w niebo mgielkę błotnistej deszczówki, zanim znieruchomiał zaledwie kilka centymetrów od stojącego w poprzek ulicy samochodu.

- Gównu z pościgu - stwierdził Joe.

Richie wyskoczył na ulicę i z całej siły trzasnął drzwiami. Schowek otworzył się nagle i Joe poczuł, że paraliżuje go lodowaty strach. Wyjął ze środka telefon Richiego, wysiadł i zaczął biec, przeciskając się przez tłum wiernych, którzy walcząc z wiatrem i własnymi parasolami próbowali dotrzeć do swoich samochodów. Kierowcy błyskali reflektorami i nie żalowali klaksonów. Joe w biegu wybrał numer Franka. Krople deszczu spadały na wyświetlacz. Ścierał je ręką, czytając listę ostatnio zrealizowanych połączeń. Przyspieszył i minął schody do kościoła, gdzie tłum był najgęstszy, a ludzie zaczęli już wyczuwać, że coś jest nie tak. Nie zwrócił uwagi na żarzącą się końcówkę papierosa, która sypnęła iskrami w kontakcie z jego rękawem. Ktoś zaklął głośno. Tłum był coraz rzadszy i teraz dopiero Joe zauważył Richiego. Skoczył nisko, atakując nogi, i przewrócił policjanta na mokry asfalt. Przewrócił go na plecy i uderzył mocno, rozcinając mu skórę pod okiem.

Shaun usłyszał syrenę i lzy spłynęły mu po policzkach. U podnóża latarni znowu rozbłysły światła. Potem ktoś wyłączył silnik i rozległy się ludzkie głosy, coraz bliższe i bliższe.

Joe gorączkowo łączył w myśli wszystkie fakty. Wściekłość Richiego, jego „kukuryku na drodze”. I zdziwienie Raya, kiedy Joe mu o tym przypomniał. Bo to nie było żadne kukuryku. Ray powiedział: koka-ryku. Amok napędzany kokainą. Wystraszony Richie w samochodzie przy Ma-riner's Strand, miesiąc po śmierci Katie. Zapewne miesiąc wcześniej znalazł się w tym samym miejscu... Jak zawsze, gdy spotykał się z dilerem, któremu przy okazji przekazy-

wał informacje o planach policji. Joe wyobraził sobie Katie stojącą samotnie w ciemności. Wyjęła telefon komórkowy i wybrała numer Franka Deegana, bo tylko jemu mogła ufać bez zastrzeżeń. Ale nie zdążyła nawet zacząć rozmowy, bo mierzący metr dziewięćdziesiąt, naszprycowany kokainą stróż prawa...

Richie trafił go w szczękę i ból prawie obezwładnił Jo-ego. Cofnął się na miękkich nogach i upadł. Tłum niechętnie zebrał się dookoła, a Richie gestem nakazał wszystkim zachować dystans. Podeszedł do leżącego i przykucnął obok.

Frank Deegan wbiegał na piętro latarni, przeskakując po dwa stopnie. Wreszcie wspiął się po drabince i ostrożnie zajrzał przez klapę do komory. Najpierw zobaczył krew. Podparł się rękami i wskoczył do środka. Przysiadł na moment, zanim zdołał wstać.

Łamiącym się głosem zawołał O'Connora.

- Na miłość boską, Myles, wezwij karetkę! Shaun - dodał cicho. - Kto tu był?

- Facet, który to zrobił - odparł chłopak szeptem, tuląc matkę. - Tata go ściga. Razem z Richiem.

Frank spojrział na O'Connora. Przez sekundę patrzyli sobie w oczy, a potem detektyw inspektor sięgnął po krótkofalówkę.

Joe pochylił się w stronę Richiego.

- Widziałem twoją komórkę.

- Oddaj mi ten cholerny telefon - warknął funkcjonariusz, tłukąc łokciem w nadgarstek Lucchesiego, by się uwolnić.

- Nawet nie wezwałeś karetki dla Anny, podły skurwysynu! Na bucie Katie znalezionym na przystani były odciski palców i Frank powiedział mi, że Shaun został wykluczony. Dlatego miałeś nadzieję, że zwalisz winę na Duke'a Rawlinsa, a mnie napuścisz, żebym go załatwił...

- Wiesz, zdaje mi się, że po tym, co zrobiłeś, mógłbym zwalić winę na ciebie - odparł Richie, ruchem głowy wskazując na gęstniejący tłum gapiów.

Joe parsknął pogardliwie.

- Tylko że oni cię nie szanują.

- Powiedział bezrobotny gliniarz-morderca. Pamiętaj, że to ja jestem w mundurze - syknął Richie. — Nie masz szans. Nie było żadnych odcisków, Joe. Za to ty jesteś cały we krwi. Trafieś do dziwnego kraju. My tu umiemy troszczyć się o swoich. Nikt ci nie uwierzy. Popatrz tylko. - Richie obejrzał się przez ramię i zawołał władczy tonem: - Niech ktoś mi pomoże. To maniak!

Joe spojrzął na niego ze zdumieniem. Zaraz potem ogarnął go gniew. Odepchnął policjanta i z wysiłkiem stanął na nogi. Dwaj mężczyźni stanęli naprzeciwko niego, ale drogę zastąpił im Petey Grant. Pochylił się niezgrabnie, wielką dłonią ściskając pod brodą klapy płaszcza. Strugi deszczu spływały po jego białej twarzy.

- Nie pomogłeś przyjacielowi - powiedział Petey, wskazując palcem na Richiego.

- Joe nie jest moim przyjacielem - odparł policjant, wstając bez pośpiechu.

- Nie pomogłeś mu.

Tym razem Richie zignorował jego słowa i zaciskając pięści, odwrócił się w stronę Lucchesiego.

- Nie pomogłeś mu! - krzyknął Petey. - Swojemu przyjacielowi! Justinowi Dwyerowi! W morzu! Widziałem was. Stałeś tam. A on zginął.

- Co ty wygadujesz? - obruszył się Richie.

- Wołał cię, a ty mu nie pomogłeś... - Podmuch wiatru wyrwał połę płaszcza z ręki Peteya, a deszcz natychmiast zmoczył białą koszulę.

- To był wypadek...

- Wiem, ale ty mu nie pomogłeś. Umiesz pływać. Dlaczego nie pomogłeś? Dlaczego? Patrzyłeś, jak on tonie. Widziałem cię. Byłem tam. Bawiłem się w chowanego.... - Petey rozplakał się.

- Zamknij dziób, idioto - szczechnął Richie. - Zamknij, do jasnej cholery.

- Nie - zaszlochał Petey. - Nie mogę. Nie.

Przez kilka sekund słychać było jedynie szum deszczu. Tłum wciąż był zdezorientowany, niepewny, kto jest ofia-

ra, a kto winowajcą; agresywny ton Richiego nie pomógł w uporządkowaniu chaosu. Pani Grant podeszła do Peteya i uścisnęła jego drżącą dłoń. Zanim wciągnęła go w gromadę gapiów, zdążył spojrzeć błagalnie i niepewnie w oczy Joemu, który położył mu rękę na ramieniu i z dumą skinął głową.

Sekundę później Joe stanął naprzeciwko Richiego.

-Ty sukinsynu... - warknął, powalając go na ziemię. Spojrzał po twarzach milczących świadków. - Nawet nie próbujcie mnie powstrzymać. Ten wasz policjant... - Bardzo chciał wykrzyczeć prawdę o czynach Richiego, ale kątem oka dostrzegł Marthę Lawson, która z przerażeniem zaciskała ręce wokół ramienia siostry. Zrozumiał, że nie powinna usłyszeć tego w taki sposób.

Richie podniósł się szybko, ale Joe natychmiast chwycił go za gardło.

- Lepiej nie próbuj mnie zatrzymać, bo...

- Bo co? - Richie z uśmiechem spojrział ponad ramieniem Lucchesiego. Dwaj dobrze zbudowani mężczyźni ominęli Peteya i pochwycili Joego za ramiona, wykręcając mu ręce.

Ratownicy wynieśli Annę z karetki i natychmiast zawieźli do sali reanimacyjnej. Shaun chciał pójść za nią, ale jedna z pielęgniarek położyła mu dłoń na ramieniu i poprowadziła korytarzem do pokoju dla krewnych.

Richie potrafił szybko zakładać kajdanki. Joe rzucał się wściekle, próbując przemówić do mężczyzn, którzy go zatrzymali.

-Nie róbcie mi tego, do cholery! Proszę, nie róbcie... Moja żona umiera. Anna umiera, sukinsyny! - krzyczał.

- Tak to jest, kiedy się atakuje własną żonę - powiedział Richie i spojrział na stojących najbliżej. - Mamy do czynienia z szaleńcem...

- Ty skurwielu! Nie stójcie tak, przynajmniej wezwijcie karetkę! - zawołał w stronę gapiów.

- Nie trzeba, chłopcy - odpowiedział Richie. - Ja wezwę, przez radio.

- On rozwalił własne radio - wrzasnął histerycznie
Joe. - Rozwalił je latarką! Sprawdźcie w samochodzie,
w schowku! Wszędzie leżą szczątki...

Richie miał donośniejszy głos. Krzyczał, że Joe jest
niezrównoważony, gestem nakazując, by wszyscy oddalili się
od samochodu. Zatrzaskał drzwi i zablokował je nogą.

Pielęgniarka wśliznęła się cicho do pokoju krewnych.
Zawahała się, widząc koszulkę Shauna przesiąkniętą krwią.
Wykonał ruch, jakby chciał wstać.

- Nie trzeba - powiedziała, siadając obok niego. - Twoja
matka jest w stanie krytycznym.

Shaun miał wrażenie, że zaraz się rozplacze. Nie wiedział
tylko, że płakał przez cały czas, odkąd wszedł do karetki.

Gniew i frustracja sparaliżowały Joego. Wiedział tylko, że
musi jechać do Anny. Myślał gorączkowo, ale opcji nie było.

- Nareszcie - powiedział Richie.

Joe uniósł głowę. Policjant rozmawiał przez komórkę.

- Cały dzień próbowałem cię złapać!

Joe pamiętał ten numer. Piętnaście połączeń z niejakim MC.

- A gdzie teraz jesteś? - spytał Richie. - Tak? Więc nie
ruszaj się stamtąd na krok. Już jadę.

Shaun wybiegł na korytarz, gdy tylko usłyszał pukanie do
drzwi.

- Co się dzieje? - spytał.

- Twój ojciec już przyjechał? - odpowiedziała pytaniem
pielęgniarka.

-Nie.

- Nie martw się, na pewno zjawi się lada chwila.

- Mam nadzieję.

- Twoja matka odniosła takie obrażenia, które wymagają
natychmiastowej operacji.

- Co znaczy „takie obrażenia”?

- Rana, która wygląda niepozornie, może maskować poważne uszkodzenia wewnętrzne. Może tak nie jest, ale trzeba to sprawdzić.

- Tyle krwi... - Shaun wskazał na swój T-shirt.

- To prawda, że straciła dużo krwi, ale też podaliśmy jej już sześć jednostek. - Pielęgniarka umilkła na moment. - Chodź ze mną. Jeśli się pospieszymy, zobaczysz matkę jeszcze przed operacją.

Richie wjechał ostrożnie na pusty plac należący do miasta. Z pęknięć w betonowej nawierzchni sterczały chwasty, wszędzie walały się śmieci, a w kącie, przed bramą ostatniego z pięciu garaży, stał Marcus Canney. Richie nawrócił i zwolnił, a po chwili zatrzymał wóz i wysiadł. Podeszedł do dilera.

- Co to za historia?

- Nie ma żadnej historii - odparł Richie.

- A co planujesz?

Policjant spojrział na niego ponuro.

- Po prostu daj mi ten cholerny sprzęt.

- Zaczekaj chwilę.

Marcus odsunął się na bok, a brama garażu otworzyła się z trzaskiem na dwie strony. Czterej policjanci wybiegli, by dokonać jednego z najbardziej pamiętnych aresztowań w karierze Richiego Batesa.

Shaun ledwie znosił widok rur i przewodów łączących Annę z aparaturą, której przeznaczenia nie pojmował. Nie wiedział nawet, w którym miejscu może dotknąć jej ciała. Wreszcie wyciągnął rękę i położył dłoń na jej czole. Wyczuwał pośpiech w ruchach lekarzy, ale nie chciał zostawić matki w ich rękach. Przecież żyła. Pragnął, żeby tak już zostało. Operacja mogła pogorszyć jej stan. Ludzie umierali na stołach operacyjnych.

Łzy jeszcze płynęły, ale wreszcie otarł ostatnią z nich i odetchnął niepewnie. Wiedział, że nie stać go na elokwencję. Nawet jeśli słowa, które chciał wypowiedzieć, miały być ostatnimi w jej życiu, ona raczej o tym nie wiedziała.

Delikatnie ścisnął końcówki jej palców.

- Będzie dobrze, mamó. Obiecuję. - Zawahał się. - Zo baczysz. Wiem, że z tego wyjdiesz. Ty też jesteś Szczęścia rzem.

Joe wpadł do szpitalnego holu umazany krwią - własną, Anny i Richiego.

- Niestety - meldował Frank, próbując dotrzymać mu kroku - Rawlins uciekł, ale postawiliśmy na nogi policję w całym kraju. Anna właśnie trafiła na salę operacyjną. Shaun jest w pokoju krewnych. - Frank pochylił głowę. - Nie mieliśmy pojęcia, że Richie...

- Wiem - odparł Joe.

Nie zatrzymując się, skręcił w lewo i otworzył drzwi, które wskazał mu Frank. Panika przychodziła i odchodziła falami. Skręcił w boczny korytarz. Zobaczył staruszkę na ławce; opierała się o ścianę ogarnięta rozpaczą. Młody mężczyzna próbował ją podtrzymać. Joe poczuł ucisk w sercu. Spojrzał na długi rząd drzwi. Pchnął pierwsze z brzegu i zobaczył pusty pokój. Sprawdził trzy, zanim usłyszał stłumione „tak”. Wszedł do środka. Shaun uniósł głowę i wybiegł mu na spotkanie.

- Co? - spytał Joe. - No, co?

Shaun objął go mocno, szlochając.

Richie Bates został wprowadzony głównym wejściem na posterunek policji w Waterford. Ręce miał skute za plecami, kurtkę rozpiętą - bo pozbawioną guzików - a skórę na twarzy rozciętą od zuchwy do skroni. Jego dawny towarzysz ze szkolenia stał przy biurku oficera dyżurnego, z niedowierzaniem kręcąc głową.

Shaun mówił urywanymi zdaniami, oddychając płytko i nierównomiernie.

- Jest poważnie ranna... Pracowali nad nią już w karet ce... a tutaj... zabrali ją na operację...

Joe ze ściśniętym sercem patrzył, jak jego syn stara się być dorosły. Nie miał pojęcia, skąd w chłopcu było jeszcze tyle siły po tym wszystkim, co przeszedł.

- Chodź do mnie - powiedział, przyciągając Shauna bliżej. - No, chodź. Nie musisz radzić sobie z tym całkiem sam.

- Nic mi nie jest - odparł Shaun.

Brzmiało to tak prosto, że Joe chciał się rozpląkać.

- To dobrze - powiedział. - Świetnie się spisałeś.

Joe otoczył syna ramieniem. Pamiętał, że kiedy miał czternaście lat, poszedł z matką do szpitala i nie miał w sobie ani odrobiny tej siły, którą widział teraz u Shauna. Matka była niespokojna, bo przeczuwała, że tego dnia usłyszy diagnozę: rak. Joe tymczasem myślał wyłącznie o sobie. Martwił się, że wpadnie na lekarza, który łątał go cichaczem po każdej większej bijatyce.

- Nie mogę tak po prostu siedzieć i czekać - powiedział w końcu. - Zaraz wracam. Muszę tylko...

Pobiegł prosto na oddział nagłych wypadków. Rozejrzał się w panice. Niewiele myśląc, chwycił za rękę pierwszą pielęgniarkę, która pojawiła się w pobliżu.

- Proszę - wycharczał. - Moja żona, Anna Lucchesi... Proszę mi powiedzieć, czy z tego wyjdzie. - Cofnął rękę, zawstydzony. - Przepraszam, ja...

- Proszę poczekać - powiedziała łagodnie pielęgniarka. Zniknęła za zasłoną i po chwili przyprowadziła koleżankę, tę samą, która wcześniej rozmawiała z Shaunem.

- Nie wiem nawet, jakie miała obrażenia... - powiedział Joe.

- Gdy tylko zakończy się operacja, lekarz z panem porozmawia, panie Lucchesi. Wiemy, gdzie pana szukać. W tej chwili mogę powiedzieć tylko tyle, że pańska żona jest w stanie krytycznym i że robimy wszystko, co w naszej mocy. Jest pan przemoczony - zauważyła. - Przyniosę ręczniki, wytrze się pan chociaż. - Po chwili dodała: - Może jest ktoś, do kogo powinien pan zadzwonić?

Przygarbiony Frank Deegan stał z Mylesem O'Conno-rem w poczekalni.

- A ja byłem na tyle głupi, żeby pomyśleć, że ona na prawdę chce ratować ludzi, dać sobie drugą szansę, i tylko dlatego został policjantem. Ale że patrzył, jak mały Dwyer

tonie.... Jakaś część jego duszy musiała czerpać z tego satysfakcję - dodał, kręcąc głową.

- Myślę, że Richiemu chodziło o władzę - odparł O'Con-nor.

- Sądzis, że mógł ją poczuć tylko w tej pracy? Chryste Panie...

- Jakim cudem doszedł do takiego wniosku...

- Może czuł, że musi walczyć przeciwko czemuś? - zasugerował Frank. - Zawsze był w nim jakiś konflikt. Widać było, że tylko szuka pretekstu, żeby...

- To bez sensu - przerwał mu O'Connor. - Ani ty nie wiedziałeś, ani ja nie wiedziałem...

- Czy to cały świat oszalał? - spytał Frank łamiącym się głosem, po czym wyjął z kieszeni białą chusteczkę i przycisnął do oczu. - To dla mnie znak. Miałaś rację, kiedy mówiłaś, że jestem na wylocie - powiedział, wzruszając ramionami. - To prawda.

Joe nie zdobył się na to, by zatelefonować do rodziców Anny. Postanowił zaczekać, aż operacja dobiegnie końca i będzie mógł przekazać im dobre wieści. Siedzieli więc z Shaunem w pokoju i za wszelką cenę starali się wypełnić czymś ciszę, by nie pozwolić umysłom szukać czarnych scenariuszy. Rozmawiali o sporcie, o szkole, o Nowym Jorku, o filmach i o książkach.

- Moglibyśmy pogadać o mamie - zaproponował Shaun.

- Nie mogę - odparł Joe. - Po prostu nie mogę.

W cichym zakątku parkingu strzeżonego przy terminalu promowym w Rosslare stał czerwony renault clio. Duke Rawlins pólleżał w ciasnym fotelu pasażera. Wyczuł czyjąś obecność za oknem; sięgnął po torbę i wysiadł.

- Chodź - powiedział Barry Shanley. Był ubrany w czarne bojówki i zieloną kangurkę, a pod spodem nosił szarą ko szulkę z czarną sylwetką śmigłowca szturmowego apache i napisem: „Możesz uciekać, ale się nie ukryjesz”. Poprowadził Duke'a ciemnym przejściem do drewnianych drzwi, a potem w górę po betonowych schodkach. - To tam - powiedział i spojrzął na zegarek. - Musimy chwilę zaczekać.

Oparł się o ścianę. Blask lampy, która świeciła mu nad głową, odbijał się w jego wygolonej czaszce.

Po dwóch godzinach do drzwi zapukał młody chirurg. Joe wstał z bijącym sercem i ruchem głowy nakazał Shau-nowi pozostać na miejscu. Wyprowadził lekarza na korytarz.

- Co z nią?
- Operacja się udała.
- Co jej się stało? Nikt mi nie powiedział.
- Została zraniona od tyłu strzałą, która przebiła lewą nerkę.

To wywołało ograniczone uszkodzenie samego organu, ale, co ważniejsze, także pobliskiej tętnicy. Poza tym miała głęboką ranę ciętą na brzuchu, lecz nie zauważyliśmy żadnych uszkodzeń układu pokarmowego.

- Czy doznała jakichkolwiek innych...
- Nie. To były jedyne obrażenia.
- A co z długoterminowymi...
- Zostaną jej blizny i przez dłuższy czas może odczuwać bóle, ale niezbyt dolegliwe. Jest w drodze na oddział intensywnej terapii. Zobaczymy, co się wydarzy w najbliższych godzinach. Kiedy będzie stabilna, będziecie mogli ją odwiedzić.

- Dziękuję - powiedział Joe. - Dziękuję panu.
Chirurg skinął głową i odszedł, zostawiając roztrzęsionego detektywa na korytarzu.

W końcu Joe wziął głęboki wdech i odwrócił się - w tej samej chwili, gdy Shaun otworzył drzwi.

- Twoja mama jest prawdziwą twardzielką - powiedział. - Jak na takiego kurdupla.

Osiągnął zamierzony cel: tym razem zobaczył uśmiech, nie łzy.

Duke męskim gestem położył dłoń na ramieniu Barry'e-go Shanleya.

- Jesteś pewien, że to dobra droga?
- Zawsze tędy wchodzimy, dzięki mojemu staremu - odparł Barry. - Przywileje pracownicze.

Duke spojrzał na niego bez słowa.

- Super, nie? Kumpel taty nas wpuści, nie ma problemu. A ty jesteś moim przyjacielem, wchodzisz ze mną, pły niemy do Fishguard. Tyle że ja wysiądę, kiedy będziesz na pokładzie.

- Facet będzie gadał...

Barry parsknął lekceważąco.

- On nigdy nie gada - powiedział, wyglądając przez mleczną szybkę w drzwiach. - Zresztą dla ciebie to i tak żaden problem - dodał, zerkając przez ramię na Duke'a. - Jesteś, kurde, z Deltę. Niesamowite... Jak możesz tak normalnie chodzić sobie po ulicach po tym, jak jeszcze nie dawno spuszczałeś się po linie z pieprzonego black hawka w sam środek bitwy? Normalnie niesamowite...

Duke wzruszył ramionami.

- Człowiek robi to, co musi robić. - „Pieprzony frajerze”, dodał w myślach.

Barry znowu wyjrzał przez okienko, a potem uchylił drzwi.

- Teraz. Idziesz, idziesz, idziesz...

I Duke Rawlins poszedł.

Epilog

Joe siedział na kremowozłotej sofie, spoglądając na ławę, na której leżał zapakowany w folię, świeżutki egzemplarz kolorowego czasopisma, zaadresowany do Pam Luc-chesi. Przysunął pismo bliżej i wetknął kciuk w dziurkę na rogu opakowania. Rozpruł je do końca i wyjął najnowszy numer „Vogue Living”. „Rustykalna rewolucja: światło na irlandzkim wybrzeżu”. Zdjęcie na okładce było oszałamiająco piękne: biała bryła latarni morskiej na tle nagiego, platynowego nieba. Przerzucił strony ze spisem treści, czekając na chwilę, gdy obrazy z dawnego życia uderzą go z całą mocą. Wstrzymał oddech, gdy wreszcie dotarł do dwustronicowej rozkładówki otwierającej dwunastostronicowy fotoreportaż. Dom był wspaniały. Ciepłe biele i mi-nimalistyczne wyposażenie. Nigdy nie widział tych pokoi z takiej perspektywy, nie pamiętał doskonałych świec, nie noszonych butów i ubrań.

Kuchnia była zbyt pusta - bez sosu chili na szafce, bez butów w kącie przy drzwiach i bez Anny. Nie było jej, póki nie unióśł ręki. Pod spodem zobaczył cieniutką smugę cienia, długonogą, o nie całkiem realnych kształtach, wypływającą zza przezroczystych, rozsuwanych drzwi. Anna nigdy nie pozwalała się fotografować w swoich wnętrzach, ale oto został po niej ślad - duch zatrzymany na zawsze w tym jednym ujęciu. Joe przycisnął palce do oczu, ale nie było tam łez. Czuł teraz jedynie ucisk w piersi. Ostatnie zdjęcie przedstawiało latarnię sprzed remontu - tragiczną, odrapaną i od lat nietkniętą ludzką ręką. Wciąż patrzył na tę fotografię, gdy godzinę później do pokoju wszedł Giulio.

- Co u niej? - spytał.

Joe zamrugał powiekami.

- Nie rozmawialiśmy jakiś czas... Chyba dobrze.

- Wiesz, że możesz do niej polecieć, kiedy zechcesz? Ja dopilnuję twoich spraw.

- Dopiero co wróciłem do pracy. Nie puszczą mnie tak po prostu.

- Myślę, że w tych okolicznościach...

- Chcesz znać prawdę? Nie sądzę, żeby chciała mnie widzieć już teraz - powiedział Joe. - To ja jestem odpowiedzialny za spieprzenie nam życia. I w dodatku wróciłem do łapania psycholi... No, z wyjątkiem jednego, bardzo ważnego. Uważasz, że to dla niej powód do powrotu? Uważasz, że teraz czułaby się bezpieczna?

- Wróci. Twoja praca jest częścią ciebie samego... i wykonujesz ją jak należy.

Joe uniósł brwi.

- Gdybym był taki dobry, Duke Rawlins w życiu nie wy dostałby się z Irlandii. Niestety, jest inaczej. Na Boga, ma dziś więcej swobody niż my.

- Czy jest nadzieja, że zostanie złapany?

- To zależy od definicji nadziei. Zbieram wszystkie, nawet najmarniejsze meldunki ze śledztwa, wierząc, że wreszcie dostanę upragniony sygnał, ale... - Joe wzruszył ramionami. - Robię, co mogę, ale naprawdę nie wiem, co z tego będzie. Facet jest bystry. Przez pół życia bezkarnie robił to, co chciał. Kto wie, czy i druga połówka nie ujdzie mu na sucho?

- Władze go znajdą.

Joe spojrział na niego wymownie.

- Nie chcę, żeby to władze go znalazły.

Na długą chwilę zapadło milczenie.

Joe odetchnął głęboko.

- Myślę, że Anna powinna na jakiś czas zostać z rodzicami.

- Może - odparł Giulio. - Na jakiś czas.

- Nie wiem nawet, jak jej pomóc. Budzi się z płaczem w środku nocy. Nie umiem jej przekonać, że to tylko koszmar, że nic się nie stanie. Gdzie tu sens? - Joe westchnął ciężko. - W dodatku obwinia mnie o wszystko i myślę, że

na razie nic na to nie poradzimy. Facet powiedział, że zabije ją i Shauna, nie mnie. Ona o tym wie. Chciał mi zafundować wielki ból, ale nie zamierzał mnie zabijać. Miałem przeżyć wszystko to, co przydarzyło mu się w tym jego popieprzonym życiu. - Umilkł na chwilę. - I wiesz co? Mnie też śnią się kosmary.

- Czas cię z nich wyleczy.

- Anna jeszcze nie ma czterdziestki, a już otarła się o śmierć. Ma bóle i blizny, na które nie może patrzeć. Wciąż dzwoni, chce wiedzieć, gdzie jest Shaun i z kim, co robi... A przecież nie powiem jej, że pije i wraca późno. Widziałeś go. Widziałeś, jak trudno go powstrzymać. Co mam robić? Mam mu pozwolić? Zaryzykować, że wyjdzie z tego sam, w lepszej formie? Nie wiem, co ja tu w ogóle robię. Kiedy Shaun rozmawia z nią przez telefon, jest taki cierpliwy. Łączy ich dziwna więź. A ja jestem tylko obserwatorem. Zupełnie tak, jakby się mnie bali.

Kładąc rękę na ramieniu Joego, Giulio zauważył pismo leżące na ławie. Podniósł je i zbliżył do oczu.

- Imponująca robota.

Joe kiwnął głową.

- Posłuchaj tego - powiedział, biorąc pismo do ręki, by odczytać tekst wydrukowany małą czcionką u dołu strony. - „Anna Lucchesi jest na wakacjach. Pytania o szczegóły tego projektu prosimy kierować do Chloe da Silvy”.

Joe roześmiał się ponuro.

- Wakacje? Jezu Chryste... Chciałbym, naprawdę.

Ułożył się wygodniej na kanapie i wyjrzał przez okno.

Shaun siedział na drewnianej ławce, ubrany w zbyt obszerną kurtkę. Pochylony, ze skrzyżowanymi nogami, przyciskał mocno do ucha telefon komórkowy. Jego oddech tworzył mgiełkę w chłodnym powietrzu. Po chwili zamknął telefon i podbiegł do okna. Uśmiechając się, poruszał ustami, ale Joe nie mógł zrozumieć, o co mu chodzi. Gestem poprosił, żeby ojciec uchylił okno.

- Mama dzwoniła powiedział. - Jutro wylatuje z Paryża. Wraca do domu, tato.

Podziękowania

Dziękuję mojemu agentowi, Darleyowi Andersonowi, za jego wiarę, entuzjazm i łagodność. Za ciężką pracę dziękuję też wszystkim pracownikom The Darley Anderson Literary Agency.

Dziękuję mojemu wydawcy, Lynne Drew, za jej przenikliwość i cenne wskazówki.

Dziękuję Amandzie Ridout za jej wizję oraz całej znakomitej ekipie wydawnictwa HarperCollins.

Za redakcję tekstu i rozbawianie mnie dziękuję redaktorowi Wayne'owi Brookesowi.

Za nieustające, łaskawe wsparcie dziękuję Moirze Reilly i Fionie McIntosh.

Za znajomość rzeczy i dzielenie się nią z żółtodziobem dziękuję Ronowi Campbellowi, doktorowi Stuartowi Carrowi (specjaliście w dziedzinie okulistyki), profesor Marie Cassidy, adwokatowi Gerry'emu Charltonowi, Joan Deitch, Dickowi Driscollowi, Jimowi Fuksie, Colinowi Hennessy'emu, Martynowi Linniemu, Brettowi McHale'owi i Tony'emu O'Shea. Fakty zawdzięczam im, fikcja jest moja (podobnie jak wszelkie błędy).

Za wiarę, miłość i śmiech winna jestem niezmierną wdzięczność mojej ukochanej rodzinie.

Za zachętę i stworzenie mi idealnego miejsca do pracy i zabawy dziękuję Sue Booth-Forbes, Maureen i Donalowi O'Sullivanowi z rodziną, Annie Phillips, Unie Brankin, Mary Maddison, Maggie Deas oraz Matthew Higginsowi.

Dziękuję wszystkim wspaniałym przyjaciółom.

Specjalne podziękowania składam Brianowi i Dee: chwycili, skoczyli i nigdy nie odpuścili.